

Jan Czekajewski urodził się w roku 1934 w Częstochowie. W latach 1952-1958 studiował na Politechnice Wrocławskiej na Wydziale Łączności (dzisiaj Wydział Elektroniki), równocześnie pracując jako asystent w Katedrze Urządzeń Radiofonicznych. W latach 60. ub. wieku pracuje — z przerwami — w Instytucie Fizyki oraz w Instytucie Farmakologii Uniwersytetu w Uppsali. Po pewnym czasie sytuacja zmusza go do desperackiego kroku: zakłada swą pierwszą firmę „Uppsala Instruments” 3.03.1968 roku emigruje na zaproszenie uniwersytetu na Alasce do Stanów Zjednoczonych, gdzie po wielu perypetiach, włączając w to bezrobocie, tworzy następną firmę, którą tym razem nazwał „Columbus Instruments”. Jan Czekajewski, pomimo swych siedemdziesięciu pięciu lat, wcale nie czuje się emerytem! Ciągłe zarządza swą firmą produkującą i eksportującą około siedemdziesięciu różnych przyrządów naukowych do ponad pięćdziesięciu krajów świata. Między innymi do Polski.

Dla tych, którzy chcą oderwać się od biedy i przeciętności, Janek Czekajewski ma następującą radę: „Nie dajcie się przekonać, że coś jest niemożliwe”, a na pytanie o element własnej osobowości, który najmocniej w nim tkwi, odpowiada: „Nie pamięć, nie dokładność, nie wytrwałość, ale wyobraźnia!”. Pisząc te wspomnienia, chciałem zobrazować przeciwności losu, z jakimi się zmagalem w trzech różnych krajach: Polsce, Szwecji i Stanach Zjednoczonych Ameryki.

wydawnictwo
e media

ISBN 978-83-89401-30-4



9 788389 401304 >

Jan Czekajewski

DO SUKCESU POD WIATR



Jan Czekajewski

DO SUKCESU POD WIATR

Wspomnienia krnąbrnego emigranta



Słowo o autorze

W swych wspomnieniach Jan Czekajewski z humorem, czasami z ironią, ale i ze łąką w oku opisuje swoje przygody, najpierw w Polsce, będąc jeszcze dzieckiem, potem studentem, asystentem na Politechnice Wrocławskiej i na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, wreszcie początkującym biznesmenem w Polsce Ludowej. Następnie wspomina swą karierę naukową i wynalazczą w Szwecji i na koniec, sukces, który odniósł w Stanach Zjednoczonych. Dla Czytelnika ciekawym i pouczającym winno być to, że Janek Czekajewski osiągnął go nie mając żadnego kapitału i, jak to mówią Amerykanie, „podciągnął się na drabinie społecznej, posługując się sznurowadłem”. Między innymi ten właśnie fakt zaważył, że w roku 1989, w stanie Ohio, otrzymał wyróżnienie dla „Najlepszego Biznesmena Wysokiej Technologii”.

Książka ta, będąca swego rodzaju pamiętnikiem, jest zbiorem migawek z życia Janka. Część z nich była opublikowana uprzednio w prasie emigracyjnej. Autor podzielił utwór na trzy rozdziały: „Wspomnienia z Polski” (zawiera reminiscencje z okresu dzieciństwa w Częstochowie oraz studiów i pierwszej pracy we Wrocławiu), „Wspomnienia z Polski i Skandynawii” (dotyczy wspomnień z lat 1960-1966 kiedy to Jan na przemian mieszkał w Polsce, Finlandii i Szwecji), „Wspomnienia z Ameryki” (tu znajdują się informacje z okresu emigracji do Stanów Zjednoczonych i krótkiego pobytu w Kanadzie — od 1968 roku do czasów dzisiejszych, czyli roku 2010).

Jan Czekajewski urodził się w roku 1934 w Częstochowie, gdzie z pewnymi trudnościami (repetował klasę dziewiątą) skończył Gimnazjum im. Romualda Traugutta. W latach 1952-1958 studiował na Politechnice Wrocławskiej na Wydziale Łączności (dzisiaj Wydział Elektroniki), równocześnie pracując jako asystent w Katedrze Urządzeń Radiofonicznych kierowanej przez profesora Stefana Bincera. W roku 1960 Jan „przemysłnie” organizuje

dla siebie zaproszenie do Szwecji, gdzie pracuje — z przerwami — w Instytucie Fizyki oraz w Instytucie Farmakologii uniwersytetu w Uppsali. Po odmowie przedłużenia polskiego paszportu udzielonej przez polski konsulat Czekajewski prosi Szwecję o azyl. Kiedy obcięto fundusze dla uczelni w Uppsali, jako cudzoziemiec, traci pracę. Sytuacja zmusza go do desperackiego kroku: zakłada swą pierwszą firmę „Uppsala Instruments”. Trzeciego marca 1968 roku emigruje na zaproszenie uniwersytetu na Alasce do Stanów Zjednoczonych, gdzie po wielu perypetiach, włączając kolejne bezrobocie, tworzy następną firmę, którą tym razem nazwał „Columbus Instruments”. Droga do amerykańskiego sukcesu nie była bynajmniej łatwa i jego adoptowana ojczyzna, Stany Zjednoczone Ameryki, traktowała go na przemian, to jako sowieckiego szpiega, to zaszczycała laurkami za zasługi w budowie amerykańskiego przemysłu, w dziedzinie tak zwanej wysokiej technologii.

Kompletując wspomnienia, Jan Czekajewski, pomimo swych siedemdziesięciu pięciu lat, wcale nie czuje się emerytem! Ciągłe zarządza swą firmą produkującą i eksportującą około siedemdziesięciu różnych przyrządów naukowych do ponad pięćdziesięciu krajów świata. Między innymi do Polski*.

* Więcej na temat produktów firmy „Columbus Instruments” można znaleźć pod adresem: *www.colinst.com*.

Dlaczego napisałem tę książkę

Jednym moje nieuczesane wspomnienia mogą wydawać się obraźliwe, innym komiczne, a być może dla Czytelników starszej generacji, wzrastającej jeszcze w PRL-u, sentymentalne.

Niezależnie jednak od tego mam nadzieję, że pozwolą one ambitnym, młodym ludziom zastanowić się nad wyborem własnej przyszłości. Czasy, w jakich żyją i problemy, z jakimi się borykają, są dzisiaj na pewno inne, ale metody wyboru drogi życiowej i kariery zawodowej są dla nas wszystkich wspólne. Dla tych, którzy chcą oderwać się od biedy i przeciętności, Janek Czekański ma następującą radę: „Nie dajcie się przekonać, że coś jest niemożliwe”, a na pytanie o element własnej osobowości, który najmocniej w nim tkwi, odpowiada: „Nie pamięć, nie dokładność, nie wytrwałość, ale w y o b r a ż n i a!”.

W początkowym okresie mego życia zawodowego, zarówno w Polsce, jak i w Szwecji, moją ambicją było pracować naukowo na uniwersytecie. Jeszcze będąc zatrudnionym na Politechnice Wrocławskiej zauważyłem, że inni pracownicy naukowci traktują mnie jak „wesołka”, który nie licuje swym zachowaniem z postawą naukowca. W Szwecji było już nieco inaczej, brano mnie tam bardziej na serio. Jednak poważne posady akademickie były zarezerwowane tylko dla Szwedów. Zablockowanie kariery akademickiej zmusiło mnie do połączenia kwalifikacji naukowych z biznesowymi, ale już we własnym przedsiębiorstwie. Kiedy po latach na uniwersytecie w Uppsali odwiedzałem moich kolegów, Szwedów, będących już w stopniu profesorów, byłem losowi wdzięczny za niedopuszczenie mnie do laurów akademickich. Gdyby wtedy, w latach sześćdziesiątych, zaoferowano mi etat profesora albo nawet docenta, ugrzązłbym tam, w szwedzkiej przeciętności, na zawsze.

Pisząc te wspomnienia, chciałem zobrazować przeciwności losu, z jakimi się zmagalem w trzech różnych krajach: Polsce, Szwecji i Stanach Zjednoczonych Ameryki. Z uwagi na upływający

czas i zwodniczą pamięć moich opowiadań nie należy traktować jako dokument historyczny. W niektórych wypadkach, dotyczących szczególnie osób żyjących, zmieniłem ich nazwiska, gdyż intencją moją jest ilustracja klimatu politycznego i społecznego, a także egzystencjalnego tamtych czasów, a nie wendeta na byłych przeciwnikach czy konkurentach.

Janek sięga po pióro

Minęło czterdzieści pięć lat mego emigracyjnego życia. Nazbierało się masę wspomnień, ale tylko niektóre utrwaliły się w mej pamięci, czy to z powodu intensywności doświadczeń, czy też przez kaprys losu, który w naszym umyśle jedne wrażenia uwypukla, a inne pomija. Moje życie osobiste przeplatało się z zawodowym — co nie jest niczym oryginalnym na tym świecie — ale w niniejszych wspomnieniach poświęcę więcej miejsca temu ostatniemu, jako że moje zawodowe doświadczenia mogą być bardziej interesujące dla Czytelnika niż me erotyczne porażki lub doraźne sukcesy.

Tak się złożyło, że profesor Jerzy Krzyżanowski, syn słynnego historyka literatury polskiej, Juliana Krzyżanowskiego, sam znany literat i polonista z Ohio State University w Columbus, z którym zwykle w niedziele przy butelce wina Chardonnay Courtier dyskutujemy o przedwojennej i powojennej Polsce, zagadnął mnie kiedyś o przyczyny i dzieje mej własnej emigracji. Na ile czas i miejsce pozwoliły, streściłem mu wtedy moich pięćdziesiąt pięć lat zawodowych zmagania, w tym także życie w Columbus w Ohio. Profesor Krzyżanowski był pierwszym Polakiem, jakiego spotkałem po przybyciu do Columbus, szukając w tym mieście na uniwersytecie tłumacza dyplomu lekarskiego mej ówczesnej żony, Zofii Królikowskiej. Na marginesie muszę dodać, że profesor sam przeżył wiele w swym życiu i ma dużo ciekawych wspomnień, na przykład z czasów partyzackiej działalności w lubelskiej Armii Krajowej. Swoje wspomnie-

nia z pobytu w sowieckim obozie w pobliżu Moskwy, gdzie go więziono razem z innymi AK-owcami już po „wyzwoleniu” Polski przez Armię Czerwoną, opisał w książce zatytułowanej „Widziane z Ameryki” (Wydawnictwo „Norbertinum”, rok 2009).



Profesor Jerzy Krzyżanowski w Columbus (Ohio)

Gawędy z profesorem Krzyżanowskim nasunęły mi pomysł przelania na papier własnych wspomnień. Skoncentruję się w nich na przypomnieniu kłopotów i sukcesów związanych z moim zawodem i zamiłowaniem do budowy elektronicznych przyrządów, mających zastosowanie w naukach medycznych i biologicznych. Ówczesny, skostniały system PRL-u lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych uniemożliwiał realizację moich ambitnych pomysłów w Polsce. Niemniej, zaraz po studiach, miałem szczęście pracować w biednie wyposażonym Zakładzie Produkcji Eksperymentalnej, tak zwanym „zakładzie pomocniczym” przy

Katedrze Urządzeń Radiofonicznych Politechniki Wrocławskiej, prowadzonym przez profesora Stefana Bincera.

Z mej pierwszej pracy wyniosłem następującą obserwację: największym kapitałem przy zakładaniu przedsiębiorstwa jest własny pomysł i stan umysłu, przy czym do jednostkowej produkcji przyrządów naukowych nie potrzeba wielkiego kapitału. Dodatkowo zauważyłem, że można budować elektroniczne przyrządy pomiarowe w niezwykle skromnych warunkach. Tam właśnie, na Politechnice Wrocławskiej przy ulicy Bolesława Prusa 53, powstały me pierwsze konstrukcje, wilgociomierz do zboża i miernik hałasu.

Na marginesie mej pracy na politechnice prowadziłem przez jakiś czas „tajną”, chałupniczą produkcję szlifierek dentystycznych. Był to niezwykle dochodowy interes, jako że technicy dentystyczni byli przedstawicielami jednego z niewielu zawodów, który w PRL-u działał całkiem prywatnie. Choć dysponowali większą gotówką, to jednak brakowało im podstawowych przyrządów do wykonywania protez dentystycznych. Ja właśnie tę lukę wypełniłem, modyfikując motorki elektryczne, w które wyposażone były maszyny do szycia Singera, i zamieniając je w szlifiarki dentystyczne. Zapotrzebowanie na taki produkt podsunęła mi moja ówczesna dziewczyna, technik dentystyczny, Elżbieta Pieńkowska. Tamta działalność wynalazczo-handlowa prowadzona w latach 1956-60 stanowiła zarzewie kolejnych przedsięwzięć, których ukoronowaniem jest moja obecna firma „Columbus Instruments International Corporation”, którą stworzyłem w Columbus w Ohio. Dzisiaj, w latach 2008-2009, kiedy wielki przemysł światowy i banki walą się w gruzy na skutek kryzysu światowego, moja firma oparta na zdrowych, „chłopskich” zasadach wyniesionych z Wrocławia, a później potwierdzonych w Uppsali w Szwecji, funkcjonuje bez kredytów od początku jej założenia (sic!), ma się bardzo dobrze i jej roczne obroty przekroczyły już dziesięć milionów dolarów.

Skąd ten szmal

Poprawnie postawione pytanie winno brzmieć: „Jak się wzbogaciłem?”. By nie popaść w fałszywą skromność, nie mogę ominąć tego tematu. Tak, rzeczywiście, jestem — nawet jak na stosunki amerykańskie — człowiekiem bogatym. Dojście do majątku zajęło mi wiele czasu. Około czterdziestu lat. Nie stało się to szybko, gdyż bogactwo nigdy samo w sobie nie było celem mego działania. Będąc rzucony na łaskę i niełaskę losu w obcych krajach, oszczędności zbyt często stanowiły, jak dla wielu i innych emigrantów też, jedyne zabezpieczenie mojej egzystencji.

Co więc było motorem mego działania przed i po moim wyjeździe z Polski? Był nim wrodzony pęd do ciągłego potwierdzania mych możliwości jako wynalazcy i konstruktora. Kiedy stwierdziłem, że sytuacje, w jakich się znajdowałem, nie stwarzały warunków do rozwinięcia mych talentów, sam prowokowałem takie okoliczności, by móc założyć własne firmy. Niestety, prowadzenie własnego biznesu nie sprowadza się jedynie do wynajdywania i konstruowania. Wręcz przeciwnie. Właściciel musi się wykazać zdolnościami i wiedzą wynikającą z wielu innych dziedzin życia. Biznesmen musi znać zasady sprzedaży, zakupów, rachunkowości i podatków, a także wiedzieć, jak kierować ludźmi. To wszystko zabiera ogrom czasu! Jak więc ambitny przedsiębiorca ma go mieć na badania naukowe i inżynierskie? Czas ten bardzo się zawęży, ale ponieważ jakoś trzeba te wszystkie czynności pogodzić, stąd też decyzja o wyborze bądź pracy najemnej, bądź własnego biznesu jest niezwykle trudna i zależy od wielu czynników. Między innymi emocjonalnych. Własny biznes daje swobodę w działaniu, ale narzuca stres spowodowany obawą o dzień następny. Mój przypadek pod tym względem wcale nie był inny, ale ja wiedziałem, że własna firma to dla mnie najbardziej optymalne rozwiązanie. Nie pomyliłem się co do tej decyzji i nigdy jej nie żałowałem.

Część I. Wspomnienia z Polski

Jak się to zaczęło

Sięgając pamięcią do mych młodzieńczych lat, pamiętam, jak mój kochany ojciec pewnego dnia posadził mnie przed sobą i mając łzy w oczach, powiedział: „Janku, martwię się o twoją przyszłość”. Miałem wtedy chyba lat czternaście i właśnie wyrzucano mnie z kolejnej szkoły za brak posłuszeństwa. Ojciec wyjaśnił mi, że ma na myśli mój stosunek do nauczycieli i pedagogicznych autorytetów. Intelktualnie, jako tako sobie radziłem, ale w szkołach mówiłem rzeczy, które nauczyciele uważali za obraźliwe i pozbawione szacunku dla starszych.

Ojciec mój był człowiekiem XIX wieku. Urodził się pod jego koniec, w roku 1890. W młodości wpojono mu szacunek dla ludzi z wyższych klas, do szlachectwa i tytułów. Kiedy się urodziłem, mój rodzic miał już lat czterdzieści pięć. Ożenił się, jak widać, późno. W dzieciństwie chodził do rosyjskich szkół, następnie dziesięć lat spędził w Rosji jako żołnierz cara Mikołaja II. Do Polski wrócił po pierwszej wojnie światowej. Tak zwaną „małą maturę” (cztery klasy gimnazjum) zrobił eksternistycznie, gdyż po powrocie z wojny był już za stary, aby iść do szkoły z dziećmi o dziesięć lat młodszymi. Ostrożny, niekontrowersyjny charakter mego ojca pozwolił mu przeżyć pierwszą wojnę światową, a nawet drugą. Nigdy nie zapisał się do żadnej partii i unikał kariery politycznej. Ojciec mój był człowiekiem kulturalnym, lubianym. Unikał ryzyka. Jednak. Na pewno nie miał smykałki do interesów.

Mój charakter natomiast został chyba ukształtowany przez domieszkę genów mej matki, która była kobietą porywczą i emocjonalną ponad miarę. Jej burzliwy charakter w siedemnaście lat po moim urodzeniu przerodził się u niej, niestety, w chorobę psychiczną.



Ojciec z moim synem, Ryszardem, przed domem rodzinnym przy ulicy Śniadeckich 48 (rok 1977)



Kuchnia w moim domu rodzinnym w czasie i po wojnie

Jak sobie przypominam, to od dziecka charakteryzowała mnie wybujała wyobraźnia, którą nauczyłem się wykorzystywać. Pomnę, że nudną marszrutę z ulicy Śniadeckich na ulicę Jasno-górską, gdzie znajdowała się odległa o trzy kilometry szkoła, pokonywałem przez wprowadzanie siebie w rodzaj transu. Było to coś w rodzaju rozdwojenia jaźni. Idąc do szkoły, albo z niej wracając, marzyłem, że znajduję się w innym świecie i innej sytuacji. W mojej drugiej świadomości rozwijał się kolorowy film, który się zaczynał od momentu wyjścia z domu i zatrzymywał po wejściu do szkoły. W czasie tego transu bezwiednie zmierzałem we właściwym kierunku, uważając na samochody i dziury w chodniku, ale nie czułem ani zmęczenia, ani nudy, ani też nie miałem świadomości mijanego czasu. Nikomu się nie zwierzałem z mej oryginalnej metody pokonywania nudnej podróży. Wiele lat później, już po załamaniu nerwowym w Szwecji, spowodowanym stresującą sytuacją osobistą, jak i emigracyjną, zorientowałem się, że moje załamanie wynikało z takiego, a nie innego zestawu genów odpowiedzialnych za moją rozbujaną wyobraźnię. W tamtej, chorobliwej sytuacji moja wyobraźnia, niestety, wymknęła się spod mej kontroli i poszybowała własnym lotem. Nagle nie mogłem wrócić do świata rzeczywistego i wyłączyć mój urojony film tak, jak to robiłem kiedyś, w dzieciństwie. Z pomocą interwencji psychiatrycznej wróciłem wszakże do równowagi. Miałem wtedy lat dwadzieścia dziewięć. Na szczęście nigdy potem ta sytuacja się nie powtórzyła i mogłem już swą wyobraźnię, i nadal mogę, kontrolować i ukierunkowywać w konstruktywny sposób. Potrzebny do tworzenia swoich wynalazków i budowy własnej firmy.

Pierwsza handlowa transakcja

Moja pierwsza handlowa transakcja miała miejsce w Częstochowie przy ulicy Śniadeckich 48. Była to operacja, można by rzec, eksportowa między obywatelem polskim, Jankiem Czeka-

jewskim, lat jedenaście, a Wanią, obywatelem ZSSR, żołnierzem zwycięskiej Armii Czerwonej. Rosjanin pilnował składu cukru magazynowanego pod plandeką, na podwórku domu, gdzie wraz z rodzicami zamieszkiwałem. Cukier ów przeznaczony był do słodzenia „czaju” radzieckich żołnierzy frontowych. Cukrowa transakcja miała miejsce w roku 1945, w lutym, kiedy to zwycięska Armia Czerwona wypierała Niemców w kierunku Berlina. Żołnierz sowiecki miał wtedy nie więcej niż lat osiemnaście.

Byłem w posiadaniu zdobyczej na Niemcach latarki z trzema filtrami (trzy kolory plus biały) produkcji częstochowskiej Fabryki Latarek mieszczącej się przy ulicy Dąbrowskiego. Latarkę tę można było używać do przekazywania sygnałów w alfabecie Morse`a. Ponieważ żołnierz Armii Czerwonej wyraził wielkie zainteresowanie tą latarką, zaproponowałem jej wymianę na cukier, z góry zakładając, że otrzymam poważną jego ilość, w postaci około kilograma. Niestety, z powodu niedopatrzania i naiwności, kontrakt słowny między stronami nie został precyzyjnie określony. Sądziłem, że dostanę kilogram cukru z podwórkowego magazynu, gdzie pod plandeką leżało jego kilkadziesiąt worków, Wania natomiast miał na myśli jego rację dzienną, w ilości stu gramów. Nie zakładałem uczciwości sowieckiego żołdaka, a to okazało się być błędem. Mylnie liczyłem na to, że Wania cukier po prostu ukradnie z wojskowego magazynu.

Transakcja wymiany odbyła się w pełnej konspiracji. W umówionym miejscu, obok sąsiedniego domu, miałem zostawić dla Wani latarkę. Umowa przewidywała, że Wania po zabraniu latarki zostawi w tym samym miejscu cukier. Kiedy następnego dnia pofatygowałem się pod sąsiedzki zlew, zobaczyłem, że latarka zniknęła, a Rosjanin zostawił woreczek po machorce ze stu gramami, zmieszanego z tytoniem, cukru. Na reklamację było jednak za późno, bo po pierwsze, umowa nie była precyzyjna, po drugie, magazyn już się ładował razem z Wanią na ciężarówkę i przenosił bardziej na zachód, bliżej przesuwającego się frontu.

Niestety, z tej niefortunnej operacji handlowej nie wyciągnąłem właściwych wniosków i, jak się później jeszcze okaże, nie pomny

doświadczenia, zawierałem nie raz i nie dwa inne, mało precyzyjne, a szkodliwe dla mnie umowy.

Janek jako wydawca

W jedenastej klasie licealnej wszyscy przygotowali się do matury. Maturę w gimnazjach ogólnokształcących, jak na przykład im. Romualda Traugutta i im. Henryka Sienkiewicza, składało się obowiązkowo z języka polskiego i matematyki. Matematyka była zmorą wszystkich maturzystów. Zadania maturalne wymagały znajomości wielu równań matematycznych. Używanie jakichkolwiek pomocy w postaci książek było zabronione. Zdesperowani maturzyści przygotowywali sobie listy tych równań na małych karteczkach, które w czasie egzaminu maturalnego ukrywali w rękawach lub skarpetkach. Nie muszę dodawać, że i ja też taką ściągę przygotowałem dla siebie.

Wpadłem wtedy na pomysł, że oto zarysowała się możliwość zarobienia pieniędzy na powieleniu włożonej pracy redakcyjnej. Moim dobrym znajomym był kolega, Józek Kasprzycki, kreślarz w biurze projektów Zakładów Wodociągowych w Częstochowie, mieszczących się do dzisiaj przy ulicy Katedralnej. Józek miał bardzo „stabilną” rękę i znakomicie potrafił rysować czarnym tuszem miniaturowe literki na kalce do rysunków technicznych. Przekazałem więc „prototyp” mojej ściagi i zawarłem z nim umowę na wykonanie kopii tuszem na kalce technicznej. Po wykonaniu zadania Józek, metodą kontaktową, odbił kilkadziesiąt sztuk ściąg na papierze światłoczułym. Metoda ta, o której już dziś się nie pamięta, znana była w Ameryce jako „blue prints”, czyli „niebieskie odbitki”. Po pocięciu wielkich arkuszy odbitek na maleńkie, wielkości dłoni, strony, złożyliśmy je w miniaturowe książeczki, które — już w takiej postaci — łatwo było ukryć przed okiem egzaminatora. Tak „wyprodukowane” ściagi sprzedawałem maturzystom częstochowskich gimnazjów. Oczywiście korzystać z nich mogli tylko maturzyści o sokolim

wzroku, jako że cyfry i literki były naprawdę mikroskopijnej wielkości. Ponieważ nie prowadziłem wtedy żadnej księgowości, nie mogę teraz powiedzieć, ile tych ściąg rozprowadziłem w Częstochowie w okresie przedmaturalnym, przed moim wyjazdem na studia do Wrocławia.

Józek Kasprzycki skończył tragicznie. Ponieważ nie poszedł na studia, zabrano go do wojska i służył w Korpusie Wojsk Ochrony Pogranicza w Bieszczadach. Został tam postrzelony przez jakiegoś bandytę, być może z UPA (Ukraińska Powstańcza Armia). Później, po zwolnieniu z wojska, pracował we Wrocławiu i od czasu do czasu właśnie tam go spotykałem. Umarł wkrótce na białaczkę. Miał dwadzieścia kilka lat. Być może jego choroba była konsekwencją ran, jakie odniósł w czasie służby wojskowej w Bieszczadach. Kto wie...

Polak potrafi! Papierowy konik przykładem przedsiębiorczości

W pobliżu mego domu — w czasie wojny, a także po wojnie — przy ulicy Śniadeckich 50 mieszkał z rodziną człowiek o nazwisku Czoła. Mieszkali w suterenie. Na pewno byli biedni i bez wykształcenia. Z jego synem, jako dziecko, przyjaźniłem się. Właściciel domu, w którym mieszkał Czoła, nazywał się Mielczarek. Jego zięć o nazwisku Kosta miał przed wojną w tym domu zakład pogrzebowy.

Zdarzenie, o którym chcę opowiedzieć, miało miejsce w rok czy dwa po wojnie. Pan Czoła na podwórku domu pana Mielczarka uruchomił produkcję zabawek w postaci papierowych koników. Produkcja polegała na oklejaniu drewnianego modelu konia wielkości około pięćdziesięciu centymetrów papierem gazetowym i powlekaniu każdej kolejnej warstwy klejem sporządzonym z mąki żytniej i wody. Proces ten był wielokrotnie powtarzany. Kiedy grubość kolejnych warstw gazet doszła do około jednego centymetra, konik był wystawiony na słońce

do czasu kompletnego wysuszenia. W końcowym procesie warstwy papieru zostawały przekrojone nożem na dwie części, wzdłuż grzbietu konika. Drewniana forma została wyjęta i wykorzystana w następnym procesie produkcyjnym, natomiast dwie papierowe połówki konika sklejone. Na koniec papierowy konik był malowany ręcznie farbą olejną na kolory białe i czarne, upodabniające go do naturalnego, łaciatego konia. Teraz konik był mocowany do drewnianej deseczki z kółkami. Tak wytworzona zabawka była sprzedawana wieśniakom udającym się z pielgrzymką na Jasną Górę. Prymitywną produkcję zabawek prowadzoną przez rodzinę pana Czoły zapamiętałem jako przykład zmysłu przedsiębiorczości i handlu. A muszę tutaj dodać, że działo się to wszystko na długo zanim mój szwagier, Piotr Tromczyński, zaczął produkcję zabawek plastikowych, używając do tego celu tak zwanych wtryskarek. Pan Czoła nie miał wtryskarki — wtedy o plastikach nikt jeszcze w Częstochowie nie słyszał — a jednak jakoś i bez nich producent papierowych koników potrafił wyżywić swoją rodzinę.

W latach siedemdziesiątych, podczas jednej z moich pierwszych wizyt w Polsce, byłem w Warszawie na przyjęciu zorganizowanym przez moich kolegów ze studiów. Jedna z pań, absolwentka studiów ekonomicznych, z wieloletnią praktyką w jakimś ważnym ministerstwie, zaczęła się przede mną uzalać na skandalicznie niskie płace, które nie wystarczają jej na zakup droższej wędliny, czyli szynki, tak potrzebnej dla zdrowia jej kilkunastoletniego syna. Okazało się, że, faktycznie, zarabiała zaledwie trzy tysiące złotych miesięcznie. Tak się złożyło, że tego samego dnia odwiedziłem sklep meblowy na Krakowskim Przedmieściu i zauważyłem, iż cena raczej prymitywnego (czytaj: nieskomplikowanego) stołu była równa miesięcznej pensji owej znajomej. Pospieszyłem więc z radą.

— Proszę pani, powinna pani założyć firmę stolarską! Na początek należy robić stoły. Ten najprostszy i najtańszy, jaki widziałem, sprzedaje się po trzy tysiące złotych. Koszt własny, materiałów i robocizny nie wydaje się być wyższy niż pięćset

złotych. Nawet bez doświadczenia, pracując tylko w godzinach wieczornych, każdy członek pani rodziny może zrobić jeden stół na tydzień.

Moja propozycja, niestety, nie zaskarbiła mi jej sympatii.

— Proszę pana — odpowiedziała mi obruszona ekonomistka. — Ja mam magisterium i stolarką nie będę się zajmować! Pan chyba żartuje! Za kogo mnie pan ma?!

Parafrazując powiedzenie Edwarda Gierka, pierwszego sekretarza PZPR, powiem, że: „Jeden Polak potrafi, a drugiemu się nie chce”.

Dlaczego Janek wybrał elektronikę

Mój ojciec, Franciszek Czekajewski, przed wojną pracował w częstochowskim Urzędzie Telefonów. Jako czteroletni dzieciak, odwiedziłem go tam kiedyś i ojciec zaprowadził mnie do niedawno zbudowanej, automatycznej centrali telefonicznej. Była to centrala na dwa tysiące numerów, produkcji angielskiej firmy „Stowger”. Kiedy abonent podnosił słuchawkę telefonu, przy jego „wybieraku” zapalała się lampka i „wybierak” ze zgrzytem łączył telefon abonenta z telefonem, na numer którego dzwonił. Wtedy odniosłem wrażenie, że automatyczna centrala to stwór żyjący własnym, tajemniczym życiem. Od tego momentu postanowiłem poznać zasadę działania telefonów i zdecydowałem, że będę — jak to się wtedy nazywało — specjalistą od „prądów słabych”.

Kiedy po wojnie mój ojciec wrócił do pracy w tym samym Urzędzie Telefonów, miałem okazję zobaczyć dalekopisy i wzmacniacze na lampach elektronowych, które wzmacniały sygnały dalekosiężnych rozmów telefonicznych. Wkrótce, jako trzynastoletni chłopak, zacząłem budować własny odbiornik radiowy i w wieku lat czternastu zapisałem się na kurs radiotelegrafistów, prowadzony przez paramilitarną organizację „Służba Polsce”. Moja pasja do radiotechniki była tak silna, że kiedy w klasie

dziesiątej rozprowadzono ankietę dla chętnych do studiowania w ZSSR, zgłosiłem się jako kandydat na Wydział Telewizji. Na szczęście dla mnie matka nie była zachwycona moim wyborem i dlatego przyszła do szkoły z prośbą o wycofanie mej kandydatury. Znając mój niewyparzony język, rodzice, którzy lepiej niż ja orientowali się w systemie radzieckim (a ciągle były to czasy terroru stalinowskiego), obawiali się, że z Rosji Radzieckiej mogę już nigdy nie wrócić i zniknę w czeluściach Syberii. Szkoła przychyliła się do prośby mej matki i skreślono mnie z listy kandydatów.

Kiedy zbliżała się matura, ciotka moja, magister Otylia Woyczyńska, mieszkająca we Wrocławiu, postanowiła mi pomóc w dostaniu się na studia na tamtejszą politechnikę. Ciotka, która sama była matematyczką, zapraszała mnie w czasie wakacji do Wrocławia i udzielała korepetycji. Na Politechnikę Wrocławską dostałem się bez większych trudności, mimo że na każde miejsce przypadało czterech kandydatów. Egzamininy były konkursowe. Dostali się najlepsi. Jednak już po pierwszym roku dużo studentów odpadło, nie będąc w stanie sprostać stawianym wymaganiom.

Na pierwszym wykładzie z fizyki spotkałem częstochowianina, Karola Pelca, który wkrótce stał się moim przyjacielem. Wspólnie jeździliśmy na studenckie praktyki, studiowaliśmy na tych samych specjalnościach, nawet robiliśmy doktoraty u tego samego profesora, Per Arno Tove, w Instytucie Fizyki uniwersytetu w Uppsali w Szwecji. Dzisiaj obaj mieszkamy w Stanach Zjednoczonych, z tym że Karol zmienił specjalizację i skupił się na zarządzaniu badaniami naukowymi. Jest obecnie emerytowanym profesorem w Michigan Technological University, stypendystą prestiżowej Nagrody Fulbrighta i gościnnym wykładowcą na różnych uniwersytetach w Japonii, Chinach, Finlandii i Polsce.

Spotkanie z „Iwanem Groźnym”

Na podstawie opowieści starszych członków rodziny, dowiedziałem się, że przed wybuchem drugiej wojny światowej byłem niezdolnym, rozpieszczonym bachorem. Oczywiście czasów tych nie pamiętam, więc nie mogę tego faktu potwierdzić. Jedno było wszakże pewne, że egzystowałem przez czternaście lat jako jedynak. Zostały natomiast w mej pamięci pewne wspomnienia z okresu samej wojny.

Oto poniżej przedstawiam pewne zdarzenie z wczesnego dzieciństwa, które miało miejsce w okupowanej przez Niemców Częstochowie. W listopadzie 1942 roku, mając osiem lat, niemrawo zmierzałem w kierunku centrum mojego miasta. Tam, w jednym z budynków odbywały się tajne komplety, na które zapisali mnie moi rodzice. Tamtego roku polskie szkoły były zamknięte od szeregu miesięcy i zamienione na niemieckie koszary lub szpitale wojskowe. Był to już trzeci rok gnębiącej nas głodem niemieckiej okupacji. Polskie nielegalne szkoły, nazywane „kompletami”, były prowadzone w prywatnych mieszkaniach, w których uczono nas między innymi polskiej historii. Moja nauka nie trwała długo. Następnego roku Gestapo aresztowało mych nauczycieli i wysłano ich do Auschwitz (Oświęcim).

Niemcy uważali, że polskie szkoły nie są Polakom potrzebne, gdyż przeznaczeniem tego narodu była praca niewolnicza dla Rzeszy Niemieckiej, praca, niewymagająca innego wykształcenia poza zawodowym. Komplety, na które zapisali mnie rodzice, odbywały się w odległości około dwóch kilometrów od miejsca mego zamieszkania, przy ulicy Śniadeckich (przy tej samej ulicy mieszkałem), i aby na nie dotrzeć, winienem przejść ulicą Handlową. Podczas drogi zauważyłem grupę około stu jeńców sowieckich, eskortowanych przez dwóch żołnierzy niemieckich. Jeńcy udawali się na jakieś roboty poza miejsce ich uwięzienia. Po lewej stronie ulicy Handlowej znajdowało się dość duże pole, na którym wcześniej zasadzano kapustę. Z tej kapusty, w listopadzie,

pozostały tylko głąby, już w tym czasie „ścięte” przez mróz. Sowieckim jeńcom udało się przekonać niemieckich wartowników, aby im zezwolili poszukać na tym polu resztek kapusty nadającej się jeszcze do zjedzenia. Kiedy Niemcy przychylni się do prośby i pozwolili rosyjskim więźniom wybiec na pole, zauważyłem, że ci rzucili się na ziemię i jedli zmarznięte kapuściane głąby tak, jakby to były jakieś delicje. Jeden z Rosjan, a może był to Ukraińiec, gestami komunikował mi, że jest bardzo głodny i gdybym dał mu coś do jedzenia, to w zamian dostanę zabawkę, którą wystrugał scyzorykiem w obozie. Nie mogąc znieść widoku dorosłego człowieka żebrzącego o kawałek chleba, dałem mu dwie kromki czarnego chleba posmarowanego margaryną, jakie dali mi rodzice na drugie śniadanie do szkoły. W szkole dawano nam gorące, tak zwane „odciągane” (bez tłuszczu) mleko, ale chleb musieliśmy przynosić własny. W zamian za kromki chleba sowiecki jeńiec dał mi drewnianą zabawkę-krokodyla.



Zabawka-krokodyl podobna do zabawki otrzymanej od sowieckiego jeńca

Kiedy nauczycielka zapytała mnie w szkole, gdzie mam chleb, powiedziałem, że otrzymał go ode mnie głodny Rosjanin. Kobieta postawiła mnie przed klasą i oznajmiła, że moje zachowanie winno być wzorem dla innych, gdyż mimo że Sowietci są naszymi wrogami, to jednak głodującemu człowiekowi należy pomóc, niezależnie od tego, czy jest on wrogiem, czy przyjacielem. O ile sobie przypominam, był to jedyny przypadek w moim szkolnym życiu, kiedy dostałem publiczną pochwałę do nauczycielki.

Po wojnie dowiedzieliśmy się, że w Częstochowie, w stonkowo małym obozie dla jeńców sowieckich, zagłodzono kilkadziesiąt tysięcy Rosjan, Ukraińców, Kałmuków. Na polskim i niemieckim terytorium były dziesiątki takich obozów dla jeńców sowieckich, w których Niemcy zagłodzili setki tysięcy, jeśli nie miliony jeńców. Tych ludzi nie zabijano gazem, jak robiono to w przypadku Żydów. Ich zagładzano na śmierć. Szanse dla radzieckiego jeńca na przeżycie były podobne do szans, jakie miał Żyd w obozie w Oświęcimiu.

Wiele lat potem, w latach osiemdziesiątych, przyjechał do mnie, do Stanów Zjednoczonych, przyjaciel z Polski, który przywiózł zabawkę dla mej kilkuletniej córki. Ku memu zdumieniu był to... drewniany krokodyl, identyczny z zabawką, jaką za dwie kromki chleba otrzymałem od sowieckiego jeńca w roku 1942. Krokodyla od mego przyjaciela zatrzymałem dla siebie i mam go do dzisiaj. Jego widok wywołał u mnie dramatyczne wspomnienia z mego wojennego dzieciństwa. Co się stało z zabawką otrzymaną od sowieckiego żołnierza, nie wiem. Od tamtego czasu przecież po wielokroć zmieniałem kraje i miejsca zamieszkania...

Dzisiaj, sześćdziesiąt siedem lat później, czternastego kwietnia 2009 roku, widzę nagle w amerykańskiej telewizji osiemdziesięciodziewięcioletniego Iwana Demianiuka zamieszkałego w pobliskim mieście Cleveland w stanie Ohio, wynoszonego na noszach, w celu ekstradycji do Niemiec. Jest on, jako strażnik w obozie koncentracyjnym w Sobiborze, podejrzany o udział w zbrodniach hitlerowskich. Być może, że był to właśnie „mój”

Iwan Demianiuk, od którego dostałem drewnianego krokodyla, a który w obliczu śmierci głodowej zgodził się na bycie strażnikiem w niemieckim obozie zagłady. Wielu jemu podobnych, w obliczu śmierci głodowej, zapisywało się do kompanii wartowniczych albo do armii rosyjskiego generała Własowa, walczącej w okresie drugiej wojny światowej po stronie niemieckiej.

Trudno mi powiedzieć, czy Iwan Demianiuk był strażnikiem w obozie w Sobiborze, gdyż on sam temu zaprzecza. Nawet jeśli nim był, to jaki ma sens nękanie chorego starca w ostatnich godzinach jego życia pokazowym procesem w Monachium? Zadajmy sobie pytanie, kto z nas, w obliczu śmierci głodowej, zachowałby się inaczej? Może my też staralibyśmy się przedłużyć swe życie, choćby o kilka miesięcy, podobnie jak robili to żydowscy policjanci w żydowskich gettach? Tych policjantów, którzy aresztowali swych braci i zaganiaли ich do wagonów bydłowych, zmierzających do komór gazowych Treblinki i Auschwitz, nie szukamy i nie sądzimy, mając na uwadze specyficzną sytuację, w jakiej się znaleźli. Dlaczego więc Iwan Demianiuk jest teraz tak ważny? Pamiętajmy, że już raz sąd w Izraelu skazał go na śmierć, a następnie uniewinnił, gdy okazało się, że nie jest szukanym „Iwanem Groźnym” z Treblinki, który zginął w roku 1945. W tamtym czasie, w Izraelu, czekając na egzekucję, Iwan Demianiuk spędził pięć lat w celi śmierci. Teraz jego ekstradycja do Niemiec stworzyła paradoksalną sytuację, jako że kraj, z którego pochodzili jego mocodawcy, będzie teraz wydawał wyrok za jego, nie tak do końca przecież zbrodniczą działalność. Czyżby Niemcy starali się odwrócić uwagę od własnej, już „czysto niemieckiej”, winy za morderstwa milionów Żydów i Słowian? A jakież niepokojące trendy rozliczeniowe pojawiają się teraz w Stanach! Dzisiaj młoda generacja Amerykanów obciąża winą za Holocaust jakąś nieznaną grupę etniczną, zwaną „Nazistami”. Wymienianie Niemców i Niemiec w kontekście zbrodni popełnionych w czasie drugiej wojny światowej jest, można by powiedzieć, niemile widziane. Aż strach pomyśleć, do czego to wszystko zmierza.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że cała afera z Demianiukiem niewiele ma wspólnego z jego winą albo nawet z jego osobą. Sądzę, że stał się on kozłem ofiarnym i narzędziem propagandowym pewnej grupy w amerykańskim Ministerstwie Sprawiedliwości, która desperacko szuka powodów dla swej dalszej egzystencji. Ma ona zatem poważny problem do zgryzienia, gdyż ludzie, tacy jak Demianiuk, zaczynają szybko wymierać.

Okupacja i granie ze śmiercią

Fakt, że wojnę przeżyłem, jest dziwnym zbiegiem okoliczności, bo ze śmiercią, jako dziecko, igrałem, a nawet ją prowokowałem. A oto przykłady.

W pobliżu naszego domu, który stał na wylocie ulicy Śniadeckich, były pola zasiane żytem i kartoflami, a także wielkie wysypisko śmieci. W czasie wojny Niemcy wyrzucali tam książki z polskich i żydowskich bibliotek, a pod koniec wojny na wysypisku znajdowało się zakrwawione, gipsowe opatrunki wyrzucane z pobliskiego wojskowego szpitala mieszczącego się przy ulicy Mickiewicza. W odległości około dwóch kilometrów od mego domu znajdowała się granica między Generalnym Gubernatorstwem i Rzeszą Niemiecką. Granica była strzeżona przez niemieckich żandarmów i psy. Okoliczni chłopcy czasami przekraczali tę granicę, często ryzykując życiem. Ja z kolegami, bez wiedzy rodziców, rzecz jasna, często tylko dla przygody, przeżyłem się do pobliskiego Gnaszyna, który znajdował się właśnie już w Rzeszy.

Podczas wojny z Sowietami Niemcy zaczęli rozbudowywać stację kolejową Częstochowa-Stradom, znajdującą się w pobliżu naszego domu. Celem rozbudowy było zwiększenie możliwości przeładunkowych dla transportów wojskowych, idących w kierunku frontu wschodniego. Do tego celu faszysty sprowadzili wiele nowoczesnych koparek i zbudowali system kolejki wąskotorowej dla przewożenia wykopanej ziemi. Kolejka była



Zdjęcie 16 — Częstochowa, ulica Śniadeckich

wieczorami słabo strzeżona i ja z kolegą używaliśmy jej do... zabawy, która polegała na rozpędzaniu wagoników z górki i wykolejaniu ich w wypełnionych wodą gruntowych wielkich dołach. Ich wydobywanie stamtąd bez dźwigu było wręcz niemożliwe. Pewnego popołudnia niemiecki strażnik zorientował się, co robimy i zaczął nas gonić z rewolwerem w ręku. Uciekaliśmy wedle dobrze pojętych zasad konspiracji nie w kierunku własnych domów, ale na zachód, w kierunku granicy z Rzeszą. Tam rozdzieliliśmy się. W wysokim łanie żyta strażnik zgubił nasz trop. Teraz, po latach, rozumiem, że strażnik mógł nas łatwo zastrzelić, niemniej nie użył pistoletu, co w sposób oczywisty uratowało moje i kolegi życie. Z wdzięcznością wspominam humanitaryzm tego strażnika. Może przypominaliśmy mu jego własne dzieci? Po wielu latach podczas mojej wizyty w Częstochowie, w roku 2008, zadzwonił do mnie Hubert Świąc i przypomniał, że to on był tym, którego razem ze mną na stacji kolejowej na Stradomiu gonił niemiecki strażnik.

Czasami, z nudów, jako siedmio- lub ośmioletni dzieciak bawiłem się w antyniemiecką akcję sabotażową, która polegała na rozbijaniu z procy porcelanowych izolatorów na słupach telegraficznych, usianych wzdłuż linii kolejowej Stradom – Gnaszyn. Przewody pozbawione izolatorów zwisały bezwładnie ze słupów telefonicznych, powodując zwarcia i zakłócenia w niemieckiej telekomunikacji wojskowo-transportowej.

Po ucieczce Niemców z Częstochowy, w styczniu 1945 roku, Sowieci transportowali w kierunku wschodnim łup wojenny w postaci zagrabionych maszyn z fabryk niemieckich, a także własne magazyny wojskowe. Z powodu zatłoczenia linii kolejowych pociągi sowieckie często były trzymane tygodniami na bocznicach kolejowych, zbudowanych jeszcze przez Niemców na stacji kolejowej Częstochowa-Stradom. Na końcu takich pociągów transportowych był zwykle przyczepiony wagon, w którym mieszkała wojskowa obsługa pociągu i jego strażnicy. Często także na końcu pociągu była dołączona platforma z ciężkim, przeciwlotniczym karabinem maszynowym.

Zawartość specyficznych transportów mnie, dziesięcioletka, bardzo intrygowała. Pewnego dnia zakradłem się z kolegą w pobliże takiego pociągu, upewniając się uprzednio, że sowieccy żołnierze dobrze bawią się w swym wagonie, czyli śpiwają i grają beztrąsko na bałajce. Jeden z wagonów był zaplombowany, co wzbudziło naszą ciekawość. Okazało się, że w wagonie pod dachem było okienko wentylacyjne, przez które mogłem włożyć głowę — w owym czasie głowa była najszerszym elementem mego ciała. Jeśli zatem przez otwór weszła głowa, to i z resztą nie powinienem mieć problemu. Potrafiłem tak „zwinąć” ramiona, że byłem w stanie precyzyjnie przycisnąć się do wnętrza wagonu. A wewnątrz były wielkie drewniane skrzynie. Ich wieka udało mi się podważyć i ku memu zdumieniu znalazłem w nich cały zestaw ciekawych mnie przyrządów pokładowych. Służyły one wojskowym samolotom. Wśród nich znajdowały się także karabiny maszynowe i radiostacje. Moje zainteresowanie techniką jeszcze wtedy nie miało charakteru komercyjnego, jak to ma

miejsce dzisiaj, lecz podniecało mnie rozbieranie (czytaj raczej: dewastowanie) tego rodzaju urządzeń. Widocznie każdy przyszedł konstruktor musi (obowiązkowo!) przejść okres dekonstrukcji i dewastacji. Rzucałem wspomniane przyrządy przez otwór wentylacyjny do kolegi, który stał na dole i ładował je do worka. W pewnym momencie usłyszałem w pobliżu wagonu mowę rosyjską i serce mi zamarło. Ktoś zaczął otwierać zaplombowane, rozsuwane drzwi wagonu, i do tego z obu jego stron. Strach ścisnął mi znowu serce nie tyle o siebie, co o rodziców, których Rosjanie mogliby oskarżyć o sabotaż. Nagle drzwi się otwały i zobaczyłem polskiego SOK-istę, członka Straży Ochrony Kolei, który widząc mój szczenięcy wiek, szeptem rozkazał: „Spierdalaj szczeniaku, bo cię Rusczy zastrzelą!”. Wyskoczyłem więc z wagonu i uciekałem, przemykając pod wagonami sowieckiego transportu stojącego na bocznicach kolejowych. Teraz żałuję tego czynu i martwię się o radzieckich żołnierzy, którzy na pewno zostali srogo ukarani za dopuszczenie do bezmyślnych szkód, jakich się dopuściłem.

Czasami na bocznicach kolejowych stacji Częstochowa–Stradom stały pociągi z uszkodzonymi czołgami. Zakradaliśmy się wówczas z kolegami do tych pojazdów, kradnąc zmagazynowane tam pociski do dział czołgowych, niektóre kalibru 88 mm i więcej. Pociski te miały dla nas wartość poznawczą, gdyż po oddzieleniu samego pocisku od łuski z prochem, stukając kantem pocisku o szynę kolejową, mogliśmy odzyskać proch przydatny do robienia ogni sztucznych i petard. Dziwnym trafem żaden z pocisków nie wybuchł w czasie jego obstukiwania. Niemniej nie uniknąłem poparzenia twarzy, zapalając kiedyś przy ognisku proch uzyskany z niego. Jak to się stało? Po prostu. Proch był zapakowany w bawełnianą torebkę. Ścisłe zбитy, zapalony na wolnym powietrzu, eksploduje i dlatego któryś z moich eksperymentów, niestety, zakończył się wybuchem, wbijając mi ziarenka prochu w twarz. Na szczęście w czasie eksplozji zamknąłem oczy, dzięki czemu nie oślepiłem. Ale drobinki utkwiły w powiekach. W tamtym czasie co miesiąc kilkoro dzieci z oko-

licy ginęło od podobnych eksperymentów. Mnie udało się, jak widać, przeżyć nie tylko wojnę, ale i okres powojennych eksperymentów pirotechnicznych.

Szkoła i Janka marne w niej wyniki

Z końcem wojny rodzice wysłali mnie do prywatnej szkoły Braci Szkolnych (Częstochowa, ulica Pułaskiego), do której zraziłem się z miejsca, kiedy brat przełożony, ojciec Bonawentura walnął mnie w głębę na reprezentacyjnych, pokrytych dywanem schodach pałacyku, w którym mieściła się szkoła. My, uczniowie, mieliśmy obowiązek wchodzić do szkoły tylko schodami kuchennymi! A ja wtedy, jako nowy uczeń, o tym nie wiedziałem i dopuściłem się takiego faux pas!

Zapewne nie z powodu tego incydentu, ale rodzice przenieśli mnie niedługo potem do innej prywatnej szkoły „Nauka i Praca”,



Pałacyk, w którym mieściła się szkoła Braci Szkolnych

skąd mnie wyrzucono z powodu złych wyników w nauce, a także krnąbrnego zachowania. W końcu, za protekcją koleżanki mej matki, która była sekretarką w Gimnazjum im. Romualda Traugutta, dostałem się tam do klasy drugiej, którą przemianowano później na klasę dziewiątą. Niestety, tamtejszy poziom nauczania był za wysoki na moją skromną, wojenną edukację i klasę dziewiątą musiałem repetować. Z dumą zachowałem jedno ze świadectw szkolnych z tego okresu, na którym na siedem przedmiotów nauczania miałem pięć dwój (oceny niedostateczne). W owym czasie dwie noty niedostateczne kwalifikowały ucznia do repetowania klasy, ale moi nauczyciele, chcąc być pewni, że nie przejdę do następnej klasy, wlepili mi ich chyba cztery czy pięć. Oceny dostateczne miałem ze sprawowania i rysunków, aczkolwiek właśnie z tych dwóch przedmiotów zasługiwałem — według mnie — na dwóje.

Niezależnie od mizernych wyników gimnazjalnych przeczytałem w tym okresie ogromną ilość książek i nabrałem wiedzy ogólnej bez porównania większej niż moi koledzy, przymusi. W następnym roku postanowiłem się podciągnąć, będąc świadomym, że takich, co to mają złe stopnie na maturze, nie przyjmowano na studia, natomiast wysyłano do ludowego wojska. Myśl o nim wywoływała u mnie alergię. I rzeczywiście, ze strachu czy wysiłku, nagle moje oceny poprawiły się i skończyłem gimnazjum — w roku 1952 — z wynikami wystarczająco dobrymi, aby zostać przyjęty na studia.

W klasie dziewiątej odkryłem, że mam zdolność do gawędzenia, będącą chyba wynikiem czytania olbrzymiej ilości książek, które, poza programem szkolnym, wręcz pochłaniałem. Odkrycia tego dokonałem pewnego razu na letnim obozie, gdy ze zdziwieniem zauważyłem, że w namiocie, przed snem, rozbrykani koledzy cichną, kiedy zaczynam im opowiadać jakąś historię.



ŚWIADECTWO
GIMNAZJUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO

Beckajewski Jan

(nazwisko i imię)

urodzony dnia *16 grudnia* 19 *34* r. w *Łętotachowie*
powiatu *węztołowski*, województwa *kieleckiego*
uczęszczał do klasy *drugiej a* i otrzymał za pierwsze półrocze
roku szkolnego 19 *47/48*

oceny następujące:

sprawowanie	<i>bardzo dobry</i>
religia	<i>dobry</i>
język polski	<i>dostateczny</i>
język łaciński	<i>niedostateczny</i>
język <i>francuski</i>	<i>dostateczny</i>
historia	<i>dostateczny</i>
geografia	<i>dostateczny</i>
historia <i>chemia</i>	<i>niedostateczny</i>
fizyka chemia	<i>dostateczny</i>
matematyka	<i>niedostateczny</i>
przysposobienie wojskowe	<i>dostateczny</i>
zajęcia praktyczne	<i>dostateczny</i>
ćwiczenia cieleśne	<i>dostateczny</i>
<i>rysunek</i>	<i>dostateczny</i>

Moje świadectwo z Gimnazjum im. Romualda Traugutta

Janek jako pornograficzny zboczeniec

Cudem jednak stał się fakt, że nie zostałem wydalony z Gimnazjum im. Romualda Traugutta przedwcześnie. Za co? Za naganne sprawowanie, a raczej za rozprowadzanie pornografii. Miałem wtedy chyba lat piętnaście i byłem lichego wzrostu. Moi koledzy z klasy opowiadali już o sukcesach erotycznych, jakie odnosili. Ja natomiast nie miałem się czym wykazać. Aby zaimponować kolegom, wyjąłem z albumu rodzinnego zdjęcia mych ciotek i mojej mamy z lat przedwojennych, głównie w kostiumach kąpielowych, i przyniosłem do klasy, aby zaprezentować me „zdobycze erotyczne”. Muszę nadmienić, że w tym czasie gimnazjum, do którego chodziłem, było szkołą wyłącznie męską. Ciekawi koledzy zgromadzili się wokół mej ławki, oglądając z zachwytem moją „erotyczną dokumentację”. W pewnym momencie, znienacka, zaskoczył nas profesor fizyki, Bernatek. Ze złością złapał zdjęcia i wykrzyczał, że postara się, aby moja noga więcej nie stanęła w tej szkole. Przerażony, udałem się do domu i powiedziałem ojcu, że wyrzucono mnie za szkoły i profesor Bernatek chce się z nim widzieć. Ojciec, zawsze pełen szacunku dla władzy, poszedł do szkoły interweniować w mej sprawie. Przy spotkaniu z nim profesor Bernatek zawyrokował:

— Pański syn nie umrze naturalną śmiercią! On będzie powieszony!

Po czym pokazał ojcu zdjęcia mej matki, Honoraty Czekajewskiej, Luni Biwan, Anny Czekajewskiej (później Jędrusik) i innych żeńskich, a przez to atrakcyjnych, członków mej rodziny. Mimo wszystko zostawiono mnie jednak w szkole, a nieco później dowiedziałem się, że profesor Bernatek zdradzał skłonności erotyczne w stosunku do mych kolegów i często ich zapraszał do swego laboratorium fotograficznego, gdzie w ciemni fotograficznej rozpinał im rozporki. Przypuszczam, iż reakcja profesora była maskowaniem własnych ułomności charakteru, a moje zainteresowanie kobietami wykorzystał do pokazania, jak go takie postawy bulwersują.

Z profesorem Bernatkiem miałem także na pieńku z powodów naukowych. Z perspektywy czasu widzę, że człowiek ten był ignorantem i swe kwalifikacje nauczyciela fizyki prawdopodobnie sfalszował. Pewnego dnia, w czasie wykładu o załamaniu się światła i zasadach fotografii, profesor powiedział, że pierwszy prymitywny aparat fotograficzny wymyślił mnich o nazwisku Obscur. Dlatego też, wedle profesora, to urządzenie nazywamy „camera obscura”. Pomimo faktu, że z łaciny miałem dwóję, to jednak wiedziałem, że „camera obscura” tłumaczy się na język polski jako „ciemna skrzynka”, na co profesorowi publicznie zwróciłem uwagę. Oczywiście, sympatii mi to z jego strony nie zaskarbiło.

W klasie dziewiątej zapisałem się na darmowy, dziewięciomiesięczny kurs radiotelegrafistów, prowadzony przez organizację



Ja jako radiotelegrafista

paramilitarną „Służba Polsce”. Był to okres wojny w Korei i Polska będąc sojusznikiem sowieckim, szykowała się do wojny światowej z Ameryką. Gdyby wojna wybuchła, byłbym jednym z pierwszych na froncie, ale wtedy o tym nie myślałem. Na kursie zajęcia z nadawania i odbierania sygnałów Morse’a prowadził „przedwojenny” operator wojskowej stacji radiowej. Był pełen entuzjazmu dla swego zawodu. Pewnego dnia jednak zniknął. Powiedziano nam, że jest chory... psychicznie, i że zabrano go do szpitala w Lublińcu. Nie byłem pewny, czy nie był to z jego strony unik przed Urzędem Bezpieczeństwa, który deptał mu po piętach. Kurs, jako najmłodszy kursant — miałem bowiem wtedy lat zaledwie piętnaście — skończyłem z wynikiem celującym. Lokalny dziennik „Życie Częstochowy” zamieścił wzmiankę o mnie jako o prymusie w dziedzinie radiotelegrafii. No, wreszcie mój ojciec mógł być ze mnie dumny!

Świadectwo ukończenia kursu radiotelegrafistów pomogło mi później w dostaniu się na studia na Wydział Łączności na Politechnice Wrocławskiej. Dzisiaj, będąc szefem przedsiębiorstwa i przyjmując do pracy młodych inżynierów, staram się wybierać takich, którzy elektronikę traktują jako życiowe hobby i majsterkują wieczorami w garażach czy piwnicach.

Politechnika Wroclawska przedszkolem biznesu

W roku 1952 dostałem się na Politechnikę Wrocławską, którą skończyłem w roku 1958. Od trzeciego roku studiów pracowałem równocześnie jako asystent techniczny w Katedrze Urządzeń Radiofonicznych prowadzonej przez profesora Stefana Bincera. To właśnie tam, w bardzo prymitywnym laboratorium, powstały moje pierwsze konstrukcje, wilgociomierz do zboża i tranzystorowy miernik hałasu.

Profesor Bincer był pochodzenia żydowskiego, rodem ze Lwowa. W tamtym czasie był już poważnie chory na serce. Nie mając własnych dzieci, a chcąc swą wiedzę komuś przekazać,

wybrał sobie mnie, abym uczestniczył w długich rozmowach, podczas których rozprawiał o zasadach prowadzenia prywatnego interesu, jako że we Lwowie, przed wojną, miał małą fabryczkę odbiorników radiowych.



Marzę o własnym biznesie. Wrocław, rok 1956

Profesor na Politechnice Wrocławskiej prowadził przy Katedrze Urządzeń Radiofonicznych, tak zwany zakład pomocniczy (konsultacyjny) dla przemysłu. Zakład ten miał wiele cech firmy prywatnej. Poza wilgociomierzami do zboża budowaliśmy tam nadajniki przekaźnikowe dla początkującej polskiej telewizji. Głównym konstruktorem był mój starszy kolega, Andrzej Drozd. Natomiast ja jeździłem po Polsce jako akwizytor z zamówieniami. Zjawiałem się w miastach i miasteczkach, w których nie było dobrego odbioru sygnału telewizyjnego. Do moich sukcesów akwizycyjno-konstrukcyjnych w tamtym okresie zaliczyć mogę powstanie przekaźnika telewizyjnego w Radomiu, przekaźnika, który służył mieszkańcom przez chyba ćwierć wieku, pozwalając im oglądać na żywo program telewizji warszawskiej.

W roku 1960, na zasadzie wymiany ze studentem matematyki z uniwersytetu w Uppsali, wyjechałem do Szwecji. Profesor Bincer wkrótce po moim wyjeździe zmarł. Obaj uniknęliśmy „karzącej ręki sprawiedliwości ludowej” — ja poprzez wyjechanie z kraju, mój mentor poprzez swą śmierć — bo podobno urząd finansowy bardzo się interesował metodami operacyjnymi Katedry Urządzeń Radiofonicznych, które bardziej przypominały te z gospodarki kapitalistycznej niż instytucję socjalistyczną, jaką była politechnika.

Przez jakiś czas poza pracą na uczelni prowadziłem także zupełnie prywatny interes, przerabiając motorki elektryczne normalnie służące maszynom do szycia „Singer” na szlifierki dentystyczne. Był to interes bardzo dochodowy, pozwalający mi żyć na „wykwintnym” jak na studenckie warunki poziomie. Do dystrybucji szlifierek zatrudniłem, na prowizji, kilku kolegów akwizytorów, którzy jeździli nocnymi pociągami do odległych powiatowych protezowni dentystycznych, reklamując i sprzedając moje szlifierki.

Och, życie moje było wtedy bardzo ciekawe! Zresztą jest i nadal. Czasami, owszem, balansowałem na krawędzi tragedii, ale nawet negatywne wydarzenia udawało mi się „obrócić” tak, by przyczyniły się w konsekwencji do poprawy mojego losu. Jak kot zawsze spadałem na cztery łapy. W sumie nie mogłem i nie mogę nadal narzekać. Życie potraktowało mnie chyba ulgowo, a nawet dość przyjaźnie, gdyż ostatecznie nie zawisnąłem na stryczku, jak prorokował mi to w częstochowskim Gimnazjum im. Romualda Traugutta profesor Bernatek. A nawet spełniły się moje młodzieńcze marzenia poprzez wybudowanie własnej, dobrze prosperującej firmy produkującej elektroniczną aparaturę naukową.

Rok 1953 — Janek doświadcza objawienia na ulicy Świdnickiej

Historia dokumentuje różne objawienia. Jedno z bardziej znanych zdarzyło się Mojżeszowi na Górze Synaj, drugie memu imiennikowi, Janowi Ewangelście, i dotyczyło Apokalipsy, jeszcze inne Archimedesowi z Syrakuz i miało miejsce podczas kąpieli w wannie, a nawiązywało do zasad hydrostatyki. Moje objawienie miało miejsce we Wrocławiu i dotyczyło finansów.

Była zima, przełom lat 1952-53. Gazety rozpisywały się szeroko o zamachu moskiewskich lekarzy na życie Wodza Narodów — Stalina oraz o jego genialnym dialogu z niejakim Mikołajem Marrem. Rozmowa traktowała o początkach ludzkiego języka. Mikołaj Marr miał szczęście umrzeć przed trzynastu laty, więc jego lingwistyczne różnice ze Stalinem nie mogły mu już więcej szkodzić. Mnie jednak absorbowowała myśl, czy będzie mnie stać na tak zwane drugie danie w stołówce studenckiej, prowadzonej przy ulicy Szewskiej przez stowarzyszenie „Caritas”. Jak wiadomo ówczesnym bywalcom tej stołówki pierwsze danie, czyli zupa i chleb były darmowe i nie wymagały kuponów. Kupony były natomiast potrzebne do drugiego dania, zwykle zawierającego trochę mięsa, tak zwaną „wkładkę”. Za kupony trzeba było płacić.

Byłem już studentem pierwszego roku Politechniki Wrocławskiej, gdzie dostałem się z pomocą mej ciotki, Otylii Woyczyńskiej, która zauważyła u mnie przebłysk, a może nawet płomyk zdolności intelektualnych, zbagatelizowanych przez mych częstochowskich nauczycieli. Ciotka Otylia w czasie uprzednich wakacji podciągnęła mnie na tyle w mej wiedzy matematycznej, że zdałem egzamin wstępny bez protekcji. Prawdę mówiąc, ciotka moja nie ufała ruletce egzaminu wstępnego na Wydział Łączności, gdzie na jedno miejsce kandydowało czterech chętnych i obstawiła wszystkie możliwe szanse, zarówno czerwone, jak i czarne. Było to możliwe, ponieważ egzaminatorami byli

jej uczniowie, których „obowiązkiem było spieszenie mi z pomocą” na wypadek, gdybym egzamin spartolił. Na szczęście zapobiegliwość ciotki nie była potrzebna, bo egzamin zdałem bez uciekania się do „kumoterskich” koligacji. Ale do rzeczy.

Idę więc sobie zimą ową wspomnianą ulicą Świdnicką, a w moich butach o dziurawej podeszwie chlupie woda. Godzina dnia jest mi nieznana, gdyż posiadanie zegarka było wtedy dla mnie luksusem. A luksus miał dopiero nadejść, po moim finansowym objawieniu. Ząb mnie boli, ale do dentysty nie pójdę, gdyż jestem przekonany, że niedługo umrę, gdyż coś mnie boli w prawym płucu, gdzie na „rentgenie” widać zwapnioną plamę. To pamiątka po głodnym dzieciństwie i zarażeniu się gruźlicą od naszej służącej, repatriantki ze Wschodu, która umarła w czasie wojny na galopujące suchoty. Będąc przekonany o niedalekiej śmierci jeszcze w „kwiecie wieku”, nie zamierzałem tracić pozostałego mi czasu na wizyty u dentysty. Wiem, że śmierć jednym machnięciem kosi uśmierzy me wszystkie bóle, choć może próchnicy nie wyleczy. Jak powszechnie wiadomo w trumnie uzębienie, nawet zdrowe, jest mało przydatne. Z trumny nie sposób się i tak wygrzyźć.

Po wdepnięciu do Delikatesów mieszczących się na parterze Państwowego Domu Towarowego (PDT), i zaciągnięciu się wonią kabanosów, o których nabyciu mogłem jedynie marzyć, zmierzam leniwym krokiem w kierunku ulicy Świerczewskiego (dzisiaj Marszałka Piłsudskiego). Po dotarciu na róg placu Kościuszki bezwiednie skręcam na prawo i przez wielkie okno mieszczącej się tam kawiarni „Stylowa”, zauważam, prawie pod moim nosem, wytworne — jak mi się wydawało — towarzystwo mieszające srebrnymi (tak na oko) łyżeczkami parzoną „po turecku” czarną kawę. Co więcej, na ich talerzykach widać smakowite (też na oko) torciki i rurki z kremem. Elegancy panowie i panie są w trakcie intelektualnych dyskursów, żywo gestykulują rękoma, na nadgarstkach których widnieją zagraniczne zegarki marki „Doxa”. Przemknęło mi przez myśl pytanie, po co tym burżujom zegarki, kiedy podobno szczęśliwi (i bogaci) czasu

nie liczą. Czarę mej proletariackiej goryczy dopełnił widok trzech wytwornych limuzyn radzieckiej marki „Pobieda”, zaparkowanych dość niedbale przed kawiarnią. Znając ze słuchu astronomiczną cenę tych pojazdów, policzyłem w myśli, że moja rodzina musiałaby nie jeść przez lat pięć, aby zaoszczędzić na kupno takiego, nawet używanego, samochodu.

Nagle umysł mój się rozjaśnił, a nawet zagorzał światłem wiadomości złego i dobrego. Mój gnuśny dotychczas mózg pojął bowiem, że pieniądze i „bogactwo” istnieją! Nawet tutaj, w naszym siermiężnym PRL-u! Ci ludzie za taflą szyby kawiarni „Stylowa” są tego najlepszym dowodem! Oni mają pieniądze. Na pewno nie pracowali na poczcie, jak mój ojciec, i „swojego świata” nie kupili za głodowe pensje. Jeśli więc realne pieniądze istnieją, to pozostaje tylko znaleźć do nich drogę! W tym momencie sam byłem zdumiony faktem, że nie czułem zazdrości. Naprawdę! Byłem im nawet wdzięczny za to, że są! Że są bogaci i że istnieją. To znaczy, że ja też mogę. Też mogę być bogaty! Oni byli dla mnie jakby drogowskazem. Cała reszta to pestka. A reszta to „tylko” czas i wysiłek.

To „moje” objawienie, objawienie możliwości dostąpienia bogactwa było tak silne, że na jakiś czas nawet odwróciło mą uwagę od czyhającej przecież na mnie za węglem gruźliczej śmierci. Nieco później, już po finansowym „objawieniu”, kiedy zacząłem zarabiać własne pieniądze, plama na moim płucu zaczęła się zmniejszać, leczona dietą złożoną z kabanosów i suchej kiełbasy myśliwskiej. Zdjęcia rentgenowskie mych płuc, robione w następnych latach, teorię tę potwierdziły.

W kilka tygodni po tym cudownym objawieniu w dolinie rzek Odry i Oławki moje osobiste objawienie zaczęło stawać się rzeczywistością. Od czego się zaczęło? Od Opery Wrocławskiej usytuowanej w odległości zaledwie dwustu metrów od kawiarni „Stylowa”. Tam właśnie, z kilkoma kolegami, dostałem pierwsze zatrudnienie jako statysta. Bez mego udziału sukcesy baletu osnutego na tle chińskiej rewolucji, a zatytułowanego „Czerwony Mak” i baletu „Fontanna Bachczysaraju” byłyby pod znakiem

zapytania. Na pewno! Za pierwsze pieniądze zarobione w roli „aktora” kupiłem sobie... zegarek. Nowe buty musiały jeszcze poczekać do następnego roku. Na razie podzelowałem stare.

Muszę wspomnieć, że najbardziej chwaliłem sobie balet „Czerwony Mak”, gdzie grałem rolę burzuję, ubranego w czarny smoking, siedzącego w kawiarni w Szanghaju, popijającego szampana, w czasie kiedy za oknem policja — na zlecenie kapitalistów — biła nahajami robotników. Nie przypuszczałem wtedy, że pięćdziesiąt lat później taką rolę, aczkolwiek bez smokingu, nahajki i policji, będę odgrywał w swym życiu codziennym. Chociaż nigdy nikomu nie zazdrościłem sukcesu czy bogactwa, muszę przyznać, że jednym z elementów napędowych mej działalności były przykre wspomnienia o biedzie i upokorzeniach przeżywanych przez mych rodziców przyjmujących od stryja weterynarza z Radomska zawiniętą w gazetę świńską wątrobę, a od drugiego stryja, z Kłomnic, zdechłą na „pomór”, oblepioną gliną (dla konserwacji) kurę. Z perspektywy siedemdziesięciu lat widzę siebie, że byłem dzieckiem cokolwiek krnąbrnym, ale i dumnym, co mi chyba na resztę życia zostało. Późniejsze własne doświadczenia dodały się do wspomnień z biednego dzieciństwa i ugruntowały mój charakter do końca.

Upokorzenia

Dziesięć lat później, już jako inżynier, ciągle jeszcze biedny, bez własnego samochodu, ale już nie głodny, znalazłem się w Uppsali w Szwecji. Pewnej nocy, zimową porą, człapiąc po mokrym śniegu, wracałem z Instytutu Fizyki do oddalonego o kilka kilometrów, wynajętego w mieście pokoju. Spostrzegłem nagle, że wielki czarny mercedes z atrakcyjną blondynką za kierownicą zwalnia biegu i staje przy mnie, wzdłuż krawężnika. Blondynka opuszcza okno samochodu i pyta mnie o drogę. Wydało mi się wtedy, że nie droga ją interesowała, co raczej ciekawa była, kto to w taką psią pogodę przemierza na piechotę puste ulice.

Może wzięła ją litość nad zmarzniętym biedakiem, a może chciała mnie podwieźć? Zagadnięty, odpowiedziałem po angielsku, ale z wyraźnie polskim akcentem, którego nawet dzisiaj, po czterdziestu latach spędzonych w Ameryce, nie pozbyłem się. Atrakcyjna dziewczyna bez słowa zamknęła okno i z piskiem opon odjechała. Pozostał mi niesmak upokorzenia. Tak, upokorzenia, podobnego chyba do odczucia żydowskiego arendarza, któremu zapożyczony u niego hrabia bankrut kazał wchodzić do pałacu kuchennymi schodami. Wydawało mi się, że bogata Szwedka oceniła moją osobę jako niegodną jej towarzystwa. Być może prawda była całkiem inna, a moja ocena sytuacji były jedynie wynikiem kompleksów biedaka? Niemniej takie właśnie kompleksy przełożyły się w mym życiu — na szczęście — na czyny. To wtedy powiedziałem sobie: „Nigdy więcej biedy!”

Nieco później moje życie towarzyskie w Uppsali zaczęło obfitować w różne atrakcje. Bywałem na częstych potańcówkach organizowanych przez kluby studenckie, zwane tam „nacjami” (korporacjami). Potańcówki były dobrą gimnastyką, ale nie dla gimnastyki tam chodziłem. Liczyłem na to, że moje talenty baletowe (w boogie-woogie) przełożą się na seksualne uniesienia. Niestety, w większości przypadków do domu akademickiego w dzielnicy Eriksberg wracałem sam.

Kiedyś jednak, na jednej z takich potańcówek, zainteresowała się moją osobą urodziwa dziewczyna, Szwedka, która nie mówiła po angielsku. Ponieważ moja znajomość języka szwedzkiego była znikoma, komunikacja między nami była więc... raczej cielesna. Tak ją nazwijmy. Na szczęście koleżanka dziewczyny tańczyła ze Szwedem, który mówił dość dobrze po angielsku i posłużył nam za tłumacza. Kiedy o godzinie drugiej w nocy tańce się skończyły, panie zaproponowały, abyśmy spędzili resztę nocy w ich pobliskim mieszkaniu. Po dotarciu na miejsce spodziewanej wymiany usług erotycznych zauważyłem, że mój tłumacz szeptem konferuje z moją partnerką do tańca. Wydawało mi się, że moja prezencja i poczucie rytmu winny być dla niej oczywiste. Cóż więcej ją mogło obchodzić? Że klepałem

biedę? To akurat nie powinno być dla nikogo tajemnicą, bo przecież przybyłem z za „żelaznej kurtyny”, nie pracowałem, byłem studentem, więc nie śmierziałem ani polskim groszem, ani szwedzkim öre. Szwedzki tłumacz wyjawiał mi jednak, że moja „bogdanka” interesowała się także moim poziomem inteligencji. Ponieważ sama ocenić go nie mogła, gdyż bariera językowa uniemożliwiała jej wystawienie bezpośredniej noty za me intelektualne kwalifikacje, dlatego — dla pewności z kim ma do czynienia i przed rzuceniem się w szal erotycznych uniesień — chciała zasięgnąć opinii osoby postronnej, czyli mówiącego po angielsku Szweda.

Wiadomość ta sprawiła, że nagle moje erotyczne uniesienie szczezło, a uciekając się do botanicznej analogii, skurczyło się od wymiarów dorodnego ogórka do pojedynczego źdźbła szczypioru. Ratując się od zupełnej kompromitacji, umknąłem... na klatkę schodową i dalej już piechotą do domu, zostawiając mego tłumacza w towarzystwie dwóch zdezorientowanych sytuacji pańienek. Tego, czy mój translator „intelektualnie” stanął na wysokości zadania, czy też nie, nigdy się nie dowiedziałam, gdyż ani jego, ani żadnej z tych kobiet nigdy już więcej nie spotkałem. Niemniej po tym zdarzeniu pozostał mi znowu niesmak i upokorzenie, które to uczucia w pewnej mierze stały się siłą napędową dążenia do poprawy własnej pozycji u płci pięknej. Czyli, nigdy nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło (to wersja dla optymistów), albo — nigdy nie jest tak źle, aby nie mogło być gorzej (to wersja dla pesymistów).

W Ameryce, wiele lat później, w różnych sytuacjach naga-bywały mnie już nie pańienki, ale doświadczone życiowo panie. Nigdy jednak mój poziom intelektualny ich nie interesował! Ciekawe. Pewnie działało się to w myśl amerykańskiej zasady: „Czas to pieniądz”. Pytały tylko: „Czy jesteś rozwiedziony i jak wysokie płacisz alimenty?” W takich wypadkach zwykle odgrywałem rolę porzuconego przez ambitną kobietę męża, kobietę poświęcającą się całkowicie swej karierze w jakimś wielkim banku inwestycyjnym. Utrzymywałem, że moja była żona była kobietą,

której ambicji o wielkiej karierze nie zdołałem dorównać. Co do alimentów to, owszem, alimenty dostaję, gdyż dochody mej byłej żony dziesięciokrotnie przekraczają moje. Niestety, albo na szczęście, moje interlokutorki nagle traciły zainteresowanie mą szarą, pozbawioną ambicji osobą i dzięki temu, w miarę upływu czasu, zostałem człowiekiem zamożnym, a nawet bogatym. Co więcej, rozwody ani krach na giełdzie nie uszczupliły mojej, jak to mówią prawnicy, „masy spadkowej”. Ciekawym zbiegiem okoliczności aktywa me trzymam na kontach w tym samym banku, którym — podobno — zarządzała kiedyś moja ambitna, wymyślona, była żona.

Janek amerykańskim sabotażystą

Był to rok Pański 1954. Politechnika Wrocławska została wyznaczona przez kogoś tam w Warszawie, albo w Moskwie, na ośrodek kształcenia saperów. Fakt, że my, z Wydziału Łączności, z racji swego przyszłego zawodu nadawaliśmy się bardziej do łączności niż do saperów, nie był brany w ogóle pod uwagę. Widocznie logika nie była i nie jest przywilejem władz wojskowych. Chcąc nie chcąc, jako student Politechniki Wrocławskiej, zostałem więc saperem. Po drugim roku studiów nasze „teoretyczne” przygotowanie saperskie wyniesione ze Studium Wojskowego mieliśmy potwierdzić na poligonie jednostki saperskiej nad Wisłą, pod Włocławkiem, gdzie podczas wakacji nasza kompania studencka została zakwaterowana. Jedzenie składało się z codziennej grochówki z wkładką słoniny; dla zapewnienia nam odpowiedniej ilości kalorii. Kalorie były nieodzowne saperowi, jako że saper miał za zadanie nosić niezwykle ciężkie belki stalowe — część składową członów mostu pontonowego. Belki te o wadze kilkuset kilogramów były zwykle składane w odległości około trzydziestu metrów od brzegu rzeki i naszym zadaniem było grupami, po pięciu, przeniesić je truchcikiem na skraj rzeki, czyli tam, gdzie odbywało się składanie członów mostu

pontonowego. Ja, który nigdy pracą fizyczną się nie parałem, miałem szczególne trudności z dotrzymaniem tempa. Potkniecie kogoś z pięciu tragarzy niosących belkę, mogło skończyć się jej upuszczeniem i amputacją stóp... u całej piątki.

Zawiadujący nami podoficer narzucał szybkie tempo ukończenia członu mostowego. Początkowo miało się to odbywać w trzydzieści minut. Po skończeniu budowy członu dostaliśmy pochwałę i podoficer „zasugerował” pobicie własnego wyniku.

— Saperzy, teraz zrobimy ten człon w dwadzieścia minut!
— rozkazał.

Rozległy się słabe protesty i tłumaczenia, że jesteśmy zmęczeni. Większość jednak podjęła wezwanie. Po udanej budowie członu w dwadzieścia minut podoficer obiecał, że jeśli znów pobijemy własny rekord i skończymy człon w siedemnaście minut, to będziemy mogli resztę dnia odpoczywać, czyli byczyc się w trawie. Wtedy zorientowałem się, że dajemy się nabijać w butelkę. Przecież po osiągnięciu następnego rekordu budowlanego, będą następne, coraz bardziej wygórowane żądania! Zacząłem po cichutku agitować kolegów, aby się nie spieszyli, gdyż wolnego czasu i tak nigdy nie otrzymamy. Miałem rację.

Kiedy wieczorem wróciliśmy do koszar, a właściwie namiotów, zostałem wezwany do oficera politycznego pułku, który odbył ze mną pamiętną rozmowę. Oficer, jak sobie przypominam, był urodziwym człowiekiem z czupryną podobną do mojej i nie wyglądał na proletariusza.

— No cóż, z jakiej wy jesteście rodziny, Czekański? — zapytał porucznik polityczno-oświatowy.

— Ojciec jest technikiem od telefonów, a matka księgową w radzie powiatowej — odparłem.

— No widzicie. Rodzice prawie że proletariaci, a wy co? Wy jesteście imperialistyczny, amerykański pacholek. Obronność naszego kraju podważacie, agitując do sabotowania leninstwem polskiej armii! Po skończeniu ćwiczeń napiszemy do waszego POP-u (Podstawowa Organizacja Partyjna) i ZMP (Związek

Młodzieży Polskiej), że nie zasługujecie na to, by być studentem, na którego szkolenie łoży lud pracujący miast i wsi.

Przeżaszony, zacząłem się tłumaczyć, iż nie myślałem, że jestem pacholek. Udowadniałem, że bardzo kocham Wojsko Polskie, będące w wiecznej przyjaźni z Armią Radziecką, i że za wszystko przepraszam.

— Odmaszerować! — zarządził porucznik.

Po powrocie do namiotu strach mój się spotęgował, jako że zdałem sobie sprawę, iż któryś z kolegów musiał na mnie donieść do oficera politycznego. Nikt inny oprócz nich nie słyszał tego, co mówiłem. Groźba wysłania listu do partii i ZMP była realna i mogło się to wszystko skończyć wylaniem mnie ze studiów. Postanowiłem podjąć środki zaradcze. Udałem się więc do naszego kolegi, przewodniczącego komórki partyjnej, Edka Szopińskiego, i poprosiłem o „audiencję” w sprawie mego niestosownego zachowania. Edka, niektórzy koledzy nazywali „Pawka” albo „Majakowski”, a to z powodu jego zachowania przypominającego radzieckiego bohatera Komsomołu, Pawki Korczagina. Pawka Korczagin został wymyślony przez sowieckiego pisarza, Mikołaja Ostrowskiego, w obowiązkowej lekturze pod tytułem „Jak hartowała się stal”. W książce tej Pawka zginął jak bohater, walcząc za komunizm z „niesłusznymi” Polakami i Ukraińcami. Szopiński swoją rolę „komunisty walczącego” brał bardzo na serio, co jednak nie przysparzało mu przyjaźni ani po stronie tych kolegów, którzy wrócili z zesłania na Syberię, ani po stronie partyjnych mocodawców. Nigdy nie zabłysnął talentem politycznym, pozwalającym zrozumieć szybkie zmiany wiatrów i prądów sowieckiego socjalizmu. Biedny Edek nie wiedział wtedy, że Stalin wymordował wszystkich podobnych jemu komunistów jako jednostki zagrażające swym entuzjazmem władzy radzieckiej.

Przewodniczący przyjął mnie ze zrozumieniem i odbyliśmy wtedy dwugodzinną, „serdeczną” rozmowę na temat moich błędów ideologicznych, chodząc do znudzenia wokół bieżni boiska futbolowego. Była to spowiedź błędzącego, naiwnego

socjalisty i oddanie przyszłości w ręce światłego, dojrzałego komunisty. Moje „mea culpa” Szopiński przyjął ze zrozumieniem i udzielił mi rozgrzeszenia. Kamień spadł mi z serca, ale nie byłem pewny, czy Wiodąca Partia będzie przekonana o szczerości nagłej i diametralnej zmiany mego politycznego nastawienia. Obok kłopotów natury ideologicznej po dwóch tygodniach zacząłem mieć całkiem inne zmartwienia.

Monotonna dieta składająca się z wszechobecnej grochówki ze słoniną doprowadziła do powstania czyraka na... dupie. Na szczęście tylko tam. U większości kolegów czyraki ropne pojawiły się na plecach i kończynach. Powodem była awitaminoza, bo poza grochówką z wkładką żadnych jarzyn bogatych w witaminy nam nie podawano. Okryci wrzodami saperzy leżeli w namiocie sanitarnym w piżamach przesiąkniętych ropą. Tak myślę, że te wrzody bardziej szkodziły wartościom obronnym Wojska Polskiego niż moja „dywersyjna” działalność. Do dzisiaj nie wiem, czy lekarz pułkowy zdawał sobie sprawę, co było powodem tej wrzodowej epidemii.

Po miesiącu mordęgi zwolniono nas do domu i kiedy zacząłem jeść jabłka oraz surową marchew mój czyrak na tyłku „cofnął się”. Dodatkowo, jak zapodał ostatnio (kilka tygodni temu) kolega, Zbigniew Mierzejewski, w czasie naszego ówczesnego pobytu we Włocławku, w roku 1954, Polska doświadczyła zaćmienia słońca. Wedle kolegi (ja tego akurat nie pamiętam) zarządzono wtedy zbiórkę saperów na dworcu kolejowym i ustawiono nas tyłem do słońca abyśmy nie dostali... porażenia słonecznego. Widocznie zaćmienie pomyliło się dowódcem z nagłym wzrostem intensywności słońca. Ten fakt, jak i późniejsze cudowne wycofanie się mego czyraka niezbitcie świadczyło, że jestem pod szczególną opieką Istoty Wyższej albo przynajmniej jej delegata, Anioła Stróża. Niestety już od lat, mimo wielokrotnych apelacji do donośnych władz nie otrzymywałem oficjalnego pisma o mej beatyfikacji. Jak zwykle w skorumpowanym systemie beatyfikacyjnym pierwszeństwo mają zawsze ci z „plecami”, na przykład zamiast mnie świętym został Stasiak

Kostka. Jak wynika z życiorysu świętego Stanisława Kostki, dostępnego w Internecie (więc można wierzyć lub nie), jednym z czynników kwalifikujących go na beatyfikację była jego awersja do brzydkich i wulgarnych słów. Przypuszczam, że bardzo pomocną okolicznością w tym wyświęceniu, był fakt, że jego ojciec, kasztelan zakroczymski, będąc posłem króla polskiego, „załatwił” beatyfikację syna u samego papieża. To taka mała dygresja.

Z początkiem roku akademickiego czekałem ze strachem na reakcję politycznych władz politechniki na „wilczy list”, jaki oficer z Włocławka miał wysłać w sprawie „mojego sabotażu” i działalności jako agenta amerykańskiego imperializmu. Jednak, albo oficer polityczny nie wysłał żadnego listu (co było najbardziej prawdopodobne), albo „Pawka” — Edek Szopiński — dotrzymał słowa, bo nie spotkałem się z żadnymi przykrościami. Wkrótce zacząłem się bez jakichkolwiek przeszkód piąć po szczeblach kariery organizacyjnej — rekomendowany przez mego przyjaciela, Karola Pelca — w Studenckim Towarzystwie Naukowym (STN). Z czasem zostałem nawet prezesem tej organizacji na Wydziale Łączności. Karol Pelc działał wtedy na szczeblu uczelnianym i u niego zawsze miałem tak zwane „plecy”.

Wspomnienie o profesorze Stefanie Bincerze

We wrześniu 2010 roku, dokładnie dwudziestego ósmego, minie pięćdziesiąta rocznica śmierci profesora Stefana Bincera. Chorego profesora odwiedziłem w szpitalu, chcąc się z nim pożegnać, gdyż wyjeżdżałem z krótką (tak mi się wtedy wydawało) wizytą do Finlandii. Przypadkowo odsłonięcia pomnika poświęconego jego pamięci, we wrześniu 2008 roku, zbiegło się, może nawet co do dnia, kiedy to czterdzieści osiem lat wcześniej żegnałem leżącego w szpitalu profesora. O jego śmierci dowiedziałem się zatem na obczyźnie, podczas rozmowy telefonicznej z Karolem Pelcem, już kilka dni później. Odejście profesora dotknęło mnie boleśnie, jako że w tym momencie straciłem nieocenionego

mentora i opiekuna. Był jedynym człowiekiem na Politechnice Wrocławskiej, który wierzył w moje umiejętności inżyniera i „kielekującego” biznesmena. To właśnie on oferował mi pierwszą pracę. Jego śmierć zdecydowała w dużej mierze o mojej późniejszej emigracji. Bincer zmarł w wieku zaledwie sześćdziesięciu trzech lat. W swym życiu doświadczył, w czasie drugiej wojny światowej, wielu tragicznych przeżyć wspólnych tysiącom Żydów i Polaków pochodzenia żydowskiego. Wywodził się z zasymilowanej rodziny żydowskiej, aczkolwiek o tym nigdy nie wspominał. Wedle relacji jego asystenta i przyjaciela, magistra inżyniera Eugeniusza Hajka, do swych ostatnich dni Stefan Bincer uczęszczał do kościoła katolickiego i jako katolik został pochowany.

Z jego życiorysu znajdującego się w archiwum Politechniki Wrocławskiej wynika, że w czasie pierwszej wojny światowej służył w armii austriackiej. W latach 1919-1926 studiował na Politechnice Warszawskiej, którą ukończył z dyplomem inżyniera elektryka. Po studiach pracował we Lwowie, w zakładach Tele-Radio i Pan-Radio, produkujących odbiorniki radiowe. Podobno był współwłaścicielem zakładów, a na pewno głównym konstruktorem. Kiedy Niemcy zajęli Lwów, w roku 1942, Bincer, u którego doszukano się żydowskiego pochodzenia, został aresztowany przez Gestapo i wraz z żoną, Franciszką, z domu Kielecką, oraz synem skazany na śmierć i zesłany do Auschwitz. W 1943 roku jego pierwsza żona i dziecko zostali zamordowani. Podobno przyszły wykładowca Politechniki Wrocławskiej, którego zmuszono do pracy w obozowym krematorium, własnoręcznie spalił zwłoki swej żony i syna. Nie wiadomo jednak, czy miał tego świadomość. Bincerowi udało się uciec z obozu śmierci. Ukrywał się we Lwowie aż do czasu odwrotu Niemców i przybycia Armii Radzieckiej.

Po wojnie Stefan Bincer przeniósł się ze Lwowa do Wrocławia, gdzie pracował w Polskim Radiu i zajmował się radiofonizacją kraju. W roku 1953 został mianowany przez profesora Dionizego Smoleńskiego, ówczesnego rektora, kierownikiem Katedry Urządzeń Radiofonicznych, którą to funkcję pełnił aż do śmierci

ci. Dla mieszkańców Wrocławia profesor Bincer stał się ważną postacią, bowiem wniósł niemały wkład w budowę wrocławskiej stacji telewizyjnej. Wedle inżyniera Ryskiego, współuczestnika Komitetu Budowy Wrocławskiej Stacji Telewizyjnej, Bincer zasugerował lokalizację anteny stacji telewizyjnej na górze Sobótce zamiast uprzedniej, w okolicy Wałbrzycha. Jego wybór okazał się na tyle trafny, że antena telewizji wrocławskiej stoi tam do dzisiaj, efektywnie pokrywając swym zasięgiem cały Wrocław i okolice.

Kiedy w roku 1954, jako jeszcze student, szukałem możliwości odbycia praktyki w dziedzinie moich elektronicznych zainteresowań i zapukałem wraz z Karolem Pelcem do drzwi gabinetu profesora, nie wiedziałem, że ten człowiek wycisnie znaczące piętno na reszcie mojego życia. Dowodem tego wpływu były nieopuszczające mnie myśli, by stale, nawet w wiele lat po jego śmierci, dziękować mu za wszystko, a w chwilach sukcesu dzielić się z nim mą radością. Osobiście nie sądzę, aby Stefan Bincer kiedykolwiek zdawał sobie sprawę ze swego wpływu na moje życie. Przypuszczam, że poza mną, profesor w czasie swej akademickiej kariery wpływał na losy wielu swych studentów. Ilekroć odwiedzam Wrocław, odruchowo zmierzam do budynku politechniki przy ulicy Prusa 53/55, gdzie kiedyś na drugim piętrze mieścił się gabinet mojego mistrza i gdzie w sąsiednim laboratorium zbudowałem swe pierwsze przyrządy pomiarowe.

Profesor Bincer umiejętnie rozpoznawał talenty i potrzeby rynku. Dzięki temu wciągnął do współpracy w swojej katedrze naszego starszego kolegę, magistra inżyniera Andrzeja Drozda, wybitnego elektronika, który jeszcze jako student, amatorsko zbudował przekaźnik telewizyjny na górze Śnieżce, retransmitujący do Wrocławia program telewizji czeskiej. Należy dodać, że w owym czasie we Wrocławiu nie istniała stacja telewizyjna.

Andrzej Drozd, pracując w tak zwanym przykatedralnym zakładzie pomocniczym, zaczął budować profesjonalne przemienneiki telewizyjne na potrzeby miast i miasteczek leżących poza zasięgiem wielkich stacji telewizyjnych. Wiele polskich miast skorzystało z naszych konstrukcji. Prowadzona przez nas



Asystenci profesora Bincera. Od lewej: Eugeniusz Hajek, ja, Józef Smulkowski, Andrzej Drozd (rok 1976)

działalność była na poły prywatna, jakby nieco poza domeną gospodarki socjalistycznej. Patrząc z perspektywy amerykańskiej, mogę ocenić, że zduszenie tego rodzaju działalności na polskich uczelniach w następnych latach — już po śmierci profesora Bincera — przyniosło gospodarce polskiej niepowetowane straty. Wedle słów mojego kolegi, Eugeniusza Hajka, który po śmierci swego szefa kierował produkcją przemienników telewizyjnych w Zakładzie Aparatury Radiowo-Telewizyjnej (ZARAT), w sumie w tym okresie wyprodukowano czterysta pięćdziesiąt przemienników.

Pomnik dla profesora Stefana Bincera

Uprzednie moje próby uhonorowania — w postaci ufundowanej tablicy pamiątkowej na froncie gmachu politechniki — profesorów będących założycielami Wydziału Łączności, a wśród nich także Stefana Bincera, spotkały się z niezrozumiałym sprzeciwem rektoratu politechniki. Moja amerykańska małżonka, Laura Damas-Czekajewska, zasugerowała, aby uczcić pamięć mego mentora obeliskiem na cmentarzu, gdzie został pochowany. Miało to o tyle sens, że jego oryginalny grób został po dwudziestu latach „zniwelowany” z powodu zaległych opłat cmentarnych.



Obelisk upamiętniający profesora Stefana Bincera na Cmentarzu Św. Wawrzyńca przy ulicy Bujwida we Wrocławiu

Dnia dziewiętnastego września 2008 roku moja żona, Laura, uczestniczyła w odsłonięciu pomnika na Cmentarzu Św. Wawrzyńca we Wrocławiu. Realizacja tego projektu nie byłaby możliwa bez współpracy „Komitetu Organizacyjnego”, w skład którego weszli: Eugeniusz Hajek (wynegocjował z administratorem cmentarza poczesne miejsce dla tego monumentu) i Ryszard Zmonarski, którego zasługą było znalezienie wykonawcy pomnika, architekta, Bogdana Skibę z Dzierżoniowa.

Kryzys śrubki o wymiarze M3

Od pierwszych dni mej emigracji spotykałem się z pytaniem, a nawet sam sobie takie pytanie zadawałem, co mnie do niej skłoniło? Przecież nie prześladowano mnie, nie byłem głodny i nie walczyłem aktywnie z komunizmem. Więc co? To, że chciałem po prostu: **b u d o w a ć , w y n a j d o w a ć , k o n s t r u o w a ć !** A tego właśnie w zbiurokratyzowanym systemie PRL-u nie mogłem wykonywać! Czułem się zacadzony powszechną atmosferą „tumiwisizmu”, czyli marazmu, braku perspektyw i promocji miernoty. Teraz, z perspektywy czasu, widzę, że był to proces stopniowego zrozumienia istoty systemu polityczno-ekonomicznego PRL-u, który bynajmniej nie zmierzał ku poprawie, ale raczej pogrążał się w bagnie. Spostrzegłem, będąc jeszcze bardzo młodym, że jeśli się z niego nie wyrwę, życie mi upłynie na walce z wiatrakami biurokracji komunistycznej, a z moim buńczuczным nastawieniem mogę skończyć jedynie w więzieniu. Moje ambicje zawodowe inżyniera elektronika odegrały w decyzji o emigracji poczesną rolę.

Papierkiem lakmusowym zidiocenia polskiego systemu ekonomicznego był dla mnie brak na polskim rynku... śrubek o wymiarze M3. Nazwa „M3” wynikała z polskich norm technicznych, w których „M” oznaczało wymiar metryczny gwintu, a cyfra „3” odnosiła się do średnicy śrubki, podanej w milimetrach. Były to małe śrubki (wkrety) do metalu, używane

powszechnie w ówczesnej, ale również i dzisiejszej elektronice, do przytwierdzania elementów elektronicznych do metalowego chassis. Jeśli poproszono by mnie dziś, abym określił w dwóch słowach powód zdrady mej socjalistycznej ojczyzny, to musiałbym powiedzieć:

— Śrubka M3!!!

Kiedy po pierwszym roku studiów na Wydziale Łączności Politechniki Wrocławskiej, latem roku 1953, skierowano mnie na praktykę wakacyjną do Zakładów Radiowych im. Kasprzaka w Warszawie, moim zadaniem przy obrabiarce, tak zwanej rewolwerówce, była produkcja śrubek M3. Już wtedy jako złotodziób mający lat osiemnaście, zastanawiałem się nad sensem produkcji małych, metalowych wkrętów przez zakład produkcji elektronicznej. Takie śrubki winny produkować, na dużą skalę, wyspecjalizowane fabryki śrubek, czyli wkrętów. Niestety, z jakichś powodów związanych z socjalistycznym planowaniem, o śrubkach M3 w planach pięcioletnich zapomniano, i jeśli ktoś ich potrzebował, to robił je we własnym zakresie. Mówiło się, że produkcja takich małych śrubek się nie opłacała, gdyż ich wykonanie było pracochłonne, a fabryki metalowe rozliczano w planach produkcyjnych nie z ilości sztuk, ale z kilogramów produktu. Dziwne? Zapewne. Ale tak to właśnie było w okresie budowy „zrębów socjalizmu”.

Skończyłem pięcioletnie studia na politechnice we Wrocławiu. Trzy lata przebywałem w Szwecji i kiedy wróciłem do Polski, ze zdumieniem spostrzegłem, że śrubki M3 były tutaj nadal poszukiwanym i trudno dostępnym produktem. Gdy na dodatek dwudziestego siódmego lutego 1967 roku Konsulat Polski w Sztokholmie odmówił mi wydania paszportu na cały świat z powodu — jak mi powiedziano telefonicznie — mego „obraźliwie krótkiego podania”, próg mej własnej tolerancji dla systemu socjalistycznego został przekroczony. Wspomniana wyżej śrubka M3 była przysłowiową kroplą przepełniającą kielich goryczy. Zdesperowany, rzuciłem się wtedy w objęcia „wrogiego” systemu kapitalistycznego. Okazało się, że psychicznie byłem dobrze

przygotowany do życia w nowej, kapitalistycznej sytuacji, aczkolwiek nie była to droga pozbawiona trudności i załamań. Kiedy w roku 1968 przyjechałem na zaproszenie uniwersytetu na Alasce do Ameryki, przez kolejne lata zachłystywałem się możliwościami, jakie ten kraj stawiał przede mną, młodym inżynierem, który palił się do realizacji swych pomysłów. Miarą tych możliwości i wolności był dla mnie szeroki dostęp do różnego rodzaju... śrubek, włączając w to śrubki M3, którymi zawsze z entuzjazmem skręcałem swe konstrukcje.

Wilgociomierze

W roku 1955, podczas trzeciego roku studiów na Politechnice Wrocławskiej, stało się dla mnie jasne, że brakuje mi praktycznego podejścia do wykładanej teorii. W tym czasie od strony finansowej też „przadłem marnie”, jak mawiał mój ojciec. Logika wskazywała, że muszę zdobyć praktykę w dziedzinie elektroniki. Dopiero ona będzie dla mnie stanowić właściwy pomost między wiedzą a czynem. Mój przyjaciel ze studiów, Karol Pelc, dzisiaj emerytowany profesor, zgadzał się ze mną w tej materii. Dyskutowaliśmy zatem wspólnie możliwość znalezienia odpowiedniej pracy.

Pewnego dnia zapukaliśmy do drzwi Katedry Urządzeń Radiofonicznych, którą kierował profesor Stefan Bincer. Wybór tych, a nie innych drzwi nie był przypadkowy. Miał związek z naszą praktyką wakacyjną, odbytą po drugim roku studiów na stacji wzmacniakowej radiofonii przewodowej Urzędu Telefonów w Gdańsku. Podczas tej praktyki złożyliśmy w dyrekcji urzędu projekt racjonalizatorski, dotyczący automatycznego alarmu, który włączałby się w wypadku zanikania sygnału fonicznego, na przykład z powodu przepalenia się lampy wzmacniacza. Po takim przedsięwzięciu czuliśmy się prawie ekspertami w dziedzinie radiofonii przewodowej.

Tu muszę wyjaśnić, na czym polegała tak zwana radiofonia przewodowa. Była to dziedzina radiofonii, która miała swoje

źródło i wzór w ówczesnym Związku Radzieckim. Celem rządu sowieckiego było zapewnienie każdemu członkowi kolchozu głośnika, do którego program z Moskwy był przesyłany przewodowo. W Polsce — z powodu oczywistej analogii — przyjęło się nazywać te głośniki „kolchoźnikami”. Aby ludziom sowieckim, a także Polakom nie męcić w głowie, nadawano tylko jeden program, niemniej słuchacz kolchoźnik miał pełną kontrolę nad tym, czy chciał słuchać, czy nie. Wystarczyło tylko włączyć lub wyłączyć głośnik, co na pewno było jednym z osiągnięć socjalizmu i dowodem na wolność wyboru... przynajmniej w dziedzinie mediów. W bardziej zaawansowanych modelach rolnik kolchoźnik miał dodatkowo możliwość regulacji siły głosu. Rząd radziecki bardzo sobie cenił taki system informacji, jako że słuchacze nie byli bez potrzeby niepokojeni hiobowymi wieściami z Londynu albo Nowego Jorku. Po ugruntowaniu się socjalizmu w Polsce, w 1945 roku, ten wytwór sowieckiej myśli został zainstalowany także i tym kraju. Nigdy jednak nie osiągnął „sowieckich rozmiarów”; owszem, jakiś czas służył komunie ku ogłupianiu społeczeństwa, do momentu aż został zastąpiony odbiornikami radiowymi. W tych z kolei, na rozkaz partii, wyeliminowano fabrycznie pewne górne pasma fal krótkich, na których nadawano wrogą propagandę z Wolnej Europy, Głosu Ameryki czy BBC z Londynu. Te pasma jednak trudno było całkowicie zagłuszyć.

W każdym razie po osiedleniu się we Wrocławiu, po 1946 roku, profesor Stefan Bincer szybko zrozumiał konieczność kształcenia nowych kadr inżynierskich dla potrzeb przesyłania wiadomości po drucie. Zapewne usilne jego dążenia do realizacji tych zamierzeń spowodowały, że w 1953 roku został kierownikiem Katedry Urządzeń Radiofonicznych na Politechnice Wrocławskiej. Profesor znał sowiecki system nieco lepiej niż inni, jako że kiedyś mieszkał we Lwowie i wnikliwie obserwował radziecką gospodarkę w latach okupacji Lwowa 1939-41. Wrogiem jego sukcesu w dziedzinie radiofonii przewodowej był, o ironio losu, postęp techniczny i polska produkcja prawdziwych

odbiorników radiowych. Kiedy pukałem wraz z Karolem do profesorskich drzwi, radiofonia przewodowa, niestety, wędła śmiercią naturalną. Pracownicy naukowcy na politechnice mogli jedynie dorobić nieco do głodowych pensji przez wykonywanie prac zleconych, napływających z przemysłu. Były to tak zwane konsultacje. W katedrze profesora Bincera przemysł radiofonii przewodowej związał swe druty (dosłownie). Nie było potrzeby prowadzenia konsultacji lub tworzenia nowych opracowań w tej dziedzinie. Stąd do zakładu pomocniczego profesora zajrzała mizéria finansowa.

Dzisiaj, z perspektywy czterdziestu lat, oglądając telewizję kablową i czekając na podłączenie mego komputera do światłowodu, widzę, że radiofonia przewodowa (a także telewizja) miała pewną szansę dla siebie, tylko na swoje nieszczęście urodziła się dużo za wcześnie, co profesor Bincer czuł, ale nic na to nie mógł poradzić.

Wracam jednak do dnia, w którym stanęliśmy przed drzwiami katedry profesora. Naukowiec przyjął nas ciepło i otwarcie powiedział, że on sam chciałby coś albo gdzieś „konsultować”, ale zamówienia z przemysłu jakoś nie pchają się do jego laboratorium. Tu muszę dodać, że profesor Bincer nie miał laboratorium, w którym można by budować coś praktycznego, miał natomiast strukturę prawną pod nazwą „zakład pomocniczy” przy Katedrze Urządzeń Radiofonicznych, który mógł przyjmować zlecenia do konsultacji i nowe opracowania dla przemysłu. W owym czasie gospodarka PRL-u była oparta na modelu wymyślonym przez dwóch partyjnych geniuszy przybyłych z Armią Czerwoną, profesora Hilarego Minca i wicepremiera, Adama Szyra. Obaj byli starymi komunistami żydowskiego pochodzenia, którym jakoś udało się uniknąć śmierci z rąk Stalina w okresie czystki w KPP (Komunistyczna Partia Polski). Ich zadaniem w Polsce było takie kontrolowanie działań, aby służyły one dobru ZSSR. Wedle tej zasady popartej drakońskimi karami na wypadek niesubordynacji przedsiębiorstwa państwowe mogły składać zamówienia wyłącznie w przedsiębiorstwach

państwowych, uniemożliwiając w ten sposób bardzo skutecznie przepływ pieniędzy z instytucji państwowych do rąk prywatnych. Zakłady pomocnicze politechniki, będące „przedsiębiorstwami państwowymi” stanowiły jednak ukrytą furtkę, przez którą osoba prywatna mogła oferować swe usługi przedsiębiorstwom państwowym. Co prawda politechnika pobierała przy tej okazji myto w postaci pięćdziesięcioprocentowego narzutu, ale nie było to zdzierstwem w porównaniu do narzutów obowiązujących na uniwersytetach amerykańskich. Profesor Bincer powiedział nam:

— Przynieście zamówienia, a ja „przepchnę” je przez mój zakład pomocniczy.

Jak się od tego zabrać, zupełnie nie wiedziałem; nie przeszkadzało mi to jednak puścić wodze wyobraźni. W tym czasie wpadła mi do ręki książka rosyjska (przekład z angielskiego), będąca przedrukiem co ciekawszych rozwiązań elektronicznych przyrządów pomiarowych, opublikowanych w amerykańskim czasopiśmie „Electronics”. Redaktorami tej książki byli dwaj Amerykanie: Marcus i Zeiloff. Wśród setki różnych urządzeń był tam opisany przyrząd do pomiaru wilgotności papieru. Ciekawe, że kilka lat później, w następnym wydaniu tej samej książki, znalazły się opisy przyrządów mojej własnej konstrukcji, powstałych w czasie mej pracy na uniwersytecie w Uppsali. Po zapoznaniu się z technicznym rozwiązaniem wilgociomierza do papieru doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie będę mógł taki przyrząd zbudować. Uznałem, dość naiwnie albo bezczelnie, że mogę się czuć ekspertem w dziedzinie wilgociomierzy do papieru i pozostaje tylko „fraszka”, czyli znalezienie chętnego klienta z forszą.

Mój ojciec w czasie drugiej wojny światowej pracował jakiś czas w papierni w Częstochowie. Ta właśnie papiernia stała się pierwszym obiektem moich podróży jako handlowca. Udałem się do Częstochowy z Karolem Pelcem. Na portierni zakładu papierniczego podaliśmy się za naukowców z Politechniki Wrocławskiej, którzy mają do zaoferowania wynalazek związany

z produkcją papieru i domagamy się rozmowy z dyrektorem technicznym zakładu. Dyrektor techniczny rzeczywiście się zjawił, wysłuchał, co mieliśmy do powiedzenia i stwierdził, że bez wilgociomierza do papieru doskonale daje sobie radę. Ma takiego „fachmana”, co to mierzy wilgotność „na oko” albo dotykem, ale wie, że Zakłady Przemysłu Zbożowego, z siedzibą na pobliskiej ulicy Warszawskiej, mają kłopot z niemieckimi wilgociomierzami do zboża, których nikt nie jest w stanie zreperować. Wilgociomierze do zboża były używane przy jego wycenie podczas skupu od rolników. Chodziło o to, aby nie płacić rolnikom także za wodę, która zawsze znajdowała się w niedobrze wysuszonym ziarnie. Przy dostawach zboża zazwyczaj występowały duże różnice dotyczące wilgotności.

Pomaszerowaliśmy więc na ulicę Warszawską, do państwowych Zakładów Przemysłu Zbożowego i przedstawiliśmy się jako wybitni specjaliści od pomiaru wody we wszelkiego rodzaju nasionach. Kierownictwo laboratorium prawie że nas ucałowało. Szybko na stole pojawiło się pięć niemieckich wilgociomierzy do zboża firmy „Dr Weiss GmbH” z siedzibą w Berlinie. Zapakowaliśmy uszkodzone przyrządy wraz z zamówieniem na reperację i odjechaliśmy pociągiem do Wrocławia.

Na uczelni zabraliśmy się z Karolem do naukowego zrozumienia zasady działania tych dziwnych urządzeń, co było dość trudne, jako że nie istniała żadna dokumentacja ani instrukcja na ten temat. Śledząc przewody elektryczne, odtworzyliśmy schemat przyrządu i odkryliśmy, dlaczego nie działały. Okazało się, że we wszystkich uszkodzonych wilgociomierzach były spalone bezpieczniki. Bezpieczniki łatwo wymieniliśmy, ale trudno nam było uwierzyć, że to było jedyne uszkodzenie, które wymagało interwencji „ekspertów” z politechniki. Dla uspokojenia sumienia postanowiliśmy sprawdzić kalibrację wilgociomierzy, porównując wyniki pomiaru wilgotności zboża za pomocą elektronicznego wilgociomierza firmy „Dr Weiss GmbH” z wynikami pomiaru otrzymanego metodą suszenia i ważenia. Okazało się, że żaden z wilgociomierzy nie wskazywał dokładnie, co więcej,

pomiary zmieniały się w czasie. Błędy składaliśmy na karb uszkodzenia, którego nie mogliśmy wykryć. Dzisiaj, mając za sobą wiele doświadczeń, widzę, że błąd był w konstrukcji wilgociomierza i w samej zasadzie pomiaru, która opierała się na pomiarze oporności elektrycznej zmielonego zboża umieszczonego między dwoma elektrodami ściskanymi sprężyną. W miarę jak sprężyna ubijała zboże umieszczone między elektrodami, jego oporność elektryczna malała i miernik wykazywał coraz większą wilgotność. Wyniki także zależały od wielkości okruszyn, od dokładności zmielenia, a także od mineralnego składu zboża. Teraz wiem, że mierniki te były szmelcem, który winno się było wyrzucić na śmieci, ale dojszcie do tego rodzaju konkluzji zajęło mi pięćdziesiąt lat doświadczeń, podczas których pozbyłem się uwielbienia dla „szacownych” tytułów osób prywatnych i „szacownych” marek różnych firm.

Ponieważ minęły już dwa miesiące od naszej wizyty w Częstochowie, zakład zbożowy nalegały na zwrot przyrządów. My zaś oczekiwaliśmy zapłaty za nasz wysiłek. Z drżeniem serca zapakowaliśmy — ciągle według nas — uszkodzone wilgociomierze i wysłaliśmy do Częstochowy. Jako naprawione. W ciągu najbliższych dwóch tygodni, ku naszemu zdumieniu, politechnika dostała przelew bankowy, będący zapłatą za reperację. Utwierdziło mnie to w przekonaniu, że nawet jeśli nie bardzo się wie, co się robi, to i tak można zarabiać pieniądze. Wkrótce po tej pierwszej transakcji z wilgociomierzami do zboża zrozumiałem też ważność marketingu, czyli reklamy, we wszelkich przedsięwzięciach.

Aby dać znać wszystkim braciom rolnikom, że na Politechnice we Wrocławiu reperuje się wilgociomierze do zboża, napisałem na zdezelowanej maszynie do pisania, która była na wyposażeniu Katedry Urządzeń Radiofonicznych, pięćdziesiąt listów do pięćdziesięciu różnych ośrodków Państwowych Zakładów Zbożowych i Gminnych Spółdzielni Rolniczych, zajmujących się skupem zboża. Wkrótce wilgociomierze zaczęły napływać do zakładu pomocniczego, a ja i Karol Pelc staliśmy się etatowymi

pracownikami zakładu. Prawdziwy sukces nastąpił jednak wtedy, kiedy weszliśmy w kontakt z Janem Łysakiem z Centralnego Laboratorium Zakładów Zbożowych w Warszawie. Pan magister inżynier Jan Łysak (później profesor doktor) rozesłał listy do podległych laboratoriów z informacją, że wszystkie wilgociomierze w Polsce wymagają przed akcją skupu corocznej kalibracji. Ciekawe było to, że pan Łysak zrobił nam tę przysługę, nie biorąc za to ani grosza! Przypomniałem mu o tym, gdy odwiedziłem go ostatnio w Warszawie. Dziś, jako emeryt, przyjął ode mnie po czterdziestu pięciu latach szczególne podziękowania.

Co jednak działo się dalej? W ciągu kilku miesięcy z przywierających głodem studentów staliśmy się względnie zamożnymi inżynierami. Wilgociomierze, które zazwyczaj były przysyłane do nas latem albo wiosną, czasami czekały na odbiór aż do grudnia, co było o tyle dziwne, że akcja skupu zboża kończyła się późną jesienią. Tajemnicę tę wyjaśnił mi jeden z prezesów gminnej spółdzielni, który zaoferował mi premię w postaci podwójnej zapłaty za reperację, pod warunkiem, że jego wilgociomierz nie będzie gotowy przed grudniem. Okazało się, iż handlowcy z gminnych spółdzielni albo zaniżali zawartość wody w zbożu i dzielili się z rolnikiem dodatkowym „zyskiem”, albo zawyżali wilgotność i płacili rolnikom mniej niż należało, a różnicę zatrzymywali sobie. Metoda oceny wilgotności bez wilgociomierza nazywała się naukowo „organoleptyczna” i polegała na zanurzeniu suchej ręki w worku zboża i ustaleniu indywidualnego odczucia urzędnika. Mogę powiedzieć, że ta metoda pokryła większość kosztów moich studiów na politechnice, jak i wiele innych wydatków.

Naprawa wilgociomierzy stanowiła dla nas stały dochód, ale polski rynek na te usługi był ograniczony ilością tych przyrządów, jako że nowych urządzeń już nie sprowadzano. Doszedłem do wniosku, że Polsce potrzebny jest producent wilgociomierzy, który wyparłby metodę organoleptyczną z kilku tysięcy polskich punktów skupu zboża. W oparciu o wzór niemiecki opracowałem więc naszą własną wilgociomierzową chałę, czyli

kolejny szmelc, nie gorszy, ale i nie lepszy od niemieckiego. Politechnika pod moim kierunkiem zaczęła sprzedawać do ośrodków skupu, jak Polska długa i szeroka, kilkadziesiąt — a po moim wyjeździe z Polski — jeszcze kilkaset wilgociomierzy do zboża mej konstrukcji. Co prawda nie jestem dumny z technicznego rozwiązania wilgociomierza, jako że bezdyskusyjnie chwała przypada tutaj niemieckiej firmie „Dr Weiss GmbH”, ale na tym modelu nauczyłem się wykonywać podstawowe elementy konieczne do wytwarzania przyrządów pomiarowych na małą skalę w prymitywnie wyposażonym warsztacie. Później to doświadczenie przydało mi się przy zakładaniu firmy „Columbus Instruments”, w której wymagałem, aby produkty zawsze były sprawdzane i kalibrowane według najwyższych standardów międzynarodowych.



Ja z własnej konstrukcji wilgociomierzem do zboża (rok 1956)

Wypadki w Poznaniu

W czerwcu 1956 roku miałem dwadzieścia dwa lata. Zbliżały się wakacje po czwartym roku studiów na Wydziale Łączności Politechniki Wrocławskiej. Jak opisałem w poprzednim rozdziale, zacząłem już pracę w Katedrze Urządzeń Radiofonicznych, reperując wilgociomierze do zboża. Powodziło mi się niezłe jak na tamtejsze studenckie warunki. Żołądek miałem pełny, a życie erotyczne ustabilizowane, co było zasługą mej pierwszej dziewczyny, Eli. Żyliśmy wtedy wszyscy w zamkniętym kociołku PRL-owskiego socjalizmu całkiem niezgorzej, ale po śmieci Wodza Narodów, Józefa Stalina, oddychać było jednak łżej. Targi Poznańskie były oknem na świat zachodniej technologii. Tam, na targach, można było zobaczyć prawdziwych Europejczyków pijących Coca-Colę i whisky. Mnie i Karola Pelca, z którym wybrałem się do Poznania, interesowały nowe konstrukcje aparatów elektronicznych, wystawiane przez zachodnie firmy. Do stolicy Wielkopolski udaliśmy się pociągiem i zatrzymaliśmy w prywatnym mieszkaniu, które jak sobie przypominam, umeblowane było secesyjnie, z wieloma wyblakłymi fotografiami przodków, fotografiami oprawionymi w wyrafinowane ramki. Mnie, który wtedy hołdował francuskiej sztuce modern, wielokolorowej i geometrycznej, secesja wydawała się zaściankowa. Tym razem jednak ze zdumieniem zauważyłem, że wystrój tego mieszkania spodobał mi się. No cóż, uczyłem się tolerancji.

Następnego dnia, dwudziestego ósmego czerwca, rano, udaliśmy się na tereny wystawowe. Po jakimś czasie po zwiedzeniu kilku pawilonów nagle rozległy się krzyki, że ulicą, przed bramą wejściową na targi, przechodzą demonstrujący robotnicy. Zachodni biznesmeni pobiegli na ulicę i zaczęli fotografować to niespodziewane dla wszystkich zjawisko. Koło południa ogłoszono, że targi zostaną zamknięte i goście winni opuścić ich teren. Wyszliśmy z Karolem na ulicę i idąc w kierunku centrum Poznania, usłyszeliśmy odgłosy strzałów. Nagle tłum pieszych zaczął uciekać, a nad głowami poczęły świstać kule z karabinów

maszynowych. Okazało się, że na ulicy pojawił się czołg lub czołgi, z których strzelano ponad głowami ludzi, a także po ścianach domów. Skryliśmy się z Karolem w bramie domu. Kiedy strzały ucichły, zaczęliśmy się zastanawiać, co robić dalej. Udaliliśmy się na dworzec kolejowy, który okazał się być zamknięty. Wszystkie pociągi odwołano. W Poznaniu nie mieliśmy znajomych, nie mieliśmy też pieniędzy na pokrycie ewentualnie dłuższego pobytu w tym mieście.

Postanowiliśmy iść w kierunku zamiejskiej szosy wiodącej na Wrocław i tam spróbować podróży autostopem. Po drodze zauważyłem młodych ludzi, którzy dopadli idącego milicjanta i zażądali oddania karabinu. Milicjant chętnie się go pozbył. Przy szosie na Wrocław było już więcej chętnych na jazdę autostopem. Niestety, żaden z kierowców ciężarówek nie chciał albo bał się zatrzymać. Nie pozostało nam zatem nic innego, jak zastraszyć szofera pozorowaniem wybicia szyby. Stałem na obrzeżu szosy z cegłą w podniesionej ręce i tym samym dawałem kierowcom do zrozumienia, co im grozi, jeśli nie przystaną i nie pomogą patriotom w potrzebie. Jedna z ciężarówek zatrzymała się i nasza grupa — około dziesięciu ludzi — ulokowała się na stojąco z tyłu samochodu, na jego otwartej pace (skrzyni). Jechaliśmy chyba do godziny drugiej czy trzeciej nad ranem. Aż do Trzebnicy. Tam zostaliśmy wysadzeni, gdyż ciężarówka nie jechała dalej.

Nie wiedząc, co z sobą zrobić, udaliśmy się na posterunek MO (Milicja Obywatelska) z prośbą o pomoc. Trzebniczcy milicjanci, którzy nic nie wiedzieli o wypadkach w Poznaniu, z zainteresowaniem wysłuchali naszego raportu, po czym pomogli nam wsiąść na inną ciężarówkę, tym razem jadącą do Wrocławia. Na rogatkach tego miasta naszą ciężarówkę zatrzymał patrol wojskowy z pepeszami gotowymi do strzału. Padł rozkaz: „Ręce do góry! Wysiadać!”. Żołnierze byli bardzo zdenerwowani. Oni już na pewno słyszeli o walkach w Poznaniu i obawiali się, że być może „poznańscy bandyci” jadą przejmować władzę w ich mieście. Cała nasza grupa była do cna zmarznięta, ponieważ nikt

z nas nie miał ciepłego odzienia. Ale też nikt z nas nie przypuszczał, że będzie podróżował nocą otwartą ciężarówką. Wyskoczyłem szybko na ziemię. Karol Pelc był ubrany w cienki płaszcz i trzymał ręce w kieszeniach. Na komendę: „Ręce do góry!” nie był wstanie szybko wyciągnąć rąk z kieszeni, które miał — chyba z zimna — złożone w pięść. Żołnierze nabrali więc podejrzenia, że w kieszeni mój kolega ma pistolet albo granat. Bałem się, że któryś z żołnierzy pociągnie za cyngiel i rozwali nas na miejscu. Z trudnością, ale Karol wreszcie wyciągnął z kieszeni puste ręce i wszyscy odetchnęli z ulgą. My i żołnierze. Po zrewidowaniu i stwierdzeniu braku broni pozwolono nam jechać do miasta.

Obawiałem się, że zaczęła się rewolucja antykomunistyczna, i że obejmie resztę Polski. Obawiałem się także, że będzie „łapanka” młodych ludzi i nastąpi ich wcielenie do wojska, by walczyli z „kontrewolucją”, tak jak to było w czasie Powstania Styczniowego. Ja niepokoilem się podwójnie: miałem powołanie do obozu ćwiczebnego z datą pierwszego lipca. Truchlałem na myśl, że będę zmuszony brać udział w tłumieniu powstania. Dla bezpieczeństwa i zmylenia przeciwnika nie udałem się do swego domu, ale do mieszkania mej dziewczyny, Eli, z prośbą, aby mnie przenocowała, co było wszakże ryzykowne z innego punktu widzenia. Ela mieszkała u wujostwa i nie było wiadomym, jak moja nocna wizyta będzie przez nich przyjęta. Kiedy zapukałem o godzinie czwartej rano do drzwi, otworzyła mi Ela, a śpiące twardo wujostwo nie spostrzegło, kto z nią dzielił łóżko tej pamiętnej nocy. Rano było bezpieczniej, bo wujostwo udało się do pracy.

Następnego dnia, dwudziestego dziewiątego czerwca, a więc na dzień przed datą mego stawienia się w obozie ćwiczebnym, zorientowałem się, że we Wrocławiu jest spokojnie, a „rewolucja” ograniczyła się tylko do Poznania. Jednak pociąg, którym jechali koledzy ze Studium Wojskowego do miejscowości Podjuchy nad Odrą koło Świnoujścia, odjechał beze mnie. W Podjuchach mieliśmy być ćwiczeni w budowie mostów pontono-

wych, gdyż zgodnie z logiką wojskową inżynierowie elektronicy winni budować mosty pontonowe, a inżynierowie budowlani będą w czasie wojny gwarantować łączność radiową. Stałem przed dylematem, czy mam czekać dalej w ukryciu na rozwój rewolucyjnej sytuacji, czy też — w związku z wypadkami poznańskimi — zgłosić się do WKR-u (Wojskowa Komenda Rejonowa) jako „zagubiony” żołnierz. (Mój ojciec uratował się w podobny sposób od śmierci w czasie pierwszej wojny światowej. W drodze na front wysiadł z pociągu w Kijowie, aby kupić za kilka kopiejek wrzątek na herbatę, zwany po rosyjsku „kipiatok”. Pociąg w międzyczasie ruszył, więc ojciec natychmiast zgłosił się do żandarmerii wojskowej jako „zagubiony”). Ja też postanowiłem odczekać jeszcze jeden dzień i zgłosiłem się do WKR-u, gdzie dano mi bilet kolejowy do stacji Podjuchy. Podróż pociągiem z Wrocławia do Świnoujścia i dalej nie zapisała się w mej pamięci niczym szczególnym.

Przypominam sobie natomiast pierwszą zbiórkę naszej studenckiej kompanii Pułku Saperów w Podjuchach, kiedy rozdawano nam broń. Pomny wskazań mego ojca, doświadczonego dezertera z armii cara Mikołaja II, ustawiłem się na końcu kolejki. Nie przypominam sobie, czy dawano nam karabiny, czy też już pistolety maszynowe. W każdym razie wiedziałem, że żołnierz ma obowiązek czyścić broń, a jest to zajęcie nużące i mijające się z celem, szczególnie w czasie pokoju. Tak jak się spodziewałem, i na co liczyłem, dla mnie na końcu kolejki broni zabrakło. Odetchnąłem z ulgą. Teraz moim następnym zadaniem będzie znalezienie sobie sposobu na ranną pobudkę. Nigdy nie byłem i nie nadal nie jestem stworzony do wczesnorannego wstawania. Moja inwencja twórcza i waleczność kwitną po południu, a wieczorem wręcz wzmagają się. Ranki są do spania, ale wojsko, niestety, tego nie rozumie! Jak na razie wszakże nie miałem pomysłu, jak zaradzić rannej pobudce. Pan Bóg albo jakaś Siła Wyższa, czuwała jednak nad moim życiem, które dziś modnie kojarzymy z życiorysem, czyli tak zwanym z łacińska „curriculum vitae” (CV).

Następnego dnia, zaspany, stojąc bez broni na końcu szeregu studentów saperów, witałem głównodowodzącego pułkownika, który rozbudzał nas gromkim okrzykiem:

— Czołem studenci!

Odpowiedziałem mu równie gromko, zgodnie z regulaminem:

— Czołem obywatelu pułkownika!

Nagle patrzę i oczom swym nie wierzę — koło pułkownika kroczy mój kuzyn, Kazik Muskalski, z którym bardzo lubiliśmy się, będąc dziećmi. Był ode mnie o cztery lata starszy i jakoś do nauki się nie garnął. Na początek próbował swych sił w zawodzie fryzjera, później zapisał się, jako ochotnik, do lotnictwa i latał na samolotach szturmowych, iłach. Był strzelcem pokładowym. Podczas wojskowych przepustek przynosił mi wykradzione z lotnictwa zapalniki do kostek trotylu, którymi chciałem wysadzić ulokowany w pobliżu mego domu kibel, czyli po prostu sracz, zbudowany z kamienia wapiennego. Solidna była to budowla, odosobniona, do domu nie przylegała. Kazik nie dostarczył mi wtedy lontu, więc trotyl razem z zapalnikiem zawiązałem w gazetę i zapaliłem ją. Po kilku minutach, z powodu braku spodziewanej eksplozji, ostrożnie udałem się na oględziny stanowiska wybuchowego i zauważyłem, że gazeta przedwcześnie zgasła i ogień, niestety, nie dotarł do zapalnika. Wtedy dostałem olśnienia, że być może ktoś wyżej, z górnego piętra, jakaś Istota Duchowa, zdmuchnęła ogień i przykazała mi, abym takich eksperymentów już nigdy nie powtarzał, jeśli chcę żyć dłużej. Dzięki więc interwencji Siły Wyższej udało mi się zostać inżynierem, kochankiem, biznesmenem, a nawet... Amerykaninem, obywatelem mocarstwa, któremu inne kraje, jak na razie, buty czyszczą.

Tak czy inaczej to był „mój” Kazik w stopniu porucznika, który asystował pułkownikowi. Po defiladzie zbliżyłem się do Kazika i przypomniałem mu nasze rodzinne, częstochowskie koligacje. Przy okazji nadmieniłem, że jestem prześladowany przez poranne pobudki. Kazik wyjawiał nieskromnie, że jest



Kazik Muskalski, już w cywilu, z mym synem, Ryszardem (Szczecin)

w Podjuchach grubą szycią (choć był smukły, ha, ha), bo pełni tu funkcję oficera politycznego i ma więcej do gadania niż sam pułkownik, nawet w kwestii tego, kto ma wstawać rano, a kto nie. Kazik również rozumiał, że me kwalifikacje elektronika łącznościowca są dla armii polskiej ważniejsze niż noszenie cholernie ciężkich, stalowych belek stanowiących armaturę członów mostów pontonowych. Nakazał zatem działowi łączności, że saper student, Jan Czekajewski, wraz z podwładnym mu kompanem będą każdego dnia badali funkcjonowanie plecakowych radiostacji będących na wyposażeniu pułku. Każdego więc dnia udawaliśmy się do magazynu, skąd odbieraliśmy dwie radiostacje i po wygodnym umiejscowieniu się w przydrożnych rowach, nadawaliśmy do znudzenia te same tajne sygnały. Na moje: „Słyszysz mnie?” mój „podwładny” odpowiadał mi: „Tak, słyszę”. Niestety, nazwiska tego człowieka nie pamiętam. Jest wszakże nadzieja, że się ujawni w czasie następnego spotkania absolwentów Politechniki Wrocławskiej, jeśli mu się nie zmarło.

Po spełnieniu codziennego obowiązku ucinaliśmy sobie drzemkę aż do obiadu. Tak mi zeszło trzydzieści dni saperskich ćwiczeń w letniskowej miejscowości Podjuchy koło Świnoujścia. Mój kuzyn, Kazik Muskalski, zabłysnął w lotnictwie jako strzelec pokładowy, ale wojsko polsko-sowieckie spostrzegło u niego ponadto talent polityczny. Chyba z powodu braku wykształcenia. Został więc oficerem politycznym, a później, jak się okazało, oficerem informacji, czyli wojskowego UB (Urząd Bezpieczeństwa). Po przemianach politycznych, zapoczątkowanych wypadkami poznańskimi, Kazik został z wojska zwolniony i pracował jako spawacz w stoczni szczecińskiej, a później kierowca autobusu. Kiedy przeszedł na emeryturę, stał się człowiekiem głęboko religijnym i antykomunistą. Woził autobusem pracowników stoczni na Jasną Górę do Częstochowy i z komuną nie chciał mieć nic wspólnego. Osobiście widziałem go chyba dopiero w latach siedemdziesiątych w Szczecinie, płynąc promem ze Szwecji do Polski. Był bardzo serdeczny, a ja ciągle go lubiłem. Przysyłałem mu z Ameryki lekarstwa na wrzód żołądka, na który cierpiał od dłuższego czasu. Może to była choroba zawodowa oficerów politycznych i UB-eków, gdyż na nią umarł także inny rodzinny UB-ek, zięć Kazika.

Fakt, że Kazik nie był do głębi złym człowiekiem, potwierdza opowieść mojego kolegi ze studiów, Ryszarda Pregla. Otóż, porucznik Kazimierz Muskalski w ramach swych obowiązków oficera politycznego prowadził w Podjuchach także wykłady z historii Ludowego Wojska Polskiego. Ja, oczywiście zbyt zajęty testowaniem sprzętu radiokomunikacyjnego, nie uczęszczałem na jego prelekcje. Według Pregla kuzyn mój egzaminował go z historii Pierwszej i Drugiej Armii Ludowego Wojska Polskiego. Armie pomyliły się Rysiowi i była obawa, że może egzamin oblać. Niemniej Kazik wykazał dużą dozę socjalistycznego współczucia, wstawiając Ryśkowi zamiast dwóji czwórkę. Nie wiem, czy Kazik zdawał sobie wtedy sprawę, że ratuje karierę polityczną Pregla, który dzięki nieskazitelnemu zyciorysowi i tej czwórce z historii LWP został nie tylko ministrem „od nauki i techniki”

w ostatnim rządzie generała Jaruzelskiego, ale także brał udział w późniejszych obradach Okrągłego Stołu.

Będąc już na emeryturze, kuzyn Muskalski, często przyjeżdżał do Częstochowy, gdzie zatrzymywał się u mej siostry. Zawsze wstawał rano, aby zdążyć na odsłonięcie obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Widocznie w wojsku nauczyli Kazika rannego wstawania, więc z witaniem obrazu nigdy nie miał problemu. Często go wspominam. Chyba jednak był dobrym człowiekiem, skoro całkiem po ludzku lawirował w tym diabelskim, sowieckim systemie.

Sekcja „Miernictwa Elektronowego”

W tamtym czasie studia na Politechnice Wrocławskiej były dwustopniowe. Studenci mieli do wyboru: kończyć trzyipółletnie studia z dyplomem inżyniera albo kontynuować je przez następne dwa i pół roku i otrzymać dyplom magistra inżyniera. Po drugim roku studenci Wydziału Łączności musieli zdecydować się na konkretne specjalizacje. Mogliśmy wybierać następujące: technikę nadawczą, technikę odbiorczą, miernictwo elektronowe, lampy elektronowe, technikę łączenia, czyli telefonów, telemechanikę i automatykę, teletransmisję przewodową, radiofonię przewodową. Już sobie nie przypominam powodów, dla których wybrałem specjalność lampy elektronowe, ale decyzja chyba wynikała z mojej ignorancji w zakresie tej tematyki, jak i niewiedzy w kwestii, co z taką specjalizacją można po studiach zdziałać! Karol Pelc dołączył do mnie.

Po trzecim roku studiów na tej specjalizacji ja i Karol oraz inni studenci zostaliśmy wysłani na praktykę do Zakładów Lamp Elektronowych im. Róży Luksemburg w Warszawie. Tam dowiedziałem się, na czym będzie polegała moja przyszła praca. Ze zdumieniem zauważyłem, że konstrukcja lamp elektronowych ma niewiele wspólnego z elektroniką, i że jest to zlepek wielu technologii, od techniki wysokiej próżni poprzez mechanikę

precyzyjną, chemię, metaloznawstwo, no i na końcu elektronikę. Dotarło także do mnie i to, że fabryka ta będzie jedynym miejscem mojej przyszłej pracy, jako że w tamtym czasie innych fabryk produkujących takie lampy nie było. W „Róży” — jak to się wtedy mówiło — robiono lampy i świetlówki na licencji Philipsa.

Byłem rozczarowany, a także... głodny. Marne stypendium, jakie nam dawano, wystarczało jedynie na pożywienie w postaci suchego chleba i pomidorów, które w sierpniu były dość tanie. Na szczęście w fabryce jedliśmy obiady w stołówce fabrycznej. W 1955 roku, także w sierpniu, odbywał się w Warszawie Piąty Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów „O pokój i przyjaźń”. Na Placu Defilad przed Pałacem Kultury im. Józefa Stalina grały zagraniczne orkiestry jazzowe. Było to jedno z pierwszych moich spotkań ze „światem zachodnim”, po coca-coli pitej na Targach Poznańskich. Zazdrościłem Karolowi, który mógł się dogadać po angielsku ze studentami z krajów arabskich i afrykańskich. Niestety, nie posiadając takiej umiejętności, nie mogłem skutecznie imponować polskim dziewczynom, które okazały się być dość wybredne i na przykład wołały wygimnastykowanych sportowców z Bułgarii.

Po powrocie z praktyki zacząłem się zastanawiać, czy mam nadal kontynuować studia, specjalizując się w lampach elektronowych. Już znałem siebie na tyle, że wiedziałem, iż wcześniej czy później wpadnę w konflikt z partią, czy też dyrekcją w każdej polskiej fabryce. Moja dotychczasowa specjalizacja narzucała automatycznie pracę w fabryce im. Róży Luksemburg. Jedną z ewentualności „zmiany kursu” było przeniesienie się na specjalizację dotyczącą miernictwa elektronowego, dziedzinę, w której wachlarz miejsc pracy był nieograniczony, gdyż pomiary elektronowe były, i są nadal, potrzebne w wielu różnych dziedzinach nauki i przemysłu. Karol zgodził się z moją opinią i dlatego udaliśmy się do profesora Andrzeja Jellonka z zapytaniem, czy znajdzie dla nas miejsce w jego sekcji „Miernictwa Elektronowego”. Profesor zgodził się i od tego momentu resztę swojego życia zawodowego poświęciłem budowie aparatury pomia-

rowej. Patrząc dzisiaj z perspektywy ponad pięćdziesięciu lat pracy w dziedzinie elektroniki pomiarowej, muszę przyznać, że moja ówczesna decyzja studiowania w tej sekcji, kierowanej przez profesora Jellonka, zdecydowanie zaważyła na reszcie mego życia. Dzięki temu wyborowi, po mojej emigracji najpierw do Szwecji, a później do Stanów Zjednoczonych, nigdy nie zaznałem głodu ani upokorzenia będącego udziałem wielu innych emigrantów, startujących zawodowo w nowym dla siebie kraju. Często tamtejszą egzystencję zaczynali oni, niestety, od prac poniżej swego wykształcenia. A ja? A ja od pierwszego dnia pobytu na obcej ziemi pracowałem z a w s z e w swej ulubionej dziedzinie miernictwa elektronowego.

Zrobienie specjalizacji w tej dziedzinie pozwoliło mi uzyskać tytuł magisterski. Już wtedy zdawałem sobie sprawę, że działalność z pogranicza elektroniki i innych specjalizacji daje myśli wynalazczej szerokie możliwości. Przy swojej sekcji profesor Jellonek zorganizował tak zwany zakład pomocniczy (podobnie jak w swojej dziedzinie profesor Bincer) oferujący usługi dla przemysłu, jak i uczelni innych specjalności, na przykład dla Akademii Medycznej. Profesor, współpracując ze znanymi naukowcami, takimi jak kardiolog, profesor doktor Kowarzyk — o ile sobie dobrze przypominam to nazwisko — zbudował jeden z pierwszych stereokardiografów. Nam, studentom żółtodziobom, nie było dane brać udziału w konstrukcji tych przyrządów, ale bacznie obserwując to, co się działo w zakładzie pomocniczym, wyciągnąłem wszakże wnioski, które pozwoliły mi znacznie później założyć własne przedsiębiorstwo. Miałem ku temu już zupełnie niezłe podwaliny. Najważniejszym dla mnie wnioskiem był fakt, że stosunkowo skomplikowane i wartościowe przyrządy elektroniczne można budować w skromnych warunkach! Administratorem zakładu pomocniczego był pan Buczyłko, człowiek nierzucający się w oczy, ciągle gdzieś biegnący kocimi susami ze skórzaną teczką w ręce. Był chyba zarówno bezcennym zaopatrzeniowcem, jak i kierownikiem działu handlowego. Podobno przed przeniesieniem się

na Politechnikę Wrocławską był dyrektorem Technikum Radio-technicznego w Dzierżoniowie.

Profesor Jellonek wymagał, aby w ramach prac dyplomowych studenci wykonywali pewne prototypy „na desce”, albo gotowe postaci przyrządów i przeprowadzali pomiary tego, co zrobili. Dawało im to okazję do praktycznego poznania techniki, o której wcześniej już słyszeli na wykładach. Zakład pomocniczy udostępniał podzespoły, a nawet umożliwiał wykonanie mechanicznych elementów. Profesor był dobrym organizatorem i miał grupę starannie dobranych współpracowników i asystentów. Jako ciekawostkę mogę podać, że miał pewnego rodzaju hobby: był zafascynowany przyrządem elektronicznym, zwanym „Q-Meterem” stosowanym do pomiaru jakości (stratności). W Polsce określa się go miernikiem dobroci) obwodów rezonansowych. Nawet prowadził dla nas wykład z konstrukcji Q-Metera. Kiedy w latach sześćdziesiątych znalazłem się w Szwecji i zacząłem pracę w Instytucie Fizyki uniwersytetu w Uppsali, stwierdziłem ze zdumieniem, że Q-Meter nie znajduje w oczach tamtejszych elektroników tak poczesnego miejsca, jakie miał na Wydziale Łączności we Wrocławiu. Niemniej jednak kiedy dostałem w Szwecji pierwsze zlecenie, którego zadaniem było skonstruowanie miernika ruchliwości zwierząt dla miejscowej firmy farmaceutycznej „Pharmacia AB”, zastosowałem właśnie zasadę Q-Metera jako czujnika dla określenia pozycji szczura bądź myszy laboratoryjnej. Przyrząd ten, nazwany przeze mnie „Selective Animal Activity Meter” pozwalał także odróżniać zwierzęta oznakowane podskórnie pętlą z drutu platynowego od tych nieoznaczonych. W oparciu o to osiągnięcie zdecydowałem się założyć swą pierwszą, jednoosobową firmę, którą nazwałem „Uppsala Instruments”. Firma sprzedała kilkadziesiąt tych przyrządów w Europie, a po mojej emigracji do USA i założeniu tam firmy „Columbus Instruments”, sprzedała jeszcze kilkaset do wielu różnych krajów świata.

Można by powiedzieć, że profesor Jellonek miał bezpośredni wkład w mój zawodowy i finansowy sukces za granicą.

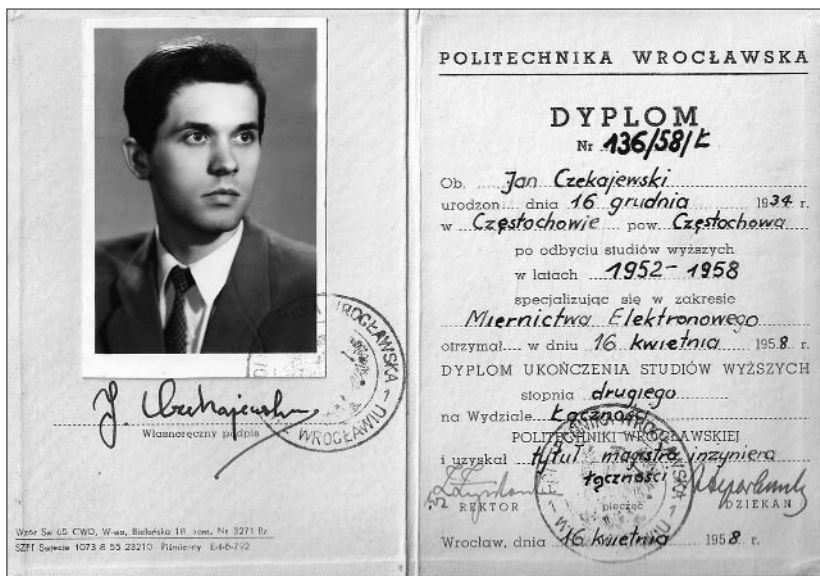
Człowiek ten dbał o to, aby biblioteka wydziałowa była dobrze zaopatrzona w specjalistyczne periodyki i książki — w miarę dewizowych możliwości — o które w owym czasie, w latach pięćdziesiątych, było bardzo trudno. Na poddaszu budynku przy ulicy Prusa profesor Jellonek zebrał cały szereg przyrządów elektronicznych, będących wzorcami pomiarowymi. Jak sobie jednak przypominam, przyrządy te stały tam na stołach, przykryte pokrowcami i nie widziałem, aby były do czegoś używane. W tym momencie pozwolę sobie na krytyczną uwagę. Uczelnia sporo zainwestowała w zakup tych przyrządów, więc nie rozumiałem wówczas i dziś nadal nie rozumiem, dlaczego ten cenny nabytek nigdy nie przyczynił się do wzbogacenia studenckiej wiedzy. Nie pokazano nam tych przyrządów, a przecież na nich moglibyśmy się dowiedzieć, jak doświadczeni konstruktorzy budują przyrządy elektroniczne. Mimo tego „niedopatrzenia” nasze wykształcenie pod kierunkiem profesora Jellonka i jego adiunktów, później również profesorów: Karkowskiego i Kędryny, okazało się być solidne. Zadbano o podstawy elektroniki, czyli to, czego tak często brakuje absolwentom uniwersytetów amerykańskich. Wiem o tym z doświadczenia, gdyż od wielu lat każdego inżyniera, który stara się o pracę w mojej firmie, pytam o konstrukcję... zasilacza prądu stałego. Niestety, wielu amerykańskich inżynierów nie potrafi narysować schematu takiego zasilacza, tłumacząc, że takie rzeczy jak zasilacze są w katalogu i nikt już ich nie konstruuje. Zapominają, że ktoś je jednak musi budować.

Jeszcze w okresie studiów magisterskich w sekcji „Miernictwa Elektronowego” zacząłem pracę w sąsiednim zakładzie pomocniczym (o czym już wcześniej wspominałem), prowadzonym przez profesora Stefana Bincera. Profesor — o tym też już pisałem — kierował Katedrą Urządzeń Radiofonicznych, ze specjalizacją radiofonii przewodowej, czyli dziedziną skazaną niestety na zagładę od samego jej urodzenia, gdyż masowa produkcja odbiorników radiowych zaczęła wypierać radiofonię przewodową (tak zwane kołchoźniki). W ramach zakładu pomocnicze-

go profesora Bincera, który był dużo skromniejszy niż zakład profesora Jellonka, zbudowałem swój pierwszy przyrząd do pomiaru wilgotności zboża, a także tranzystorowy miernik hałasu, oparty na tranzystorach polskiej produkcji, pochodzących z warszawskiej fabryki „TEWA”.

Niestety, po moim wyjeździe z Polski koncepcja zakładów pomocniczych, która pozwalała uczelniom nie fruwać w obłokach, ale zmierzać się z ziemskimi, realnymi problemami polskiego konstruktora, została zniweczona i tego typu zakłady przykatedralne pomału rozwiązywano. Gdyby pozwolono im się rozwijać, mógłby powstać w Polsce zróżnicowany przemysł elektroniczny, konkurencyjny w stosunku do zagranicznego. Pod jakimś jednak pretekstem zahamowano na długie lata początki oryginalnego, polskiego przemysłu elektronicznego, który całkiem dobrze rokował.

Aczkolwiek zakłady pomocnicze, takie jak profesorów Jellonka i Bincera oraz Zakład Teletransmisji profesora Żyszkowskiego zostały rozwiązane, to ja jednak przenieśliem ich koncepcję funkcjonowania na warunki amerykańskie, gdzie stworzyłem świetnie prosperującą firmę „Columbus Instruments”, obchodzącą w tym roku (2010) czterdziestą rocznicę powstania. „Columbus Instruments” specjalizuje się — podobnie jak zakład pomocniczy przy Katedrze Miernictwa Elektro nowego — małoseryjną produkcją przyrządów do badań biologicznych, które eksportuję do ponad pięćdziesięciu krajów. Naszymi klientami są uniwersytety oraz laboratoria przemysłowe i rządowe. Moja dobrze działająca firma jest dowodem na to, że pionierzy polskiej elektroniki, tacy jak wyżej wymienieni trzej profesorowie mieli rację! Oni, w tamtych niesprzyjających wolnemu rynkowi czasach, robili, co tylko mogli dla Polski i dla polskich studentów. Dobrze by było, aby wiedzieli, że ziarno, które wtedy zasiali, wydało owoce nie tylko w Polsce, ale także i za granicą, na przykład w odległym Columbus w Ohio, w USA. Właśnie przed tymi ludźmi chylę dziś czoła i podkreślam moją dla nich wielką wdzięczność.



Mój dyplom magisterski

Jak Janek zakładał telewizję w Radomiu

Musiało to być chyba w roku 1959, czyli rok przed moim wyjazdem do Szwecji. Pewnego dnia profesor Bincer zapytał mnie z nienacką, co myślę o budowie małych stacji telewizyjnych, tak zwanych przekaźnikowych, które mogłyby wypełnić luki w pokryciu Polski przez telewizję, szczególnie w okolicach górystych albo położonych poza zasięgiem wielkich nadajników telewizyjnych. Odpowiedziałem mu, że to bardzo interesujące, ale ja nie wiem, jak takie przekaźniki budować. Co prawda profesor wyjawiał, że on także nie wie, ale uznał, że trzeba znaleźć kogoś, kto się na tym zna, jako że istnieje możliwość zarobienia dużych pieniędzy na takim przedsięwzięciu. Była to jedna z najważniejszych lekcji biznesu, jaką dostałem od profesora Bincera. Przy

zarabianiu pieniędzy nie ważne jest, skąd pochodzi wiedza, ważne jest natomiast, aby kontrolować jej wykorzystanie.

Tak się złożyło, że o rok wyżej ode mnie studiował chłopak o nazwisku Andrzej Drozd, który jako samouk nauczył się budować odbiorniki i nadajniki telewizyjne. W owym czasie nie istniała jeszcze stacja telewizyjna we Wrocławiu, a najbliższa była za polską granicą, w Pradze czeskiej. Niestety, między Pragą a Wrocławiem były dość wysokie góry (Sudety) i bezpośredni odbiór był niemożliwy, jako że fale radiowe w paśmie telewizyjnym rozchodzą się po linii prostej. Andrzej zbudował więc systemem chałupniczym mały przekaźnik (odbiornik telewizyjny połączony z nadajnikiem) na górze Śnieżce i skierował antenę odbiornika na czeską Pragę, a antenę nadawczą na Wrocław. Jeśli ktoś miał odbiornik telewizyjny, a zaczęto je właśnie sprowadzać z ZSSR, to mógł odbierać... program czeski we Wrocławiu. Była to ciekawostka techniczna, która świadczyła o dużych zdolnościach technicznych Andrzeja Drozda.

Profesor Bincer wezwał Andrzeja do siebie i zaproponował mu kierowanie budową przekaźników telewizyjnych; to nic, że wtedy jeszcze nie mieliśmy zamówień. Profesor widocznie już wcześniej zaobserwował moje kiełkujące talenty handlowe i wysoko je ocenił, skoro polecił mi wyjazd w teren, do Radomia, dla rozeznania się w potrzebach na przekaźniki telewizyjne. Doszły nas słuchy, że Radom był poza zasięgiem stacji warszawskiej i mieszkańcy domagali się tam programu telewizyjnego. Po całonocnym kołataniu się w wagonie trzeciej klasy skierowałem się w stronę budynku zarządu miasta i zapukałem do drzwi, na których widniał napis „Wydział Bezpieczeństwa i Milicji — pułkownik Bieruta”.

Otworzył mi drzwi człowieczek mizernego wzrostu, o którym mówiliśmy później — między kolegami — że mierzy metr i pięć centymetrów jak stanie na gazecie partyjnej. Z miejsca przeszedłem do rzeczy, pytając, czy Radom jest zainteresowany oglądaniem na żywo parady wojskowej w Moskwie na cześć wybuchu Rewolucji Październikowej z wykorzystaniem własnej

stacji telewizyjnej. Pułkownik Bieruta zachwyił się nie na żarty mą inicjatywą, ale będąc równocześnie policjantem i prawdziwym komunistą, zapytał mnie, jaki ja mam w tym prywatny interes, gdyż za komunizm on sam życie gotowy był oddać, ale drugiego prawdziwego komunisty to on jeszcze nie widział. Poza tym pułkownik wiedział, że najemny pracownik politechniki, biegły w naukach marksizmu i leninizmu, nawet będąc całym sercem oddany socjalizmowi, nie będzie zabiegał o budowę stacji telewizyjnej w Radomiu, jeśli sam na tym nie zarobi. Wprowadziłem więc małego człowieczka w genialny plan, autorstwa profesora Bincera, obejścia komunistycznych przepisów.

Plan ów polegał na inicjatywie dążącej do założenia w Radomiu „Społecznego Komitetu Budowy Stacji Telewizyjnej”. Komitet ten po ukonstytuowaniu się winien założyć konto bankowe w Powszechnej Kasie Oszczędności, na które to konto założyciele będą spontanicznie wpłacić po kilka złotych. Do komitetu założycielskiego należy zwerbować dyrektorów miejscowych fabryk, urzędu bezpieczeństwa, partii i każdego, kto jest w mieście ważną osobą lub... mógłby donieść do Warszawy coś niepożądanego. Następnie, członkami komitetu muszą się stać miejscowe wielkie fabryki zbrojeniowe, dysponujące dużą gotówką. Tym właśnie fabrykom dane będzie sypnąć funduszami. My z kolei na politechnice sformułujemy „Zespół Naukowo-Inżynierski”, który opracuje projekt przekaźnika i będzie służyć konsultacjami. Pieniądze z konta PKO będą przelane w pięćdziesięciu procentach na konto uczelni, która zakupi za nie konieczne części i będzie budować przekaźnik. Pozostałe pięćdziesiąt procent trafi do rąk członków „Zespołu Naukowo-Inżynierskiego”, kierowanego przez profesora Bincera. Pułkownik Bieruta widząc, że nie jesteśmy groźnymi idealistami, tylko o gruby szmal tu idzie, podpisał się pod projektem obydwojma rękami i zabrał do organizacji przedsięwzięcia na terenie Radomia. Dla przypieczętowania umowy ucałował mnie w oba policzki, do sięgnięcia których musiał stanąć na palcach, i zaprosił mnie — na mój koszt — do miejscowej, kiedyś wykwintnej, dzisiaj

ludowo-zgrzebanej restauracji o nazwie, chyba „Europejska”, jeśli nie „Polonia”.

Mikrus, dbając o zdrowie, lubował się jedynie w wódce czystej, tej z „czerwoną kartką”. Do zakąski preferował śledzika w oliwie. Po kilku setkach pułkownik Biureta tytułował mnie per „towarzyszu inżynierze” i zwierzył się, że czasy już nie takie, jak były, a Polska Ludowa zmierza szybko ku upadkowi. Proroczo dostrzegał zdrajców rewolucji, oddających władzę motłochowi zgromadzonemu przy Okrągłym Stole w trzydzieści pięć lat później.

— Moralność już nie taka jak przedtem — perorował. — Teraz człowiek jeszcze nie skończy pół litra, a kelner bez taktu wciska mu rachunek. Kiedyś to żaden kelner nie odważył się podać mi rachunku, a jak odebrałem płaszcz z garderoby, to w kieszeni zawsze pliczek setek się znajdował. Teraz, towarzyszu inżynierze, ci w Warszawie to hołota, co kultury nie zna! Na zesłanie mnie do Milicji Obywatelskiej oddali! To nie to samo co służba w Bezpiece. Gwardzistami w obronie rewolucji byliśmy, z reakcją walczyłem i londyńskim podziemiem. Nie doceniają mnie teraz. Milicjantem mnie zrobili. Jak pajac w tym mundurze wyglądam! Ale... Jeszcze się odbijemy, towarzyszu inżynierze — gwarantowałem.

Nie byłem pewny, czy te opinie towarzysza pułkownika Bieruty płyną prosto serca, czy są po prostu prowokacją. Jako były ZMP-owiec, którego wyrzucano z tej organizacji trzy razy, umiałem się jednak właściwie zachować, aby nie stać się ofiarą międzypartyjnych rozgrywek, a jednocześnie nie utracić sympatii pułkownika.

Następnego dnia wyjechałem z Radomia w przekonaniu, że moja misja trafiła na oddanego sprawie promotora i rzeczywiście wkrótce dostaliśmy z Radomia, zgodnie z moją instrukcją, dwa zamówienia, jedno zaadresowane do Politechniki Wrocławskiej, a drugie na ręce Zespołu Naukowo-Inżynierskiego, zawiadywanego przez profesora Bincera. Andrzej Drozd zabrał się wkrótce do pracy nad budową przekaźnika. Antenę zaprojekt-

tował magister inżynier Daniel Bem, później dziekan i profesor na tej samej uczelni. Niebawem nastał czas na następną wizytę w Radomiu, by dokonać instalacji anteny i ustalić odpowiedzialność za eksploatację przekaźnika.

Ustawianie anteny i... bale w Radomiu

Przyjechaliśmy do Radomia jako delegacja złożona z Władka Krawca, dziewiętnastoletniego technika (lubił zdrowo popić), Andrzeja Drozda (on także miał skłonności do flachy) i mnie, występującego raczej w roli komisarza polityczno-ekonomicznego, który miał czuwać nad tym, aby moi dwaj koledzy za dużo nie mówili o finansach. Reprezentowałem zdolności alkoholowe bardzo mizerne w porównaniu z tymi, jakimi dysponowali Władek i Andrzej. Można by powiedzieć, że byłem prawie kontrrewolucyjnym abstynentem.



Władysław Krawiec, technik zatrudniony w Katedrze Urządzeń Radiofonicznych

Muszę dodać dla ścisłości i dla nauki maluczkich, że Andrzej z powodu swego zamiłowania do flachy i papierosów nie dożył lat czterdziestu. Nie doczekał czasów rozkwitu telewizji kolorowej. Przeżył go nawet przekażnik telewizyjny, jaki zbudował w Radomiu.

W czasie naszej ponownej wizyty w tym mieście, okazało się, że pułkownik Bieruta już nie jest komendantem milicji. Został przez partię przesunięty na inne, równie odpowiedzialne stanowisko, stanowisko dyrektora Oddziału Narodowego Banku Polskiego. Odniosłem wrażenie, że pułkownik Bieruta nie cieszył się z nowej nominacji, gdyż nie dostrzegał dobra rewolucji w zwykłym kasowaniu czeków. Nie miał zresztą żadnego pojęcia o sprawach finansowych w wymiarze potrzebnym dla bankowca i czuł się chyba zagrożony na swym nowym stanowisku. Przeklinał zdrajców rewolucji z Warszawy i odwilż październikową 1956 roku.

Wyjawił mi jednak, że są pewne ukryte zalety stanowiska dyrektora Banku Narodowego, a mianowicie duża pula ładnych dziewcząt, które zrobią wszystko dla dyrekcji, aby tylko uzyskać premię albo awans. Zalecił mi zatem, abym z Andrzejem Drozdem udał się do jego banku i zajrzał do kilku pomieszczeń, gdzie pracowały młode dziewczyny. Naszym zadaniem było wybrać takie, które nam się podobały, określić ich „azymut”, czyli pozycję geograficzną w rozkładzie budynku i przekazać te informacje — już nie pułkownikowi — ale dyrektorowi Bierucie. Zapewnił nas przy tym, że wybrane panie zjawią się w naszym hotelu o uzgodnionej wcześniej godzinie z zamiarem podbudowania naszego morale koniecznego do instalacji anteny telewizyjnej. Zadaniem pań z banku było przekonanie nas w sposób intymny, aby sygnał telewizyjny dużej mocy docierał do ich domów, a także do domu dyrektora Bieruty i Komitetu Powiatowego Partii w postaci wiernej i silnej. Dyrektor Bieruta wyjaśnił im, że jeśli nie wykażą się „towarzyskimi kwalifikacjami” w skali przynajmniej powiatowej, to naukowcy (czyli my) z politechniki mogą tak złośliwie ustawić antenę nadajnika, że sygnał telewizyjny docierający do ich domów będzie „śnieżył”, a obraz migał,

nie mówiąc już o tym, iż zły sygnał w Komitecie partii na pewno będzie poczytany za sabotaż wrogi ustrojowi ludowemu. Andrzej ociągał się trochę z zaproszeniem dziewczyn do hotelu, co było wynikiem jego drobnomieszczańskiej moralności. Ja natomiast z entuzjazmem ustosunkowałem się do zaistniałych okoliczności towarzyskich, które, gdyby nie ich sama w sobie grzeszna natura, można by powiedzieć, że spadły mi prosto z nieba.

Wykorzystując wdzięki towarzyskie Władka, który zajął rozmową hotelową recepcjonistkę, przemyciliśmy „umówione” panie do pokoju i zakazaliśmy mu powrotu przed godziną dwunastą w nocy. Już w pokoju hotelowym zrobiłem paniom krótki wykład z teorii rozchodzenia się fal radiowych w pasmach telewizyjnych i wielkiego ryzyka, na jakie my, naukowcy telewizyjni, jesteśmy narażeni, instalując anteny telewizyjne. Chodzi o to, że sygnał musi być w sam raz, ani za słaby, ani za silny. W przypadku bardzo silnego sygnału fale radiowe mogą spowodować czasową lub stałą impotencję u instalatorów anteny. W naszym fachu życie seksualne jest ograniczone do zaledwie kilku lat. Tylko wtedy dysponujemy erotycznymi możliwościami. Ciekawy jest natomiast fakt, że naukowcy wystawieni na działanie fal telewizyjnych są wyjątkowo romantycznie usposobieni. Szkoda tylko, że stan ten trwa właśnie zaledwie kilka lat. My, naukowcy, tak jak madame Curie-Skłodowska, poświęcamy się dla nauki, nie bacząc na zagrożenia związane z promieniowaniem. Panie wyraźnie się przejęły moim wykładem i hiobowymi perspektywami odnośnie naszej przyszłości i zgodziły się uczestniczyć w tych końcowych chwilach naszych erotycznych możliwości pod warunkiem wszakże, że załatwimy im u dyrektorem banku dwutygodniowe wczasy pracownicze w Kudowie Śląskiej. Po ustaleniu warunków wymiany towarzyskiej przypieczętowaliśmy znajomość za pomocą litra wódki wiśniówki, którą to panie przyniosły razem z trzema „kielichami”, czyli trzema słoikami po musztardzie.

Następnego dnia „Społeczny Komitet Budowy Stacji Telewizyjnej” w Radomiu wydał przyjęcie na cześć naukowców

z Politechniki Wrocławskiej i sfinansował libację, jak się później okazało, z konta przeznaczonego na budowę stacji przekaźnikowej. Ani wcześniej, ani później nie byłem tak pijany jak po tej libacji. Niestety odmówić nie mogłem, gdyż towarzystwo było honorowe i odmowa wychylenia choćby jednej „setki” (100 g) mogła skończyć się zerwaniem kontraktu albo przynajmniej... mordobiciem. Kroku w opilstwie dotrzymywał nam młodociany, dziewiętnastoletni Władek. Kiedy po libacji, zataczając się, dowlekliśmy się do hotelu, padłem na łożo jak sparaliżowany, nie mogąc ani usnąć, ani wstać. Słyszałem tylko, że Władek zdecydował się zejść do stróżówki, aby pożyczyć zapalki, bo zachciało mu się zapalić papierosa. Ocknąłem się z pijanego oglupienia koło czwartej nad ranem i zobaczyłem łóżko chłopaka puste. Tej nocy budziłem się jeszcze dwa razy półprzytomny, niepokojąc się o młokosa, który być może spadł ze schodów i połamał sobie nogi.

W Radomiu mieszkaliśmy we trzech w jednym pokoju, w hotelu, którego drzwi wejściowych pilnowała już dość leciwa odzwiernia. Jej zadaniem było uważać, aby goście hotelowi nie zabierali ze sobą kluczy i by rezydenci moralnie się prowadzili, a więc aby nie sprowadzali do pokoi dziewczyn. Ponieważ w socjalizmie homoseksualizm został jakoby całkowicie wyeliminowany, ci z homoseksualistów, którzy jeszcze praktykowali miłość męsko-męską, mieli raczej dogodne warunki lokalowe. Nigdy odzwierniej staruszce nie przyszłoby do głowy podejrzewać, że tuż pod jej boki mają miejsce męsko-męskie amory lub damsko-damskie relacje.

Władek, który ze skruszoną miną pojawił się o godzinie dziesiątej rano, wyjaśnił, że rzeczywiście poszedł do stróżówki tylko po zapalki. Ale odzwiernia wciągnęła go pijanego do przyległego pokoiku i... zgwałciła. Było to o tyle ciekawe, że różnica wieku między nimi była z górą pięćdziesiąt lat... na korzyść odzwierniej, rzecz jasna. Od tego momentu recepcjonistka staruszka (właściwie z uwagi na możliwości, jakimi jeszcze dysponowała, to nie wiem, czy powinienem ją tak określać) wręczała nam klu-

cze z błogim uśmiechem i nawet wzmiankowała, że będzie patrzeć w drugą stronę, jak sobie sprowadzimy jakieś dziewczyny do pokoju. Oczywiście przyzwolenie na wizyty dziewczyn w pokoju hotelowym nie dotyczyło Władka.

Kilka dni po tych wydarzeniach przyjechała do Radomia Zofia, moja alternatywna, pozamałżeńska miłość. Zofia cechowała się wydatnym (bardzo!) biustem i wysokim wzrostem. Na marginesie muszę dodać, że ten biust omamił mnie do tego stopnia, że jego właścicielka została na jakiś czas moją drugą żoną. Libacje organizowane przez komitet społeczny urządzone były z częstotliwością, którą ograniczał jedynie czas potrzebny na wytrzeźwienie, czyli odbywały się dzień w dzień. W czasie jednej z nich dyrektor Bieruta poprosił do tańca Zofię, czego nie miałbym mu ostatecznie za złe, gdyby nie to, że przedstawił wtedy strasznie przykry widok. Biust Zosi spoczywał bowiem po obu stronach głowy dyrektora i opierał się na jego wydatnych uszach. Władek, już wyraźnie pijany, a mniej obyty towarzysko, nie mógł znieść tego widoku i dopadł dyrektora z widelcem w rękę, na którym tkwiło dzwonko marynowanego śledzika. Chyba chciał go ugodzić tym widelcem w kręgosłup. Był to niecny zamiar, jako że dyrektor Bieruta miał nos wciśnięty w okolice pępka Zofii, nie widział więc napastnika i nie mógł się bronić ani też wyciągnąć służbowego pistoletu, który nosił w cholewie oficerek. Świadom konsekwencji politycznych rzuciłem się z Andrzejem Drozdem na pomoc gospodarzowi. Na szczęście zdołaliśmy obezwładnić pijanego młokosa, który zawstydzony się swego czynu, zaczął rzewnie płakać. Chyba zrozumiał, że swą popędliwością nie tylko mógł spowodować paraliż pułkownika, ale nawet poplamić mu olejem marynarke!

W owym czasie nie zastanawiałem się, kto płacił za te libacje, jako że mnie nie przedstawiano rachunków. Prawda wyszła dopiero kilka miesięcy później, kiedy Politechnika Wroclawska zaczęła się domagać zapłaty za swoje inwestycje potrzebne dla budowy przekaźnika. Okazało się wtedy, że pieniędzy brak, gdyż się rozeszły w Radomiu na tak zwane koszty własne i repre-

zencyjne. Wkrótce potem wyjechałem z kraju do Szwecji i do dzisiaj nie wiem, czy politechnika dostała pieniądze, czy też pogodziła się ze stratą. Dla porządku muszę dodać i wyjaśnić, że komitet społeczny zachował się honorowo w stosunku do Zespołu Naukowo-Inżynierskiego profesora Bincera i nasze pięćdziesiąt procent podjęliśmy gotówką z banku PKO bez żadnych komplikacji.

Dwadzieścia pięć lat później, będąc już obywatelem amerykańskim i szefem własnego przedsiębiorstwa, przeczytałem w polskiej gazecie, że obywatele miasta Radomia bronią przed likwidacją zbudowanego przez nas przekaźnika telewizyjnego. Okazało się, że służył im dobrze przez ćwierć wieku, a nowo zbudowana stacja telewizyjna w Górach Świętokrzyskich, która miała objąć swym zasięgiem Radom, nie spisuje się tak dobrze jak stary przekaźnik telewizyjny, zbudowany w roku 1959 przez grupę naukowców pod kierownictwem profesora Stefana Bincera. Poczujęm, że mimo wszystkich wykroczeń, jakich dopuściliśmy się wobec ludowej ojczyzny i Dziesięciorga Przykazań, wysiłek nasz nie poszedł jednak na marne i przybliżył obywateli Radomia do wielkiego świata.

Szlifierki dentystyczne

Był rok 1958, kończyłem dwudziesty trzeci rok życia i system ekonomiczny PRL-u zrobił wszystko, abym, będąc osobą prywatną, nie mógł zarobić kilku złotych poza pensją uniwersytecką, gdyż jako własność państwa, miałem przeznaczyć cały swój czas na budowanie socjalizmu w Polsce, krajach zamorskich i na całym świecie.

Między reperacją a produkcją wilgociomierzy do zboża, akwizycją zamówień na przekaźniki telewizyjne a produkcją hałasomierzy udało mi się znaleźć jeszcze czas na zupełnie prywatną działalność handlowo-przemysłową, w postaci produkcji dentystycznych szlifierek używanych przez techników dentystycz-

nych przy wykonywaniu protez. O tym, dlaczego był to dochodowy interes, wspomniałem na początku mej książki, w rozdziale „Janek sięga po pióro”. Szlifierki dentystyczne nie były dostępne w powszechnej sprzedaży, aby poprzez ten fakt unieвозмоżliwić technikom dentystycznym prywatną praktykę. Jednak części wymienne do nich, jak na przykład tak zwane „giętkie wały” (rękawy), można było łatwo kupić. Klientami w tych hurtowniach zaopatrzenia dentystycznego były instytucje państwowe, czyli protezownie powiatowe, ale także indywidualni dentyści, ci, którzy jakoś uchowali się przed kosą urzędu podatkowego.

Ela Pieńkowska, moja ówczesna dziewczyna, miała w sobie wiele wartości widocznych gołym okiem i kilka ukrytych. Te widoczne to jej pracowitość, znajomość fachu technika dentystycznego i uroda. Ukryte to przede wszystkim zalotność, która powodowała u mnie poczucie męskiej nie tylko potencji, ale wręcz omnipotencji. Ela pracowała w protezowni dentystycznej przy dyrekcji kolei żelaznych we Wrocławiu. Wynagrodzenie techników dentystycznych było tam mizerne, prawie że głodowe, ale równocześnie tajemnicą poliszynela było to, że można tam było zarabiać też „na boku”. Protezownia służyła raczej jako szyld i biuro zamówień, gdzie kolejarze mogli składać zamówienia prywatne na dobrze dopasowane, sztuczne szczęki, czyli inaczej mówiąc, protezy dentystyczne. Ci z emerytów Polskich Kolei Państwowych (PKP), którym śniły się dawne kapitalistyczne czasy i wierzyli, że mają pełne ubezpieczenie na usługi dentystyczne, poddawani byli przez personel protezowni „ideologicznemu doksztalcaniu”, które brzmiało mniej więcej tak:

— Proszę państwa, rzeczywiście, PKP zapewnia darmowe usługi dentystyczne w pełnym wymiarze, niemniej są tutaj pewne mankamenty. Przede wszystkim materiały dentystyczne, jakimi protezownia dysponuje, są produkcji radzieckiej, a jak szanowni państwo wiedzą, ludzie radzieccy mają pewne trudności w opanowaniu skomplikowanej technologii ich produkcji. Protezy szybko się łamią i trzeba zaczynać od nowa. My tu,

w PKP, mamy ściśle ograniczony czas na wykonanie państwa uzębienia, więc się spieszymy, a w związku z tym, z tego pospiechu, wymiary protez nie zawsze mogą dokładnie pasować do państwa szczęki, mogą wręcz ją uciskać i dlatego na ogół wolicie, państwo, nosić zęby... w kieszeni, niż w jamie ustnej. Ale mamy też i dobrą wiadomość dla państwa. Czasami zdarza się, że nasz personel może zrobić protezę w domu z materiałów importowanych z zachodu. Mając dużo wolnego, „domowego” czasu — choć ryzykując własną reputacją! — może on dopasować państwu protezę tak dobrze, że zapewne polubicie państwo sztuczne zęby bardziej niż swoje własne.

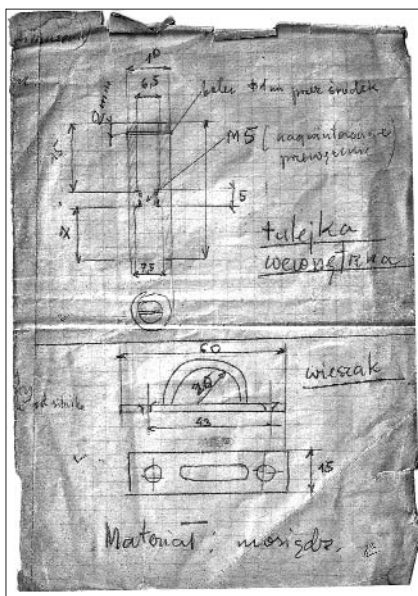
Po takim „przeszkoleniu” dziewięćdziesiąt procent pacjentów protezowni PKP wybierało zęby „z importu”, dopasowane pieczołowicie przez urodzive dentystki z przykolejowej wrocławskiej protezowni. Większość pracy nad prywatnymi zamówieniami była wykonywana, mimo wszystko, w ramach ośmiogodzinnego dnia pracy, który w sposób oczywisty miał duże luki czasowe. Skąd te luki? Po usłyszeniu powyższej przemowy naturalne stało się, że tylko dziesięć procent pacjentów wybierało „państwowe” uzębienie. Więc „państwowych” zamówień nie było aż tak wiele. Niemniej jednak czasami roboty prywatnej było naprawdę dużo i Ela nie mogła wykończyć wszystkich prywatnych zamówień w pracy państwowej — potrzebowała prywatnego warsztatu w domu. Problemem stawała się wtedy szlifierka dentystyczna, której nie można było kupić za żadne pieniądze. Moja dziewczyna zwróciła się do mnie o pomoc. Od kilku dni chodziłem więc po Wrocławiu, myśląc, jak rozwiązać ten problem, który trapił moją dziewczynę i resztę polskich techników dentystycznych, od Bugu do Nysy Łużyckiej i od Bałtyku po Tatry. Problem był o tyle interesujący i „łakomy”, że technicy stanowili w zasadzie klasę ludzi zamożnych; obracali żywą gotówką i dlatego proces produkcji i wymiany dóbr na ich pieniądze w tym przypadku nie wymagał angażowania instytucji państwowych, takich jak politechnika.

Z rynkowego punktu widzenia protezownie były łatwe do lokalizacji, jako że ich adresy były w każdej książce telefonicznej.

Wiedziałam także, że część podzespołów szlifierki dentystycznej, czyli tak zwany rękaw można kupić z łatwością za siedemset złotych, pozostawał więc jedynie problem zakupu motorka elektrycznego i nożnego regulatora szybkości. Pewnego dnia gapiąc się na wystawę księgarzni międzynarodowej z wystawionymi dziełami Lenina, oprawionymi w ładną, brązową skórkę i rozważając, czy nie uda się zrobić z tej skórki ładnych rękawiczek, kątem oka zauważyłem na sąsiedniej wystawie sklepu oferującego artykuły przemysłowe motorek do singerowskiej maszyny do szycia. Była to przystawka, która umożliwiała elektryfikację starych maszyn do szycia stosujących napęd nożny. Przystawka miała wszystko, czego mi brakowało do stworzenia szlifierki dentystycznej, a mianowicie miała przede wszystkim motorek o właściwej mocy i rozrusznik nożny, regulujący szybkość. Pozostało tylko wykonać tak zwane sprzęgło między motor-

kiem a giętym wałem (rękawem) i oto mamy kompletną dentystyczną szlifierkę!

Drobnym mankamentem całego przedsięwzięcia było tylko to, że na motorku była przynitowana mała tabliczka ze specyfikacjami technicznymi i nazwą wytwórcy „Wrocławska Fabryka Wodomierzy”. Zdałem sobie nagle sprawę, że nazwa wytwórcy winna stać się jak najbardziej strzeżoną tajemnicą handlową i dlatego, po zakupie motorka w sklepie, jeszcze na ulicy, podważyłem tabliczkę śrubokrętem i spuściłem ją do kanału ściekowego w myśl zasad konspiracji,



Dokumentacja sprzęgła do szlifierki dentystycznej

o jakich dowiadywałem się na „instruktażowych” szpiegow-
skich filmach.

W ciągu godziny zrobiłem rysunek techniczny sprzęgła i następnego dnia złożyłem całkowicie prywatne zamówienie u tokarza w warsztacie Politechniki Wrocławskiej. Cena od sztuki została ustalona na sto pięćdziesiąt złotych od sprzęgła, warunki płatności określono jako płacenie „z rączki do rączki”. Za dwa dni Ela miała szlifierkę dentystyczną, którą zaraz pochwaliła się w protezowni. Kiedy koledzy dentyści zobaczyli jej szlifierkę, opanowała ich zazdrość i zaczęli dopytywać się, gdzie taki elegancki sprzęt można kupić. Moja dziewczyna powiedziała, że zna „takiego jednego pana”, który jeździ za granicę, do NRD (Niemiecka Republika Demokratyczna) i czasami przywozi takie właśnie szlifierki. Nie chcąc ryzykować ewentualnej wpadki, gdyby prawda wyszła na jaw, Elżbieta nadmieniła jeszcze, że tak w ogóle to ona nie jest do końca pewna, czy szlifierki są rzeczywiście z importu, czy może robione są w Polsce. Na pytanie ile kosztują, powiedziała sześć tysięcy złotych.

Panie i panowie z protezowni obejrzeni szlifierkę bardzo dokładnie i zauważyli cztery nity, które pozostały po oderwanej tabliczce ze specyfikacjami motorka. Stwierdzili zgodnie, że jakość produkcji i te cztery nity wskazują, iż szlifierka musi być przemycana, albo „organizowana” (kradziona) z dostaw z Niemiec zachodnich i dlatego, dla kamuflażu, oderwano tabliczkę z nazwą producenta. Ela nie powiedziała ani tak, ani nie, bąknęła natomiast „możliwe”. Przyszła do domu z zamówieniem na sześć szlifierek bez rękawa, gdyż te można było łatwo kupić. Kalkulacja kosztów własnych wyglądała następująco: cena sprzedaży — sześć tysięcy złotych, koszty własne — osiemset złotych za motorek z przyciskiem nożnym, regulującym szybkość, sto pięćdziesiąt złotych za sprzęgło do rękawa i pięćdziesiąt za mosiężne, niklowane sprzęgło. Kosztów własnych z tytułu oderwania oryginalnej tabliczki znamionowej z nazwą firmy „Wrocławska Fabryka Wodomierzy”, jako minimalne, nie wliczałem. Zysk zatem stanowił pięć tysięcy złotych, czyli pięciokrotnie prze-

wyższą wartość kosztów własnych. Dla porównania, w owym czasie, jako asystent politechniki, zarabiałem dwa tysiące złotych miesięczne, co wystarczało na minimalne utrzymanie.

Wobec takich perspektyw zdałem sobie sprawę, że powinienem jak najszybciej zbudować system dystrybucji krajowej mego dentystycznego wynalazku i zainwestowałem w wielką mapę Polski, gdzie kolorowymi szpilkami zaznaczyłem położenie powiatowych i wojewódzkich protezowni dentystycznych. Zatrudniłem kolegów studentów jako komiwojażerów, którzy nocnymi pociągami wieźli w teczkach po sześć szlifierek i raniem witali powiatowych i wojewódzkich dentystów ofertą dostawy wspaniałych, zagranicznych szlifierek dentystycznych, za jedyne, bagatela, sześć tysięcy złotych! W ten sposób — zanim wyjechałem do Szwecji, by tam zabrać się za zajęcie odpowiadające moim ambicjom i kwalifikacjom — pokryłem szlifierkami do protez dziewięćdziesiąt procent zapotrzebowania na tego typu sprzęt w Polsce. Stos gotówki w mej szafie z bielizną stawał się imponujący. Czyli, tak na dobrą sprawę, to wcale nie potrzebowałem aż Ameryki, by pomnażać swoje pieniądze! Nie będzie mi tu ta Ameryka nosa zadzierać!

Krzywki, czyli jak Janek ratował polski przemysł tekstylny

Moja podróż do Bielawy na Dolnym Śląsku wynikała z powodów demograficznych. Przeczytałem mianowicie we wrocławskiej „Gazecie Robotniczej”, że w Bielawie mieszcza się duże fabryki tekstylne, mające kłopot z nadmiarem dziewcząt. W tamtejszym przemyśle tekstylnym dziewięćdziesiąt procent pracowników stanowiły kobiety w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat, czyli mieściły się w zakresie mych „naukowych” zainteresowań. Chłopów tam jak na lekarstwo, jako że do niskopłatnej pracy w przedsiębiorstwach mężczyźni nigdy się nie nadawali

ani się też nie pchali. A dziewczyny w Bielawie jakoby usychają z tęsknoty za chłopakami. Kierowany obywatelskim obowiązkiem byłego ZMP-owca, wziąłem delegację z politechniki z zamiarem złożenia „wizyty handlowej” w bielawskiej fabryce włókienniczej, która zapewne w tamtych czasach nosiła imię radzieckiej prządki, Lidii Korabielnikowej, bijącej w ZSSR rekordy przędzalnicze albo być może jeszcze jakiejś innej, zasłużonej rewolucjonistki.



Fabryka włókiennicza w Bielawie

Po przyjeździe do miasta zgłosiłem się do dyrektora technicznego przędzalni z zapytaniem, czy fabryka nie wymaga jakichś konsultacji z dziedziny automatyki, elektroniki, nagłaśniania, wyciszania lub pomiaru wilgotności. Na wypadek gdyby nasze usługi były potrzebne, to oczywiście zespół naukowców pod kierunkiem profesora Bincera potrafi się „odpowiednio znaleźć w sytuacji”, przeznaczając dziesięcioprocentową prowizję dla dyrekcji fabryki. Dyrektor najpierw zbladł, podejrzewając

policyjną prowokację, a następnie wyszedł z pokoju. Zacząłem obawiać się, że może dzwoni do Urzędu Bezpieczeństwa, a ja zamiast wyjechać z Bielawy z zamówieniem i wspomnieniami natury erotycznej, zostanę wyprowadzony z fabryki w kajdankach jako wróg ludu pracującego. Po kwadransie, który dla mnie wydawał się wiecznością, dyrektor wrócił i powiedział, że co do elektroniki to nic mu nie jest potrzebne, gdyż do hałasu w przędzalni już przywykł, ale dalsze istnienie fabryki zależy od żeliwnych krzywek, czyli przewodnic nitki bawełnianej. Wyjął z teczki corpus delicti i położył na stole.

— Jeśli, towarzyszu inżynierze, zdołacie dostarczyć nam pięćset takich krzywek, to nie tylko ja, ale także Komitet Powiatowy PZPR w Dzierżonowie będziemy wdzięczni Politechnice Wrocławskiej za uratowanie produkcji — powiedział zdesperowany dyrektor.

Krzywka wyglądała jak zwichrowane koło rowerowe, z tym że była dużo mniejsza, o średnicy około dwudziestu pięciu centymetrów. Na obwodzie był wyfrezowany żłobek, który — jak wyjaśnił dyrektor — prowadził nitkę bawełnianą w czasie nawijania bawełny na szpulę w kształcie wrzeciona. Zadaniem skomplikowanego kształtu krzywki było przesuwanie nitki z mniejszą szybkością w centrum szpuli i szybciej na brzegach. W konsekwencji, szpule nawijane z pomocą tej krzywki wyglądały jak wrzeciona, a nie jak walce. Ten wrzecionowaty kształt szpul bawełnianych był konieczny dla maszyn tkackich. Wszystkie maszyny były produkcji niemieckiej, więc kilkaset takich krzywek zostało w magazynach jeszcze po Niemcach, ale w okresie ostatnich dziesięciu lat większość zainstalowanych krzywek popękała. Dyrekcja w związku z tym spodziewała się, że za dwa, trzy miesiące przędzalnia bawełny w Bielawie stanie z braku części zamiennych, czyli właśnie tych krzywek. Elementy te były zrobione z kruchego, ale twardego żeliwa, obrobionego frezarką, co było majstersztykiem techniki odlewniczej i dlatego nikt w polskim przemyśle państwowym nie chciał się podjąć ich produkcji. Było to w czasach, w których nie istniały jeszcze frezarki

sterowane komputerowo, dla których frezowanie zawitych kształtów jest dziecinnie proste.

Zdegustowany, wziąłem model, czyli krzywkę razem z rysunkiem technicznym i udałem się do klubu pracowniczego, aby przy winie jabłkowym przyjrzeć się pracownikom przędzalni. W końcu po to tutaj przyjechałem. Okazało się jednak, że albo przyjechałem w zły dzień, w środku tygodnia, albo raporty o głodzie seksualnym w Bielawie były jak zwykle przez komunistyczną propagandę przesadzone, gdyż nie zauważyłem żadnego „obiekta” godnego „podrywania”, jak wtedy — w kręgach młodzieżowych — nazywano zaloty, używając terminu zapożyczonego z wędkarstwa. Rozczarowany, stwierdziłem, że dalszy pobyt w Bielawie to strata czasu. Okazało się, że jeszcze zdążę na ostatni autobus PKS-u do Wrocławia, więc udałem się pospiesznie na dworzec.

Kupując bilet, zauważyłem, że jestem obiektem obserwacji eleganckiego mężczyzny w średnim wieku, ubranego we flanelowy płaszcz koloru jasnoczekoladowego. Pomyślałem sobie, że personel Urzędu Bezpieczeństwa jest na moim tropie, a elegancki pan jest jego tajnym pracownikiem. Moje podejrzenia się wzmogły, kiedy przystojny pan tak manewrował między wsiadającymi pasażerami, aby usiąść na sąsiednim siedzeniu. Tajemniczy mężczyzna zrazu wdał się ze mną w towarzyską pogawędkę, pytając skąd jestem i dlaczego odwiedziłem Bielawę. Przedstawił się jako miejscowy lekarz, który właśnie wybiera się do wielkiego miasta Wrocławia, aby zakosztować kultury, opery, baletu i kina, czyli rzeczy wyraźnie deficytowych w powiecie dzierzoniowskim, do którego Bielawa należała. Mówiąc to, zaczął mi ścisnąć jedną ręką kolano i zaproponował, że gdybym kiedyś odwiedził jeszcze Bielawę, to jego dom i łóżko stoi dla mnie otworem. Jednocześnie wyjaśnił, że on darzy szczególną sympatią mężczyzn i mój intelekt jest dla niego nawet ważniejszy niż ma smukła sylwetka. A muszę dodać, że sylwetkę miałem w tamtych czasach bardzo smukłą, będącą wynikiem mych wyczerpujących zobowiązań w stosunku do poci pięknej, a także

wynikiem wygibasów czynionych na parkiecie tanecznym w studenckim klubie „Pałacyk”. Musiałem przystojnemu panu we flanelowym płaszczu wytłumaczyć, że ja nie mam uprzedzeń do jego zamiłowań męsko-męskich, ale me pasje są skierowane w zupełnie innym kierunku i nie obejmują ani chłopców, ani lekarzy, choćby byli nie wiem jak zamożni albo inteligentni. Moimi zainteresowaniami cieszą się prządki i lekarki! Nawet, jeśli są ubogie. Pomyślałem sobie, że może i w Bielawie jest pewnego rodzaju głód seksualny, ale raczej nie w kręgach, o których pisała „Gazeta Robotnicza”. Był to zatem kolejny dowód na kłamstwa i wypaczenia komunistycznej propagandy.

Po przyjeździe do Wrocławia położyłem krzywkę na biurku profesora Bincera i opisałem swą porażkę marketingową. Profesor popatrzył na krzywkę z niesmakiem i powiedział, że przedstawi ten projekt na Uczelnianej Komisji do Spraw Kwalifikacji Naukowych Zleceń jako „Kompleksowy Projekt Radiofonizacji i Nagłośnienia Zakładów Bawełnianych w Bielawie”. Niemniej on sam, jako elektronik, nie ma pojęcia, jak taką krzywkę zrobić, a nawet gdyby miał pojęcie, to w naszej katedrze mamy tylko dwa woltomierze, trzy śrubokręty i wiertarkę ręczną do drzewa, które to instrumenty nie są wystarczającym oprzyrządowaniem do wytopu i odlewania stali. Natomiast ja, jeśli zechcę w dalszym ciągu cieszyć się prestiżem naukowca, winieniem zabrać tę krzywkę z jego biurka i znaleźć kogoś, kto taki element wykona. I co dalej? Dalej to się ją już odpowiednio drogo sprzeda przędzalni w Bielawie, uwzględniając dziesięć procent prowizji dla towarzysza dyrektora technicznego.

Mój wuj, Eugeniusz Woyczyński, u którego w tym czasie mieszkalem, był inżynierem mechanikiem i pracował w dużych zakładach produkujących maszyny budowlane. Zanim stał się pracownikiem państwowym, miał we Wrocławiu odlewnię dzwonów kościelnych, którą jednak Państwo Ludowe mu zabrało. Wuj Eugeniusz, były kapitalista i przemysłowiec, pracując teraz na państwowej posiadzie, organizował zebrania robotnicze na hali maszyn i tłumaczył robotnikom, że pracować trzeba

uczciwie, niezależnie od tego, w jakim systemie się żyje. Takie wypowiedzi nie zaskarbiły mu wielu przyjaciół, ani wśród komunistów, ani wśród antykomunistów. Partia uważała, że zadanie indoktrynacji należy do partii, a robotnicy uważali, że zamiast „gadki szmatki” trzeba im przemawiać do ręki, albo do żołądka. Ogół uważał wuja za maniaka i dyrekcja w końcu usunęła go z produkcji, skazując na wygnanie do biblioteki technicznej, jako że znał kilka języków, a w bibliotece na szczęście nie mógł czytać rozkładu moralnego... wśród książek.

Wuj Eugeniusz w rzadkim dla siebie „momencie realizmu” skontaktował mnie z inżynierem Cesarzem, który był kierownikiem odlewni metali w fabryce, w której mój wuj był zatrudniony. Tam także pracował fachman, złota rączka, który potrafił budować z gliny formy odlewnicze, o jakich się innym wręcz nie śniło. Jego kwalifikacje zawodowe były jednak zahamowane systemem socjalistycznych wynagrodzeń. Zaistniała sugestia, że jeśli w ramach godzin pracy odleje i wyfrezuje krzywki takie same albo lepsze niż niemieckie, o jakości jakiej nie znajdzie się w całym systemie państw socjalistycznych, łącznie z NRD, to dostanie coś do rączki. O ile sobie przypominam cena za krzywkę, jaką płaciliśmy inżynierowi Cesarzowi, wynosiła dwieście pięćdziesiąt złotych. Jaki był podział tych pieniędzy między Cesarzem a mistrzem odlewniczym, pozostaje do dzisiaj niezgłębioną tajemnicą. Ważne było, że w ciągu najbliższych trzydziestu dni odebraliśmy od kierownika odlewni trzysta krzywek, które profesor Bincer wycenił na dziewięćset pięćdziesiąt złotych każda. W sumie dostarczyliśmy do Bielawy około sześciuset sztuk tych specyficznych elementów, które uratowały produkcję zakładów przędzalniczych i zapewniły ich funkcjonowanie w ciągu najbliższej dekady.

Politechnika zainkasowała z przędzalni w Bielawie za „prace naukowe i konsultacyjne w dziedzinie radiofonizacji” pięćset siedemdziesiąt tysięcy złotych. Z tej sumy zapłaciła sto pięćdziesiąt tysięcy złotych inżynierowi Cesarzowi wedle przykaza: „Co boskie Bogu, a co cesarskie Cesarzowi”. Z pozostałą,

pokażną sumą należało coś zrobić. W tym momencie zaistniały pewne kłopoty natury formalnej. Na Politechnice Wrocławskiej asystent techniczny mojej rangi mógł zarabiać w ramach „konsultacji” piętnaście złotych na godzinę i pracować nie więcej niż czterdzieści godzin miesięcznie. Profesorowi chyba przysługiwało mniej godzin, ale stawka była wyższa i wynosiła sześćdziesiąt złotych za godzinę pracy. Moja miesięczna pensja wynosiła w tym czasie dwa tysiące złotych. Wobec takich realiów profesor Bincer sięgnął do swego „literackiego wsparcia”, czyli do historii opisaney przez Gogola, a dotyczącej martwych dusz pańszczyźnianych, które odegrały niebagatelną rolę podczas handlu posiadłościami ziemskimi w carskiej Rosji. Chodziło o to, że fikcyjnie zawyżano wartość posiadłości przez dopisywanie do listy żywych jej mieszkańców nazwisk osób, których dane personalne widniały na nagrobkach cmentarnych. Nam jednak potrzebne były żywe dusze, a nie martwe! Dusze przynajmniej na tyle żywe, aby mogły doczłapać do okienka kasjera, pobrać pieniądze, podpisać listę płac i przed ostatnim tchnieniem oddać nam dziewięćdziesiąt procent gotówki. Pozostałe dziesięć procent było powszechnie przyjętą zapłatą za fatygę i poniesione ryzyko prawne.

Naszym celem zatem było sztuczne zawyżenie liczby pracowników politechniki, którzy wykonywali prace związane z realizacją kontraktu dla Zakładów Bawełnianych w Bielawie. Musieliśmy przy tym wziąć pod uwagę, że każdy z nich winien pracować nie więcej niż czterdzieści godzin w miesiącu. Z dotrzymaniem tych wszystkich warunków były kłopoty, jako że inżynierowie na politechnice, łącznie ze mną, mieli swe własne prace zleczone i wyczerpany w ten sposób zasób dozwolonych godzin. Przyszło mi jednak do głowy, że pracownicy katedr: Marksizmu-Leninizmu i Ekonomii Politycznej nie mogli mieć prac zleconych z przemysłu, a formalnie byli do takich też uprawnieni. Moją misją było wytłumaczyć towarzyszym marksistom, że naginając nieco niezyciowe prawo, nie tylko nie obalają systemu socjalistycznego, ale nawet go wzmacniają. Przecież to

oni są tego systemu podpora, a jeśli sobie dodatkowo zarobią dziesięć procent za podpis na liście płacy, to wzmocni to jedynie system socjalistyczny. Towarzysze marksiści rażno do projektu przystali, zainkasowali gotówkę i uczciwie — zgodnie z moralnością socjalistyczną — oddali nam nasze dziewięćdziesiąt procent. Dzisiaj widzę, że najwartościowszy materiał dla reformy systemu drzemał właśnie wśród marksistów, starszych kolegów późniejszego prezydenta wolnej Polski, Olusia Kwaśniewskiego, a także działaczy Solidarności — Kuronia i Geremka.

Rok 1958 — Janka zderzenie z angielskim kartoflem

Płynąc w roku 2008 z mą małżonką, Laurą, do Anglii statkiem „Queen Mary 2”, miałem okazję — w czasie obiadów — dzielić stół z angielskim farmerem z hrabstwa Lincolnshire. Okazało się,



Laura Damas-Czekajewska w drodze do Anglii na pokładzie „QM2”

że miał on wielkie przedsiębiorstwo rolne wartości dziesiątków, jeśli nie setek milionów funtów, specjalizujące się w hodowli szpinaku i innych podobnych warzyw. Do uprawy tych produktów wynajmował pola uprawne wynoszące tysiące hektarów w Hiszpanii, Izraelu, a nawet w Maroku. W Anglii, w hrabstwie Lincolnshire, czyścił i pakował szpinak w plastikowe torebki i rozsyłał po całej Europie. Kiedy dowiedział się, że jestem Polakiem, wspomniał, iż polscy robotnicy rolni są bardzo cenieni w jego przedsiębiorstwie. Opowiedziałem mu wtedy moją przygodę na farmie w Lincolnshire i żartem wspomniałem, że celem mojej dzisiejszej podróży do Anglii jest proces sądowy, jaki mam zamiar wytoczyć przeciwko farmerowi z tego hrabstwa, który mnie wykorzystywał pięćdziesiąt lat temu przy zbieraniu kartofli. Od tamtego czasu cierpię na bóle krzyża, które nasilają się z wiekiem, dlatego uważam, że mi się należy z tego powodu kompensata finansowa, wartości kilku milionów funtów.

A oto, jak pół wieku temu uszkodziłem sobie kręgosłup: Wiosną 1958 roku otrzymałem dyplom magistra inżyniera na Wydziale Łączności Politechniki Wrocławskiej w specjalności elektronicznych przyrządów pomiarowych. Od kilku lat pracowałem już jako asystent w Katedrze Urządzeń Radiofonicznych tego samego wydziału. Żyło mi się łatwo i nie głodno. Jednak izolacja Polski od świata zachodniego działała mi bardzo na nerwy, gdyż świat ten niezwykle mnie ciekawił, a szczególnie nieznaną, nęcącą świat zachodniej Europy, gdzie życie toczyło się wedle innych zasad niż te, jakie znałem w PRL-u.

Po przemianach październikowych, w roku 1956, i względnej liberalizacji ustroju politycznego w Polsce zaczęto wydawać paszporty na wyjazdy zagraniczne, głównie w celu odwiedzenia mieszkających na zachodzie rodzin. Ja niestety nie miałem żadnej ciotki lub wujka za zachodnią granicą i podróż na zachód mogła być tylko moją mrzonką. Na szczęście mój kolega ze szkoły średniej, Reniek Oduliński, o którym wiele będę pisał w mych wspomnieniach, wyjechał z wizytą do rodziny w Londynie. Jego wujek, Bolesław Oduliński, żołnierz Armii Generała Andersa,

został po wojnie w Londynie i po liberalizacji wyjazdów, zaprosił Reńka na wakacje. Przed jego wyjazdem podsunąłem mu pomysł, aby wystarał się tam dla nas o jakieś zaproszenie na praktykę wakacyjną. Pomny mych instrukcji, Reniek, w czasie swego pobytu w Londynie, nawiązał kontakt z Andrzejem Stypułkowskim reprezentującym Związek Studentów Polskich (ZSP) w Anglii, a także pracującym dla „Radia Wolna Europa”. Nawiasem mówiąc, ojciec Andrzeja, Zbigniew Stypułkowski, był jednym z działaczy Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ), walczył w Powstaniu Warszawskim i był aresztowany w 1945 roku przez Sowieców razem z szesnastoma innymi przywódcami Polski Podziemnej. Po zwolnieniu z sowieckiego więzienia na Łubiance wrócił do Polski i prawie natychmiast został „ukradkiem” ewakuowany wraz z transportem Unry na zachód. Zabrał wówczas ze sobą także swego czternastoletniego syna, Andrzeja, o którym właśnie mowa. Na skutek londyńskiego kontaktu z Andrzejem Stypułkowskim Reniek wrócił do Polski z zaproszeniem dla dziesięciu polskich studentów do sezonowej pracy w Anglii przy zbieraniu owoców. Jednocześnie Andrzej wymienił nazwisko Janusza Pelca, działacza ZSP, który być może będzie w stanie pomóc nam w załatwieniu paszportów. Janusz, będąc dyrektorem Biura Podróży ZSP, jeździł często do Londynu. Tam właśnie poznał Andrzeja Stypułkowskiego.

Po powrocie Reńka do Wrocławia zaczęliśmy się zastanawiać, w jaki sposób możemy wykorzystać otrzymane zaproszenie. Wytypowaliśmy sześciu kolegów, których wciągnęliśmy na „angielską listę”. Byli nimi: Reniek Oduliński, Jan Czekajewski, Karol Pelc, Leszek Szlachcic, Andrzej Witkowski i kuzyn Reńka o nazwisku Glaizer. Do otrzymania paszportów na wyjazd „poza rodzinny” niestety samo zaproszenie nie wystarczało. O dokumenty na takie wyjazdy winna wystąpić jakaś organizacja, a jedyną organizacją, która była upoważniona do występowania o paszporty dla studentów, był Związek Studentów Polskich. Udaliśmy się więc do dyrektora Biura Podróży ZSP w Warszawie, Janusza Pelca, czyli kuzyna Karola, i przedstawiliśmy mu naszą

prośbę. Aby naoliwić tryby działania Biura Podróży, pozostałe cztery miejsca z „angielskiej listy” oddaliśmy do dyspozycji pracowników biura. Ostatecznie okazało się, że na liście tej, poza naszą szóstką, znalazły się cztery dziewczyny pracowników biura.

Starania paszportowe trwały ponad dwa miesiące i nic dziwnego, że w międzyczasie prawie wszystkie angielskie owoce zostały albo zebrane, albo spadły samoistnie z drzew, nie mówiąc już o truskawkach, zbiór których miał być przecież celem naszego wyjazdu. Wreszcie, w końcu września, wszyscy dostaliśmy paszporty, z wyjątkiem jednej osoby, której paszport najbardziej przysługiwał. Tą osobą był kuzyn Reńka, Glaiser, który z niewiadomych powodów paszportu nie dostał.

Ponieważ w tym samym czasie, w roku 1958, odbywała się w Brukseli Światowa Wystawa Expo` 58, więc przy okazji wyjazdu chcieliśmy i ją zobaczyć. Problem był z pieniędzmi. Mogliśmy kupić w polskim banku jedynie po pięć dolarów, zatem liczyliśmy bardziej na dochody z handlu wymiennego wódką. Każdy z nas miał po butelce albo po dwie wyborowej, a niektórzy spirytus. Bilety kolejowe do Londynu pozwolono nam wykupić za polskie złotówki.

Wyjechaliśmy przez Berlin do Brukseli grupą ośmioosobową, jako że Karol Pelc uprzednio udał się na zaproszenie rodzinne do Francji i miał dotrzeć do Anglii na własną rękę. Aby przeżyć w Brukseli, wieźliśmy ze sobą duże ilości suchej kiełbasy, kabanosów, a także czekoladę twardą i worek z bochenkami chleba. W czasie przesiadki w Berlinie Zachodnim worek z chlebem się otworzył i bochenki potoczyły się po peronie. W Brukseli złożyliśmy do wspólnej kasy nasze dolary i ubłagaliśmy właściciela małego hoteliku, aby wynajął nam jeden duży pokój. W tym pokoju mieszkaliśmy przez trzy noce, śpiąc we dwóch na jednym łóżku. Dziewczyny funkcjonariuszy ZSP spały osobno. Po trzech dniach właściciel hotelu nas wyrzucił. Nie mając innego wyjścia, wsiedliśmy w pociąg jadący do Londynu przez Ostendę, miejscowość kuracyjną nad kanałem La Manche. W Ostendzie

spodziewaliśmy się, że pociąg wjedzie na prom i będzie kontynuował trasę do Londynu. Jakież było nasze zdumienie, a nawet przerażenie, gdy okazało się, że końcową stacją dla tego pociągu nie był Londyn, ale właśnie Ostenda i tę stację o godzinie 22.00 zamykano na klucz. Nie byliśmy jednak samotni. W podobnej sytuacji znalazło się kilku innych studentów brytyjskich. Nie wiedzieliśmy, że w Belgii na stacjach nocować nie wolno. Uprościliśmy wszakże zawiadowcę, aby zezwolił nam przenocować na stacji. Zgodził się pod warunkiem, że stację zamknie razem z nami. Siedzieliśmy i w towarzystwie studentów angielskich pili niechodliwą, przywiezioną z Polski wódkę, zagryzając resztkami kiełbasy. Skoro świt zawiadowca stację otworzył i załadowaliśmy się na prom płynący przez Kanał La Manche do Anglii.

W Londynie spotkał nas zdenerwowany Andrzej Stypułkowski, który nie bardzo wiedział, co z nami zrobić. Spóźniliśmy się z przyjazdem o dwa miesiące i Stypułkowski miał z nami problem, jako że truskawki i czereśnie dawno się skończyły i do zebrania zostały jedynie kartofle w hrabstwie Lincolnshire. Wysłał nas więc na farmę, gdzie dano nam zakwaterowanie w starych, lotniczych barakach ze szklanym dachem — prawdopodobnie polskich. Hrabstwo Lincolnshire w okresie wojny było centrum lokalizacji polskich dywizjonów RAF. Baraki nie były ogrzewane, a koce, które nam przydzielono, marne i wytarte. Być może brudne, ale tego nie było widać na ich szarej i brązowej fakturze. Nocą padał deszcz i okna w dachu przeciekały.

Rankiem, skoro świt pobudka. Na śniadanie czarna, lurowata kawa. Co nam dawano do jedzenia nie przypominam sobie. Zadaniem naszym było zbieranie kartofli za koparką ciągnioną przez traktor. Płacono nam od koszyka, z tym że nie indywidualnie, ale zespołowo. Grupa składała się z trzech czy czterech ludzi mieszanej narodowości. My, Polacy, byliśmy w mniejszości. Koparka miała dużo większą wydajność niż nasze możliwości zbierania. Traktor po zrobieniu koła naciskał na nas z tyłu. W ciągu ośmiu godzin mieliśmy krótką przerwę na lichy posiłek. Po takiej harówce nie można się było wyprostować. Jak na iro-

nię managerami całego zespołu byli Jugosłowianie. Oni wtedy mieli własne paszporty i mogli jeździć po Europie, jak im się podobało. Nie byli nowicjuszami i znali stosunki angielskie. Przyjeżdżali do Anglii zarobić, a nie jak my, turystycznie. Oni to przejeździ stanowiska traktorzystów i sprawiał im przyjemność widok ciężko harujących za marny grosz Polaków. „Mój” traktorzysta miał tranzystorowy odbiornik, który bez przerwy grał modną wówczas włoską piosenkę, z powtarzającym się refrenem: „Volare, ho ho... Cantare, ho ho!”. Później śpiewał ją nawet Luciano Pavarotti i Dean Martin. Awersja do tej piosenki została mi na następne pięćdziesiąt lat. Ilekroć ją słyszałem, zaczynało mnie boleć w krzyżu. Nigdy z życia, ani przedtem, ani po tym, tak ciężko fizycznie nie pracowałem!

Rano, następnego dnia, o godzinie szóstej znowu pobudka. Tym razem nie byłem w stanie podnieść się z pryczy. Powiedziałem kolegom (Leszkowi, Andrzejowi i Reńkowi), że dalszą pracę w angielskim kołchozie mam w dupie i wracam do Polski. Kartofle w komunizmie mają taki sam wygląd jak w kapitalizmie i niczego się tu więcej nie nauczę, mogę natomiast skrzywić sobie kręgosłup zarówno fizyczny, jak i ideologiczny oraz uwierzyć w konieczność proletariackiej rewolucji. Po mej strajkowej deklaracji, ku mojemu zdumieniu, spotkałem się z miążdzącą krytyką kolegów, którzy uważali, że moja dezercja uwłacza honorowi Polski i Polaków. Najbardziej pod tym względem pieklił się Leszek Szlachcic, który wziął sobie za punkt honoru pokazać Anglikom, jak solidnymi wyrobnikami są Polacy.

Ja jednak postanowiłem opuścić angielski kołchoz i jechać autostopem do Londynu. Czułem się dość pewnie, jako że miałem zaskórniak w postaci dziesięciu funtów angielskich, które kupiłem nielegalnie od pana Januskiewicza, pracownika sąsiedniego Zakładu Telekomunikacji na Politechnice Wrocławskiej. Januskiewicz opowiadał, że w czasie wojny był zrzucony na spadochronie do Polski, jako cichociemny dywersant, i że wtedy dostał te funty na „drobne wydatki” w okupowanej Polsce. Jakież było moje zdumienie, kiedy teraz, w Londynie, przy próbie

rozmienienia funtów mój banknot okazał się fałszywy! Na szczęście to nie ja podejmowałem tę próbę, tylko Dwidka Odulińska. Była ona bratanicą Reńka, mieszkającą od lat w Londynie, u której podczas angielskiej eskapady zatrzymałem się. To ona sprytnie poinformowała tamtejszych pracowników banku, że właściciel banknotu już wrócił do Polski, podczas gdy ja... stałem sobie spokojnie przed budynkiem. Niemniej bystra dziewczyna zażądała zaświadczenia, o konfiskacie banknotu. Po powrocie do Polski zażądałem od Januszkiewicza zwrotu pieniędzy za fałszywe funty angielskie, których to zwrot — przy pewnym jego oporze — otrzymałem. Do dzisiaj nie mam pewności, czy człowiek ten wiedział, czy nie, że banknot był fałszywy. Być może, że Brytyjczycy w czasie wojny drukowali fałszywe banknoty w celu finansowania dywersji na tyłach nieprzyjaciela.

W tamtym czasie, w roku 1958, nie mówiłem ani słowa po angielsku. Poza Andrzejem Witkowskim, który trochę znał angielski, tylko jeszcze Karol Pelc mówił jako tako w tym języku, aczkolwiek Karol nie kopał z nami kartofli, gdyż zdążył przyjechać do Anglii na zbieranie śliwek czy renkłod, a potem, jak wynikało z jego relacji, pracował w fabryce konserw. Z Karolem spotkałem się w Londynie, gdy skończył już pracę, ale jeszcze przed jego wyjazdem do Brukseli na Expo`58. Mój brak możliwości porozumiewania się z tubylcami odczułem bardzo upokarzająco i boleśnie. Karol na tym wyjeździe wyszedł znacznie lepiej, chociażby z tego względu, że już mówił dość dobrze po angielsku.

Reniek Oduliński wytrzymał do końca w angielskim kołchozie i zarobił pod koniec pobytu trzydzieści funtów. Po odliczeniu przez właściciela farmy piętnastu funtów jako koszt wyżywienia, Reńkowi zostało tylko piętnaście. Wracając do Polski, Reniek kupił, z myślą o handlu, białe „futro” zrobione z syntetycznego nylonu. Po spieniężeniu „futra” we Wrocławiu mój kolega był w stanie kupić sobie motocykl marki „Jawa 350”, na którym cztery lata później wyjechał do Francji, aby już nigdy do PRL-u nie wrócić.

Ja natomiast, po dotarciu do Londynu, udałem się do domu Bolka Odulińskiego (wujka Reńka), który przed wojną pracował z moim ojcem na poczcie i w Urzędzie Telefonów w Częstochowie. Po konfiskacie moich fałszywych dziesięciu funtów przez angielski bank jedyną moją rzeczą o wartości wymiennej był odbiornik lampowy „Szarotka” produkcji warszawskich Zakładów Radiowych im. Marcina Kasprzaka. Odbiornik ten sprezentowałem mym gospodarzom w podziękowaniu za gościnę. Po dwóch tygodniach wróciłem do Polski z silnym postanowieniem, że nigdy więcej nie znajdę się w sytuacji głuchoniemego, którego otoczenie może uważać za idiotę! Przed samym wyjazdem z Londynu wałęsałem się po śródmieściu, chłonąc atmosferę „zachodniej wolności” i przepychu. Przed „Grosvenor Kensington Hotel” portier rozdawał przechodniom reklamowe naklejki na walizki. Wcisnął mi do ręki kilka z nich. Zachęcony, zacząłem odwiedzać inne hotele na Piccadilly Circus i w jego pobliżu, prosząc portierów o podobne naklejki. Okleiliśmy swoją walizkę. Muszę powiedzieć, że z tak oklejoną walizką, już później, w czasie mych kolejnych podróży drugą klasą kolei żelaznych PRL-u wzbudzałem wielkie zainteresowanie pięknych dziewczyn. Patrząc z perspektywy czasu na moje ówczesne zabiegi, teraz przyznać muszę, że już wtedy miałem zmysł do reklamy. A jak to później finansowo zaprocentowało w firmie „Columbus Instruments”!

Po powrocie do Wrocławia postanowiłem wziąć się na serio za naukę angielskiego. Razem z Andrzejem Witkowskim, później jednym z dyrektorów Centrali Handlu Zagranicznego „Elektrim”, zaczęliśmy brać prywatne lekcje konwersacji od byłego żołnierza Armii Generała Andersa, który polecił nam do nauki znakomite „Angielskie rozmówki dla cudzoziemców”, napisane przez C. E. Eckersleya (1892-1967). Metoda Eckersleya była doskonała i po kilkunastu tygodniach mogłem się już w miarę przyzwocznie porozumieć w języku angielskim. No tak! Dopiero teraz poczułem, że świat stanął przede mną otworem!

W konkluzji mogę zapewnić mych Czytelników, że bez tego wyjazdu w roku 1958, którego efektem miało być zbieranie

angielskich kartofli, moja podróż transatlantyką „Queen Mary 2”, pięćdziesiąt lat później, nie miałyby miejsca. Chciałbym jeszcze nadmienić, że w czasie mojego krótkiego pobytu w Londynie udałem się do biblioteki w British Muzeum, gdzie dano mi odbitkę monografii o metodach pomiaru wilgotności różnych materiałów. Po powrocie do Polski na podstawie tej monografii napisałem swą pierwszą publikację w miesięczniku „Pomiary, Automatyka, Kontrola”, którą z kolei w dwa lata później zaimponowałem profesorowi P. A. Tove z Instytutu Fizyki w Uppsali. Profesor zaoferował mi wtedy pracę asystenta. W życiu ciekawe jest to, że bardzo często zachodzi ścisły związek między uprzednimi, drobnymi zdarzeniami a ich późniejszymi, już daleko idącymi i poważnymi konsekwencjami. Ciągłe nie mogę się temu zjawisku nadziwić! Jestem przekonany, że to ostatnie zdanie, powinno być (i na pewno było, jest i będzie — bo filozofowie nie śpią!) zarzewiem głębokiego filozoficznego opracowania.

Wakacje w Rumunii

Wspominanie mych wakacji z lata 1959 roku tylko na pozór nie ma sensu, gdyż tylko na pozór wydawałoby się, że w czasie mego pobytu nad Morzem Czarnym, w Mamai, nic wartego wzmianki się nie wydarzyło. A jednak. Zdarzył się tam wypadek brzemienny dla mnie w konsekwencje, który miał miejsce w czasie podróży odbytej pociągiem z Warszawy przez słowacką Bratisławę do Bukaresztu.

Wycieczka była zorganizowana przez polskie Biuro Podróży „Orbis”. Jej koszt, wynoszący dwa tysiące złotych, pokrywający dwa tygodnie pobytu i przejazd wagonem sypialnym, był w granicach moich możliwości finansowych jako młodego inżyniera i „podziemnego producenta” szlifierek dentystycznych. W Warszawie, razem z nami, polskimi turystami, do pociągu wsiadła grupa piętnastu studentów amerykańskich, wracających z Moskwy przez Warszawę do Wiednia. Ponieważ w tamtym czasie

staralem się wykorzystać każdą okazję do podszlifowania mej znajomości języka angielskiego, po kilku godzinach jazdy przeszedłem z mego wagonu sypialnego do wagonu, w którym podróżowali Amerykanie, starając się nawiązać z nimi przyjacielską dyskusję. Pociąg zatrzymał się w Bratysławie w celu odprawy paszportowej i wymiany lokomotywy. W czasie mej rozmowy z Amerykanami wszedł do wagonu oficer czechosłowackiej straży granicznej, sprawdzający paszporty. Amerykanie zebrali piętnaście swoich paszportów i oddali je oficerowi, który zniknął gdzieś z nimi na pół godziny. Po powrocie oddał kupkę paszportów jednemu z Amerykanów. Widocznie nie policzył ludzi w przedziale i nie porównał z ilością otrzymanych dokumentów. Potraktował mnie jak jednego z amerykańskich studentów, z czego ani ja, ani Amerykanie nie zdaliśmy sobie sprawy. Oficer zasalutował i wyszedł.

Kiedy po godzinnym postoju pociąg ruszył, z ciekawości wyjrzałem przez okno i zauważyłem, że nasz pociąg składający się początkowo z dziesięciu wagonów stał się nagle krótszy. Zostały tylko trzy wagony. Moja walizka i dokumenty były w wagonie numer 6. Przerażony, pobiegłem do konduktora z zapytaniem, co się stało i dlaczego odczepiono pozostałe wagony. Otrzymałem wyjaśnienie, że siedem ostatnich wagonów zostało odczepionych, gdyż ich przeznaczeniem jest Bukareszt, a pierwsze trzy wagony właśnie za chwilę przekroczą granicę czechosłowacko-austriacką i skierują się na Wiedeń. Rzuciłem się do drzwi wyjściowych, gdyż nie byłem przecież przygotowany do banicji w kraju kapitalistycznego ucisku! W otwartych drzwiach wagonu z przerażeniem zobaczyłem żołnierza z pistoletem maszynowym, wpychającego mnie z powrotem do wnętrza wagonu. Wzdłuż całego peronu, co dziesięć metrów, stali żołnierze z automatami, których zadaniem było zapobiec ucieczce własnych obywateli na kapitalistyczny zachód. Pociąg stopniowo nabierał szybkości, a ja usilnie starałem się wyskoczyć z niego na bratnią, socjalistyczną ziemię. Czegoś takiego jeszcze w Bratysławie nie widziano! Pociąg zatrzymano i w końcu

jakiś wyższy rangą oficer podszedł do mnie, by wyjaśnić sytuację. Ponieważ nie chciałem uciekać na zachód, tylko jak najbardziej zostać w socjalizmie, moje zachowanie potraktowano z wyrozumiałością i pozwolono mi przejść do wagonu numer 6, który jeszcze, na szczęście, nie odjechał do Bukaresztu. Pomyśleć! Iluż ludzi straciło życie, uciekając na zachód przez tę samą granicę, a ja, któremu los tę wolność zaoferował gratis, z tej oferty nie skorzystałem! Przynajmniej nie w tamtym momencie.

Następnego dnia już jechaliśmy przez Węgry i Rumunię do Bukaresztu, a potem dalej do miejscowości wypoczynkowej Mamaja, nad Morzem Czarnym. W wagonie sypialnym jazda była komfortowa. Nudę zabijałem odwiedzinami w wagonie restauracyjnym. Na korytarzu mego wagonu, naprzeciwko drzwi do mej kabiny, stała para studentów, chłopak i dziewczyna, jadących w tym samym kierunku. Okazało się, że byli szwedzkimi studentami z uniwersytetu w Uppsali. Jak wszyscy wykształceni Szwedzi mówili dobrze po angielsku. Mieli bilety do zatłoczonej drugiej klasy, wobec czego stanie na korytarzu w wagonie sypialnym było dla nich i tak lepszym rozwiązaniem. Ponieważ w czasie dnia łóżko moje nie było zajęte, zaproponowałem im, aby w nim spali, podczas gdy ja w międzyczasie posiedzę sobie w wagonie restauracyjnym. Rozmawiając z nimi, wpadł mi do głowy pomysł, który zamieniłem w prośbę, aby moi nowi znajomi poszukali w Uppsali kogoś, najlepiej studenta, który byłby zainteresowany odwiedzeniem Polski i na wymianę zaprosił mnie do Szwecji. Dla tych młodych Czytelników, którzy nie znają czasów PRL-u, wyjaśniam, że polskie złotówki nie były wtedy oficjalnie wymienialne na waluty zachodnie. Koszty prywatnych podróży i pobytu w krajach za „żelazną kurtyną” musiały być pokrywane przez osoby zapraszające, zamieszkałe za granicą.

Po dwóch tygodniach bardzo przyjemnego pobytu w Mamai wróciłem do Wrocławia. Natomiast po miesiącu, ku memu przyjemnemu zdumieniu, dostałem list od studenta matematyki z Uppsali o nazwisku Lars Inge Hedberg z propozycją wymiany odwiedzin — mojej w Szwecji i jego w Polsce. Okazało się, że

moi znajomi Szwedzi dali ogłoszenie w uniwersyteckiej gazecie z moją turystyczną ofertą. Poza listem od Larsa Inge Hedberga nie dostałem żadnych innych propozycji. Wkrótce Lars przyjechał do Wrocławia własnym samochodem marki „Saab” i wybraliśmy się razem w podróż po Polsce. Po miesiącu Szwed wrócił do Uppsali i obiecał, że będzie czekał na moją rewizytę. W ten sposób właśnie, po pobycie w Finlandii, wykorzystałem zaproszenie Larsa do Uppsali i tam zaczęła się moja emigracja oraz interesujący związek zupełnie przypadkowych okoliczności i zdawałoby się mało znaczących decyzji, które tak diametralnie potrafią zmienić drogę życia. Okazało się, że drobna przysługa, jaką było zaoferowanie komuś noclegu, skutkowała — w moim wypadku — daleko idącymi konsekwencjami.

Wspomniany student matematyki, Lars Inge Hedberg, został później znanym szwedzkim naukowcem, a także prezesem Szwedzkiego Towarzystwa Matematycznego. Lars Inge zmarł w roku 2005. Ostatni kontakt z nim miałem na krótko przed jego śmiercią, w czasie mej wizyty w Uppsali. Od wielu lat Lars Inge był profesorem na uniwersytecie w Linchoping, w środkowej Szwecji. W rozmowie telefonicznej powspominaliśmy wtedy nasze pierwsze spotkanie i wspólne podróże po Polsce.

A teraz taka ciekawostka. Długo nie pamiętałem nazwiska studenta, który podróżował ze mną do Rumunii, stojąc na korytarzu wagonu sypialnego, a który zamieścił w uppsalskiej studenckiej gazecie „Ergo” moje ogłoszenie. Nazwisko to zapomniałem na lat pięćdziesiąt! Teraz jednak, czytając tajne dokumenty Urzędu Bezpieczeństwa, wytworzone kiedyś na temat mojej osoby, a otrzymane ostatnio z Instytutu Pamięci Narodowej, dowiedziałem się, że student ten nazywał się Rejdar Larson. Takie wtedy nazwisko przygodnie spotkanego Szweda musiałem podać oficerowi, który mnie przesłuchiwał w październiku 1962 roku w Lublinie. Dlatego, jeżeli teraz ktoś twierdzi, że tajne esbeckie zapiski niczemu dobremu nigdy nie służyły, to stanowczo temu zaprzeczam! Czasami PRL-owski kontrwywiad był użyteczny!

Rok 1960 — Zabiegi o wyjazd do „Północnego Nieba”

Po powrocie z Anglii i zaznajomieniu się z językiem angielskim w stopniu dość prymitywnym zacząłem świadomie szukać kontaktów w celu rozszerzenia mej znajomości krajów znajdujących się „w okowach” imperialistów. Pracowałem wtedy do późna wieczór w Katedrze Urządzeń Radiofonicznych we Wrocławiu przy ulicy Prusa 53, gdzie dzisiaj mieści się Wydział Architektury, i piechotą wracałem do domu. Wynajmowałem wówczas pokój od pani Żelewskiej, w budynku przy ulicy Powstańców Śląskich. Dzisiaj naprzeciw tego budynku stoi hotel „Wrocław”. Był to jeden z oryginalniejszych niemieckich domów przy tej ulicy, który ostał się cały podczas obrony Festung Breslau.

Pokój u pani Żelewskiej wynająłem w trybie przyspieszonym, po tym jak mój wuj, Eugeniusz Woyczyński, wyrzucił mnie w sposób dramatyczny z mieszkania przy ulicy Smoluchowskiego, gdzie przez pierwsze cztery lata mych studiów z łaski mej ciotki, Otylii, mieszkałem. Bezpośrednią przyczyną konfliktu z wujem była wizyta pewnej częstochowianki, którą zaprosiłem do Wrocławia w celach bliższego zapoznania. Panienka ta, nazwisko i imię uleciało już mej starszej pamięci, zamieszkała tymczasowo w mieszkaniu mego kuzyna, Marka Czekajewskiego, z Radomska. Zaprosiłem ją na ulicę Smoluchowskiego w celach towarzyskich, jak najbardziej (niestety!) moralnych. Zamierzaliśmy w jej towarzystwie, razem z kolegą, Andrzejem Witkowskim, odkorkować flaszkę wina. Kiedy mój wuj zobaczył ową panienkę w towarzystwie dwóch młodzików, poniosły go nerwy — chyba z zazdrości — i wskazując palcem na drzwi wejściowe, wyraził się ubliżająco:

— Paszoł wont!!!!. — wrzasnął.

Nie jestem pewien, ale wujek chyba położył akcent na końcową literę „t”, której nota bene nie powinno być tam w ogóle.

— Jak chcecie sobie sprowadzać panie lekkich obyczajów, czyli wulgarnie mówiąc, kurwy, to nie do mego domu, tylko do hotelu! — perorował wuj.

Widocznie myślał kategoriami sanacyjnymi; sanacyjna moralność dopuszczała istnienie hoteli do takich celów. Zachowanie wuja bardzo mi ubliżyło, gdyż cel wizyty panienki z Częstochowy był jak najbardziej niewinny. Powiem więcej, owa panienka mym zalotom się stanowczo opierała. No, ale wuj Eugeniusz nie znał szczegółów całej historii, co może go do pewnego stopnia tłumaczyć. Niemniej użycie istniejącego w języku naszych wschodnich sąsiadów dosadnego zwrotu wyprasającego dołało oliwy do ognia i następnego dnia, za pośrednictwem ogłoszenia z gazety, wynająłem w trybie przyspieszonym pokój u pani Żelewskiej. Gospodyni była, jak się okazało niebawem, Niemką, która miała polskie korzenie. Po wojnie jej matka zamieszkała w Berlinie, a ona została we Wrocławiu. Pani Żelewska była osobą dość atrakcyjną, w średnim wieku, która po kąpielach, ubrana w luźny szlafrok, zaczynała robić mi jakieś nieprzyzwoite sugestie, podsuwając do obejrzenia „sprośne”, stare niemieckie czasopisma pornograficzne i wyraźnie oczekiwała komentarzy. Ja jednak zrozumiałem, że jeśli poddam się czarowi hitlerowskiej propagandy, czyli „skomentuję” obrazki, to drzwi wejściowe dla innych znajomych dziewcząt będą zamknięte. Nie pozostawało mi nic innego jak udawać naiwnego „dziewica” (rodzaj męski od „dziewicy”), czyli w języku potocznym, głupka, dupka, albo prawiczka.

Atrakcyjna Niemka miała jednak dobre serce, a może poczucie winy za niechlubne poczynania narodu, z którym się identyfikowała? Na soboty i niedziele zapraszała do siebie pewną kobietę, prawdopodobnie z jakiegoś domu opieki, była więźniarkę obozu dla kobiet w Ravensbruck, na której zbrodniarze hitlerowcy przeprowadzali eksperymenty medyczne w celu poprawienia rasy germańskiej. Ten dobry uczynek Żelewskiej był dla niej dużym wysiłkiem, jako że nie miała samochodu (ale któż z nas go miał!) i dowoziła swojego gościa tramwajem. Pensjonariuszka

domu opieki spała wtedy w kuchni, na rozkładanym łóżku. Na marginesie muszę wspomnieć, że całe mieszkanie składało się z dwóch pokoi, łazienki i wąskiej, wspólnej kuchni. Wojenne przeżycia więźniarki, a szczególnie zbrodnicze operacje, spowodowały uszkodzenia w jej mózgu i pomieszały zmysły. Doszło do tego, że po jakimś czasie kobieta ta zaczęła oskarżać Żelewską, że ta chce ją zamordować, zatem jej dalsze wizyty u mojej gospodyni stały się już niemożliwe.

No, ale wróćmy do Finlandii. Po pracy, zwykle koło godziny 20.00, idąc do domu, wpadałem do klubu studenckiego „Pałacyk”. Tam mieściła się kawiarnia studencka i zespół jazzowy grał taneczne kawałki. W pewnym okresie, a dokładnie w latach 1959-60, działał tam dobry zespół Murzynów amerykańskich, który nazywał się „New York Jazz Quartet”. Chyba Ambasada Amerykańska sponsorowała ich granie, gdyż nie można było sądzić, aby klub studencki miał pieniądze na ich opłacenie. Klub ten przyciągał studentów uczelni wrocławskich, a także osoby w ten czy inny sposób związane z tymi uczelniami.

Pewnej nocy spotkałem tam grupę „dyrektorów” fińskiego Związku Studentów, którzy już mocno podpiści, pragnęli bawić się dalej, ale wyczerpała im się gotówka. Przyszedłem im z pomocą, proponując wymianę polskich złotych w zamian za miesięczne zaproszenie mnie do Finlandii, łącznie z pokryciem kosztów pobytu, na co Finowie chętnie przystali. Szybko popędziłem do domu i przyniosłem im kilka tysięcy złotych, które chowałem w szafie między bielizną. Były to pieniądze zarobione przy sprzedaży szlifierek do protez dentystrycznych. Finowie byli zdziwieni, że nie zażądałem żadnego pokwitowania, a przecież była to suma dość znaczna, równoważna kilku miesiącom pracy asystenta politechniki.

Fińscy studenci też spisali się na medal. Po miesiącu otrzymałem od nich list z zaproszeniem do Helsinek. Był to dokument imponujący, z wielką pieczęcią, i mogący robić odpowiednie wrażenie na „paszportowych” biurokratach. Na podstawie dwóch zaproszeń łatwo uzyskałem wizę fińską i szwedzką.

Zamierzałem przecież, po pobycie w Helsinkach, jechać do Szwecji, do Uppsali, w ramach wymiany ze studentem matematyki, Larsem Inge Hedbergiem. Z fińskim zaproszeniem udałem się do Janusza Pelca, kuzyna Karola, który kierował Biurem Podróży Związku Studentów Polskich i poprosiłem o pomoc w otrzymaniu paszportu, podobnie jak to miało miejsce w roku 1958, przy wyjeździe do Anglii na wykopki kartofli. Janusz Pelc załatwił mi paszport i pod koniec sierpnia znalazłem się w Helsinkach. Podróż odbywała się pociągiem przez wschodnie Niemcy, Ystad, Sztokholm i promem do Turku, potem znów pociągiem do Helsinek. W Sztokholmie, jak sobie przypominam, padał deszcz i musiałem czekać kilka godzin na mały prom płynący do Turku w Finlandii. Schroniłem się w budynku poczty w pobliżu portu. Wyjąłem bochenek chleba i osełkę masła, które to wiktuały wiozłem z Polski. Popijając wodą, zgotowałem sobie tym sposobem „obiad”. Czułem się zawstydzony swoją biedą, szczególnie wtedy, gdy widziałem uśmiezki przechodzących koło mnie Szwedów. Butelkę wódki, jaką wiozłem ze sobą, zostawiłem na później, jako nieodzowny środek ułatwiający kontakty towarzyskie. Jak się wkrótce okazało, pozwoliła mi ona nawiązać kontakt towarzyski z Niemcem i urodziwą Finką, podróżującymi tym samym promem, a więc jeszcze zanim dotarłem do celu. Niestety Finka po kilku kieliszkach zsunęła się pod stół i zabawa się skończyła obawą, że się już więcej żywa stamtąd nie wydobędzie.

W Helsinkach zostałem przyjęty przez znajomych „dyrektorów” Związku Studentów Fińskich. Jednym z nich był Pentti Mahlamaki, a drugim Matti Hagman. Dzisiaj, piętnastego grudnia 2009 roku, dostałem e-mail z Helsinek, że pamięć mnie nie zawodzi i że fińscy „funkcjonariusze” tak się właśnie nazywali. Niestety Pentti Mahlamaki zmarł młodo, bo dwadzieścia lat temu, ale Matti Hagman żyje. Muszę do niego napisać i razem powspominamy. Moi znajomi umieścili mnie wtedy w domu akademickim i dostałem od nich kupony do stołówki studenckiej. Poprosiłem także o fiński glejt w postaci listu, który miał

instruować organizatorów wszystkich zabaw studenckich, że winni mnie, ważnego przedstawiciela studentów polskich, wpuszczać na zabawy bez żadnej opłaty.

W czasie jednej z takich studenckich potańcówek poznałem córkę konsula włoskiego, która z kolei poznała mnie z żoną ambasadora włoskiego w Finlandii. Była nią atrakcyjna Polka, pani Tyszkiewicz, chyba hrabina. Pani hrabina Tyszkiewicz zaprosiła mnie do ich ambasadorskiej rezydencji, gdzie przy winie Chianti przekonywałem ją o wyższości ustroju socjalistycznego nad kapitalistycznym. Pani ambasadorowa obiecała mi, że jak wrócę do Helsinek ze Szwecji, to zorganizuje dla mnie przyjęcie, gdzie będę mógł poznać wielu ludzi z „wyższych sfer”. Z propozycji tej nie skorzystałem, bo do Helsinek z Uppsali już nie wróciłem. Stanowisko w Instytucie Fizyki, jakie zaoferował mi profesor Per Arno Tove, było ciekawsze niż praktyka w fabryce kabli elektrycznych „Finska Kabelfabriken”, jaką z kolei załatwił mi profesor Jari Jauhiainen z politechniki w Helsinkach, zainteresowawszy się moją osobą. Wałęsając się po Helsinkach, natknąłem się w słynnym miasteczku uniwersyteckim, Otaniemi, na grupę wysoko postawionych sowieckich turystów, którzy słowiańskim zwyczajem zaprosili mnie na obiad. Jeden z nich okazał się głównym architektem warszawskiego Pałacu Kultury im. Józefa Stalina. Przez uprzejmość i z powodu proszonego obiadu, jego talentu architektonicznego nie skomentowałem.

Z innych ciekawostek, które zostały w mej pamięci, to przygoda w samoobsługowym barze. Jak wiadomo język fiński jest jedynym w swym rodzaju i cechują go bardzo długie słowa, które Polakowi trudno wymówić lub zapamiętać. W barze były dwa okienka. W jednym zamawiało się i płaciło, w drugim odbierało potrawę. Nad okienkami wisiała wielka tablica z jadłospisem. Przy zapłacie trzeba było wymienić nazwę potrawy. Ponieważ długich słów nie mogłem spamiętać, zamówiłem jedną z „krótszych” potraw. Kobieta przy kasie zapytała mnie po angielsku, czy ma być z kartoflami, czy bez? Odpowiedziałem, że bez. I to był mój błąd. Kiedy zjawiłem się przy okienku, gdzie wydawano

zamówione potrawy, otrzymałem talerz z jakimś szarym płynem. Zacząłem go jeść łyżką stołową, dziwiąc się smakowi, a raczej dziwił mnie jego brak. Z kuchni wychylił się kucharz oraz jego pomocnik i zaczęli mnie bacznie obserwować. Zorientowałem się, że to, co jadłem, było sosem do kartofli. Zapewne pracownikom stołówki nigdy nie zdarzył się klient, który jadłby sam sos. Aż w końcu zdarzyłem się ja.

W czasie mego pobytu w Helsinkach zadzwonił do mnie mój przyjaciel, Karol Pelc, informując o smutnej wiadomości, że profesor Stefan Bincer, mój mentor, zmarł. Karol sugerował, bym nie spieszył się z powrotem do kraju, bo... nie ma do czego, jako że Katedra Urządzeń Radiofonicznych prawdopodobnie zostanie rozwiązana. Po miesiącu pobytu w Helsinkach udałem się, zgodnie z planem, do Uppsali. W drodze zatrzymałem się na noc w Turku, aby złożyć wizytę urodziwej Fince i sprawdzić, czy uprzednie szkody wywołane wódką, nie przeszły u niej w stan chroniczny. Okazało się, że nie. Pomny jednak jej słabości do alkoholu, wódki już wtedy nie piliśmy.

Powoli zmierzałem do swego następnego życiowego przy-
stanku — do szwedzkiej Uppsali.

Część II.

Wspomnienia z Polski i Skandynawii

Janka wyjazdy i powroty

Do Szwecji wyjeżdżałem z Polski trzy razy: w roku 1960 (na jeden rok, przez Finlandię), w 1962 (na trzy lata) i w roku 1966. Z tej trzeciej wyprawy już do PRL-u nie wróciłem.

Pierwszy wyjazd był zupełnie prywatny i odbył się na zaproszenie Larsa Inge Hedberga, o którym już wspominałem, gdy zapraszając go do Polski, gościłem go przez miesiąc w siebie we Wrocławiu. Po przyjeździe do Uppsali z ciekawości odwiedziłem Instytut Fizyki, gdzie profesor Per Arno Tove, oprowadzając mnie po Instytucie, podczas towarzyskiej rozmowy — widocznie pod wrażeniem mych zainteresowań — zaoferował mi stanowisko asystenta konstruktora, odpowiadające mojemu etatowi na Politechnice Wrocławskiej.

Po roku pracy w Instytucie Fizyki i wykonaniu kilku ciekawych przyrządów naukowych, których konstrukcje opublikowałem w amerykańskim czasopiśmie „Electronics”, w roku 1961, wróciłem do Polski. Moja decyzja o powrocie wywołała zdumienie zarówno mego szefa w Uppsali, profesora Tove, jak i „władz krajowych”, czyli Urzędu Bezpieczeństwa. (Więcej o tym zainteresowaniu moją osobą znajdzie Czytelnik w rozdziale „Janek w krzywym zwierciadle Urzędu Bezpieczeństwa”). A dlaczego w ogóle wróciłem? Przyczyna mego pierwszego powrotu do Polski miała charakter wyłącznie ideowy i platoniczny. W pierwszej kolejności miałem poczucie winy, że opuściłem peerełowską ojczyznę, dla której winieniem przynajmniej zrosić czoło potem przy budowie zrębów socjalizmu! Ale wróciłem również z powodu trapiących mnie nocnych mar o leżących odłogiem walorów mej zostawionej w Polsce, ukochanej Zofii.



Instytut Fizyki uniwersytetu w Uppsali w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia

Obawiałem się, że ten „odłóg” zostanie szybko „zagospodarowany”, a ukochana zmeliorowana przez miejscowych konkurentów. Z powyższych więc przesłanek, patriotyczno-ideologicznych i emocjonalnych przyjąłem zaproszenie profesora Żuka (o nim nieco więcej poniżej), by przyjechać do Polski „B”, tej na wschód od Wisły i budować przyrządy elektroniczne w Instytucie Fizyki Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

W tym czasie w Instytucie Fizyki na uniwersytecie w Uppsali poznam innego Polaka, doktora Zbigniewa Grabowskiego, fizyka jądrowego z Instytutu Badań Jądrowych w Krakowie, który uparł się, że do PRL-u ze Szwecji nie wróci. Ze współpracy z nim wyniknęła moja późniejsza emigracja do Ameryki, aczkolwiek w roku 1968 jeszcze takiej emigracji nie spodziewałem się ani jej nie planowałem. Otóż, Grabowski, po zrobieniu doktoratu,



Uppsala — Zamek Królewski

dostał pracę w Szwedzkim Instytucie Geofizyki w Kirunie, za kołem polarnym, gdzie badano zjawisko Zorzy Polarnej. Ideą tych badań było wystrzelenie rakiety ziemia-powietrze, wyposażonej w czujniki promieniowania radioaktywnego, które powodują zjawisko Zorzy Polarnej na dużych wysokościach. Do tego celu potrzebny był przyrząd zwany spektrometrem, mierzący energię elementarnych cząsteczek wywołujących, przy zderzeniu z cząsteczkami (molekułami) powietrza, zjawisko jarzenia rozrzedzonych gazów w ziemskiej stratosferze, czyli właśnie Zorzę Polarną. Doktor Grabowski, a właściwie Instytut Geofizyki, w którym pracował, złożył zamówienie na spektrometr w Instytucie Fizyki uniwersytetu w Uppsali, gdzie wówczas budowałem, będąc „kontraktowym wynalazcą”, różne przyrządy naukowe. Była tych przyrządów cała gama, począwszy od urządzeń do automatycznej notacji gry na flecie, poprzez mierniki do liczenia... nietoperzy w odległych jaskiniach i przyrządy z dziedziny kardiologii i farmakologii.

Po otrzymaniu zamówienia, profesor Per Arno Tove zlecił mi wykonanie prototypu takiego spektrometru, który udało mi się wykończyć wkrótce przed moim drugim powrotem do Polski, w grudniu roku 1963. Opis konstrukcji według mego pomysłu opublikowaliśmy wtedy, razem z doktorem Grabowskim i moim szefem, w czasopiśmie „Nuclear Instruments and Methods”. Ciekawe, że dzisiaj, czterdzieści pięć lat później po tym fakcie, w Internecie, można znaleźć abstrakt naszego artykułu o tym spektrometrze. Historia innego przyrządu, także opracowanego podczas mej pracy na uniwersytecie w Uppsali, została wykuta w granicie, a może w betonie, na jednej ze stacji metra w Sztokholmie, zdaje się, że na stacji Östermalmstorg. Przy budowie tej stacji architekt dekorator wkomponował w ścianę zapis ludowej szwedzkiej melodii granej na flecie. Zapis ten był zrobiony dzięki mojemu przyrządowi służącemu do notacji muzyki, który zbudowałem w roku 1963 na zamówienie Instytutu Muzykologii w Uppsali. Ilekroć przyjeżdżam do Sztokholmu, jadę na tę stację i z nostalgią wspominam me pierwsze konstrukcje wykonane w Uppsali, bez których na pewno nie byłoby mej firmy „Columbus Instruments” ze wszystkimi konsekwencjami z tego faktu wynikającymi.

Jak już wspomniałem, moja praca w Instytucie Fizyki była dość chwiejna i uzależniona od konkretnych „zewnętrznych” zamówień. Bez zamówień byłem tam niepotrzebny i alternatywnym wyjściem był powrót do kraju, gdzie już mnie wyrzucano z pracy na Politechnice Wrocławskiej z powodu „nieautoryzowanego przedłużenia pobytu za granicą”. Na przełomie lat 1960-1961 w Instytucie Fizyki w Uppsali przebywał wtedy, na rocznym stypendium fundowanym przez Międzynarodową Agencję Atomową w Wiedniu, Włodzimierz Żuk, profesor Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Profesor Żuk przekonywał mnie, że jeśli zaakceptuję stanowisko elektronika w jego Instytucie Fizyki w Lublinie, to w PRL-u świat stanie przede mną otworem... no, przynajmniej w PRL-u „B”, czyli w tym na wschód od Wisły.

Dałem się skusić. Zakupiłem za zaoszczędzone osiemset koron przerdzewiały samochód reault douchine (czy ktoś go jeszcze pamięta?). Samochód ten był jednym z pierwszych aut bez ramy nośnej, wykonanym z cienkiej blachy i, jak wszystkie samochody francuskie i włoskie, nie nadawał się do klimatu szwedzkiego, gdzie w zimie drogi posypywano solą. Zwykle po trzech latach użytkowania w podłodze pojawiały się dziury. I właśnie takie dziury miała zakupiona przeze mnie „douchinka” mająca silnik 845 cc i 32 konie mechaniczne. Dla porównania mój samochód, którym teraz jeżdżę, ma pojemność silnika 5000 cc i 438 KM. W Szwecji jeździłem „douchinką” bez prawa jazdy, ale bałem się, że na granicy polskiej zatrzymają mnie i każą pokazać prawo jazdy. Wysłałem więc „douchinkę” polskim statkiem, a właściwie stateczkiem, który woził drobnicę z Polski do Szwecji. W Sztokholmie patrzyłem, jak ją opasano linami i dźwigiem wciągnięto na pokład. Słyszałem, jak w czasie podnoszenia coś w samochodzie chrupnęło. Jakoś się tym jednak nie przejąłem. A szkoda, bo był to ostatni moment, kiedy widziałem moje auto w całości. Wtedy to, podczas nieumiejętnego ładowania i z powodu przerdzewiałej samonośnej karoserii, samochód najprawdopodobniej pękł w połowie. Pęknięcie stało się później przyczyną wypadku mego kolegi, który na moje polecenie miał jechać nią z Gdańska do Częstochowy. Wypadek zdarzył się pod Strzelcami Opolskimi. Wrak „douchinki”, kilka dni po wypadku, przywiózł konnym wozem do mych rodziców w Częstochowie miejscowy wieśniak. Kolega miał niesamowite szczęście, wychodząc z wypadku cało, bo samochód przewrócił się na dach, a ten po prostu zapadł się. Przerdzewiała podłoga „douchinki” także się poddała, ale dzięki temu kolega wyszedł z samochodowego naleśnika na zewnątrz bez szwanku. Przez dziurę w podłodze.

Tak czy inaczej w czerwcu 1961 roku wróciłem do Polski i przyjąłem ofertę profesora Żuka, dotyczącą pracy na stanowisku elektronika w Instytucie UMCS w Lublinie. Po rocznym pobycie w Polsce moja „alergia” na system socjalistyczny znowu

się nasiliła, w związku z czym, dla poprawienia zdrowia psychicznego, postanowiłem powtórnie wyjechać. Zanim opowiem, jaka była historia mojego drugiego wyjazdu do Szwecji, najpierw opiszę, jak mnie potraktowano po powrocie ze Skandynawii w ludowej ojczyźnie, w roku 1961.

Przed samym wyjazdem ze Szwecji odwiedziłem firmę „AB Lars Ljungberg”, produkującą aparat zwany „Celloscope” do automatycznego, elektronicznego liczenia krwinek. Zaproponowałem wtedy właścicielowi firmy, panu Ljunbergowi, że po moim powrocie do Polski, wystawię jego aparat na Targach Poznańskich, pod warunkiem, że firma opłaci koszt stoiska i przesyłki przyrządów. Wobec tego po powrocie do Polski, w czerwcu 1961 roku, pojechałem do Poznania i zająłem się promocją „Celloscope`u”. Ku memu zdumieniu sprzedałem na Targach Poznańskich kilka tych aparatów i kiedy znalazłem się powtórnie w Szwecji w roku 1962, Ljungberg miał dla mnie kilka tysięcy koron prowizji od tych sprzedaży. Ciekawe było to, że mimo iż na targach oficjalnie nie byłem zarejestrowany ani jako przedstawiciel firmy zagranicznej, ani przedstawiciel polskiej Centrali Handlu Zagranicznego, całe moje przedsięwzięcie do pewnego czasu uszło uwadze „władz krajowych”. Pewnego jednak dnia przy wejściu na targi strażnik zażądał ode mnie paszportu i zaczął oglądać go z uwagą. Powiedział mi, że dyrektor Edelman z Centrali Zaopatrzenia Aparatury Medycznej chce ze mną rozmawiać. Towarzysza Edelmana interesowało, w jaki sposób uzyskałem przedstawicielstwo firmy zagranicznej, bez jego wiedzy i zgody. Ponieważ jednak nie podpisywałem żadnych handlowych dokumentów, nie mogli się do mnie przyczepić z powodu przestępstwa dewizowego. Później dowiedziałem się od profesora Jana Molla, znanego polskiego kardiochirurga, że towarzysz dyrektor nie miał pojęcia o aparaturze medycznej. Profesor złośliwie dodał także, że dyrektor Edelman to chyba przed wojną handlował śledziami. Pomyślałem sobie, że skoro w tym miał być dobry, to mógłby śmiało wyemigrować i zrobić fortunę na handlu tym towarem. Ale to są już tylko moje przypuszczenia i dobrotliwe spekulacje.

Janek i Reniek piszą donos do UB

Po powrocie do Wrocławia, po Targach Poznańskich, latem 1961 roku, zamieszkałem czasowo u kolegi z czasów szkolnych, Reńka Odulińskiego. To właśnie wtedy stałem się przedmiotem zainteresowań Urzędu Bezpieczeństwa. Na początku chciałbym Czytelników poinformować, że moim pseudonimem operacyjnym nie był „Bolek” (to teraz takie modne), tylko „Janek” (czasami „Johnek”) i donosów do Urzędu Bezpieczeństwa nie wysyłałem. Ja je natomiast, owszem... pisałem. A jak je już napisałem, to Reniek dostarczał je wówczas „odnośnym władzom”. Właściwie praca nad donosami miała charakter zespołowy, gdyż nad tymi szczególnymi dokumentami pracowaliśmy obaj. Na podstawie ostatnio otrzymanych z IPN-u (Instytut Pamięci Narodowej) raportów pisanych przez oficerów Urzędu Bezpieczeństwa, czasami figuruję w donosach jako „Czek” (to chyba od „Czekajewski”), a czasami jako „Fizyk”, natomiast bezspornym faktem było to, że dłuższy czas byłem dla urzędników tego ministerstwa na tyle ważną postacią, że określano mnie mianem „figuranta”, czyli nadano mi status osoby pozostającej w kręgu zainteresowań operacyjnych SB.

Kiedy wróciłem do Wrocławia po moim pierwszym pobycie w Szwecji, mój powrót — jak już wspominałem — wywołał zdumienie, a nawet podejrzliwość Urzędu Bezpieczeństwa. W owym czasie jeśli komuś udało się wyrwać z objęć sierpniowego socjalizmu towarzysza Gomułki, to już do takiej Polski nie wracał. Dlaczego więc Czekajewski wrócił? Czy wrócił z zadaniem spenetrowania obronności krajów Układu Warszawskiego, czy też moralnego rozłożenia Polski Ludowej metodą szeptanej propagandy lub co gorsza, drwiny? Przed takim dylematem postawiłem bezwiednie, i całkiem niechcąc, cały aparat wrocławskiego UB.

Myśliciele z urzędu wojewódzkiego UB nie mogli moich intencji rozszyfrować, aczkolwiek sprawa sama w sobie była niezwykle prosta. Byłem oczarowany, a raczej zaczadzony obfitym

biustem pewnej studentki medycyny z Łodzi (o czym już dwukrotnie na łamach tej książki wspominam), a moje oczarowanie było w konflikcie moralnym z niefortunnym, a raczej przedwczesnym związkiem małżeńskim, do jakiego skłoniła mnie drobnym szantażem — jeszcze przed wyjazdem do Szwecji — inna urocza dziewczyna, tym razem wrocławianka, Elżbieta. Będąc wychowany na poezji romantyków, wierzyłem wtedy w monogamię uczuciową (proszę nie mylić z małżeńską) i dlatego, aby nabrać oddechu i perspektywy do tych spraw, po powrocie do PRL-u, zamiast wrócić do mej kawalerki we Wrocławiu przy ulicy Podwale, gdzie mieszkała moja ślubna podwójnie, bo cywilnie i kościelnie, wrocławianka, wyprosiłem kąpiel i łóżko u... Reńka Odulińskiego. Reniek, po studiach na Politechnice Częstochowskiej, dostał nakaz pracy i pokój „gościnny” we Wrocławskiej Fabryce Urządzeń Przemysłu Spożywczego mieszczącej się przy ulicy Krakowskiej. Mieszkanie Reńka było isticie spartańskie, gdyż pozbawione łazienki i ciepłej wody. Skarpetki trzeba było prać w zlewie, które to doświadczenie przydało mi się właśnie teraz, we wrześniu 2009 roku, kiedy mieszkając w pięciogwiazdkowym hotelu „Monopol”, skarpetki musiałem prać w... bidencie. Chciałbym ostrzec bogatych turystów, że granitowe umywalki w wyżej wymienionym hotelu, po jego wykwintnej renowacji, mogą spełniać rolę zaledwie... spluwaczek, ale do mycia ani do przepierki skarpetek nie nadają się zupełnie, z uwagi na swą centymetrową głębokość, a raczej płytkość. Ale to tylko tak na marginesie sprawy.

Ponieważ obserwacje mojej osoby przez agentów nie stwierdziły u mnie wyjazdów w okolice Legnicy, gdzie koncentrowały się siły zbrojne Układu Warszawskiego, gotowe w każdym momencie do ataku na wojska NATO, zwrócono się do Reńka, aby napisał charakterystykę mej tajemniczej osobowości. Być może zakładano, że śpiąc w tym samym co ja pokoju, Reniek podsłuchiwał tajemnice, które wyjawiałem, mamrocząc przez sen, albo że wyjawiałem je nieopatrznie w pijanym zwidzie. Reniek rozbrajająco szczerze zwrócił się do mnie z zapytaniem,

czy nie pomógłbym mu w tym trudnym i ambitnym polonistycznym zadaniu, gdyż on w polskiej ortografii był może i biegły, ale za to słaby w składni. Chciałbym wyjaśnić, że nowe kwestionariusze UB z gotowymi już zeznaniami, opracowane przez bratnią organizację w Związku Radzieckim, nie były jeszcze wtedy w powszechnym użyciu. Cóż miałem robić? Nie pomóc koledze? Chętnie się zgodziłem pomny wielu okazji, kiedy to Reniek chronił mnie od zdeformowania mojego szlachetnego oblicza i użębień. Często zdarzało się, że chuligani na zabawach tanecznych mylnie przyjmowali mój zalotny uśmiech jako drwiący i zwykle robili wysiłki, aby mi dokopać. Obecność Reńka u mego boku chłodziła ich młodzieńcze ambicje. Dlaczego? No, cóż Reniek zawsze górował nade mną wzrostem i tężyzną fizyczną, dlatego pełnił, i pełni do dzisiaj, funkcję mojego honorowego bodyguarda, czyli ochroniarza.

W pisaniu donosu najtrudniejszym było to, że nic ujemnego o sobie nie mogłem wymyślić, bo do głowy przychodziły mi wyłącznie same superlatywy. Bez dawki złych informacji, całkowicie pozytywna charakterystyka, budziłaby podejrzenie fałszywki. Po namyśle doszedłem do wniosku, że władza musi znać mój niewyparzony język i to, że PRL i komunę niejednokrotnie „robiłem w balona”. Zapodałem więc w mym elaboracie, że Czekajewski ma szkodliwe dla Polski Ludowej poczucie humoru, ale w gruncie rzeczy, w głębi serca, jest socjalistą, bo do kościoła nie chodzi, a zaświadczenie o odbyciu spowiedzi, konieczne do własnego ślubu, własnoręcznie sfałszował. Na dodatek, wbrew naciskom zacofanej rodziny, kleru i dewotek, Czekajewski nie poddał się bierzmowaniu! Reniek własnoręcznie przepisał mój elaborat, poprawiając błędy ortograficzne z „rz” i „ó” w roli głównej, z którymi walczyłem od dzieciństwa, a których obecność mogłaby mnie zdekonspirować. „Donos” Reniek podpisał własnym nazwiskiem i zaniósł na umówione spotkanie z „oficerem kontrolującym” czy też „prowadzącym”.

W czasie następnego kontaktu Władzy Ludowej z Reńkiem przy kawie i ciastku zwanym „wuzetką”, w kawiarni „Krysz-

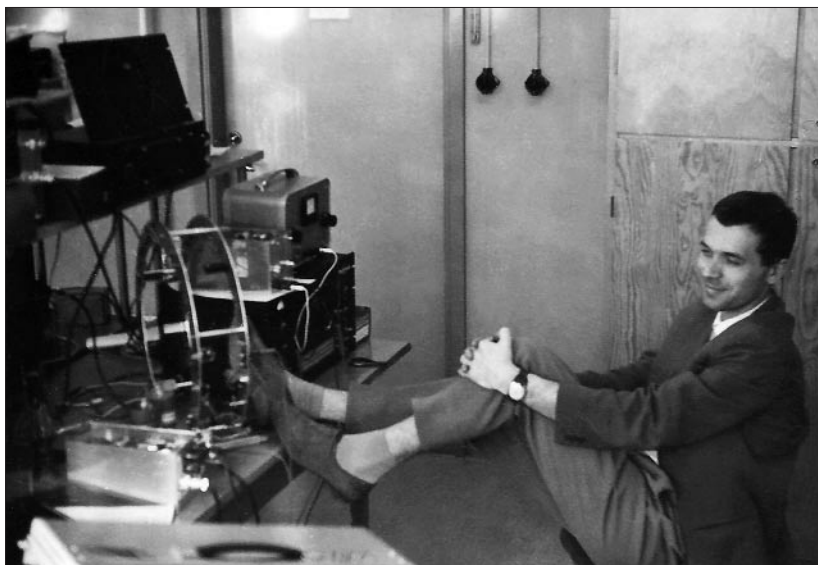
tałowa”, „kontakt” Reńka pogratulował mu talentu, który pozwolił „kontaktowi” spenetrować zagadki i tajniki duszy Jana Czekajewskiego.

— Panie Reńku, takiego świetnego opracowania jeszcze nigdy nie dostaliśmy!

W tym aspekcie oficer chyba trochę przesadził, bo na pewno dużo lepsze donosy pod względem literackim pisał znany wrocławski literat, hrabia Wojciech Dzieduszycki, do czego się sam przed śmiercią przyznał. Oficer kontaktowy zapewnił Reńka, że jeśli kiedykolwiek zechciałby odbyć podróż na co prawda wrogi narodowi polskiemu, ale interesujący zachód, otrzyma paszport na pewno, bez problemu.

— Panie Reńku, niech pan się nie krępuje i proszę dzwonić do mnie, jeśli jakaś pomoc będzie potrzebna –zaoferował oficer.

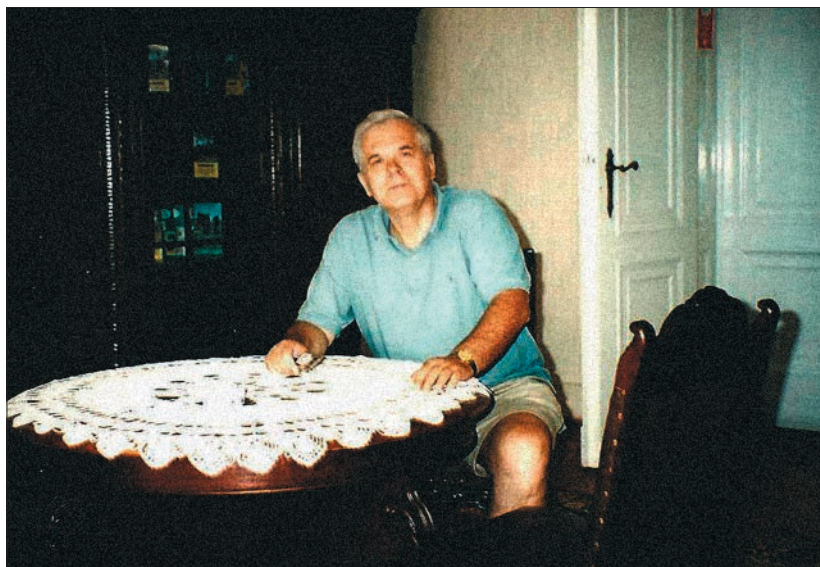
Kiedy już władza ludowa poznała moją duszę na wylot, pewnego ranka na przystanku tramwajowym podszedł do mnie młody człowiek ubrany — dla kamuflażu — w wyświechtany, można by powiedzieć, plugawy, długi płaszcz i powiedział, że pewien oficer z polskiego kontrwywiadu chciałby ze mną porozmawiać na temat mego pobytu w Szwecji. Zaproszono mnie wtedy do tego samego hotelu „Monopol”, w którym mieszkałem z Reńkiem we wrześniu 2009 roku. Kontrwywiadowca odebrał klucz od portiera i zaprowadził mnie do apartamentu nr 101 na pierwszym piętrze, w którym wedle jego opowieści mieszkał Hitler, kiedy przyjeżdżał do Breslau. Jak się domyśliłem, luksusowy apartament był wynajmowany „na godziny” w celu... oszołomienia „interesantów” UB-eckim przepychem. Tam poproszono mnie o informacje na temat tego, czym zajmowałem się w Szwecji. Opowiedziałem szczerze o wszystkim i jako dowód do zeznań załączyłem otrzymaną właśnie odbitkę publikacji w amerykańskim czasopiśmie „Electronics”, opisującą skonstruowany przeze mnie przyrząd do liczenia nietoperzy zamieszkujących szwedzkie jaskinie. Moje wiadomości o nietoperzach nie wzbudziły wielkiego zainteresowania, mimo że są to zwierzęta nad wyraz tajemnicze, latające w ciemności i posługujące się własnym radarem.



Ja z prototypem licznika nietoperzy. Uppsala, 1961

Opowiedziałem oficerowi także o bardzo mdłej diecie, do jakiej byłem zmuszony, jadając w stołówce szpitala uniwersyteckiego, ale mój słuchacz nalegał, abym zdał relacje o ludziach, jakich spotkałem w Szwecji. Zacząłem wspominać znajome Szwedki, które traktują nas, mężczyzn, użytkowo i fizjologicznie, a nie jak nasze Polki, duchowo i uczuciowo, ale i te informacje nie znalazły u niego spodziewanego zainteresowania. Wyraźnie pruderyjny kontrwywiadowiec bąknął, że: „My wszystko o Szwedkach wiemy, chodzi nam natomiast o Polaków, którzy szkalują PRL, srając we własne gniazdo”. Niestety nic nie wiedziałem o Polakach, szczególnie tych, co srają we własne gniazdo, więc oficer skończył wywiad ze mną i uprzejmie nakazał, nieco zde gustowany, abym niepozornie opuścił apartament Hitlera, nie czekając na niego.

Apartament 101 zapadł mi głęboko w pamięć i kiedy w roku 1990 przyjechałem ponownie do Wrocławia z moją amerykańską,



Hotel „Monopol”. Apartament 101

wówczas jeszcze oblubienicą, nalegałem, aby zamieszkać w tym samym apartamencie. Moja współtowarzyszka łoża i stołu nie wiedziała, że szczególną uciechę miałem w toalecie, kiedy siusając, puszczałem wodze fantazji, wyobrażając sobie, iż czasami siusiam na spodnie Furera, a czasami na głowę pracownika UB-eckiego kontrwywiadu. O ile sobie przypominam, w tamtych latach, przed renowacją hotelu „Monopol”, w owym słynnym apartamencie nr 101, mogłem prać skarpetki w umywalce, a nie jak dwadzieścia lat później, w „pięciogwiazdkowym bidecie”. Do dzisiaj męczy mnie pytanie, czy Hitler też sam sobie prał skarpetki, czy prała mu Ewa Braun. Ani wtedy, ani dzisiaj nikt nie może odpowiedzieć mi na nie.

No, a co stało się z Reńkiem? Otóż, wkrótce po tych wydarzeniach „donosiciel” Reniek opuścił PRL pojazdem jednośladowym, czyli motocyklem marki „Jawa 350”, ze zdecydowanym przekonaniem, że do ojczyzny już nie powróci tak długo, jak

długo PRL będzie istnieć, motywując swą decyzję także tym, że jego stała wrocławska dieta składająca się z rosółu z makaronem i rurek z kremem doszczętnie mu już obrzydła. Tak się złożyło, że prawie po pięćdziesięciu latach przybyłem z Reńkiem do Wrocławia i zamieszkaliśmy w tym samym hotelu „Monopol”. A więc Reniek „troszkę” wracał do ojczyzny. Czasami.



Hotel „Monopol” we Wrocławiu (rok 2009)

Drugi wyjazd do „Północnego Nieba”

Był rok 1962, szósty rok epoki miłociwie nam panującego Towarzysza Wiesława (Gomułki). Kończył się właśnie rok mej pracy asystenta w Instytucie Fizyki Doświadczalnej Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, gdzie zważył mnie niecie profesor Włodzimierz Żuk. Mój powrót do Polski — o czym wspominałem wyżej — był więc zaskoczeniem dla wielu osób, zarówno mi przyjaznych, jak i wrogich. Był na pewno dużym zaskocze-

niem dla Urzędu Bezpieczeństwa, który to urząd w owych czasach bardzo troszczył się o to, by nie było ubytków w obiecującym naukowym narybku, by nie opuszczał on swego ojczystego kraju i nie wyjeżdżał na wraży ideologicznie zachód, a jednocześnie paranoiczne bał się tych, którzy po wyjeździe jednak wracali.

Miałem dwadzieścia osiem lat, bujną, czarną czuprynę, ukończone studia elektroniczne na Politechnice Wrocławskiej i odbyty roczny staż w szwedzkim Instytucie Fizyki w Uppsali. Poza tym mogłem tańczyć boogie-woogie całą noc, co nie znaczy, że byłem kompletnie szczęśliwy. Moje życie osobiste było nieco zagmatwane. Mieszkałem na tak zwaną kocią łapę z moją późniejszą drugą byłą żoną, Zofią, i byłem jednocześnie formalnie żonaty z moją pierwszą byłą żoną, Elżbietą. Wewnętrznie byłem rozdarty, jako że obie panie reprezentowały dwie różne piękności duszy i... biustów, nawzajem się uzupełniały, co — przyznając — odpowiadało mi, ale było niemożliwe do pogodzenia w sferze monogamicznej moralności katolickiej, jakiej w owym czasie hołdowałem. W tej sytuacji przychodziło mi do głowy, że powtórny wyjazd do Szwecji pozwoli mi na nabranie koniecznej perspektywy dla obiektywnej oceny walorów obu pań, a także umożliwi mi porównanie ich z „przodującymi kobiecymi standardami”, w jakie obfitują kraje zachodniej i północnej Europy. Taki był więc powód powtórnego wyjazdu na północ kontynentu.

Ale zanim drugi raz wyjechałem do Szwecji, to po raz pierwszy (i jedyny) przyjechałem do Lublina. Z Zofią. Po przyjeździe okazało się, że uniwersytet nie ma dla mnie mieszkania, a wielu adiunktów i docentów habilitowanych mieszka od lat, razem z rodzinami, w pojedynczych pokojach domów akademickich. Rektorat zaoferował mi zatem łóżko w uniwersyteckim pokoju gościnnym, mieszczącym się w suterenie jednego z żeńskich akademików. W pokoju tym były dwa żelazne łóżka; do jednego z nich miałem niezaprzeczone prawo, drugie natomiast należało w każdym momencie odstąpić wizytującym uczonym, którzy od czasu do czasu przybywali do Lubina z gościnnymi wykładami.

Kłopot był z Zofią, gdyż obawiałem się, że wizytujący uczeni nie zadowolą się jedynie żelaznym łóżkiem, ale zapragną korzystać z obfitych walorów Zofii. W swej naiwności, wychowany w tępo ciosanej kulturze heteroseksualnego socjalizmu, nie byłem wtedy świadom zagrożenia, jakie osobiście groziło mi ze strony amatorów układu męsko-męskiego. Szybko jednak o takim zagrożeniu przekonałem się, gdy pewnej zimowej nocy zapukał do drzwi zmoknięty profesor z Łodzi, aspirujący do drugiego żelaznego łóżka. Biedak, zawiedziony brakiem mej seksualnej otwartości, poczłapał, smagany deszczem, na zasłużony wypoczynek do odległej poczekalni lubelskiego dworca kolei żelaznej. Opisuję tutaj tę scenkę, dedykując ją przede wszystkim młodemu pokoleniu, które niewiele wie, z jakimi problemami lokalowymi borykała się polska nauka w dobie tak zwanej odwilży popaździernikowej.

Janka paszport, czyli dialektyczna różnica między ciocią a pracą

Wyjeżdżając ze Szwecji (po pierwszym pobycie), mój szef, profesor Per Arno Tove, wręczył mi zaproszenie do pracy w jego Instytucie. Datę, której było brak na zaproszeniu, miałem sam wpisać, gdy zdecyduję się na powrót do Uppsali. Taką decyzję podjąłem w czerwcu 1962 roku, kiedy to postanowiłem otrzymane zaproszenie wykorzystać. Zaproszenie co prawda rozwiązywało sprawę szwedzkiej wizy i pracy, ale nie zapewniało polskiego paszportu. Ówczesne przepisy paszportowe przewidywały wyjazdy do cioci za granicę, ale nie do pracy. Paszport na wyjazd na staż naukowy był tylko wydawany „za poparciem” Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. Dodatkowe zatrudnienia mogły zaistnieć także po drodze w postaci wymaganych innych „poparc”, na przykład dyrektora Instytutu Naukowego i rektora uczelni. W Ministerstwie Szkolnictwa

Wyższego, w owym czasie, istniała specjalna komisja kwalifikująca wyjazdy, której przewodziła stara komunistka, wiceminister Krasowska.

Najmniej kłopotu miałem z profesorem Żukiem, który był zainteresowany utrzymaniem dobrych stosunków z uniwersyte-tem w Uppsali, a może także nadzieją na powtórny tam powrót. Profesor wystosował urzędowo brzmiące pismo, w którym informował Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, że wyjazd magistra inżyniera Jana Czekajewskiego do Uppsali jest konieczny z uwagi na jego (czyli mój) udział w pięcioletnim planie badań naukowych w dziedzinie „korelacji kątowych”. Ponieważ profesor Żuk utrzymywał dobre stosunki z rektorem uniwersytetu, profesorem Grzegorzem Seidlerem, jego poparcie było czystą formalnością. Kierownik Katedry Fizyki Ogólnej, profesor doktor Armin



Profesor Włodzimierz Żuk, kierownik Katedry Fizyki Doświadczalnej (Lublin)

Teske, również napisał rekomendację. Teczka z „pochlebnyymi” o mnie dokumentami powędrowała do ministerstwa w Warszawie i sprawa mego wyjazdu nabrała urzędowego biegu. Mijał miesiąc za miesiącem, kończyły się wakacje, a odpowiedzi z Warszawy nie było.

Saperski kamuflaż

Pewnego jesiennego poranka, wychodząc do pracy z mego „gościnnego” pokoju, minąłem zmokniętego żołnierza z oficjalnie wyglądającą kopertą w ręce. Żołnierz ten zapukał do moich drzwi, które otworzyła moja druga była żona, Zofia, i zapytał ją o mnie. Zofia szybko zorientowała się, że taka koperta niczego dobrego nie wróży, bystro więc odpowiedziała, że z tym łajdakiem, Czekajewskim, nie rozmawia, w domu go nie ma i nie wiadomo, kiedy wróci. W każdym razie koperty nie przyjmie i pośrednikiem Ludowego Wojska Polskiego nie będzie. Rozmowę tę słyszałem skryty za węglem. Kiedy się upewniłem, że wojak odszedł, wróciłem do domu i zaczęliśmy rozpatrywać alternatywy ratunku. Jasne było dla mnie, że Urząd Bezpieczeństwa, aby unieemożliwić mój wyjazd, stosował jedną z wypróbowanych metod, czyli powołanie do wojska na ćwiczenia. Wiadomo było, że jeśli nawet wyjdę z wojska, nie będę mógł wyjeżdżać przez kilka lat za granicę, gdyż jako bojowo przeszkolony podchorąży, mógłbym wyjawić Amerykanom tajemnice strategii ludowej polskiej armii, a może i całego Układu Warszawskiego, czyli zrobiłbym coś takiego jak pułkownik Kukliński.

Aby zyskać na czasie, spakowaliśmy skromny dobytek w walizki i wyjechaliśmy następnym pociągami do Warszawy, ciągle licząc, że opóźnienie z wydaniem mego paszportu jest wynikiem zwykłej biurokracji. Na stacji Warszawa Wschodnia, w tłoku przy wysiadaniu, ukradziono nam jedną z walizek, co tym bardziej nie poprawiło mego samopoczucia. W Warszawie zamieszkaliśmy z Zofią przy ulicy Olimpijskiej 39, na Mokotowie, w willi

jej wujka, „podziemnego przedsiębiorcy”, Zygmunta Krauzego, człowieka o bardzo barwnym charakterze, o którym w dalszej części książki napiszę więcej.

Zacząłem swe codzienne wizyty do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego przy ulicy Miodowej, pytając o mój paszport. Mijały dni, a w międzyczasie z Lublina dochodziły niepokojące słydy, że WKR postawiła przed Instytutem Fizyki żołnierza, mającego uchwycić moment, w którym pojawię się w pracy. Czułem, że jeśli nie dostanę paszportu, a mój pobyt w Warszawie się przeciągnie, mogę zostać oskarżony o dezercję. Nadal Wydział Zagraniczny w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego nie dawał mi żadnej odpowiedzi.



Budynek Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego w latach 1960-67, Warszawa, ulica Miodowa

Socjalistyczna wartość kolorowego długopisu

Zdesperowany, nerwowo przemierzając ministerialny korytarz, natknąłem się na znajomą twarz kolegi Soszyńskiego, byłego pracownika Biura Podróży Związku Studentów Polskich, dla którego dziewczyny, trzy lata temu, załatwiliśmy z Renkiem Odulińskim „atrakcyjny” wyjazd do Anglii na kopanie kartofli. Jak już wspominałem, ZSP załatwił nam wtedy paszporty na zasadzie cichej umowy, według której do naszej wyjazdowej paczki dołączą dziewczyny działaczy tej organizacji. Angielskie zaproszenie zorganizował Reniek w czasie poprzedniego pobytu u swego londyńskiego wujka. Tak czy inaczej kolega Soszyński spadł mi wtedy z nieba, bo okazało się, że pracuje teraz w Wydziale Zagranicznym Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego i przygotowuje opinie dla komisji do spraw wyjazdów zagranicznych. Po zapoznaniu się z moją sytuacją — element wojskowy został pominięty — Soszyński zaofiarował mi swoją pomoc. Poinformował mnie, że czekanie na paszport nie ma żadnego sensu, jako że paszportu i tak nie dostanę, gdyż prośba rektora UMCS z Lublina dotycząca mego wyjazdu została odrzucona na jednym z zebrań wyżej wymienionej komisji przez towarzyszkę wiceminister Krasowską. Na moich dokumentach towarzyszka Krasowska napisała „odrzucić z powodu imiennego zaproszenia”. Pani minister poczuła się obrażona, że uniwersytet w Uppsali zaprasza kogoś imiennie, podczas gdy polskie ministerstwo wie przecież lepiej, kto winien pojechać na stypendium i ma do tego celu lepszych, bo partyjnych kandydatów.

Soszyński, widząc rozpacz w mych oczach, wspomniął, że sprawa nie jest stracona, jako że komisja zbiera się co dwa tygodnie, i on me papiery przedstawi powtórnie, opiniując je pozytywnie i zakładając, że towarzyszka Krasowska nie będzie pamiętać mej sprawy, albo w ogóle tego dnia nie będzie brała udziału w komisji. Za takie perspektywy gotowy byłem obiecać Soszyńskiemu złote góry! Kolega miał natomiast do mnie tylko jedną małą prośbę o treści jak następuje:

— Wiesz, bracie, ja mam taki długopis, czterokolorowy, którym zaznaczam ważność dokumentów ministerialnych. Niestety kolorowe wkłady się wykończyły i mój długopis stał się bezużyteczny. Jak, bracie, pojedziesz na zachód, to przywieź mi takie właśnie wkłady do długopisu — powiedział skromnie.

Soszyński dotrzymał słowa i w następnym tygodniu przedstawił moją pozytywnie zaopiniowaną sprawę ministerialnej komisji wyjazdowej. Moja, zatwierdzona przez ministerstwo teczka, powędrowała do Biura Paszportowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (MSW). Tam jednak, jak na razie, nie miałem „chodów” i dlatego obawiałem się, że jeśli macki lubelskiego UB i wojska sięgają aż tam, to paszportu i tak mogą nie dostać. Podjąłem więc dodatkowe starania.

Wpływ prącia marszałka Sejmu na Janka paszport

W Warszawie mieszkał w tym czasie mój szkolny kolega, Witek Paluchowski, którego żona, jak się okazało, pracowała jako sekretarka w Zjednoczonym Stronnictwie Ludowym, pseudopartii, stworzonej dla mydlenia oczu naiwnym, że komuna toleruje wielopartyjność. Na czele ZSL-u, w owym czasie, stał marszałek Sejmu, Wycech, figurant PZPR-u, który nie miał już większych politycznych ambicji, poza utrzymaniem swego prącia w możliwie sprawnej formie. W momencie kiedy rozgrywał się dramat mego paszportu, marszałek Wycech bawił w Szwajcarii podobno na kuracji hormonalnej, polegającej na wstrzykiwaniu pacjentom wyciągu z byczych jąder. Czy kuracja była skuteczna, należałoby spytać bliskich stronnictwu i Sejmowi pięknych pań. Jego prawą ręką był niejaki Kamiński, któremu zostałem przedstawiony. Muszę przyznać, że pan Kamiński sprawnie zajął się moją sprawą i natychmiast zadzwonił do Biura Paszportów, posługując się specjalną rządową linią telefoniczną („wysokiej częstotliwości”), zastrzeżoną do użytku marszałka Sejmu i jemu podobnych rangą. Kamiński wyjaśnił osobie po drugiej stronie kabla, że

stronnictwu „bardzo zależy”, aby ten młody naukowiec dostał szybko paszport, gdyż interesy stronnictwa tego wymagają. W rewanżu obiecałem panu Kamińskiemu i jego małżonce zaproszenie do Szwecji, jak tylko się tam „ustabilizuję”. Chcąc się wykazać zrozumieniem sytuacji, zaprosiłem go do restauracji na ucztę, czyli popijawę. Kamiński jednak odmówił, ostrzegając, że utracjusze uczęszczający do warszawskich restauracji, są pod baczna obserwacją agentów UB. Postanowiliśmy zatem zorganizować biesiadę w wili wuja Zofii na Mokotowie, co miało tę zaletę, że wuj Krauze mógł dotrzymać kroku każdemu wytrawnemu pijusowi, a zatem w pełni kwalifikował się na mego „alkoholowego pełnomocnika”.

Niwelacja różnic klasowych za pomocą czystej wyborowej

Na libację Kamiński przyjechał wytworną, czarną limuzyną marki „Wołga”, kierowaną przez zaufanego szofera. Zaufanie do szofera miało jednak u towarzysza Kamińskiego pewne granice, jako że nie wziął go ze sobą na imprezę, a zostawił przed domem, gdzie tenże przez kilka godzin trwania libacji dziarsko, dla rozgrzewki, przytupywał sobie na chłodzie.

Po pierwszym litrze czystej wyborowej panowie Krauze i Kamiński wyraźnie przypadli sobie do gustu. Prawa ręka Wycecha namawiał wuja Zofii, aby wstąpił do partii, gdzie czekałaby go błyskotliwa kariera. Wuj Krauze wypytywał towarzysza Kamińskiego o szczegóły beneficjów wynikających z piastowania partyjnego urzędu. Wuj był wyraźnie wzruszony faktem, że ktoś pierwszy raz w jego życiu oferuje mu pracę, gdyż dotychczas zawsze było odwrotnie — to on zatrudniał innych. Dodatkowym argumentem w sprawie, który miał przekonać gospodarza o konieczności zmiany pracy, było wywijanie pod nosem wuja zgrabnym belgijskim rewolwerem, symbolem władzy

i zaufania, jakim partia i rząd darzyła swoich urzędników wysokiej rangi. W odpowiedzi wuj zgrabnie strzelił palcami, na co ukazał się pan Jasiu pełniący u wuja funkcję lokaja. Jasiu wyrecytował towarzyszowi Kamińskiemu swe dzienne obowiązki, które między innymi składały się z gotowania jajka wedle upodobania swego pana i dopasowywania właściwej temperatury jego rannej kąpieli. Niestety, wysokiej rangi urzędnik ZSL-u na pewno nie miał nikogo takiego, kto spełniałby zachcianki wuja Krauzego, może poza zmarzniętym, tupiącym przed domem szoferem. Ten jednak nie mógł mieszkać ze swym przełożonym z dwóch powodów: po pierwsze, towarzysz Kamiński miał bardzo atrakcyjną, młodą żonę z wydatnym biustem, a po drugie, w jego służbowym apartamencie M-2 nie starczyłoby miejsca na dodatkowe łóżko. W połowie następnego litra wódki panowie K & K popłakali się nieco, wspominając piękno Wileńszczyzny, po czym wzajemnie się podpierając, zeszli do garażu, gdzie wuj Krauze trzymał dwa samochody, wielkiego mercedesa w perlistym kolorze i chevroleta impalę w kolorze antique gold, jedyne, jaki w tym kolorze pomykał wówczas ulicami Warszawy.

Perlisty mercedes jeszcze niedawno należał do łódzkiego biskupa Klepacza, który dostał go jako „dar z nieba”, przekazany mu za pośrednictwem byłych parafian mieszkających teraz w Chicago. Biskup czuł się wszakże nieswojo, jeżdżąc w takim niebiańskim luksusie, więc sprzedał mercedesa wujowi. Chevroleta impalę wuj Zofii kupił sam, z dochodów pochodzących z eksportu do Moskwy czerwonych, „ceremonialnych” goździków. Jak wiadomo czerwone goździki to kwiat, bez którego żaden pierwszy sekretarz KPZR nie mógł być mianowany lub... pochowany. Wuj Krauze znał tajemnicę hodowli czerwonych goździków, tajemnicę, której nawet KGB nie było w stanie wykraść, a rząd i partia wprowadzić do radzieckich kołchozów.

Po zapoznaniu się z automobilowym bogactwem wuja gość stracił swój ostatni argument, jakim była sowiecka limuzyna marki „Wołga” i zaczął dopytywać się, jak można zapisać się do... kapitalistów. Tak na marginesie sprawy, to mam nadzieję,

że towarzysz Kamiński doczekał się kapitalizmu i dzisiaj jeździ swym własnym perlistym mercedesem. Muszę również dodać, że kiedy w latach osiemdziesiątych odwiedziłem Warszawę, udałem się do siedziby Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego z zamiarem podziękowania panu Kamińskiemu za paszportowe przysługi sprzed lat. Na mój widok człowiek ten przestraszył się i zapytał z trwogą:

— Panie Janku, czy się pan nie boi tu przyjeżdżać? Nie wyobraża pan sobie, jakie miałem z pana powodu kłopoty!

Chodziło mu chyba o to, że wtedy, faktycznie, zdenerwowałem UB-eków moją emigracją do Stanów Zjednoczonych i prośbą o szwedzki azyl. Może i wówczas Kamiński miał trochę problemów z mojego powodu. Ale w latach osiemdziesiątych, przyjeżdżając do Polski, już naprawdę nie miałem się czego obawiać. Czasy stawały się inne. Stary system polityczny rozlatywał się i UB-ecy zajęli się celami daleko bardziej życiowymi. Interesowało ich to, jak się „sprywatyzować”, a o moich grzeszkach już dawno zapomnieli. Byliśmy wszyscy raczej po tej samej stronie barykady, z tym tylko, że ja miałem dolary, a oni chcieli się dopiero tych dolarów nachapać.

Cud w Lublinie

Następnego dnia bolała mnie głowa! Doświadczałem sromotnego kaca. Mimo to szczęście mnie rozpiekało! Wymarzony paszport czekał na mnie w ministerstwie. Pozostawała jedynie drobna sprawa uregulowania mego stosunku do wojska, gdyż przy uporze wojaków, mogli mnie jeszcze zatrzymać na granicy. Z paszportem w rękę pojechałem do Lublina, aby wytłumaczyć Wojskowej Komisji Rejonowej, że władza ludowa ma dla mnie inne, ważniejsze zadania. W lubelskiej WKR zaraz przy drzwiach wejściowych natknąłem się na barykadę w postaci biurka ze starszym sierżantem, który zbeształ mnie za opieszałość i wyciągnął dłoń z biletem kolejowym do odległej jednostki woj-

skowej w województwie szczecińskim, w której to jednostce miałem odbyć służbę wojskową. Zacząłem żołnierzowi tłumaczyć, że niestety nie skorzystam z biletu, jako że jestem delegowany do Szwecji przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego. Moja argumentacja wprawiła sierżanta w wesołość, jako że wedle niego, w Polsce istnieje tylko jedno ministerstwo i nazywa się Ministerstwem Obrony Narodowej. Obawiając się aresztowania, sądu polowego i natychmiastowej, bez rozgrzeszenia, egzekucji na zapleczach pobliskiego KUL-u, wycofałem się zgrabnie na z góry upatrzoną pozycję, czyli po prostu dałem dyla.

Czułem teraz, że minuty mojej wolności są policzone i tylko cud może mnie uratować. Co też się niebawem stało. A jak się stało, zaraz opowiem. Trapiiony trwogą, bezwiednie błakając się po Lublinie, natknąłem się przypadkiem na dziekana Wydziału Fizyki Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, profesora Armina Teske, z którym spotykaliśmy się na tygodniowych herbatkach naukowych, organizowanych przez profesora Włodzimierza Żuka, mego bezpośredniego przełożonego. Rozważając tę sytuację po latach, jestem przekonany, że pod postacią profesora Teske ukrywał się mój Anioł Stróż, wysłany z Nieba, z poleceniem przedłużenia mego życia do czasu powrotu na drogę Cnoty i Wiary. Po zapoznaniu się z tą tragiczną sytuacją, profesor vel Anioł Stróż, podniósł wzrok do Nieba i stamtąd spłynął na niego laserowy promyk natchnienia z zakodowaną cyfrowo rekomendacją, że tylko partia, i to ta najważniejsza, czyli PZPR, może mnie jeszcze uratować. Niestety — a może na szczęście — do PZPR nie należałem. Jako bezpartyjny syn pracującego inteligenta, wracający na łono prawowitej władzy, skomlący o pomoc, mogłem budzić większe zaufanie niż skłonny do strajków, szeregowy, proletariacki członek partii. Wypadki poznańskie z 1956 roku były jeszcze świeżo w partyjnej pamięci. Pomysł — o czym wiadomo każdemu przedsiębiorcy — jest wart tylko dziesięć procent całego przedsięwzięcia. Pozostałe dziewięćdziesiąt trzeba improwizować. Najważniejsze w tym wszystkim było tak zwane „dojście” do wpływowych, partyjnych czynników.

Janek inżynierem ludzkich dusz

Towarzysz Stalin, geniusz wojskowy i naukowiec wszech czasów, nazywał pisarzy i dziennikarzy „inżynierami ludzkich dusz”. Tak się złożyło, że będąc uprzednio w Szwecji, wybrałem się na wycieczkę do Paryża. Reportaż z tej wycieczki wysłałem do „Sztandaru Ludu”, organu prasowego, będącego oficjalnym dziennikiem lubelskiej organizacji partyjnej. Spiesznie więc udałem się do Komitetu Wojewódzkiego PZPR, gdzie mieściła się redakcja dziennika i poprosiłem o rozmowę z naczelnym, którego zapewniłem, że jeśli wyjadę powtórnie do Szwecji, to organ będzie miał we mnie zagranicznego korespondenta. Już moją to rolę będzie „właściwie” uwypuklać negatywne strony życia w kapitalizmie i w ten sposób przekonywać obywateli Lubelszczyzny o tym, że nie ma innego kraju, gdzie człowiek może tak „dyszeć” wolnością jak Polska.

Redaktor naczelny przedstawił mnie drugiemu sekretarzowi Komitetu Wojewódzkiego Partii, któremu — posługując się teorią k(w)antową — wyjaśniłem zalety energii atomowej i jej rozwój w najbliższej pięcioletce. Mimochodem wzmiankowałem również o kłodach, jakie rzuca lawinowemu rozwojowi Polski Ludowej, instytucja tak „prowincjonalna” jak Wojskowa Komisja Rejonowa w Lublinie. Okazało się jednak, że drugi sekretarz i szef WKR-u byli razem w komunistycznej partyzantce i są w dalszym ciągu kolesiami, szczególnie do wypitki. W krótkiej rozmowie telefonicznej drugi wytłumaczył komendantowi, że moje wezwanie na przeszkolenie wojskowe jest wręcz tragiczną pomyłką i skierował mnie ponownie do WKR z żelaznym zapewnieniem, że szkolenie będzie odroczone do momentu mego powrotu. Niestety, kiedy przekroczyłem ponownie wrota wojskowej instytucji, natknąłem się na tego samego starszego sierżanta, którego twarz na mój widok rozjaśniła się szerokim, słowiańskim uśmiechem. Sierżant wytłumaczył mi obraźliwie, że nic mu nie wiadomo o interwencji partii, a on sam podlega tylko jednemu autorytetowi, jakim jest Ministerstwo Obrony


Narodowej. Ja tymczasem odkrywając w jego „biurowym” systemie fortecznym szczelinę, na tyle szeroką, że mógł się w niej zmieścić nawet dobrze odżywny saper (od dawna byłem przydzielony do wojsk saperskich), pozytywnie oceniwszy strategiczną sytuację, rzuciłem się przez tę szczelinę ku schodom wiodącym na drugie piętro, gdzie urzędował kumpel drugiego sekretarza.

Pułkownik K. przyjął mnie serdecznie. Zdziwił się, przeglądając książeczkę wojskową, że moja wiedza na temat obronności jest wyraźnie przestarzała z uwagi na brak okresowych ćwiczeń. Wy tłumaczyłem mu wszakże, że w przeszłości ludowa ojczyzna wyznaczała mi inne ważne zadania, które zawsze były w konflikcie czasowym z ćwiczeniami wojskowymi. Rzeczywisty powód był oczywiście zupełnie innej natury — fizjologiczno-psychologicznej. Do niczego nie miałem tak wielkiego wstrętu jak do wojska pozostającego w „dozgonnej przyjaźni z bratnią armią czerwoną”. W drugiej kolejności plasował się u mnie kolejny wstręt. Wstręt do rannego wstawania. Wojsko, niestety, budzi żołnierzy o godzinie 5.00 lub 6.00 rano, a czasem każe walczyć też nocą! Może i bym się nawet do wojska przekonał, ale musiałoby to być wojsko popołudniowe, czynne między godziną 14.00 a 17.00, dobrze płatne, najlepiej stosujące umowy „o dzieło” i oczywiście bezpieczne dla życia i zdrowia! Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że po blisko pięćdziesięciu latach takie właśnie wojsko zaistnieje w Ameryce i będzie się nazywać „kontraktowe”. Niestety teraz z uwagi na mój „dojrzały” wiek i zamięłowania, reflektowałbym jedynie na pozycję wodza naczelnego, które to stanowisko przypada jedynie koleżkom z amerykańskiej nomenklatury. Powołanie do wojska jest jedną z mar, jakie do dzisiaj mnie trapią, kiedy zjem coś niestrawnego, na przykład surową cebulę.

Zbliżając się do wyjścia, miałem ochotę pokazać zdziwionemu sierżantowi tak zwanego wała, ale będąc dżentelmenem, odwdzięczyłem się tylko, podobnym do jego, szerokim słowiańskim uśmiechem.

LEGITYMACJA WOJSKOWA
OFICERA REZERWY

Seria: **HŁ** Nr **0104203**



1. *Czekajewski*
nazwisko

2. *Jan Andrzej*
Imiona

3. *Franciszek Honorata*
Imiona rodziców

4. Data i miejsce urodzenia
16 grudnia 1934
Częstochowa
woj. katowickie

5. Stopień oficerski w chwili wydania legitymacji
wojskowej
podporucznik

Rozkaz personalny *MON*

Nr *0647* z dnia *30.12.1958.*

J. Czekajewski
Własnoręczny podpis

Moja legitymacja wojskowa oficera rezerwy

Do Szwecji wyjechałem następnego dnia pociągiem z Warszawy. Zofia miała dołączyć do mnie za kilka miesięcy, po zakończeniu stażu na Akademii Medycznej w Łodzi. Pan Kamiński przyrzekł załatwić jej paszport, którego to przyrzeczenia dotrzymał. Podobno tej samej nocy, tuż po moim wyjeździe, rozdzwoniły się telefony do mojej rodziny, Zofii i znajomych. Ci, którzy dzwonili, chcieli koniecznie ze mną rozmawiać, ale mnie już nie było, gdyż właśnie przekroczyłem polską granicę. O co im chodziło? Tego mogłem się jedynie domyślać.

Wujek Krauze badylarz

Jak obiecałem w jednym z wcześniejszych rozdziałów, opiszę nieco szerzej sylwetkę wujka Krauzego, jednego z bohaterów alkoholowej libacji, która miała mi pomóc w ubieganiu się o paszport do Szwecji.

Tak się jakoś czasami składa, że niektórzy ludzie, których się w życiu okazjnie spotyka, zostawiają jednak trwałą ślad w pamięci. Tak też i było w przypadku Zygmunta Krauzego (proszę nie mylić z polskim miliarderem dwudziestego wieku o tym samym nazwisku). Człowieka tego spotkałem pierwszy raz w roku 1961. Koligacja rodzinna odnosiła się nie do mnie, ale do mej dziewczyny, Zofii, późniejszej żony, dla której Zygmunt Krauze był oczywistym i rodzinnie „potwierdzonym” wujem, czyli bratem matki Zofii. W czasie mych wyjazdów i powrotów ze Szwecji do Polski i odwrotnie, które miały miejsce w latach 1961-1966, odwiedzając Warszawę, zatrzymywałem się w jego willi przy ulicy Olimpijskiej 39 na Mokotowie. Wtedy to opowiadał o swym niezwykle ciekawym życiu, życiu człowieka, który dzięki wrodzonej inteligencji pokonał wiele trudności, wychował pięcioro przygarniętych dzieci, i w niezwykle trudnych warunkach dorobił się pokaźnego, jak na ówczesne komunistyczne czasy, majątku. Wujek Krauze miał zdrowe podejście do swych zalet i wad. Powiadał: „Nie mam wykształcenia i sam nie jestem ekspertem w żadnej dziedzinie. Mam natomiast talent, który polega na zdolności znajdowania ludzi, którzy mają wykształcenie i wiedzę i potrafię tymi ludźmi kierować”. Wuj Krauze umiał trafnie oceniać różne sytuacje i dawał mnie, żółtodziobowi, życiowe rady. Mówił na przykład: „Pamiętaj, że policja wie tylko tyle, ile sam jej powiesz”. Zakładał, że każdy, wcześniej czy później, będzie aresztowany i poddany przesłuchaniom. A wiedział, co mówił, bo wedle jego własnego zeznania siedział w więzieniach siedem razy. Zastrzegwał jednak, że nigdy nie był sądownie skazany. Podkreślał także, że nigdy nie siedział z powodów politycznych, tylko z powodu różnicy poglądów co

do funkcjonowania systemu ekonomicznego. Czyli, za nielegalny handel lub produkcję w strefie już nie tylko szarej, ale nawet czarnej.

Zygmunt Krauze urodził się na początku roku 1900 w Milieszkach pod Łodzią. W czasie epidemii grypy zwanej „hiszpanką” w roku 1916 umarli oboje jego rodzice, którzy w Łodzi, na Widzewie, prowadzili sklep „ogólny”, handlujący produktami żywnościowymi, sprowadzanymi ze wsi. Zygmunt po śmierci rodziców, w wieku lat czternastu stał się nagle głową rodziny, do której zaliczał się brat Antoni i siostry: Emilia i Maria. Przejął kierownictwo nad sklepem i jeździł po okolicznych wsiach, skupując produkty żywnościowe dla swojego sklepu. Dwa lata później, w czasie jednej z tych podróży, w małym miasteczku Uniejów koło Łodzi, spotkał swoją przyszłą żonę, Kazimierę, która tam prowadziła własny sklep. Kazimiera była od Zygmunta szesnacie lat starsza, co nie przeszkadzało Zygmuntowi zaproponować jej małżeństwo. Szczęśliwa para przeniósła się do Łodzi, gdzie Kazimiera doglądała interesu w czasie, kiedy Zygmunt jeździł po Polsce w „delegacje handlowe”. Wkrótce zmienił branżę handlową ze spożywczej na bławatną i założył firmę handlującą krawatami pod szyldem „Krawat Polski”. Firma ta nabrała niebawem ogólnopolskiego rozmachu, tworząc wiele regionalnych przedstawicielstw.

Kiedy Niemcy weszli do Łodzi w 1939, szybko znaleźli w aktach, że ojciec Zygmunta Krauzego był Niemcem. Urzędnicy niemieccy udali się do Zygmunta z ofertą wpisania go na tak zwaną Volkslistę. Zaskoczonemu Zygmuntowi Niemcy wyjaśnili, że na liście tej znajdują się osoby pochodzenia niemieckiego, urodzone poza granicami Wielkiej Rzeszy Niemieckiej. Takim osobom, zwanym Volksdeutschami, przysługują lepsze kartki żywnościowe, ale mają też obowiązek walczyć z wrogami Niemiec w ramach Wehrmachtu, Kriegsmarine czy Luftwaffe. Co prawda posiadanie lepszych kartek żywnościowych odpowiadało Krauzemu, ale do umierania za Hitlera wcale nie było mu spieszo. Niemcom odpowiedział, że jeśli ma zmienić narodowość, to

jedynie na pełnoprawnego Niemca, Reichsdeutscha, jakim się czuje. Ponieważ jednak matka Zygmunta była Polką, jemu zaszczytny tytuł „Reichsdeutscha” nie przysługiwał. Gebelsowskie i norymberskie prawa nie przewidywały takich możliwości dla Volksdeutschtów i dlatego niemieccy zwolennicy czystości rasowej nie bardzo wiedzieli, co zrobić z Krauzem i... zostawiono go Polakiem. Polakiem więc Krauze został do czasu aresztowania i wywiezienia do obozu koncentracyjnego w Mauthausen. Doszło do tego z powodu produkcji gwoździ z kradzionego drutu z niemieckich zapasów wojskowych. Czy wuj działał w partyzantce? Nic podobnego.

— Ja nigdy nie mieszałem się do polityki! Do Mauthausen wysłano mnie za ten nieszczęsny drut! W czasie okupacji w Częstochowie prowadziłem fabryczkę produkującą gwoździe, na które było duże zapotrzebowanie na wsi. Niestety nie mogłem kupić drutu potrzebnego do wytwarzania tych gwoździ. Drut był ściśle rozdzielany na potrzeby niemieckiej armii. Na szczęście, albo nieszczęście, poznałem jednego Niemca, oficera, który mi umożliwił dostęp do wojskowego drutu. On kradł ten drut, a ja z niego robiłem gwoździe. Ale Niemiec nie był ostrożny i nakryli go. Jego wysłano na front wschodni, gdzie go Ruscy zaciukali, a mnie wysłano do Mauthausen, gdzie o mało co umarłbym z głodu. Kiedy obóz wyzwalał Amerykanie, leżałem razem ze swym młodszym kuzynem, na stosie siedemdziesięciu trupów przeznaczonych do spalania. Uratowało mnie to, że postąpiłem zgodnie z rozsądnym ostrzeżeniem. Aby odzyskać siły, trzeba jeść bardzo mało i bardzo wolno, choć człowiek chciałby sobie jak najszybciej powetować czasy głodówki. Mój kuzyn, niestety, nie postąpił zgodnie z tą zasadą; nażarł się do syta i umarł jeszcze w obozie, choć już po jego wyzwoleniu.

Zygmunt Krauze miał mizerne wykształcenie, które ograniczało się chyba tylko do czterech klas szkoły powszechnej, co wynikało z jedynej listy, jaki do mnie, do USA, przed śmiercią napisał. Wuję Krauzego wylano podobno ze szkoły z powodu handlu papierosami, ale mnie się zwierzył, że chodziło o wódkę.

Musiał przecież z czegoś swoją rodzinę utrzymać po śmierci rodziców! Pisać go nauczono, ale o interpunkcji i ortografii zapomniano. Przypuszczam, że ja byłem w jego otoczeniu jedynym człowiekiem z akademickim wykształceniem, na dodatek naukowcem ze szwedzkiego uniwersytetu w Uppsali, któremu chciał zaimponować życiowym rozmachem i koneksjami.

Wuj zaproponował nam kiedyś (mnie i Zofii) udział w bankiecie w wytwornym, jak na owe czasy, orbisowskim hotelu „Grand”, znajdującym się do dzisiaj w Warszawie przy ulicy Kruczej. Do hotelu udaliśmy się jego chevroletem impalą i zaraz przy podjeździe kłaniającemu się w pas portierowi wuj Krauze wręczył banknot pięciusetzłotowy jako napiwek. Następne pięćset złotych przypadło kierownikowi sali, czyli maitre d'. Zdziwiony taką rozrzutnością, zapytałem wuja, jaki ma cel w takim szastaniu pieniędzmi w czasie, kiedy pensja asystenta na politechnice wynosiła dwa tysiące złotych. Wuj spojrział na mnie pobłaźliwie i wyjaśnił:

— To nie jest napiwek, to jest inwestycja w teraźniejszość i najbliższą przyszłość. Ludzie mający kłopot z władzą, popełniają zasadniczy błąd, dając urzędnikom łapówki. W takich sytuacjach dawanie czegoś takiego jest już wysoce spóźnione. Łapówki daje się wtedy, kiedy nie ma się kłopotów z władzami. Natomiast jeśli chodzi o tę restaurację, to wiadomo, że na sali są założone mikrofony do podsłuchiwania rozmów gości. Odpowiednio potraktowany kierownik restauracji posadzi nas tam, gdzie podsłuchów nie ma, albo gdzie mikrofon jest uszkodzony. Dlatego będziemy mogli sobie spokojnie na komunę ponarzekać.

Innego razu, późnym wieczorem, smagany jesiennym deszczem, udałem się do willi wujka, aby przenoćować. Następnego dnia miałem mieć spotkanie w KNiT-cie (Komitet Nauki i Techniki) z wicepremierem, Adamem Szyrem, jednym z szajki komunistów zwanej w czasie drugiej wojny światowej Związkiem Patriotów Polskich w ZSSR. Przewodniczącą tego związku była Wanda Wasilewska. Do Szyra napisałem wówczas list krytykujący system gospodarczy PRL-u, system, który faworyzował zakupy

przyrządów naukowych za granicą i uniemożliwiał ich zamawianie u polskich wynalazców. Konkretnie to chodziło mi o moją własną ofertę, złożoną Akademii Medycznej w Łodzi, dla której chciałem skonstruować — na ich zamówienie — przyrząd do szybkiego pomiaru rytmu pracy serca, tak zwany kardiotalchometr. Szerzej piszę o tym w jednym z następných rozdziałów zatytułowanym „Ciepłe gacie i list do wicepremiera Szyra”.

Kiedy zapukałem do drzwi willi wuja Krauzego, przy stole w kuchni siedział milicjant. Przeraziłem się okropnie, przypuszczając, że czeka na mnie z nakazem aresztu. Byłem świadomy, że mój telefon jest na podsłuchu i w UB wiedziano, gdzie w Warszawie zamierzam się zatrzymać. Urząd Bezpieczeństwa był niezwykle podejrzliwy w stosunku do mnie, gdyż nie mogłem pojąć, w jaki sposób otrzymałem ciekawą pracę na uniwersytecie w Uppsali, a najbardziej dziwiło ich, że taką frapującą pracę porzuciłem, aby... wrócić do PRL-u. Chyba myśleli, że albo jestem nasłanym szpiegiem, albo człowiekiem umyślowo chorym. Dyskretnie wywołałem wuja do przedpokoju i zapytaniem, co u niego robi ten milicjant. Wuj mnie uspokoił, że to dzielnicowy, z którym on regularnie pije wódkę. Ponadto wytłumaczył mi, że to jest jego dawny zwyczaj, datujący się od czasów jeszcze przedwojennych. Nie zaniechał go w czasie wojny i teraz, w komunie, też ma zamiar kontynuować tę tradycję.

— Bez milicjanta, a kiedyś policjanta, nie mam apetytu na wódkę! — powiedział wujek Krauze. — Aby wypić, muszę mieć za kompana milicjanta. Fakt, że się teraz czasy zmieniły i „policjantów” przechrzczono na „milicjantów”, nie może oznaczać, że zmieniły się moje wieloletnie przyzwyczajenia towarzyskie. Poza tym te właśnie stosunki towarzyskie uchroniły mnie wielokrotnie od więzienia, gdyż zawsze wiedziałem (od policjanta rzecz jasna), kiedy należy się spodziewać kontroli celnej, skarbowej czy kryminalnej. Jak wiadomo, będąc biznesmenem w tamtych trudnych czasach, trzeba było balansować na skraju prawa i bezprawia, szczególnie, jeśli chodziło o uzyskanie reglamentowanych towarów niedostępnych prywatnikom.

Kiedyś, pod wrażeniem „bogactwa” wuja, zapytałem go bezpośrednio o początki jego majątku, kiedy to na poły umierający i zagłodzony wrócił do Łodzi z obozu w Mauthausen. Odpowiedział wówczas lakonicznie:

— Dorobiłem się na czerwonych krawatach. Kiedy w roku 1948 Polska Partia Robotnicza i Polska Partia Socjalistyczna zaczęły zlewać się w nową partię, Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą, okoliczność ta wymagała dostawy kilku milionów czerwonych krawatów.

Przodujący przemysł państwowy nie mógł wydołać społecznemu zapotrzebowaniu i dlatego Zygmunt Krauze złożył ofertę, że takie krawaty wyprodukuje, pod warunkiem, że dostanie przydział na bawełniane sukno konieczne do ich wykonania. Komuniści, będąc jak wiadomo ludźmi praktycznymi, zadbali o to, aby wuj otrzymywał odpowiednio dużą dostawę sukna na rzeczony krawaty. Zamówienie zostało wykonane przed „złaniem” się obu partii i kilka milionów członków już nowej partii, i im pokrewnych organizacji młodzieżowych, mogło defilować z czerwoną pętlą pod brodą.

— Więc stąd te pieniądze?

— Nie, nic podobnego! Te pieniądze to nie dlatego, że zapłacono mi za mój znój, trud i poświęcenie dla sprawy socjalizmu! — odpowiedział wuj. — Ty młody człowieku nie zdajesz sobie sprawy, ile materiału potrzeba, aby uszyć czerwony krawat! Kolor jest czynnikiem decydującym. Uszycie czerwonego krawata wymaga od pięciu do dziesięciu razy więcej materiału, niż uszycie krawata w kolorze na przykład niebieskim — ironia i przebiegłość wuja nie miała granic. — Z „resztek” materiału, jakie zostawały po uszyciu krawatów szyliśmy setki, jeśli nie tysiące, poszewek i wsyp na poduszki i pierzyny, które rozchodziły się jak woda po wsiach całej Polski.

Wujek Krauze po prostu zawyżał zapotrzebowanie materiałowe na krawaty, by mieć z czego szyć owe poszwy i wsypy.

Przed przeniesieniem się do Warszawy w roku 1958 i zamieszkaniu w willi przy ulicy Olimpijskiej 39, wuj Krauze mieszkał

w Łodzi przy ulicy Głównej 9 mieszkania 13. Tam też w latach pięćdziesiątych prowadził działalność handlowo-przemysłową w branży bławatnej. Choć była to działalność na dużą skalę, to jednak w firmie Zygmunta Krauzego nie było setek szwaczek pochylonych nad maszynami Singera. W jego mieszkaniu, gdzie znajdowało się centrum dowodzenia przemysłu tekstylnego, pracowały jedynie... dwie szwaczki. Firma wuja była chyba legalnie zarejestrowana, ale zakres jej działalności wykraczał poza licencję drobnego rzemieślnika. W istocie była to duża firma zatrudniająca dziesiątki szwaczek, ale pracujących w systemie chałupniczym. W mieszkaniu przy ulicy Głównej 9 rozdzielano jedynie materiał i przywożono do niego gotowe produkty. Ponieważ materiał bławatny był ściśle reglamentowany, jego dostawy wymagały „współpracy” z ludźmi pracującymi w dużych fabrykach przemysłu tekstylnego, z których Łódź zawsze słynęła. Większość tych materiałów była podejrzanego pochodzenia, czyli po prostu kradziona. Wścibscy milicjanci i rewidenci skarbowi, którzy nie zostali odpowiednio wynagrodzeni, tylko czyhali na okazję przyłapania większej partii materiału lub produktów opuszczających mieszkanie Krauzego. Aby się zabezpieczyć, wuj podobno zatrudnił, w charakterze szwaczki, żonę pułkownika Ludowego Wojska Polskiego, który — wedle wuja — był w rzeczywistości Rosjaninem oddelegowanym do nadzoru ideologicznego nad Polską. Kiedy wujowi donoszono, że na dole kamienicy kręcą się podejrzeni osobnicy wyglądający na milicjantów, żona pułkownika dzwoniła do swego męża, który przyjeżdżał wojskowym samochodem (no bo chyba nie czołgiem?), do którego ładowano trefny towar. Ponieważ mieszkanie zostawało w porę opróżnione z podejrzanym materiałem, milicjanci bezradnie rozkładali ręce i znów rewizja nie kończyła się dla nich sukcesem.

Wuj działał także w branży ogrodniczej, a potocznie mówiąc, „badylarskiej”. Jego kwaciarnia w Łodzi, na Stokach, słynęła w całym bloku socjalistycznym jako źródło dostawy najładniejszych czerwonych goździków. Szklarnie z kolei zbudował

za pieniądze zarobione w branży bławatnej w czasie, kiedy szły czerwone krawaty. Jak wiadomo, czerwony goździk jest symbolem komunisty. Bez bukietu czerwonych goździków nie można było powitać lądujących w Moskwie sekretarzy bratnich partii komunistycznych Europy Zachodniej, Chin czy Kuby. Bez czerwonych goździków nie można było pochować umierających, a zasłużonych klasie robotniczej notabli. Goździki były tak nieodzowne jak gwóźdź do trumny pierwszego sekretarza KPZR (Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego). Tymczasem polskie socjalistyczne przedsiębiorstwa rolne czy radzieckie kolchozy nie były w stanie takich goździków wyhodować. Wiedły one w oczach i kolor ich był jakiś nie taki, a zapach jeszcze gorszy. Goździki wuja z dzielnicy Stoki były na głowę goździki wyhodowane w socjalistycznych szklarniach pod każdym względem: kolorystycznym, zapachowym i długowieczności. W związku z powyższym każdego tygodnia wysyłał samolotem bukiety swoich goździków do Moskwy, gdzie spełniały ważną rolę w utrwalaniu pokoju i przyjaźni między socjalistycznymi narodami.

— Towarzysze radzieccy zapewniali mnie — mawiał, że włos mi z głowy nie spadnie z powodów podatkowych, gdyż jedność obozu socjalistycznego na tym właśnie włosie się trzyma.

Ostatni list, czyli wujek Krauze nie poddaje się

Kochani moi, Zosieńka Janek i Naślednik!!! (po rosyjsku „spadkobierca”, „następca”)

Nie pisałem do Was już nie wiem jak dawno, a stało się to dlatego, że przez dziesięć lat, jak Wam wiadomo, byłem bezrobotny, nie wiedziałem, co ze sobą mam począć, więc siłą rzeczy sam będąc bezużytecznym, trudno, abym i innym zwracał głowę. Możliwe, że ta beczynność trwałaby jeszcze do dnia dzisiejszego, gdyby nie to, że Beata (jego wnuczka) postanowiła wyemigrować z Polski. Orientując się, jak trudno młodemu człowiekowi

poradzić sobie w ogóle, a co dopiero na obczyźnie, postanowiłem wyjechać z kraju, ażeby się zorientować, czy są jakieś możliwości stworzenia warsztatu pracy samodzielnej. Wyjeżdżając, nie wiedziałem jeszcze, gdzie przyjdzie mi się osiedlić. Miałem nawet na uwadze kraje zamorskie.

A wiec siódmego marca (1972 roku), w dzień swoich urodzin, wyjechałem samochodem przez Czechy (*wuj napisał „Czechy”, ale wiadomo, że chodziło wówczas o „Czechosłowację”*) i Austrię do Włoch, ale zatrzymałem się jeszcze w Wiedniu. Tutaj zacząłem rozmowy z różnymi Żydami na temat interesów. Miałem różne propozycje wyjazdu, do Libanu, Libii, a nawet do Izraela. Mogłem wyjechać, tak jak stałem, gdybym tylko chciał przystąpić do spółki w obojętnie jakiej branży. Pod warunkiem, że będzie to spółka przeze mnie wymyślona. Nie wyjeżdżałem jednak po to, aby samemu robić jakieś interesy, tylko po to, aby wyszukać coś odpowiedniego dla Beatki. Ponieważ w międzyczasie dziewczyna z medycyny przerzuciła się na ogrodnictwo, zacząłem się więc rozglądać za jakimś „obiektem” w tej branży. Dawałem ogłoszenia, informowałem się w biurach pośrednictwa i doszedłem do wniosku, że w Austrii jest jeszcze dużo do zrobienia w branży kwiaciarskiej. Tutaj nie sprzedają ziemi na morgi i hektary jak u nas i gdzie indziej, tylko na metry kwadratowe, bo austriacka ziemia jest bardzo droga, do tego stopnia, że nie ma ziemi tańszej niż pięć dolarów, a jest to jeszcze uwarunkowane tym, gdzie dany teren się znajduje (wtedy może kosztować nawet do stu dolarów za jeden metr kwadratowy). Bardzo dużo gospodarstw jest opuszczonych, wiele ziemi leży odłogiem, więc zacząłem rozglądać się za dzierżawą.

Ponieważ większość ziemi w Austrii należy do klasztorów, więc tam skierowałem swe pierwsze kroki. Poznałem naczelnego dyrektora olbrzymich posiadłości klasztornych, ale trudno mi było z nim dojść do porozumienia, gdyż zorientowałem się, że on nie ma do mnie zaufania. Zaproponowałem mu zatem, aby pojechał do Łodzi, do Teresy (*jego córka*), aby obejrzał sobie jej gospodarstwo. Gdy wrócił, już nie ja jego, ale on mnie szukał i „przy-

„pomniał sobie” w międzyczasie, że ma poklasztorne gospodarstwo ogrodnicze przy autostradzie z Wiednia do Innsbrucku, przy drodze Linz — Salzburg i drodze na Monachium, Paryż, w miejscowości Kemmelbach oddalanej o sto kilometrów od Wiednia. Przywiózł mnie więc ten „podwójny” doktor, bo z ekonomii i rolnictwa, do Shift Melk, własności benedyktynów. Było to zdewastowane gospodarstwo nad własnym kawałkiem rzeki. Zaproponował bezpłatną dzierżawę za pierwszy rok, a po roku pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, czyli sześćset rocznie. Propozycja była tak nęcąca, że zgodziłem się bez żadnego namysłu.

Wydzierżawiłem więc ten obiekt na piętnaście lat z corocznym automatycznym przedłużeniem umowy i przystąpiłem do remontu. Okazało się jednak, że nie warto tego remontować, a lepiej rozwalić i zbudować od nowa, co też zrobiłem i już w początkach czerwca, dokładnie piątego, wladowaliśmy do jednej z czterech wybudowanych szklarni pierwszy tysiąc storczyków. Dlaczego storczyki? Ponieważ w międzyczasie przyjechał — po ukończeniu akademii ogrodniczej — dyplomowany inżynier, Wojtek Dziomdziora, który właśnie specjalizuje się w storczykach. Dziś mamy już w tej szklarni dwa tysiące pięćset storczyków w doniczkach po dwanaście dolarów za jedną doniczkę. Trzy kolejne, jeszcze puste szklarnie również miały być obsadzone storczykami, ale w międzyczasie (*u wujka wszystko działa się szybko, „w międzyczasie”, toteż nic dziwnego, że często używał tego zwrotu*), w tym samym majątku, trafił się do kupienia na własność zamek o powierzchni tysiąca metrów kwadratowych wraz z parkiem o powierzchni ośmiu tysięcy metrów kwadratowych za bzdurną sumę siedemdziesięciu tysięcy dolarów, więc nie mogliśmy na razie zainwestować w następną szklarnię. Dlatego czterdzieści tysięcy, które mieliśmy pierwotnie przeznaczyć na kwiaty, trzeba było wpłacić od razu właścicielowi. Pozostałe trzydzieści tysięcy dolarów dopiero po roku. Zamek ten mogłem „sfinalizować” tylko dlatego, że Wiktor (*adoptowany wychowanek, ksiądz i sekretarz biskupa Klepacza*) otrzymał obywatelstwo Austrii.

Tak więc od lipca mieszkamy już we własnym zamku, we dwóch z Wojtkiem, własną kaplicą na sto dwadzieścia miejsc siedzących, a od początku sierpnia również z Terenią i Beatką, które już piętnastego bieżącego miesiąca wyjeżdżają z powrotem. Nie wiem, czy Wam wiadomo, że Beata została przyjęta na studia; zdała konkursowy egzamin na Akademię Rolniczą w Warszawie z najwyższą notą, choć konkurencja była duża, bo startowało dwanaście osób na jedno miejsce. Ponieważ żonie mojej poprawiło się zdrowie, więc możliwe, że — o ile uda mi się namówić gospozię, Irenę, którą na pewno pamiętacie — około Bożego Narodzenia obie tu przywiozę. Dziewczyna ta opiekuje się moją żoną od początku jej choroby i bez Ireny moja żona nigdzie nie chce się ruszać. Co do mnie to radzą mi, abym nie wracał do Polski, bo mnie mogą już ponownie nie puścić, a beze mnie trudno byłoby im tu sobie radzić, tym bardziej że mamy coraz więcej długów, bo sam system grzewczy, który będzie gotowy w przyszłym tygodniu, kosztować będzie dwadzieścia tysięcy dolarów, a targować kwiatami dopiero będzie można w przyszłym roku.

O ile ktokolwiek i kiedykolwiek z Was będzie przejeżdżał przez Europę, to proszę wstąpić do nas, bo ja nie będę mógł się wcześniej stąd ruszyć, jak gdzieś około roku 1975, kiedy to całe przedsiębiorstwo będzie już w ruchu.

Mój adres:

3373 Kimmelbach, Austria, telefon 07412-302

Wasz Zygmunt

List napisany był prawdopodobnie w roku 1973 lub 1974.

„Góralu, czy ci nie żal?”

— Reniek opuszcza ludową ojczyznę

Dzień piętnastego sierpnia 1963 roku nie był wyjątkiem astronomicznym, mimo że po południu tegoż dnia Polska Republika Ludowa traciła Reńka, jednego ze swych najwybitniejszych synów. Służby celne na granicy z NRD zajęci byli, jak co dzień, parzeniem herbaty i dzieleniem się skonfiskowanymi turystom papierosami marki „Marlboro”. Jak na ironię zwyczajność tego dnia podkreślało zwyczajnie zachodzące słońce. Mój przyjaciel szkolny, Reniek Oduliński, przekroczył właśnie granicę polską, a raczej PRL-u, zmierzając motocyklem na zachód, do Francji. Zarówno ja, niżej podpisany, jak i Reniek, mieliśmy wtedy po lat dwadzieścia osiem i bujne, czarne czupryny. Czerwona tarcza zachodzącego słońca świeciła Reńkowi obiecująco prosto w oczy, a odurzający zapach spalin wysokooktanowej benzyny ołowiowej wprowadzał go w stan prawie że seksualnego upojenia.

Reniek jechał w nieznaną, w kierunku świetlanej, albo przynajmniej gastronomicznie lepszej przyszłości, gdyż do siermiężnego raję towarzysza Władysława Gomułki nie zamierzał już wrócić. Mój kolega miał osobiste uprzedzenia w stosunku do pierwszego sekretarza PZPR, właśnie nie tyle z powodów politycznych, co kulinarnych. Miał mu za złe, że mieszkanie fabryczne, jakie mu na stażu, po ukończeniu Politechniki Częstochowskiej, zapewniono we Wrocławiu, było dużo mniej niż wykwintne. Był to pokój „gościny” w fabryce produkującej urządzenia dla przemysłu spożywczego, mieszczącej się w starym, ponemieckim, zrujnowanym przez wojnę browarze, przy ulicy Krakowskiej. Okna w owym pokoju nie mógł otworzyć, gdyż mieszczący się na parterze fabryczny klozet, czyli po staropolsku „sracz”, zwykle zapchany, woniał rozkładającym się moczem wszędy i wzdłuż budynku, ale głównie w kierunku okna Reńka. O ile sobie przypominam, pokój „gościny” nie miał też łazienki, a Reniek, będąc z natury pedantem, w celu

utrzymania higieny osobistej, był zmuszony pracować skarpetki i intymną garderobę w zlewku. Był on więc jednym z pierwszych odkrywców tak zwanej technologii podwójnego zastosowania. Dzisiaj ta nazwa odnosi się do technologii pokojowych, które śmiało mogą być także używane przez terrorystów. Na przykład metalowe widelce na pokładzie samolotów, wytwarzane w celach jak najbardziej pokojowych, mogą stać się niebezpiecznym narzędziem w ręku jakiegoś fanatyka.

Jeśli chodzi o dietę, której Reniek staranie przestrzegał, to składała się ona głównie z rosółu z makaronem i rurek z kremem. Po starannych badaniach rynku gastronomicznego we Wrocławiu, Reniek odkrył, że współczynnik ilości kalorii w stosunku do ceny, był w takim zestawie najwyższy. Kalorie były Reńkowi potrzebne bardziej niż witaminy, a to z powodu zobowiązań, jakich się podjął i dotrzymywał (w miarę sił) w stosunku do kilku wrocławianek.

Z otrzymaniem paszportu peerelowskiego na wyjazd do zgniętego i wrażego zachodu Reniek nie miał większych trudności. Był już wtedy człowiekiem znanym i godnym zaufania, gdyż dobrze wywiązywał się z zadań zleconych przez organa śledcze. Te zadania miały na celu inwigilację mej osoby i dostarczanie pisemnych donosów. O całej tej historii informuję Czytelników we wcześniejszych rozdziałach mej książki, teraz dodam tylko, że donos Reńka Odulińskiego na Janka Czeka-jewskiego zrobił podobno furorę w kołach literackich wrocławskiego Urzędu Bezpieczeństwa i znajduje się wśród dokumentów dotyczących mej osoby, jakie otrzymałem niedawno z IPN-u.

Rok 1963 — Janek i Zofia jadą do Francji

W tym samym czasie kiedy Reniek przekraczał polską granicę pojazdem jednośladowym, ja ze swą dziewczyną, Zofią, późniejszą drugą byłą żoną, młodą i piersiastą lekarką z Łodzi, przy-

gotowywałem się w Uppsali do wakacji. Było to podczas mojego już drugiego pobytu w Szwecji, gdzie pracowałem jako asystent w Instytucie Fizyki uniwersytetu w Uppsali. Od początku mej tam bytności, marzeniem moim było zaoszczędzić pięć tysięcy dolarów na kupno francuskiego samochodu marki „Simca”. Właśnie z początkiem wakacji marzeniom tym stało się zadość, konieczną sumę bowiem już miałem i wymarzony samochód mogłem nabyć w salonie firmowym w Paryżu.

Przed samym wyjazdem do Paryża (chyba pierwszego września 1963 roku) dostałem kartkę pocztową od Reńka, wysłaną z Francji, w której donosił, że jest gościem markizy de Grammont w pałacu Villersexel, mającym ponad dwadzieścia sypialni. W pałacu tym, jak pisał Reniek, mieszkają trzy panie: starsza pani markiza, jej córka „markizianka” w wieku „poborowym”, czyli około trzydziestki, a także polska jakoby arystokratka, którą nazywano mademoiselle de Lulu w wieku „balzakowskim”, czyli około lat czterdziestu. Reniek był jednym z dwóch mężczyzn (poza służbą) zaproszonych do pałacu. Drugim był jego kuzyn, polski hrabia, na którego zaproszenie właśnie Reniek przyjechał do Francji. Tak się złożyło, że powinowaty mojego przyjaciela, kiedyś polski dyplomata, który po wojnie uciekł do Francji, został w tym samym czasie zaproszony do pałacu Villersexel jako honorowy gość, dla zabawiania wędnących z nudy arystokratek. Różnica między kuzynem i Reńkiem była zasadnicza, kuzyn był żonaty i starszy od Reńka, a Reniek był młodym kawalerem o imponującej prezencji fizycznej.

We Wrocławiu, na potańcówkach studenckich Reniek często był moim osobistym ochroniarzem w sytuacji, gdy ujawniała się nadmierna agresja konkurentów do płci pięknej. Ochrona była konieczna, jako że w młodości miałem podobno buńczuczny i wyzywający wyraz twarzy, którą to twarz moi konkurenci zawsze zamierzali zniekształcić, czyli po prostu chcieli mi zdrowo dokopać.

Ponieważ kuzyn nie mógł zostawić Reńka samego, uprosił markizę, aby przygarnęła Reńka, komunistycznego wypędką,

i zleciła mu funkcję wakacyjnego pazia. Kiedy Reniek znalazł się w pałacu Villersexel i zauważył mnogość sypialni, pomyślał sobie, że i ja mógłbym także dostać podobną propozycję. Jemu samemu byłoby mniej nudnie, a sypialnie nie byłyby tak nieprzyzwoicie puste. Czy do obowiązków pazia włączały się także usługi bardziej intymne w stosunku do trzech arystokratek, tego się od Reńka nie dowiedziałem, ani wtedy, ani potem. Niemniej całkiem niedawno, po czterdziestu trzech latach, Reniek zeznał, że mademoiselle de Lulu często mdlała i musiał ją na rękach zanosić do jej sypialni. Podobno omdlenia miały po intensywnym masowaniu jej lędźwi.

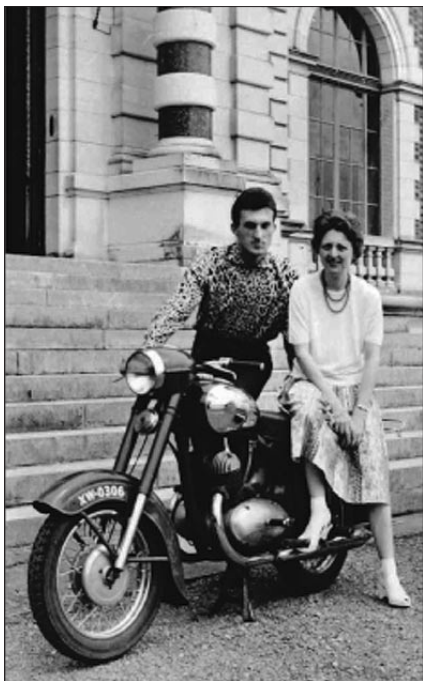


Pałac w Villersexel (Francja)

Wysyłając owo zaproszenie, Reniek zapomniał o jednym, że ja mieszkałem wtedy w Uppsali z urodziwą Zofią z biustem, do którego nie mogła aspirować żadna francuska arystokratka,

i że jeśli już to do Villersexel przyjedziemy... razem. W euforycznych pierwszych dniach we Francji Reniek, pisząc kartkę do mnie, prawdopodobnie nie brał jednak na serio tego, że ja mogę faktycznie jego propozycję gościny u markizy potraktować poważnie. Tak na dobrą sprawę to nie miał żadnego prawa wydawać takich zaproszeń. Jakie było jego zdumienie, kiedy pojawiłem się z Zofią na podjeździe pałacu Villersexel przed rzeźbionymi wrotami wejściowymi, opisuję poniżej.

Do Francji wybraliśmy się z Zofią — dla zaoszczędzenia kosztów — jako współtowarzysze młodej pary szwedzkiej, jadącej samochodem combi w kierunku południowej Europy. W Paryżu pożegnaliśmy się ze Szwedami i udaliśmy się na wielki kamping na przedmieściach Paryża, rozbijając



*Reniek z jawą 350 w towarzystwie
Jean Marie de Grammont*

tam namiot kupiony przed wyjazdem z rekomendacji pracownika polskiego konsulatu. Namiot ten został poddany pierwszej próbie ognia, a raczej deszczu i okazało się, że dach namiotu przeciekał, natomiast gumowana podłoga doskonale zbierała wodę. Nie przyszło mi do głowy, aby odwrócić namiot do góry nogami, czyli z podłogi uczynić dach, a z dachu podłogę. Ale, co tam! I tak takie rozwiązanie nie mogło wchodzić w rachubę w środku nocy i wśród ulewnego deszczu! Następnego dnia kupiłem wymarzony samochód simcę 1300, który cieszył się w Polsce — jak zresztą wszystko, co francuskie — dobrą, ale wcale

niezastużoną sławą i podążyliśmy z Zofią w kierunku pałacu Villersexel, gdzie w glorii i przepychu francuskiego Chateaux pławił się nasz kolega, Reniek Oduliński.



Góra: Ja z Zofią w drodze z Paryża do Villersexel (rok 1963)
Dół: Śniadanie w drodze z Paryża do Villersexel



Afront w Villersexel

Kiedy następnego dnia zajechaliśmy naszą simcą przed wrota pałacu strzeżonego po obu stronach żeliwnymi armatami, drzwi otworzył nam ubrany w liberię lokaj, któremu nakazałem sprowadzić mojego przyjaciela, monsieur'a Reńka Odulińskiego. Jednak zamiast Reńka pojawiła się młoda kobieta w wieku „poborowym”, i przedstawiła się jako mademoiselle Jeanne-Marie de Grammont, najmłodsza latorośl starego (od 1330 roku) rodu markizów de Grammont. Dowiedziawszy się, że zaprosił nas Reniek, po kilku zdawkowych uprzejmościach, wykwintnym ruchem podała nam arystokratyczną dłoń do uściśnięcia i życzyła nam... dalszej podróży po Francji. O zaproszeniu do sypialni albo stołu nie wspomniała w żadnym języku, jaki znałem, mimo że chyba słyszała, jak z głodu burczy nam w brzuchach. „Przelotnie” na horyzoncie pojawił się Reniek, który nadmienił, że teraz to on na rozmowę ma mało czasu, ale za godzinę może się z nami



Portal pałacu Villersexel

spotkać w pałacowym parku. Wtedy będziemy mieli więcej czasu i swobody na przyjacielską pogawędkę. Przypuszczam, że brak czasu był spowodowany kolejnym omdleniem mademoiselle de Lulu i Reniek musiał jej masować uda. No cóż, zdrowie pięknych pań przede wszystkim, jak mawiał kolega, Andrzej Witkowski, gdyż jak panie będą zdrowe, to i my będziemy zdrowi.

Kiedy za godzinę spotkaliśmy w parku Reńka, wspomniał, że czas ma „napięty”, gdyż o godzinie 16.00 w pałacu podaje się tradycyjną herbatkę i musi się do niej stosownie ubrać. Dla wyjaśnienia dodał, że w doborze stroju wieczorowego pomaga mu lokaj, gdyż herbatki obowiązkowo różnią się strojami. Za każdym razem pałacowe towarzystwo ubiera się w stroje z innej epoki historycznej. Garderoba renesansowych i późniejszych epok strojów znajduje się na poddaszu pałacu. Ponieważ stroje wieku XVII lub XVIII różnią się rzecz jasna od dzisiejszych, więc pomoc specjalisty w ubieraniu jest nieodzowna. Nie do pomyślenia byłoby przypasać rapier muszkietera Ludwika XIV do munduru

grenadiera z epoki napoleońskiej!



Reniek w stroju stosownym do pałacowej herbatki

Co do feralnego zaproszenia to Reniek, trochę zażenowany, wyjaśnił, że gdybym przyjechał sam, to być może i miejsce w pałacu by się znalazło, ale widok biustu Zofii przesądził sprawę na mą niekorzyść i dlatego markiza wytwornie, acz bezlitośnie pokazała nam drzwi. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko „poczłapać” nowo kupioną simcą z powrotem do Szwecji, bo na turystyczne rozjazdy po Francji nie mieliśmy już pieniędzy.

Janka powrót do Villersexel

Jest rok 2000. Od czasu mej pierwszej wizyty w Villersexel minęło lat trzydzieści siedem. Tak się złożyło, że interesy firmowe skierowały mnie do Bazylei, centrum światowego przemysłu farmaceutycznego. Po ich załatwieniu, zastanawiałem się z moją towarzyszką życia, Laurą — dzisiaj moją małżonką — jak spędzimy resztę czasu w Europie. Wybór padł na Francję, z którą Bazylea graniczy. Wtedy przypomniałem sobie o Villersexel i postanowiłem miejscowość tę odszukać na mapie. Nadzieje na znalezienie właściwego miejsca na mapie miałem raczej płonne, jako że spodziewałem się, iż we Francji miejscowości o nazwie „Villersexel” będzie kilkanaście. Okazało się jednak, że byłem w błędzie. W spisie francuskich miast i miasteczek na drugiej stronie francuskiej automobilowej mapy był tylko jeden Villersexel i to na dodatek umiejscowiony wprost na zachód od Bazylei, nie więcej niż dwie godziny drogi samochodem.

Tegoż dnia, jadąc samochodem krętą drogą zmierzającą do miasteczka Villersexel, ujrzałem na wzgórzu znajomy mi widok pałacu markizy de Grammont. Po chwili znaleźliśmy się przed żelazną bramą wiodącą do pałacowego parku, niestety, zamkniętą. Napis w trzech językach: po francusku, angielsku i niemiecku głosił, że godziny zwiedzania pałacu są następujące: od 14.00 do 18.00, a koszt wynajęcia pokoju wynosi około dziewięćdziesięciu dolarów. Po usilnym naciskaniu dzwonka na bramie pojawił się mizernego wzrostu człowiek, wedle Laury, wierna kopia amerykańskiego komika, Woody Allena, który okazał się być właścicielem i nowym markizem pałacu Villersexel. Pod warunkiem, że będziemy płacić gotówką, zgodził się na wynajęcie pokoju na jedną noc. Pokojem tym miała okazać się wykwintna sypialnia markizy z rozłożystym, antycznym, mahoniowym łóżem.

Ponieważ pora była już późna, zaparkowaliśmy samochód pod oknem baszty pałacowej, w której mieściła się sypialnia markizy i udaliśmy się na wypoczynek. Niestety trudno nam było zmrzyć



Łoże markizy de Grammont

oko, gdyż w pałacu, na każdym piętrze, było kilka wielkich zegarów wahadłowych z kurantami. Nie były one zsynchronizowane i ich uderzenia rozmijały się tak, że zawsze któryś bił. Na dodatek, do tej kakofonii, co kwadrans dołączał się spiżowy dzwon z pobliskiej wieży kościelnej. Horror. Do wzmoczenia wręcz upiornego nastroju, jaki panował w pałacu, w środku nocy słycać było skrzypienie podłogi i tajemnicze kroki na korytarzu, które Laura interpretowała jako kroki wałęsającego się ducha markizy

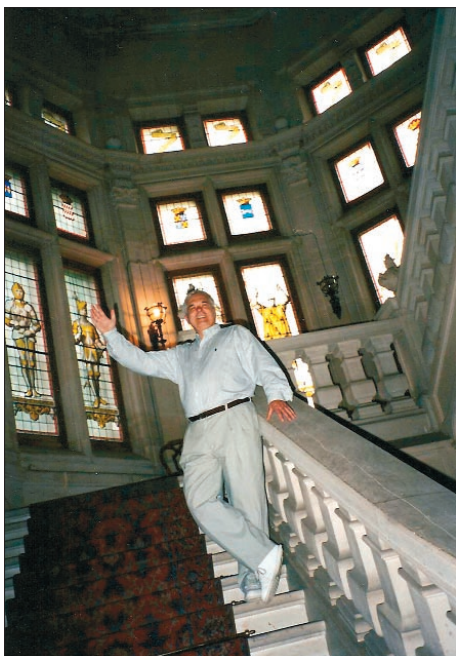


Wnętrze pałacu Villersexel

(starszej), starającej się nas wykurzyć z jej łóża. Nad ranem jednak doszedłem do wniosku, że to chyba nowy markiz sprawdzał, czy czasami nie kradniemy i wynosimy do samochodu antycznych obrazów, jakimi ozdobione były korytarze. Na szczęście napiętą atmosferę nocnej grozy poprawiło ranne śniadanie z pysznymi rogalikami podane do łóżka przez młodą kobietę, która jak się później okazało, była żoną aktualnego właściciela, czyli „bieżącą” markizą. Muszę dodać, że ani przedtem ani potem śniadania nie podawała mi do łóżka żadna markiza, więc wydatek dziewięćdziesięciu dolarów za nocleg zwrócił się z nakładem w walucie... prestiżowej.

Po śniadaniu udaliśmy się obejrzeć park, a raczej to, co z parku zostało i poprosić właściciela, aby nam pokazał wnętrze pałacu. Właściciel okazał się rozmowny i oświadczył, że kiedyś był profesorem uniwersytetu w Ameryce Północnej, ale po śmierci markizy,

nabył pałac, czego jednak żałuje, bo pałac wymaga remontu; dach przecieka, drewniane okna — jest ich w posiadłości chyba kilkadziesiąt — wymagają wymiany, a dochody z wynajmu pokoi są mizerne, turystów niewielu. Zaproponował mi kupno pałacu za mizerną sumę czterystu tysięcy dolarów, nadmieniając chytrze, że jeśli Amerykanie nie kupią tego pałacu, to będzie zmuszony sprzedać ten relikwiarz europejskiej historii Japończykom. Argument z japońską ekspansją na Francję nie wzruszył mnie jednak. Posiadanie nieruchomości,



Ja na schodach pałacu Villersexel

nawet pałacowej, na innym kontynencie nie jest w moich warunkach praktyczne, szczególnie z perspektywą zamrożenia kilku milionów dolarów koniecznych na renowację dachu i okien.



Laura przy podwieczorku w pałacu Villersexel

Dalsze losy arystokratek z Villersexel

Po powrocie do domu zadzwoniłem do Reńka Odulińskiego, dzisiaj obywatela kanadyjskiego i wybitnego hodowcy papużek, zdając mu relację z mej wizyty w Villersexel. W rozmowie Reniek dodał kilka interesujących szczegółów dotyczących dalszych losów rodziny markizów de Grammont tak, że wieści ułożyły mi się w pewną całość. Podobno pani starsza jakoby przed śmiercią powierzyła swój majątek nie córce, tylko mademoiselle de Lulu, z którą łączyła ją bliska, a nawet bliższa niż wypadałoby przyjaźń. Córka została z jakimś mizernym dochodem z funduszu

powierniczego. Kiedy młoda „markizianka” de Grammont przyjechała do Montrealu, aby odwiedzić Reńka, już wtedy żonatego i dzieciatego, okazała się być osobą zupełnie niepraktyczną i życiowo zagubioną, która nawet nie miała karty kredytowej pomocnej przy płaceniu za podróż powrotną do Francji. Kilka lat potem, w roku 1989, ta jeszcze stosunkowo młoda osoba umarła na raka. Niezameężna i bezdzietna. Jeśli zaś chodzi o polską „arystokratkę”, mademoiselle de Lulu, to w kilka lat po śmierci mademoiselle de Grammont też zmarła i jest pochowana na tym samym cmentarzu, co reszta rodziny markizów de Grammont.

Praca w „Wallenberg Laboratory” i drugi powrót Janka do PRL-u

Moja pozycja w szwedzkim Instytucie Fizyki była z założenia niestabilna i niepewna, gdyż zależała od zewnętrznych zamówień na specjalistyczne przyrządy naukowe, zamówień, jakie otrzymywał mój szef, profesor Per Arno Tove. Realizacja tych zleceń to była praca nadzwyczaj ciekawa! Dała mi też możliwość zrobienia kilku wynalazków i wydania publikacji naukowych. Niemniej w pewnym momencie zamówienia się skończyły i zostałem zwolniony z pracy.

Zbiegło się to z kłopotami związanymi z przedłużeniem mego polskiego paszportu. Sytuacja ta odbiła się mocno na moim stanie psychicznym. Przeżyłem załamanie nerwowe, które wymagało interwencji psychiatrycznej. Przez dwa miesiące byłem pacjentem otwartej kliniki psychiatrycznej w Szpitalu Uniwersyteckim w Uppsali. Na szczęście szybko wróciłem do zdrowia i zacząłem szukać innej pracy. Wkrótce taką znalazłem, jako inżynier konstruktor w zespole dwóch naukowców, neurologów, pracujących w Instytucie Wallenberga („Wallenberg Laboratory”), będącym częścią Instytutu Farmakologii uniwersytetu w Uppsali. Moimi współpracownikami byli dwaj naukow-

cy: doktor Jan Ekstedt i doktor Erik Stalberg. Pracowali oni nad metodami pomiaru sygnałów elektrycznych w mięśniach, zwanych elektromiografią (EMG) i zajmowali się chorobą zwaną miastenią. Szybko udało mi się rozwiązać poważny problem, jaki mieli moi współpracownicy w kwestii zapisu sygnałów elektrycznych EMG, a to za sprawą zbudowania, a właściwie wynalezienia przyrządu zwanego „window trigger”. Przyrząd ten został opisany przez moich kolegów w wielu publikacjach, w których umieścili mnie też jako współautora. Nigdy nie myślałem, że ten przyrząd skonstruowany w ciągu miesiąca zrobi taką karierę naukową. Nawet dzisiaj można znaleźć odnośnik do informacji o tym przyrządzie w Internecie, w publikacji wydrukowanej dziesięć lat po jego wynalezieniu.

Mimo sukcesów naukowych w nowym zespole, emocjonalnie z trudnością adaptowałem się do życia w Szwecji. Ponadto Szwecja, kraj raczej mały i etnocentryczny, nie hołubił cudzoziemców, a w tamtym czasie Polacy też nie cieszyli się tam najlepszą reputacją. Za namową pewnego lekarza postanowiłem wracać do Polski, aby odpocząć w środowisku polskojęzycznym i zdecydować o swym dalszym losie. Zofia zdecydowała się wracać ze mną. Postanowiliśmy zdążyć do Polski przed Bożym Narodzeniem 1964 roku. Przed wyjazdem mój szef, doktor Jan Ekstedt, wręczył mi — podobnie jak to zrobił uprzednio profesor P. A. Tove — oficjalne zaproszenie (bez wstawiania konkretnej daty) z myślą o przyszłej współpracy. Datę miałem wpisać sobie sam, jeśli zechcę wrócić do Uppsali.

Feralny mercedes model 190

Do Polski wracaliśmy z Zofią dwoma samochodami. Jednym z nich był stary, dziesięcioletni, przerdzewiały mercedes model 190, którego kupiłem za trzysta dolarów od Cygana w Uppsali z zamiarem sprzedania go w Polsce. Podróż do Polski była niezwykle uciążliwa, w zamieciach śnieżnych i po oblodzonych

drogach. Liczyliśmy, że nasze samochody, jeden zarejestrowany na Zofię (simca etoile), a drugi (mercedes 190) zarejestrowany na mnie, przewieziemy przez granicę celną bez cła. Simca etoile został szybko i bez kłopotu zwolniony z obowiązku opłaty celnej. Niestety, jeśli chodzi o mercedesa to celnicy zadecydowali, że nie przysługuje mi prawo do zwolnienia z cła, ponieważ trzy lata temu przywiozłem ze Szwecji inny samochód renault dauphine, który rozbił się doszczętnie w drodze powrotnej pod Strzelcami Opolskimi. Tak czy inaczej celnicy kazali mi się zgłosić w Warszawie do Urzędu Celnego i tam uzyskać decyzję o zwolnieniu samochodu z cła. Samochód zaplombowali. Ponieważ własnego garażu nie miałem, wujek Zofii, Krauze, zaproponował, abym postawił auto po przeciwnej stronie ulicy, u jego znajomego, pana Tulmana, który dysponuje pustym garażem.

Procedura rozpatrywania mego wniosku o zwolnienie z cła zaczęła się przedłużać i pan Tulman, w którego garażu postawiłem samochód, w pewnym momencie powiedział, że wymawia mi umowę najmu garażu. Ale! Jeśli mi to odpowiada, to on mercedesa może ode mnie odkupić za sto dwadzieścia tysięcy złotych. W tej propozycji przelicznik dolara na złotówkę był bardzo dobry, bo wynosił około czterystu złotych w czasie, kiedy na czarnym rynku za jednego dolara dostawało się sto. Z interwencji znajomego, który był sekretarzem marszałka Sejmu, Wycecha, otrzymałem zwolnienie z cła i mogłem wymienić samochód na potrzebną mi do rekonwalescencji gotówkę. Następnego dnia przejąłem walizeczkę z pokaźną sumą i pojechałem do Łodzi, gdzie mieszkiałem czasowo z Zofią u jej mamy, przy ulicy Głównej 9.

Dwa dni później zadzwonił do mnie wuj Zofii z alarmującą wieścią, że moje auto jest powtórnie zaplombowane, tym razem przez milicję kryminalną, która, robiąc rewizję w domu Tulmana, „odkryła” w jego garażu mercedesa. Tulman był podejrzany o udział w słynnej wówczas aferze mięsnej, która polegała na sprzedaży mięsa pochodzącego z prywatnego uboju w państwowej sieci sklepów mięsnych. Wplątani w aferę mięsną byli

uważani za groźnych przestępców i za uczestnictwo w tym „interesie” zostali skazani na długie lata więzienia, a jeden nawet na śmierć. Pan Tulman uniknął wówczas aresztowania, bo w koszuli nocnej uciekł z domu przez okno od strony ogrodu i ukrył się w Łodzi, u zakonnic. Wujek Zofii nalegał, abym zgodziłem się odkreślić umowę sprzedaży mercedesa, zwrócić żonie Tulmana pieniądze i stwierdzić na milicji, że samochód jest mój, czasowo tylko garażowany u Tulmana. Chcąc nie chcąc, tylko z powodów rodzinnych, zgodziłem się na to rozwiązanie, aczkolwiek nie było ono pozbawione ryzyka. Obawiałem się bowiem, że milicja w czasie rewizji u Tulmana znajdzie pokwitowanie z moim podpisem na sumę stu dwudziestu tysięcy złotych za sprzedaż samochodu.

Po około miesiącu milicja uwierzyła w moje prawo własności do mercedesa i mogłem nim odjechać. Nie było to dla mnie dobrym rozwiązaniem, gdyż nie miałem w Łodzi ani w Warszawie garażu na trzymanie w nim auta. Kilka dni po przyjeździe do Łodzi pojechałem nim na giełdę samochodową, aby zorientować się, ile taki grat może być wart. Z nikim jednak się nie targowałem, tylko oglądałem podobne modele. Kiedy wróciłem z giełdy do domu, po kilku minutach rozległo się pukanie do drzwi, a potem pojawiło się w nich dwóch ludzi z walizką, w której — jak się później okazało — było dwieście tysięcy złotych. Jednym z tych dżentelmenów był człowiek o nazwisku Kupchal, który wyraził chęć zakupu mercedesa za każdą cenę. Obawiałem się, że jest to milicyjna prowokacja, jako że samochodu zwolnionego z cła nie wolno było sprzedać przez pięć lat. Pan Kupchal uspokoił mnie jednak, mówiąc, że nie jest „kapusiem” tylko uczciwym, prywatnym biznesmanem handlującym gęsim puchem i pierzem.

Uczciwie mu wyjaśniłem, że jest to samochód stary, przeżarty rdzą i nie jest wart dwustu tysięcy złotych, co jednak mego rozmówcy nie zraziło, a nawet zachęciło, gdyż jego celem był zakup nie tyle pojazdu, co raczej numeru seryjnego silnika. Biznesmen, handlując pierzem na styku sektora państwowego i prywatnego, miał poważną i przez to „kłopotliwą” nadwyżkę pieniędzy, ale nie

mógł ich ujawnić urzędowi skarbowemu z wiadomych powodów. Kupchał chciał sprowadzić z Niemiec wszystkie potrzebne części do renowacji mercedesa, nie licząc się z kosztami, ale — mimo renowacji — numer seryjny tego samochodu będzie ciągle wskazywał, że jest to niewiele wart, stary grat. Chyba oto właśnie mu chodziło. W myśl przysłowia: „Kto nie ryzykuje, ten nie zyskuje” ostatecznie sprzedałem samochód handlarzowi pierza. Pojazd został nawet legalnie zarejestrowany w Łodzi na nazwisko pana Kupchała, a rejestracji dokonała osobiście kierowniczka Wydziału Motoryzacji, którą widocznie przekupił... puchową pierzyną.

Pan Tulman po kilku tygodniach ukrywania się w klasztorze sióstr zakonnych, znudzony monotonią i ascezą życia klasztornego, wrócił nocą do domu w Warszawie. Wrócił i zrobił żonie wielką awanturę! Zaistniało bowiem niepotwierdzone podejrzenie, że w czasie jego klasztornego umartwiania się, ksiądz, który go rekomendował do klasztoru, odgrywał rolę „pocieszyciela” w stosunku do jego — osieroconej w pewnym sensie — małżonki. Biedny ksiądz miał podobno trudności z wytłumaczeniem swej obecności w domu Tulmana w godzinach „pozaparafialnych” i musiał zmykać z willi przez to samo okno, przez które niedawno uciekał sam Tulman. Ponieważ jednak zarówno ksiądz, jak i państwo Tulmanowie byli gorliwymi katolikami (w przypadku katolickiego księdza nie było to chyba żadnym wyczynem), ich małżeństwo ostało się próbie czasu. Podobno, wiele lat później, Tulman wyemigrował do Niemiec, gdzie w Hamburgu prowadził bar. Czy wyjechał z żoną czy sam, tego już nie wiem.

Z księdzem i jego kolegą, który był sekretarzem biskupa Klepacza w Łodzi, spotykałem się dość często, sprzedając im dolary, które były im potrzebne do zakupu poświęconych przez papieża, obrazków świętych męczenników. Obrazki te z kolei oni sprzedawali, z grubym zarobkiem, wiejskim proboszczom chodzącym do wieśniaków po tak zwanej „kołędzie”. Statystyki parafialne wskazywały, że wielkość ofiar na zbożne cele, była proporcjonalna do polysku papieru i radosnych kolorów druku.

Podobno obrazki te przywożono do Polski w bagażu „dyplomatycznym” biskupa Klepacza, który z błogosławieństwem władz PRL-u wyjeżdżał z Polski na synody do Rzymu, a wracał do kraju, nieświadomie przywożąc ze sobą święte obrazki kupione za moje dolary.

Ciepłe gacie i list do wicepremiera Szyra

Po powrocie do Polski na Boże Narodzenie 1964 roku zajęło mi kilka miesięcy zanim po depresji, jakiej doświadczyłem w Szwecji, wróciła mi werwa i ochota do życia. Zacząłem znowu myśleć o konstruowaniu nowych przyrządów biomedycznych. Nie mogłem wrócić na politechnikę we Wrocławiu, jako że profesor Bincer znudzony czekaniem na zmianę systemu politycznego, wybrał się na tamten, lepszy, świat prawdziwego, niebiańskiego komunizmu. Straciłem w nim nauczyciela i mentora, a jego zakład i katedra zostały po jego śmierci rozwiązane. Nie mogłem również wrócić do pracy w Instytucie Fizyki Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, gdyż — tak, jak uprzednio z Politechniki Wrocławskiej — tu również wylano mnie za samowolne przedłużenie pobytu w Uppsali. Rozważałem możliwości pracy w charakterze prywatnego konsultanta albo indywidualnego przedsiębiorcy, nie wiążąc się na stałe z żadną większą instytucją. Na początek pomyślałem o produkcji i sprzedaży mego udanego wynalazku do pomiaru częstotliwości bicia serca, który opracowałem jeszcze w Uppsali.

Pomysł tego wynalazku powstał w roku 1961, w czasie zwiedzania dużej firmy elektromedycznej „Elema-Schonander” (później „Siemens”), mieszczącej się na przedmieściu Solna, w Sztokholmie, gdzie mi powiedziano, że inżynierowie zakładu mają trudności z opracowaniem przyrządu do pomiaru częstotliwości pracy serca i oddychania, tak zwanego kardiotalchometru. Po powrocie do Uppsali postanowiłem zmierzyć się z tym problemem i wkrótce zbudowałem taki właśnie kardiotalchometr, który

bił na głowę wysiłki konstruktorów firmy „Elema AB”. Zaletą mego wynalazku była szybka reakcja kardiorespirometru na zmiany w częstotliwości oddechu lub pracy serca. Mój przyrząd dużo szybciej niż inne jemu podobne kardi tachometry alarmował lekarzy, że albo serce się „zacięło”, albo pacjent „znudził się” oddychaniem. Natychmiastowy alarm dawał szansę na przekonanie pacjenta, że warto żyć, a jeśli był już nieprzytomny, można było ocucić go elektrowstrząsem. Był to idealny przyrząd do użycia w systemach przeznaczonych do tak zwanego „intensywnego nadzoru”.

Zaproponowałem budowę tego przyrządu kilku lekarzom z Akademii Medycznej w Łodzi, znanemu kardiochirurgowi, Janowi Mollowi i kardiologowi

profesorowi Musiałowi. Obaj byli entuzjastycznie nastawieni do tego projektu, a jedyna trudność, jaka stała na przeszkodzie realizacji pomysłu, wynikała z przepisów finansowych, wedle których Akademia Medyczna nie mogła zapłacić za ten przyrząd osobie prywatnej. Lekarze przyznali, że łatwiej jest im sprowadzić przyrząd ze Szwecji lub z Ameryki niż zapłacić za jego zrobienie polskiemu inżynierowi. W swej naiwności uwierzyłem, że jest w tym tylko bezsens przepisów, który wymaga sprostowania. Nie wiedziałem, że mądrość tego przepisu była głęboka i poprawna, tylko że nie chodziło tu o gospodarkę



Kardiotachometr produkowany na mojej licencji w Szwecji

czy medycynę, ale o trwałość proletariackiej władzy reprezentowanej między innymi przez partię i wicepremiera Szyra. Jak się później dowiedziałem, wicepremier Szyr, stary komunista z grupy Związku Patriotów Polskich w ZSSR, a także powojenny profesor ekonomii, opracował system sprawozdawczości i księgowości, który miał zapewnić komunie władzę nad Polską teraz i na następne tysiąc lat.

Siadłem więc pośpiesznie do maszyny i wystukałem list zaadresowany do Komitetu Nauki i Techniki, do rąk wicepremiera. Minęło kilka tygodni, a mój list pozostawał nadal bez odpowiedzi. Czując się nieco urażony brakiem szacunku dla mojej osoby, pojechałem do Warszawy, aby na miejscu, na Krakowskim Przedmieściu, w komitecie, którym kierował wspomniany Szyr, wyjaśnić całą tę sytuację. Po wejściu do budynku KNiT-u zapukałem do najbliższych drzwi. W momencie jak wymieniałem swoje nazwisko, urzędnik przy biurku podskoczył z uciechy i otworzył teczkę z napisem „Czekajewski”, w której znajdował się mój list upstrzony jakimiś odręcznymi bazgrołami.

— Pan premier bardzo chce się z panem zobaczyć, proszę o wizytę za dwa dni. Będzie pan miał wtedy „audiencję” u premiera, albo u pana ministra Chylińskiego — zaszczebiotał urzędnik.

Minister Chyliński, jak się później dowiedziałem, był synem Bolesława Bieruta, byłego prezydenta Polski, znanego agenta sowieckiego. Minister przyjął takie nazwisko, aby go nie identyfikowano z jego ojcem. Wyszedłem z KNiT-u podbudowany na duchu, ufając, że najwyższe władze PRL-u szybko sprostują błąd instytucji podrzędnych i będę mógł zabrać się do pracy nad budową kardiotalochometru dla profesora Jana Molla. Z Krakowskiego Przedmieścia udałem się wprost do wuja mej oblubienicy, przedsiębiorcy kwiatowego podziemia, Zygmunta Krauzego, gdzie się zwykle w czasie swych pobytów w Warszawie zatrzymywałem.

Zygmunt Krauze był jednym z bogatszych ludzi, jakich znałem w PRL-u, a bogactwa dorobił się (o czym w tej książce była

już mowa) na hodowli storczyków, goździków oraz produkcji krawatów. Czerwonych krawatów. O interesującej osobowości wujka Krauzego pisałem obszerniej we wcześniejszych rozdziałach. Tym razem zwierzyłem się wujowi, że mam zaklepaną audiencję u samego wicepremiera Szyra, na co wuj mi doradził, abym kupił sobie ciepłe gacie, gdyż mogę z tej audiencji do domu nie wrócić.

— W więzieniu siedziałem siedem razy — wspomniał wuj — i wiem, że tam oszczędzają na ogrzewaniu. Och, nie patrz tak na mnie! I nie miej o mnie złego zdania! W więzieniach niemieckich i komunistycznych, owszem, siedziałem, ale nigdy nie byłem skazany wyrokiem sądowym. Zarzuty przeciwko mnie nigdy nie były natury politycznej, tylko ekonomicznej. Pod tym względem byłem w konflikcie i z okupantem, i panującą władzą.

Niecierpliwie czekałem na upragnioną wizytę w KNiT-cie, aby stanąć oko w oko z mecenasem polskiej nauki i techniki, wicepremierem Adamem Szyrem. Udałem się tam koło południa i usiadłem w poczekalni na fotelu, przed gabinetem ministra. Okazało się, że wicepremier jest bardzo zajęty projektowaniem polskiej ekonomii na najbliższe stulecie, więc w jego zastępstwie przyjmie mnie minister Chyliński vel Bierut. Poczuję się trochę urażony i niedowartościowany, ale ostatecznie zgodziłem się na rozmowę z osobą na niższym szczeblu hierarchii rządowej. Minister spóźnił się prawie dwie godziny i kiedy już byłem gotów iść do domu i zrezygnować z audiencji, minister wbiegł szybko po schodach, otworzył drzwi do swego gabinetu i warknął:

— Niech wejdzie!

Usiadłem skromnie przy jego biurku, na którym dominowały dwa telefony, jeden koloru buraczkowego, widocznie do bardzo ważnych połączeń, a drugi czarny, do rozmów prywatnych i półprywatnych. Minister zaczął z grubej rury:

— To my was wykształciliśmy, a wy chcecie teraz na tym się bogacić?! Państwo ludowe zapłaciło za waszą edukację, a wy tutaj żądacie pieniędzy za swój wynalazek?! Bezczelnie obraziście w swym liście majestat premiera Szyra!

Byłem w szoku! Ja z kolei zdenerwowałem się faktem, że rozmowa zesłała na personalne tory i zdecydowanie zauważyłem, że list mój był bardzo uprzejmy i żadnych słów obraźliwych ani insynuacji co do zawodu mamusi Jego Ekscelencji Premiera Szyra w mym liście nie było.

— A to co znowu?! — wrzasnął minister Chyliński, wskazując ostatnią linijkę mego listu. Wyraźnie tu piszecie: „Czy pan premier jest w stanie rozwiązać problem dotyczący zapłaty za prace zleczone przez Akademię Medyczną w Łodzi, bo tracę już nadzieję na logiczne rozwiązanie tej sprawy /.../ Z szacunkiem magister inżynier Jan Czekajewski.” Co za pytanie! Czy nie wiecie, że pan premier jest w stanie rozwiązać każdą sprawę w Polsce?! A wy w swym liście szyderczo kwestionujecie zakres możliwości Jego Ekscelencji! Ponadto popełniliście wykroczenie natury kryminalnej, sprzedając bez zezwolenia władz PRL-u swój patent na kardiotachometr szwedzko-niemieckiej fabryce „Siemens”!

Stało się dla mnie jasne, że minister spóźnił się na rozmowę ze mną, gdyż przeprowadzał wcześniej konsultacje z centralą polskiego wywiadu, która wyniuchała, że rzeczywiście patent na kardiotachometr sprzedałem. Niemniej była to operacja legalna, gdyż wynalazek nie był zrobiony w Polsce, a współwynalazcą był Szwed, profesor Tove, oraz to Szwedzi, a nie Polacy wyłożyli pieniądze na eksperymenty i komponenty do budowy urządzenia. Tak nawiasem mówiąc, to jeszcze w Szwecji przewidziałem taki rozwój sytuacji i dlatego zaproponowałem wspólną własność patentu swemu profesorowi. O tym jednak polscy szpiedzy nie wiedzieli i dlatego przedstawili mnie Chylińskiemu jako międzynarodowego aferzystę, który zamierza podać Polskę Ludową do sądu międzynarodowego, żądając odszkodowania, jeśli polski przemysł podjąłby produkcję mego kardiotachometru. Minister Chyliński wskazał na buraczkowy telefon na swym biurku i syknął:

— Jeśli tylko zechcę, to przekażę waszą sprawę towarzyszącom z Urzędu Bezpieczeństwa, którzy się wami zajmą!

Tego już było dla mnie za dużo! Podwinąłem nogawki i pokazem ciepłe, białe kalesony.

— Skoro pan minister widzi konieczność mojej izolacji dla bezpieczeństwa państwa ludowego, to nie ma na co czekać. Niech Pan dzwoni! Ja przyszedłem tutaj termicznie przygotowany. Nigdy w więzieniu jeszcze nie siedziałem i takie doświadczenie uczyni mnie człowiekiem dojrzałym i wszechstronnie wykształconym. Będę później bardziej interesującym w towarzystwie i może jakiegoś przydatnego zawodu tam się nauczę, na przykład otwierania kas pancernych. To może być bardziej opłacalne niż elektronika medyczna. Zresztą, starzy polscy komuniści siedząc w więzieniach za sanacji nazywali je Uniwersytetami Robotniczymi.

Tak przemawiając, nawiązałem do czasów jego tatusia, czyli towarzysza Bolesława Bieruta. Minister, zaskoczony moją brawurą, zmiękł nieco, czyli spuścił z tonu i odłożył buraczkową słuchawkę na widelki buraczkowego telefonu.

— Bo wy to pasożytnicze życie chcecie prowadzić! Omijacie od kilku miesięcy państwowe zatrudnienie — perorował. — Mamy tutaj, w Warszawie, Fabrykę Aparatury Rentgenowskiej i Medycznej na Woli. Jedźcie tam natychmiast. Dyrektor Więckowski będzie na was czekał. Dostaniecie zatrudnienie w jego fabryce, a być może fabryka załatwi dla was pokój w hotelu robotniczym, gdyż jak mi wiadomo, jesteście zamiejscowi.

Pojechałem na Wolę do fabryki aparatów rentgenowskich. Dyrektor rzeczywiście czekał na mnie w portierni i szybko zaprosił do swego gabinetu.

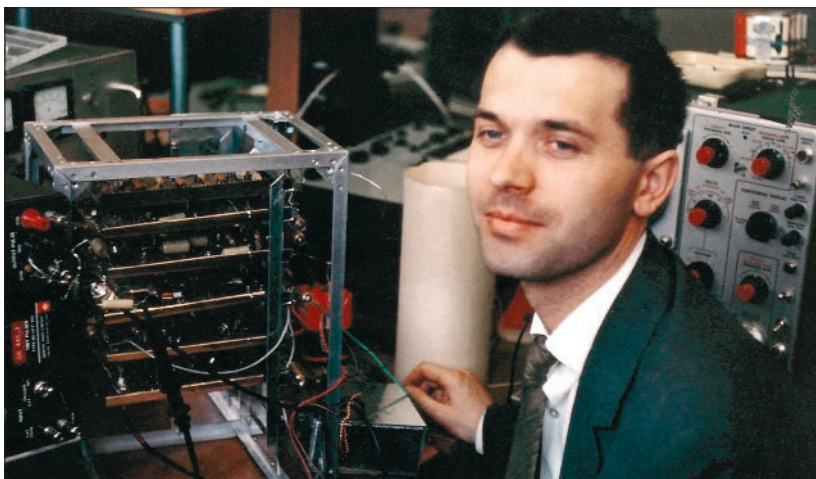
— Czy wyście zwariowali? — zapytał. — Kapitalizm chcecie wprowadzać, za pracę wynagrodzenia żądacie? Premier Szyr i jego Chyliński mogą gadać, co im się zechce, a ja tu mam dziesięć tomów przepisów, które mną kierują. Pierdnąć nie mogę bez zajrzenia do tych przepisów! Na razie Szyr i Chyliński robią z was tylko balona, ale jeśli będziecie nadal jeździć, gadać i pisać, możecie stać się dla nich wielkim utrapieniem i w pierdlu na kilka lat skończycie za działalność na szkodę ludowej ojczyzny.

A w ogóle to po co wracaliście z tej Szwecji? Jeśli tylko możecie wyjechać, to nie ma na co czekać! Wiejcie stąd, dopóki wam się do skóry nie dobierają. Ja mogę was do roboty w fabryce zawsze przyjąć, ale czy zechcecie mieszkać w jednym pokoju z dwoma pijaczkami?

Muszę przyznać, że w ciągu kilku minut dyrektor Więckowski uzupełnił mój punkt widzenia na perspektywy pracy wynalazczej w Polsce i dlatego wyszedłem z jego gabinetu z przekonaniem, że powrót do Szwecji jest jak najbardziej, ze względów „klimatycznych”, wskazany, mimo przebytej tam psychicznej depresji.

Wakacje nad Balatonem

Jak już opisałem wcześniej, w roku 1963, opracowałem spektrometr do pomiarów promieniowania wywołującego Zorzę Polarą. Zamówienie na taki przyrząd było złożone przez doktora Zbigniewa Grabowskiego, który po zrobieniu doktoratu w Uppsali,



Ja z prototypem spektrometru do badania Zorzy Polarnej

dostał pracę w Instytucie Geofizyki w Kirunie położonej za kołem polarnym w Szwecji. Profesor Per Arno Tove, mój szef, zlecił mi wykonanie prototypu takiego spektrometru, który udało mi się ukończyć przed moim drugim powrotem do Polski. Nie spodziewałem się wtedy, że ten projekt i publikacja opisująca go, staną się powodem mej późniejszej emigracji do Ameryki.

Wkrótce po ukończeniu tego projektu, ku powtórnemu zdumieniu „władz krajowych”, wróciłem z Zofią, moją ówczesną przyjaciółką, znowu do Polski, zamieszkując tymczasowo u jej matki w Łodzi. Będąc już w Polsce, dotarła do mnie kartka pocztowa od jakiegoś naukowca z uniwersytetu na Alasce, w której pisał, że jest zainteresowany moim spektrometrem i że uczelnia na Alasce w Fairbanks prowadzi podobne badania nad Zorzą Polarną, tyle że z drugiej strony bieguna północnego. W tej kartce naukowiec z Alaski prosił o odbitkę naszego artykułu opisującego mój spektrometr.

Latem 1965 roku szykowałem się z Zofią i jej najbliższą rodziną, matką i siostrą, do wyjazdu kupionym uprzednio we Francji samochodem marki „Simca Etoile”, na wakacje na Węgry, nad jezioro Balaton. Znając dobrze policyjny klimat PRL-u, wiedziałem, że moja zagraniczna korespondencja mogła podlegać ścisłej kontroli. I rzeczywiście tak było. Jak się ostatnio dowiedziałem z mej „teczki”, którą założyło mi UB, a którą udostępnił mi teraz Instytut Pamięci Narodowej, kontroli podlegała nie tylko cała moja korespondencja polska i zagraniczna, ale nawet rozmowy telefoniczne. Postanowiłem poczekać z odpowiedzią Amerykaninowi do czasu naszego przyjazdu na Węgry. Dopiero znad Balatonu wysłałem kopię mojej publikacji do naukowca na Alasce, z krótkim listem wzmiankującym, że marzeniem mego życia jest zobaczyć ten piękny amerykański stan, jakim jest Alaska, co było oczywistym kłamstwem, ale brzmiało dość przekonująco.

Nadmienię jeszcze, że po powrocie ze Szwecji do Polski, podjąłem pracę w charakterze konsultanta automatyzacji w budowanej właśnie w Częstochowie nowej oczyszczalni ścieków, którą to pracę załatwił mi mój kolega, Edek Pawłaszek. Moje konsultacje



Ja (w piżamie) łowią ryby podczas podróży na Węgry

nie wymagały z mej strony permanentnej obecności w Częstochowie, zatem mogłem spokojnie jechać na Węgry.

Podróż miała przebiegać przez Czechosłowację. W tamtych czasach wyjazdy na Węgry wymagały minimalnych formalności. Polscy turyści nie potrzebowali paszportów, a tylko tak zwaną „wkładkę” do dowodu osobistego. Podróże Polaków na Węgry cieszyły się poparciem władz węgierskich, ponieważ polskim turystom Węgrzy pozwalali wymieniać polskie złotówki na forinty w nieograniczonej ilości. Wyglądało na to, że Węgrzy mieli ujemny bilans handlowy w relacjach z Polską i chcieli go zmniejszyć przez zwiększenie polskiej turystyki na swoim obszarze. Ja, po sprzedaży przedziewiałego mercedesa 190 panu Kupchalowi, sprzedawcy pierza i puchu, złotówek miałem „mnogo” i chciałem Węgrom pomóc. Jak wiadomo: „Polak — Węgier dwa bratanki”. Pewien problem istniał tylko po stronie polskiej, gdyż ilość złotówek, jakie można było wywieźć za granicę, była ciągle ograniczana do niewielkiej sumy kilku tysięcy złotych. Zapakowałem zwoje kilkudziesięciu tysięcy złotych w plastikowe torebki i upchałem je w przewody wentylacyjne samochodu. Wadą tego rozwiązania było zablokowanie świeżego powietrza do tego stopnia, że nawet w czasie deszczu trzeba było trzymać otwarte okno.

Wyjechaliśmy z Łodzi całą czwórką. Jechaliśmy obładowani namiotem i — dla utrzymania się przy życiu w czasie tranzytu przez Czechosłowację, gdzie nasze złotówki nie miały wartości i nie można ich było wymienić na czeskie korony — dużą ilością konserw. W Pradze czeskiej matka Zofii zachorowała, nie chciała dalej jechać i musieliśmy ją odesłać do Łodzi pociągiem. Jak się później okazało, jej choroba była bardzo poważna — był to nowotwór, który później leczyła w Szwecji i na który pięć lat później umarła.

Po przekroczeniu granicy węgierskiej zaczęliśmy konspiracyjnie, w transzach po kilka tysięcy, wymieniać złotówki na forinty. W momencie przyjazdu nad jezioro Balaton, pozbyliśmy się wszystkich złotówek, z wyjątkiem tych, przeznaczonych na benzynę w drodze powrotnej. Niestety na Węgrzech, poza dosko-

nałym jedzeniem i winem, nie można było kupić nic, co dałoby się z zyskiem spieniężyć (mówiło się wtedy „upchnąć”) w Polsce. Na szczęście nad Balatonem, w rozbitych namiotach mieszkały setki Czechów z pobliskiej Czechosłowacji. Cieszyli się oni „namiastką morza”, jaką stanowiło dla nich jezioro Balaton i ciepłą pogodą kraju południowego. Każdego ranka, po śniadaniu, wybierałem się samochodem wzdłuż czeskich kempingów, oferując Czechom wymianę ich koron na węgierskie forinty, po lepszym niż oficjalny kursie. Moim zamiarem było kupić w drodze powrotnej, w Czechosłowacji, „chodliwe” w Polsce przedmioty, jak na przykład niemnące się koszule z weluru lub niemieckie aparaty fotograficzne. Do tego celu potrzebne mi były jednak czeskie korony.

Moja handlowa, a właściwie „bankowa” działalność nad jeziorem Balaton o mało co nie skończyła się utratą pieniędzy i samochodu. Pewnej nocy spadł obfity deszcz i jezioro wystąpiło z brzegów, zalewając plażę, na której zaparkowaliśmy samochód i rozbili namiot. W ostatniej chwili zbudzony wodą, która wtargnęła do namiotu i zmoczyła mi zadek, wskoczyłem do samochodu i zdołałem go wyprowadzić dalej od brzegu jeziora, na dość suche miejsce. Gorzej wypadli dwaj Niemcy, którzy zaparkowali swój autobusik marki „Volkswagen”, bliżej brzegu i po libacji spali wewnątrz samochodu. Kiedy się obudzili, ich samochód był już do połowy zalany wodą i nie było mowy o uruchomieniu silnika. Niemcy, którzy wieczorem pili dużo wina, nie przejęli się katastrofą, ułożyli swe materace na dachu autobusu i spali dalej, do południa. Widocznie byli bogaci, gdyż zalanie samochodu nie wprawiło ich w zły humor i nie zepsuło wakacji.

Powróćmy jednak do mych planowanych transakcji importowo-eksportowych. Po przejechaniu w drodze powrotnej granicy węgiersko-czechosłowackiej i obejrzeniu asortymentu oraz cennika w miejscowych sklepach, ze wszystkich możliwych produktów marki „Made in Czechoslovakia” zakup welurowych koszul wyglądał najbardziej obiecująco. Kilkadziesiąt tych koszul kupiłem. Po powrocie do Łodzi wstawiłem je do komisów i skle-

pów, które w tamtych czasach, za prowizją, pośredniczyły w sprzedaży artykułów osobistego użytku. Na tej transakcji spodziewałem się zarobić kwotę stanowiącą co najmniej dwieście procent poniesionych kosztów. Niestety, welurowe koszule „nie szły”, czyli nie było na nie nabywców. Ci, którzy koszule oglądali, kręcili nosem na widok metki, na której było napisane „Made in Czechoslovakia”. Wśród polskich klientów panowała opinia, że dobre rzeczy robione są wyłącznie na kapitalistycznym zachodzie. Produkty czeskie oceniano podobnie jak polskie, jako niskiej jakości. Wycofałem więc moje welurowe koszule z komisów i byłem zdecydowany sam je nosić, skoro reszta Polaków (poza mną, oczywiście!) wybrzydzała.

Wpadł mi jednak go głowy pewien fortel. W czasie mego pobytu w Uppsali Zofia starannie zbierała wszelkiego rodzaju metki i naklejki z różnych szwedzkich produktów. Dużą ich ilość stanowiły kolorowe trójkątne samolepne znaczki naklejane na żytnie suchary marki „Wasa Bread”. Teraz, o ile wiem, podobno Polacy są jednymi z głównych konsumentów tych sucharów (pieczywa chrupkiego), ale wtedy w PRL-u były one jeszcze nieznanne. Oderwałem z koszul metki z napisem „Made in Czechoslovakia” i zastąpiłem je naklejkami z napisem „Wasa Bread Made in Sweden”. Welurowe koszule ponownie wstawiłem do komisju, tym razem za wyższą cenę gwarantującą mi zarobek trzystuprocentowy. Uzasadnienie „podwyżki” ceny było oczywiste, bo „tym razem” koszule były produkcji szwedzkiej. W ciągu tygodnia wszystkie koszule zostały sprzedane.

Chciałbym jeszcze wyjaśnić mój oryginalny strój widoczny na zdjęciu, na którym wyglądam jak więzień z obozu koncentracyjnego. Strój ten jest niczym innym jak doskonałą bawełnianą piżamą w paski produkcji polskiego przemysłu bawełnianego. Tak właśnie ubrany podróżowałem przez Czechosłowację i Węgry w czasie naszych dwumiesięcznych wakacji. Ubiór ten chronił mnie od oparzeń słonecznych, gdyż lato wtedy było niemiłosiernie gorące. Podróżując także samochodem, który był pozbawiony klimatyzacji i wentylacji (o powodach tego stanu rzeczy wspo-

minam na początku tego rozdziału), będąc ubrany w bawełnianą, lekką piżamę, czułem się znacznie lepiej niż w przepoconej, ciężkiej marynarce czy nawet koszuli. Poza tym bawełniana piżama nie gniecie się i jest łatwa do prania. W moim ekstrawaganckim zachowaniu, którego przejawem był niekonwencjonalny strój, dał się zauważyć — czego byłem świadom i czego chciałem — też element protestu w stosunku do konwenansów niesionych przez system komunistyczny, który bezwzględnie narzucał jednolitość zachowań od ubrań począwszy, a skoczywszy na politycznych poglądach. Za jawny protest polityczny mogłem skończyć w więzieniu, natomiast „protestując piżamą” produkcji polskiego przemysłu socjalistycznego byłem bezpieczny.

Takim właśnie krnąbrnym człowiekiem byłem! I zostałem nadal! I na dobre mi to wyszło!

Rok 1966 — Janka trzeci i ostatni wyjazd do Szwecji

Po powrocie z Węgier do Polski zaczęły mnie ponownie mierzić realia życia w PRL-u i postanowiłem wykorzystać zaproszenie od mego ostatniego pracodawcy z Instytutu Farmakologii uniwersytetu w Uppsali, gdzie ostatnio budowałem elektronikę do badań neurologicznych. W otrzymaniu paszportu na trzeci wyjazd do Szwecji pomógł mi znów pan Kamiński, sekretarz marszałka Sejmu, Wycecha. Wyglądało na to, że szybkie wydanie paszportu „jakoś” uszło uwadze Urzędu Bezpieczeństwa. W roku 1966 znalazłem się po raz trzeci w Uppsali i powróciłem do pracy w Instytucie Farmakologii, do grupy naukowców zajmujących się neurologią. Niestety, po jakimś czasie mój szwedzki przełożony, doktor Jan Ekstedt, i jego kolega, doktor Erik Stalberg, przestali dostawać rządowe subsydia (granty) na badania i stałem się niepotrzebny. Na szczęście uniwersytet na Alasce o mnie nie zapomniał i przysłało mi propozycję objęcia stano-

wiska assistant professor, odpowiadającego w polskiej hierarchii uniwersyteckiej adiunktowi z sugestią, abym starał się od razu o amerykańską wizę imigracyjną.

Do emigracji na kontynent amerykański wcale mi nie było spieszno, tym bardziej że kiedy zwróciłem się do Konsulatu Polskiego w Sztokholmie o rozszerzenie ważności mego paszportu na Stany Zjednoczone (mój paszport upoważniał jedynie do podróży po Europie), spotkałem się z odmową. Natomiast „w zastępstwie” zaoferowano mi kartkę papieru, tak zwany „paszport blankietowy”, który upoważniał mnie do natychmiastowego powrotu do Polski. Na moje pytanie o powody takiej decyzji, odpowiedziano mi, że moja petycja była zbyt krótka i dlatego dla władz krajowych obraźliwa. To mnie ostatecznie tak zdenerwowało, że udałem się do policji szwedzkiej, prosząc o prawo stałego pobytu w Szwecji. Moją prośbę szybko zatwierdzono i dostałem szwedzki dokument podróży dla cudzoziemców, w Ameryce odpowiadający „zielonej karcie” wydawanej stałym rezydentom.

Odmowna decyzja polskiego konsulatu w sprawie paszportowej przyczyniła się zatem do psychicznego związania mojej przyszłości z emigracją. Przestałem być targany sprzecznościami: zostać na obczyźnie, czy powrócić do PRL-u. Nagle poczułem się człowiekiem wolnym, mimo niepewnej sytuacji materialnej. Mogłem mówić, co mi przyszło do głowy, bez obawy, że ktoś doniesie na mnie do władz komunistycznych. Muszę przyznać, że to był największy podarunek, jaki zrobiły mi na odchodne władze mojej polskiej ludowej ojczyzny.

Janek w krzywym zwierciadle Urzędu Bezpieczeństwa

Do dnia piątego kwietnia 2010 roku nie wiedziałem, że przez kilka lat — w latach sześćdziesiątych — byłem... angielskim szpiegiem. Zrozumiałem stopień mego zaangażowania w szpiegowską, krecią

robotę przeciw ludowej ojczyźnie dopiero wtedy, kiedy przeczytałem raporty oficerów Urzędu Bezpieczeństwa o mojej szpiegowskiej działalności, otrzymane z polskiego Instytutu Pamięci Narodowej. Owszem, w dzieciństwie, chciałem być szpiegiem, jednak nie jakimś tam chłopcem na posyłki w stylu Jamesa Bonda, ale szefem całej organizacji. Najlepiej CIA! Niestety, żaden z prezydentów USA nie prosił mnie o przyjęcie tego urzędu w czasach, kiedy byłem stosunkowo młody i sprawny, bym bronił Stany Zjednoczone przed knowaniem KGB. Ten brak konsultacji ze mną skutkowało tym, że Ameryka uwikłała się w wojnę najpierw w Wietnamie, a dzisiaj w kolejne dwie, z góry przegrane wojny w Iraku i Afganistanie. No cóż, ich strata! Amerykanów, rzecz jasna. Może kiedyś rząd amerykański zrozumie swój błąd.

Moja działalność jako agenta brytyjskiego wywiadu była tak tajna, że ja sam o niej nie wiedziałem. To już nie jest zwykła konspiracja, to jest szczyt konspiracji! Byłem widocznie pionkiem na szachownicy globalnych rozgrywek i dla utajnienia całej operacji nie powiadomiono mnie o celach i zadaniach mej działalności. Obawiano się widocznie, że gdybym poddany został torturom, to wszystko wygadam, z czym trudno mi się nie zgodzić. Mam niski poziom odczucia bólu — nie wytrzymałbym zatem żadnych cierpień, nawet podtapiania na desce, co jest specjalnością naszych, amerykańskich tajnych agencji.

Na dowód tego, że moje opowiadanie nie jest fantazją człowieka chorego, postaram się przytoczyć kilka raportów dotyczących mej „szpiegowskiej działalności”. Z poniższego dokumentu MSW wynika, że ówczesnym moim kryptonimem był „Czek”. Gdybym wiedział o mojej tajnej misji w Polsce, to chyba dzisiaj przenigdy nie ułożyłbym takiego adresu mailowego, który zawierałby w sobie ten kryptonim, a który brzmi: „JanCzek”. Pewnie dla niektórych jest to dziwny i zarazem podejrzany zbieg okoliczności, wymagający dalszego rozpracowania, tym razem przez naszą, demokratyczną, Agencję Domowego Bezpieczeństwa (Homeland Security Agency). Życzę im powodzenia!

Proszę zwrócić uwagę na zapis gramatyczny, fleksyjny i stylistyczny dokumentów (staralem się zbytnio nie ingerować w ten specyficzny język), na zastosowanie w nich nowomowy, tak charakterystycznej dla okresu PRL-u, a służb Urzędu Bezpieczeństwa w szczególności.

" ZATWIERTZAM "
Z-OA NACZELNIKA WYDZIAŁU II-go Wrocław, dnia 15 grudnia 1961 r.
/ Wł. J A N Wł. J A N / T A J N E
Egz, pojedynczo

DO
Z-CY NACZELNIKA WYDZIAŁU II-go
SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA KWMO
w m i e j s c u

W N I O S E N I A

o założenie sprawy operacyjnego s p r a w d z e n i a

Ja St.oficer operacyjny Wydziału II-go por.KROCHMAL-
CZYK Jan proszę o zezwolenie na założenie sprawy operacyjnego
sprawdzenia na:

mgr.inż.CZEKAJEWSKI Jan s.Franciszka
i Honoraty zd.BORKIEWICZ,urudz.16.
grudnia 1934 r.w m.Częstochowa,zawód mł
inż.Radiowłec.
Zatrudniony jako st.konstruktor Zakład
Urządzeń Radiofonicznych Politechniki
we Wrocławiu,Zameldowany Wrocław ul.
Podwale 54 m.10 tel.335-02,aktualnie
zamieszkały Wrocław ul.Krakowska,Nr.98
m.10.

Wydział „D” R.W.M.O. we Wrocławiu
ZAREJESTROWANO
W EWIDENCJI SPRAW
pod Nr. 734
Data 15. 09. 61 podpis

Z posiadanych informacji wynika, że mgr.CZEKAJEWSKI
Jan wywodzi się z rodziny urzędniczej.Studia ukończył na Wydz.
Łączności Politechniki we Wrocławiu w roku 1958.Podczas studiów
z ramienia Rady Okręgowej ZSP był delegowany do Anglii na
Międzynarodowy Obóz Pracy.Po ukończeniu studiów został
asystentem prof.BINCERA w Zakładzie Urządzeń Radiofonicznych
Politechniki we Wrocławiu mieszczącym się przy ul.Bolesława
Prusa Nr.52.Zakład ten jest jednym z najpoważniejszych
komórek Politechniki.Równocześnie mgr CZEKAJEWSKI Jan pracował

TAJNE

Wrocław, dnia 27 marca 1961 r.

Notatka Informacyjna:

W związku z przekazaniem przez kapt. „Czesława” informacji wskazujących na to, że ob. Czekajewski Jan odmówił powrotu do kraju z wyjazdu służbowego do Finlandii i obecnie przebywa w Szwecji, w dniu dzisiejszym przeprowadziłem ustalenie, w wyniku czego stwierdziłem, że informacja ta polega na prawdzie. Czekajewski Jan faktycznie odmówił powrotu do kraju i przebywa w Sztokholmie. Z żoną koresponduje, lecz nie podaje miejsca zamieszkania. Żona wysyła listy na adres zakładu pracy, gdzie Czekajewski ma pracować.

W wyniku wywiadu ustaliłem, że ob. C. E. (żona — *przyp. autora*) w chwili obecnej ma kochanka, który u niej przebywa i który w otoczeniu uchodzi za kuzyna. Jest nim: ob. B. Z., s. Stanisława i Jadwigi, z domu Piniło, ur. 1926 r. w woj. tarnopolskim, zamieszkały — Wrocław, ul. Żelazna. Ob. B. Z. pracuje na uniwersytecie oraz prowadzi Klub Motorowy przy Komitecie Wojewódzkim ZMS (*Związek Młodzieży Socjalistycznej — przyp. autora*). Jest on b. pracownikiem Służby Bezpieczeństwa i pracował na terenie woj. katowickiego.

Podpis:
St. Oficer Operacyjny Wydz. II,
Jan Krochmalczyk, ppor.

TAJNE

Wrocław, dnia 30 sierpnia 1961 r.

Notatka Informacyjna z rozmowy przeprowadzonej z obywatelką C. E.:

W dniu dzisiejszym przeprowadziłem rozmowę operacyjną z obywatelką C. E. na temat jej męża, Czekajewskiego Jana. Na rozmowę się zdecydowałem, gdyż posiadam informację, że stosunki małżeńskie w/w są w całkowitym rozkładzie, praktycznie małżeństwo to nie istnieje. Wedle żony Czekajewskiego Jana w roku 1959 we Wrocławiu przebywał Szwed, Beckman ze Sztokholmu. Był własnym samochodem i miał aparat fotograficzny. Jan był zawsze w jego towarzystwie, oddał do jego dyspozycji swoje drugie mieszkanie przy ul. Powstańców Śląskich (numeru nie zna). Ponadto Czekajewski utrzymywał kontakt z inż. P. K., zam. Wrocław, Podwale 52 m 2., któremu załatwił praktykę w Szwecji, ale ten nie otrzymał paszportu. Ponadto wie, że Czekajewski pisał do Odulińskiego Romualda. Tenże Oduliński stara się o wyjazd do Anglii, gdzie w Londynie ma trzech braci ojca. Istnieją wątpliwości, czy do kraju wróci, ponieważ jednocześnie do Anglii wyjeżdża jego naręczona (nazwiska nie zna), która otrzymała już paszport. W świetle udzielonych informacji uważam, że C. E. była szczerą. Na mężu jej nie zależy, gdyż jak oświadczyła, nie przebaczy mu zdrady. Deklaruje również pomoc Służbie Bezpieczeństwa w tej sprawie. Za szczerą chęć podziękowałem, ale nie wykluczam możliwości skorzystania z tej oferty.

Informacja dodatkowa:

Wspomniany Beckman, jak wynika z innych informacji, współpracuje z ośrodkiem polskiej emigracji, z Lisińskim Michałem z „Wolnej Europy”. O tym, że Czekajewski pracował na stoisku szwedzkim, informacje są pierwsiastkowe.

Podpis:

St. Oficer Operacyjny Wydz. II,
J. Krochmalczyk, ppor.

TAJNE

Wrocław, dnia 13 września 1961 r.

Wniosek o założenie sprawy dot. operacyjnego sprawdzenia:

Ja, Starszy Oficer Operacyjny Wydziału II, ppor. Krochmalczyk Jan, proszę o zezwolenie na założenie sprawy operacyjnego sprawdzenia mgr inż. Czekajewskiego Jana.

Podstawa:

W okresie letnim 1960 roku we Wrocławiu przebywał na zaproszenie ZSP działacz Narodowego Związku Studentów w Sztokholmie, dr Beckman. Z bliżej niewiadomych powodów mgr inż. Czekajewski wszedł w kontakt z dr Beckmanem, którego zakwaterował we własnym mieszkaniu. W maju 1961 r. w Sztokholmie przebywał kapitan „Czesław”, który skontaktował się z doktorem. Z przeprowadzonego rozeznania wynika, że dr Beckman jest powiązany z ośrodkiem wywiadowczym Szymaniaka. Skontaktował on bowiem „Czesława” z dr Lisińskim Michałem. Lisiński Michał jest znany jako naczelny redaktor Radia „Wolna Europa” i jest powiązany z ośrodkiem wywiadowczym majora Szymaniaka.

Uzasadnienie Założenia Sprawy:

W świetle posiadanych informacji nasuwa się uzasadniony wniosek, że mgr inż. Czekajewski Jan, podczas pobytu za granicą, mógł zostać zwerbowany przez obcy wywiad. Wskazują na to powyższe fakty (*powinien chyba napisać „poniższe” fakty — przyp. autora*):

1. Kontakt z dr Beckmanem. Niewątpliwie ci ludzie pomagali Czekajewskiemu w uzyskaniu pracy i mogli to uczynić za cenę udzielanych informacji o Polsce.
2. Z materiałów wynika, że mgr inż. Czekajewski nosił się z zamiarem odmowy powrotu do kraju. Ponieważ wrócił jednak do kraju, chociaż po długim pobycie, mógł to uczynić na polecenie ośrodka wywiadowczego.

3. Mgr inż. Czekajewski ma zapewniony powrót do Szwecji celem habilitacji doktoratu, który ma składać. Może to być forma pozyskania go do współpracy przez obcy wywiad.
4. Po powrocie do kraju, Czekajewski Jan, wybitnie omija Wrocław, gdzie jest znany szerszemu gronu ludzi, co by wskazywało, że chce utrudnić możliwość jego obserwacji.

Proponuje:

1. Przeprowadzić z nim rozmowę operacyjną i odebrać na piśmie informacje o jego pobycie w Szwecji w celu poddania ich analizie.
2. Porozumieć się z Wydz. XI depart. II MSW, czy posiadają materiały na Czekajewskiego Jana z okresu jego pracy w pawilonie szwedzkim na Międzynarodowych Targach Poznańskich.
3. Przy pomocy ob. O. R. przeprowadzić penetrację notatek Czekajewskiego Jana w celu wyłowienia adresów krajowych i zagranicznych.
4. W najbliższych dniach na praktykę do Szwecji wyjedzie mgr P. K. Zachodzi możliwość, że Czekajewski Jan poprosi P. K. o przewiezienie korespondencji. Należy się porozumieć z Grupą Specjalną, aby P. K. korespondencję tę przejął i przed wyjazdem doręczył nam do kontroli.
5. W dalszym ciągu opracowywać korespondencję krajową i zagraniczną mgr inż. Czekajewskiego w celu ustalenia kontaktów. W tym samym celu opracować telefon przez wydział „T”.
6. Przez btw. *(były tajny współpracownik — przyp. autora)* „Kaczmarka”, zebrać charakterystykę Czekajewskiego z okresu pracy w Instytucie Badań Lotniczych *(winno być „Instytucie Medycyny Lotniczej” — przyp. autora)* i ustalić kierunek pracy, jaki tam prowadził i do jakich tajemnic był dopuszczony.
7. Zwrócić się z pismami do Wydz. II KM MO *(Komenda Miejska Milicji Obywatelskiej — przyp. autora)* w Łodzi w celu zabezpieczenia pobytu Czekajewskiego w Łodzi u swej kochanki.

Powyższe przedsięwzięcia zostaną dokonane do dnia 1 października 1961 r.

Podpis:
St. Oficer Operacyjny, Wydz. II,
J. Krochmalczyk, ppor.

(notatka sporządzona pismem odręcznym — przyp. autora)
Do dnia 20 września br. ponownie opracować zadania dla O. R. i P. K. pozostających w kontakcie z Grupą Specjalną.
Z materiałów wynika, że figurant Czekajewski lubi „dziewczynki”, dlatego proponuję podstawić mu dobrą agentkę.
Do naszego biura wysłać próbki pisma figuranta i poprosić, aby przechwytywaną korespondencję poddawali badaniom chemicznym.

Podpis:
Szymański, 19 września 1961 r.

Komentarz własny „figuranta” Jana Czekajewskiego:
Jak pamiętam, Grupa Specjalna nie wykonała w pełni rozkazu oficera Szymańskiego, gdyż nie skierowała do mnie, do „wykorzystania”, żadnej agentki specjalnego poruczenia. Widocznie pula agentek, jakimi dysponował Wydział Specjalny we Wrocławiu nie obejmowała takich, o biuście porównywalnym do biustu mej kochanki, Zofii Królikowskiej z Łodzi. Zagrożenie dla mej działalności szpiegowskiej istniało, ale na skutek oszczędności kadrowych w dziedzinie rekrutacji agentek, udało mi się uniknąć dekonspiracji.

Co do doktora Beckmana, którego w życiu na oczy nie widziałem, sprawę wyjaśnia do pewnego stopnia raport z wywiadu z moją byłą żoną, której chyba się pomyliło nazwisko mego gościa, Szweda, Larsa Inge Hedberga z nazwiskiem doktora Beckmana. Moim gościem był student matematyki, późniejszy wybitny naukowiec, profesor Lars Inge Hedberg. Pomyłka zadała kontrwywiadowi Polski Ludowej niemożliwe do wykonania zadanie znalezienia między mną a doktorem Beckmanem jakiegoś związku. Być może, że moja była żona kryła osobowość Szweda, Larsa Inge Hedberga, ponieważ, jak zaobserwowałem w kinie, wyżej wymie-

niony trzymał ją czuje za rękę. Gdzie Lars trzymał drugą rękę, nie mogę zaświadczyć, bo w kinie było ciemno. Do dzisiaj pozostaje niewyjaśnione pytanie, dlaczego moja była żona próbowała koniecznie połączyć mój los z osobą mi nieznaną, czyli niejakim doktorem Beckmanem.

TAJNE

Wrocław, dnia 14 września 1961 r.

Komentarz własny autora:

Tę informację sporządzono na bazie mojego sprawozdania dotyczącego pobytu w Instytucie Fizyki w Uppsali. Na końcu dokumentu znajdują się następujące informacje:

Informacja:

Niniejsze dane otrzymałem od figuranta sprawy Czekajewskiego, rozpracowywanego przez tow. Krochmalczyka z Grupy VII-ej tut. Wydziału. Otrzymane od niego informacje są raczej charakteru ogólnego. Odniosłem wrażenie, że nie wszystko nam podaje, co by nas interesowało. Uwidacznia się to szczególnie przy charakteryzowaniu przez niego osób, które wyjechały z Polski na pobyt czasowy.

Dodaję, że przedstawione materiały nie stanowią dla nas żadnej wartości. Czekajewski w początkowej rozmowie na temat Polaków za granicą nie zgadzał się ze mną, a nawet lekko dał mi do zrozumienia, że czuje się obrażony. Czekajewski w rozmowie ze mną próbował się upewnić, czy nic mu się nie stanie, jeśli nadal będzie prowadzić szeroką korespondencję prywatną i naukową z zagranicą. Dałem mu do zrozumienia, iż nie widzę w tym żadnego przewinienia, nadmieniając mu równocześnie, że pytanie to uważam za niewłaściwe.

Proponuję:

1. Podtrzymać w dalszym ciągu kontakt z Czekajewskim i w rozmowach z nim kapturowo zmierzać do uzyskania

- interesujących nas danych. Wytwarzać przy nim atmosferę zaufania.
2. Ponieważ sprawę prowadzi tow. Krochmalczyk, proponuję, aby Czekajewskiego przekazać mu do ewentualnego kontaktu.
 3. Przyspieszyć wykonanie planu operacyjnego sprawdzenia zmierzającego między innymi do penetracji rzeczy Czekajewskiego posiadanych u Odulińskiego.
 5. Odpowiednią jednostkę z agencji kobiecej przy pomocy O. R. pozostającego w kontakcie z SGW, doprowadzić do zapoznania z figurantem.

Po akceptacji przez kierownictwo tut. Wydziału powyższych przedsięwzięć, wykona je tow. Krochmalczyk.

Opracował:
J. Szamański, kpt.

(ręczny dopisek — przyp. autora)
Przekazać 1 egz. majorowi.

Doniesienie:

Źródło: „Oda”, Wrocław, 29.09.61 r.

Przyjął: Kniaziuk J.

Komentarz własny autora:

To doniesienie jest dokładną transkrypcją donosu, jaki ja sam skomponowałem, a który był moją charakterystyką psychologiczną. Donos ten Reniek Oduliński przekazał służbom UB. Dokument znalazł się w tajnych aktach pod kryptonimem „Oda”.

Informacja dodatkowa:

Obywatel Karol P. twierdzi, że Czekajewski jest zbyt wielkim tchórzem, aby podjąć się jakieś roboty „na niekorzyść”.

Podpis:
Inspektor Samodzielny Grupy
Specjalnej, Józef Kniaziuk, KW
(Komenda Wojewódzka — przyp.
autora) MO, Wrocław

TAJNE

Warszawa, dnia 7 października 1961 r.

Polska Rzeczypospolita Ludowa
Ministerstwo Spraw Wewnętrznych
Nr ODH-IIIEM/01769/61

(godło państwowe, orzeł bez korony — przyp. autora)

Do Naczelnika Wydz. II Służby Bezpieczeństwa
Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej we Wrocławiu

W związku z pismem Nr OZ-05786/547/61 z dnia 1 września 1961 r. dot. mgr inż. Jana Czekajewskiego, s. Franciszka, komunikuję, że wymieniony zatrudniony był w okresie XXX MTP (Międzynarodowych Targów Poznańskich) w szwedzkiej firmie „AB Lars Ljungberg” w charakterze tłumacza. Zatrudnienie nastąpiło bez pośrednictwa Dyrekcji MTP. Wobec wystawców wykazywał służalczość.

Podpis:
Naczelnik Wydziału XI depart.
II MSW, Mirosław Milewski,
ppułk.

TAJNE

Warszawa, dnia 23 grudnia 1961 r.

Polska Rzeczypospolita Ludowa
Ministerstwo Spraw Wewnętrznych

(godło państwowe, orzeł bez korony — przyp. autora)

Do Naczelnika Wydz. II Służby Bezpieczeństwa
Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej we Wrocławiu
(do rąk własnych)

W nawiązaniu do nadesłanego meldunku specjalnego z dnia 10 października 1961 r. dot. figuranta Czekajewskiego Jana informujemy, iż w wyniku sprawdzania znalezionych notatek, okazało się, że depart. II posiada informacje odnośnie Dudy Stanisława. Jak wynika z zeznań aresztowanego w latach

ubiegłych agenta wywiadu angielskiego, Dubielaka, Duda Stanisław był werbowany z zadaniem szpiegowskim na Białorusi. Zawarte w nadesłanym meldunku informacje wskazują na to, że Czekajewski Jan ze względu na swoje kontakty i miejsce pracy jest osobą zasługującą na wyjątkowo aktywne zainteresowanie operacyjne, dlatego też w sprawie tej naszym zdaniem należy niezwłocznie opracować szczegółowy plan operacyjnych przedsięwzięć, przy pomocy których można by dokonać głębszego rozeznania osoby figuranta i ewentualnego jego powiązania z obcym wywiadem.

O zamierzonych przedsięwzięciach, jak i również sposobie ich realizacji i uzyskanych wynikach, proszę systematycznie informować Wydz. VI. depart. II MSW.

Podpis:

T. Gaweda, ppułk.

Komentarz własny autora:

Stanisława Dudę poznałem w Uppsali, studiował geofizykę, ale mój znajomy miał tyle wspólnego z Dudą — szpiegiem amerykańskim, co z innym Dudą, tym razem Dudą-Graczem (słynny malarz), mój kolega z dzieciństwa. Z nadgorliwości coś się towarzyszą SB-ekom w głowie popieprzyło.

TAJNE

Lublin, dnia 16 października 1962 r.

Analiza sprawy operacyjnego sprawdzenia osoby pod kryptonimem „Fizyk”:

(wyjątek)

(„Fizyk” to chyba mój nowy lubelski kryptonim — przyp. autora)

Źródło „Czesław”, dnia 30 maja 1961 r.:

Przebywając od 10 maja 1961 r. do 25 maja 1961 r. w Szwecji, „Czesław” umówił spotkanie z Czekajewskim Janem w Sztokholmie. Na spotkanie Czekajewski Jan przybył i zaprowadził „Czesława” do Związku Studentów Uniwersytetu

w Sztokholmie, mieszczącego się przy ul. Holendergatan 32. W tym samym czasie skontaktował „Czesława” ze studentem szwedzkim, Krystianem Beckmanem, który w roku 1960, latem, wraz z Brigittą Orkberg przebywał w Polsce na zaproszenie Uniwersytetu Wrocławskiego. Beckman zabrał „Czesława” do swego mieszkania, gdzie po upływie około 10 minut zjawił się stary pan. Po zapoznaniu został zaproszony przez wspomnianego pana i odwieziony jego samochodem do miejsca zamieszkania. Wymienionym panem okazał się dr Michael Lisiński, pracownik Radia „Wolna Europa”. „Czesław” przebywał z nim w pomieszczeniach redakcji „Wolna Europa” oraz w prywatnym mieszkaniu Lisińskiego. Przy jego pomocy został skontaktowany z b. generałem WP Z. Przyjałkowskim. (*Generał Zdzisław Przyjałkowski dowodził obroną Bydgoszczy, a także brał udział we wrześniu 1939 roku w bitwie nad Bzurą i dowodził obroną Warszawy — przyp. autora*).

Źródło „Ela”, dnia 30 sierpnia 1961 r.

(moja była żona — przyp. autora):

Z dokumentów wynika, że w 1959 roku Czekajewski Jan gościł u siebie Szweda, Beckmana ze Sztokholmu, któremu oddał swoje mieszkanie i towarzyszył w czasie jego pobytu w PRL.

(w następnym paragrafie — przyp. autora)

„Ela” podaje, że do Wrocławia przybył obywatel szwedzki, Lars Hedberg, student matematyki. Lars Hedberg przebywał w Polsce około miesiąca. Posiadał własny samochód, pozostawał na utrzymaniu Czekajewskiego.

Komentarz własny autora:

No i jak tu wierzyć kobietom? To kto w końcu był moim gościem, Lars czy Beckman? Do dzisiaj tego nie wiem. Co do agenta polskiego wywiadu o pseudonimie „Czesław”, mam „operacyjne” wątpliwości, bo nie przypominam sobie, abym kiedyś kogoś zaprowadzał do klubu studenckiego w Sztokholmie i poznawał go z doktorem Kristian Beckmanem, którego też nigdy nie widziałem na oczy. Kontrwywiad UB winien rozpracować kapitana o pseudonimie „Czesław”, zamiast wyraźnie trwonić pieniądze robotników i chłopów na zagraniczne rozjazdy i fabry-

kowanie fałszywych raportów. Nic dziwnego, że PRL się zawaliła i wpadła w ręce imperialistów.

Całą sprawę odegrano wedle tego samego scenariusza, na którym oparto następną komedię dwadzieścia pięć lat później, tym razem w Ameryce. Zagrał ją wówczas amerykański kontrwywiad naukowo-przemysłowy, Exodus. Ja wystąpiłem wtedy w roli sowieckiego szpiega nasłanego do USA w celu kradzieży amerykańskich superkomputerów. Agentom wówczas „umknęło uwadze”, że komputery te były produkowane na Tajwanie i były słabą kopią IBM-PC. Nawet Bułgarzy produkowali wtedy dużo lepsze klony IBM-PC.

TAJNE

Lublin, dnia 14 stycznia 1963 r.

Do Naczelnika Wydz. II BPZ

(Biuro Paszportów Zagranicznych — przyp. autora)

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych
w Warszawie

W operacyjnym zainteresowaniu Wydz. II w Lublinie pozostaje pracownik naukowy tut. UMCS, mgr inż. Jan Czekajewski, który aktualnie przebywa na praktyce naukowej w Szwecji. Poczynił on starania zakończone wynikiem pozytywnym u tamtejszych władz, umożliwiające jego znajomej, Królikowskiej Zofii, zam. w Łodzi, odbycie podobnej praktyki z zakresu medycyny.

Ponieważ Wydz. II we Wrocławiu interesował się w przeszłości osobą Czekajewskiego, zastrzegł swego czasu wyjazd Królikowskiej do tego kraju, w związku z czym i BPZ ustosunkowało się do niego również negatywnie.

Z uwagi na to, że jednostka nasza, terytorialnie kompetentna, planuje w stosunku do Czekajewskiego określone czynności operacyjne, za którymi stoi w sprzeczności odmowa prawa wyjazdu Królikowskiej do Szwecji, prosimy o anulowanie wniesionego w stosunku do niej przez Łódź i Wrocław zastrzeżenia oraz zezwolenie jej na czasowy wyjazd do tego kraju.

Z-ca Naczelnika Wydz. II, St.
Sobalski, kpt.

Komentarz własny autora:

Co za „czynności operacyjne” mieli w stosunku do mnie „moi kontrolerzy” z Lublina, pozostanie do końca dla mnie tajemnicą. Poniżej odmowa wydania mi paszportu. A zatem był to koniec mego romansu z PRL-em.

<p>KONSULAT GENERALNY POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ SZTOKHOLM</p> <p>POLSKA FOLKREPUBLIKENS GENERALKONSULAT STOCKHOLM</p> <p>Nr. 127/67.....</p> <p>Telefon:</p> <p>Ref. Paszportowy . . . 11-63-74 Ref. Wizowy 11-85-65</p>	<p>Dnia 22 lutego 1967 roku Postadr.: Friggagatan 4, Stockholm O Telegramadr.: POLCONSUL. Postgiro 25-29-07</p> <p>Ob. Jan Czekajewski <u>Uppsala</u></p>
<p>w sprawie:</p>	<p>Konsulat Generalny PRL w Sztokholmie zawiadamia, że władze krajowe nie wyraziły zgody na wydanie Obywatelowi paszportu ważnego na cały świat.</p> <p>Za Kancelarię Ogólną Franciszka Goniła Konsul Generalny</p>

TAJNE

Warszawa, dnia 21 marca 1969 r.

**Notatka końcowa dot. Czekajewskiego Jana Andrzeja,
s. Franciszka:**

W 1965 r. osobą Czekajewskiego zainteresowany był depart. I MSW. Przeprowadzono z nim kilka rozmów operacyjnych, dot. jego pracy. Notatki z tych rozmów zostały złożone w archiwum depart. I MSW do nr ŚSW 7, tom 24. Treść notatek istotnych momentów do sprawy nie wnosi. W chwili obecnej depart. I Czekajewskim nie interesuje się ze względu na jego nielojalny stosunek do współpracy.

Opracował:

J. Nowaczyk, st. sierż.

Komentarz autora:

Po ośmiu latach zakończenie? Czyżby?

TAJNE SPECJALNEGO ZNACZENIA

Warszawa, dnia 27 marca 1969 r.

Postanowienie o zakończeniu i przekazaniu sprawy do archiwum depart. I, Biura „C”:

Ja, st. sierżant Janina Nowaczyk, podoficer oper. Wydz. VII. depart I MSW, rozpatrzywszy materiały sprawy operacyjnego sprawdzenia nr 1263 rejestracja KW MO Lublin nr Wydz. I Biura „C” MSW-I-13851 z dnia 26 marca 1966 r. stwierdzam, że sprawa nie kwalifikuje się do dalszego prowadzenia ze względu na nielojalny stosunek figuranta do problemu współpracy. Proszę o zaniechanie dalszego prowadzenia sprawy operacyjnego sprawdzania.

Komentarz autora:

Może chodziło im o to, że przed wyjazdem o zgodę na emigrację nie poprosiłem „odnośnych władz krajowych”? Podczas gdy st. sierżant Janina Nowaczyk decydowała o moim „kospiracyjnym losie”, ja byłem już od roku stałym rezydentem Stanów Zjednoczonych. Przyczyną takiego niezgrania w czasie była wyraźna opieszałość PRL-owskich agentów, ślamazarnie rozpracowujących mnie na terenie Szwecji. Dlatego uważam, że zasługują oni na naganę z wpisaniem do akt Instytutu Pamięci Narodowej.

JAWNE SPECJALNEGO ZNACZENIA

Columbus w Ohio, 1 maja 2010 roku,
dzień święta klasy robotniczej

Dzisiaj, jedząc obiad w towarzystwie mej amerykańskiej żony, Laury, wyznałem jej, że dręczy mnie pytanie, jakie to szpiegowskie zadania przewidywał dla mnie PRL-owski wywiad. Laura przerwała moje kontemplacje uwagą tylko pozornie nie na temat:

— Janie! Masz teraz ważniejsze zadanie do spełnienia! W szufladzie przeznaczonej na twoje czyste gacie, jest pusto. Proszę, wrzucić do pralki te, które są w koszu na brudną bieliznę!

W taki oto sposób Laura sprowadziła moje rozmyślenia o niedosłej roli asa komunistycznego wywiadu do... moich brudnych gaci! Co za wspaniała kobieca zdolność do trzeźwej analizy!

Rzeczywiście, z perspektywy minionych lat moje potyczki z komunistyczną agenturą wyglądają dzisiaj komicznie, a raczej tragicomicznie. Ja wtedy z tych potyczek wyszedłem obronną ręką, ale innym się to nie udało! Wielu niewinnym ludziom zniszczono życiowe kariery, a jeszcze inni stracili zdrowie w więzieniach, skazani na podstawie wyssanych z palca zarzutów. Tym ludziom trudno się z tamtych czasów otrząsnąć, a cóż dopiero mieć do nich dystans!

Bezrobotny Janek zakłada firmę „Uppsala Instruments”

W lutym 1967 roku drugi raz w życiu stałem się bezrobotny. Miałem już jednak pewne, acz niewielkie oszczędności. Zezwolono mi przychodzić do Instytutu Farmakologii i Instytutu Fizyki i „majstrować”. Ale bez wynagrodzenia. Raczej z powodu zdrowia psychicznego niż ekonomii postanowiłem w Uppsali założyć własną firmę produkującą moje wynalazki, coś na wzór zakładu pomocniczego, w jakim pracowałem na Politechnice Wrocławskiej przed wyjazdem do Szwecji. Był to akt desperacji, biorąc pod uwagę, że nie znałem języka szwedzkiego poza bardzo podstawowymi zwrotami koniecznymi przy zakupach w sklepie. Na uniwersytecie, w instytutach naukowych i seminariach posługiwaliśmy się językiem angielskim.

Kiedy jednak udałem się do urzędu powiatowego (po szwedzku „kommun”) w celu rejestracji firmy, powiedziano mi, że jako cudzoziemiec bez szwedzkiego obywatelstwa nie mam prawa być szefem firmy, jeśli nie będę miał szwedzkiego współnika. Ponieważ moja firma nie miała zamówień, a sam prawie głodowałem, więc współnik był mi potrzebny jak piąte koło

u wozu. Nie mając wszakże wyboru, postanowiłem prowadzić moją firmę „w podziemiu”. Ponieważ zajmowałem mieszkanie studenckie, nie mogłem pokoju w domu studenckim podawać jako adresu firmy. Nie brzmiałoby to wystarczająco poważnie. Od kolegi Turka, Teofila Madakbasa, który wrócił do Turcji, przejąłem skrzynkę pocztową z numerem 12007. Gdyby nie pierwsze dwie cyfry numer brzmiałby identycznie jak numer angielskiego superagenta, Jamesa Bonda. Moją „podziemną” firmę nazwałem „Uppsala Instruments”, na wzór znanych mi wielkich firm elektronicznych, jak „Texas Instruments”, „Princeton Instruments”, etc. W mojej nowo założonej firmie postanowiłem produkować mierniki aktywności zwierząt laboratoryjnych i „Cardiac Output Computer” (komputer do pomiaru wydajności serca), opracowane przeze mnie uprzednio na uniwersytecie.



Pierwszy „Cardiac Output Computer” zbudowany w „Uppsala Instruments” na zlecenie Karolinska Institutet w Sztokholmie

Pierwsza handlowa broszura

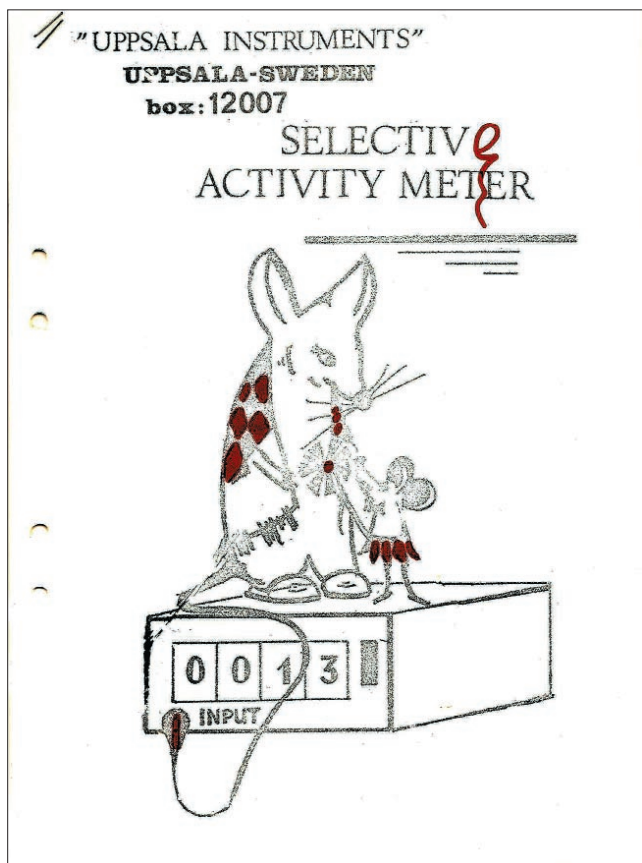
W suterenie Instytutu Fizyki, do którego ciągle miałem klucz, znajdował się powielacz przeznaczony do kopiowania studenckich skryptów. Na tym właśnie sprzęcie, po kryjomu, w nocy, odbiłem trzysta broszur z opisem przyrządu do pomiaru aktywności zwierząt laboratoryjnych. Przyrząd ten nazwałem „Selective Animal Activity Meter”. Określenie „selective” wynikało z ciekawej funkcji mego wynalazku. Zezwalał on bowiem na selektywny pomiar ruchliwości jednego zwierzęcia w grupie innych. Zasada pomiaru polegała na podskórnym wszczępieniu pętelki z platynowego drucika. Zwierzęta z wszczępioną pętelką wywoływały większy sygnał elektryczny w czujnikach umieszczonych pod podłogą klatki niż zwierzęta, którym czegoś takiego nie wszczępiono. Na tej podstawie mój przyrząd różnicował aktywność dwóch grup zwierząt: tych oznakowanych pętelką i tych bez pętelki.

Kiedy jednak pokazałem pierwszą broszurę memu koledze z Instytutu, Amerykaninowi, Svenowi Johnsonowi, ten od razu zauważył błąd ortograficzny w tytule.

— Jan, zapomniałeś dodać literę „e” na końcu słowa „selective” — powiedział.

Był to błąd wynikający z mej językowej ignorancji. Ponieważ ostatnia litera „e” w słowie „selective” jest niema, więc nie uważałem za konieczne wstawić ją tam. Należało to jednak jakoś poprawić. Na druk nowych broszur nie było mnie stać, więc w desperacji dopisałem ręcznie czerwonym długopisem, we wszystkich trzystu egzemplarzach, ostatnią literę „e”, kończąc ją długim, wijącym się w dół ogonkiem, który miał upodobnić ją do myszki. W mej firmie „Columbus Instruments” do dnia dzisiejszego wisi na ścianie pierwsza uppsalska kopia tej prymitywnej ulotki reklamowej (trzy kartki spięte spinaczem, z moim rysunkiem szczura stojącego na cyfrowym liczniku) i ręcznymi poprawkami wykonanymi czerwonym długopisem.

Wszystkie trzysta broszur wysłałem pocztą do europejskich firm farmaceutycznych, których adresy były podane w popular-



Pierwsza broszura reklamowa firmy „Uppsala Instruments”

nym podręczniku medycznym „Merck Mnual”. Ku memu zdumieniu i radości po jakimś czasie do skrzynki pocztowej Nr 12007 zaczęły nadchodzić zamówienia z różnych europejskich firm. Interes ruszył! Do budowy przyrządów wynajęłam szwedzkich studentów z Instytutu Fizyki, którzy produkowali je w instytucie po godzinach, jako „fuchę”. Z braku własnego warsztatu zastosowałam chałupniczą metodę produkcji. Wykonane przyrządy

wysyłałem pocztą i po jakimś czasie zaczęły przychodzić czeki od klientów na dość pokaźne sumy. Czeki te, ku memu zadowoleniu, mogłem łatwo inkasować w gotówce, mimo że nie były wystawiane na moje nazwisko, ale na nazwę firmy „Uppsala Instruments”. Ponieważ firma nie była zarejestrowana, więc szwedzki urząd skarbowy nie wiedział o jej istnieniu, zatem dochód z mej działalności przemysłowo-handlowej nie był opodatkowany. Przynajmniej w moim mniemaniu. No cóż, w ten sposób państwo szwedzkie, owszem, straciło trochę pieniędzy z mojego powodu, ale kto mu kazał upierać się przy tym, abym przyjął do mojej firmy Szweda za wspólnika?

Czas biegł, interes się rozwijał i mogłem jako tako utrzymać... rodzinę, ponieważ do mej dziewczyny, Zofii (jeszcze wówczas nie żony), przyjechała na leczenie jej chora na raka matka i siostra, Wanda.

Janka przejściowe kłopoty z amerykańską wizą

W międzyczasie moja emigracja do Ameryki stawała się coraz realniejsza. Kiedy mój szwedzki, „podziemny” interes się rozwijał w najlepsze, Konsulat Amerykański dzwonił do mnie kilkakrotnie, przynaglając do wyjazdu. Podobno mój sponsor na Alasce bardzo się denerwował, że procedury emigracyjne trwają długo. W pewnym momencie Ambasada Amerykańska zauważyła, że na aplikacji wizowej napisałem o mojej w Polsce przynależności do komunistycznej organizacji. Rzeczywiście, kiedy wypełniałem kwestionariusz wizowy, miałem na myśli przynależność do ZMP, czyli do Związku Młodzieży Polskiej. Wedle ówczesnego prawa amerykańskiego członkom komunistycznych organizacji nie zezwalano na wjazd do USA. Sprawa była o tyle komiczna, że z ZMP wyrzucano mnie trzy razy i być może wyrzucono by mnie po raz czwarty, gdyby nie to, że w międzyczasie rozwiązano... samą organizację. Konsul się jednak uparł, abym swą komunistyczną przynależność wyjaśnił. Powie-

działem mu, że gdybym nie należał do Związku Młodzieży Polskiej, to prawdopodobnie nie dostałbym się na studia, a gdybym nie studiował, to teraz Ameryce nie byłbym potrzebny. Urzędnik zrozumiał i kazał mi poprawić ankietę, wpisując, że do przynależności do młodzieżowej organizacji komunistycznej ZMP zostałem zmuszony, co było i prawdą, i kłamstwem, gdyż zmuszony zostałem okolicznościami, ale zapisałem się bez przedstawiania mi pistoletu do głowy.

W końcu wizę imigracyjną do USA dostałem. Natomiast wizy dla Zofii, mej konkubiny, prawo amerykańskie nie przewidywało. Trzeba było, więc się żenić... Entuzjazmu do świętego, a raczej cywilnego, związku nie było po obu stronach. Ja, „utyłłany” moralnie uprzednim rozwodem, wymarzoną mężem dla Zofii zapewne nie byłem. A ona? Ona w tym czasie „lepszej okazji” chyba też nie miała, a przynajmniej nie takiej, w celach matrymonialnych. Ślub zawarliśmy z godzinnym opóźnieniem. Świadcami podczas tej ceremonii był doktor Henryk Ryżko, kiedyś profesor w Instytucie Wysokich Napięć Politechniki Warszawskiej i jego żona, lekarz medycyny, Szwedka, Asa Ivarson.

Umowa licencyjna z firmą „Farad AB”

Przed wyjazdem należało jednak coś zrobić z moją szwedzką firmą „Uppsala Instruments”. Otóż, przy tłumaczeniu jakichś dokumentów na język szwedzki natknęliśmy się na polskiego Żyda, Rytenberga, który powiedział mi, że jego szwagier, Gunnar Wahlgren, jest wielkim szwedzkim biznesmenem, a nawet konsulem honorowym Singapuru w Szwecji. Człowiek ten ma jedną fabrykę, albo raczej fabryczkę kondensatorów stosowanych w urządzeniach elektronicznych w Szwecji, a drugą w Singapurze. Kondensatory jednak szły mu słabo, bo fabryczka była manufakturą i robiono je w prymitywny sposób, nawijając ręcznie, w czasie kiedy konkurencja używała już automatów.

Pan Wahlgren stwierdził, iż mógłby przejąć moją „podziemną” firmę i zrobić na tym dobry interes. Podpisaliśmy wobec tego kontrakt, zresztą dość naiwnie sformułowany przeze mnie, w którym było napisane, że dochody z produkcji będą dzielone w skali pół na pół. Był to najgłupszy kontrakt, jaki podpisałem i dlatego powinien być nauczka na resztę mego życia. Wynagrodzenie ze sprzedaży patentów nie powinno określać się na podstawie zysków firmy, tylko ustalać jako procent od ceny zbytu produktu opartego na tym patencie, ponieważ dochodem firmy można łatwo manipulować. Wraz z moim wyjazdem do Ameryki firma „Uppsala Instruments” przestała faktycznie istnieć. Jej koniec uszedł uwadze szwedzkich władz, ponieważ nigdy i nigdzie nie była zarejestrowana.

Do księgowości firmy „Farad AB” nie miałem wglądu i po roku (byłem już wtedy w USA) na pytanie o moją część zysków pan Wahlgren powiedział, że zysków nie ma i chyba nie będzie, bo jego firma od wielu już lat nigdy zysków nie deklarowała przy rozliczeniu z urzędem podatkowym. Jeśli jakieś zyski były, to Wahlgren po prostu wypłacał sobie samemu wyższą pensję. Szwedowi wydawało się, że mnie wykiwał. No i tak było w istocie. Ja ze swej strony nie żywiłem do niego złości, jako że oszukany zostałem przede wszystkim przez siebie samego, przez własną głupotę, a raczej ignorancję, gdyż nie znałem podstawowych zasad działania spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Umowa nie była spisana z panem Wahlgrenem, tylko z jego firmą, która była niezależną jednostką prawną i finansową i dlatego, z punktu widzenia prawa handlowego Szwed był w porządku.

Jednak, niezależnie od wadliwej umowy, ja miałem pewien atut w rękawie, z którego istnienia przemysłowiec-dyplomata, Gunnar Wahlgren, nie zdawał sobie sprawy. Tym atutem były moje kwalifikacje, pomysły i zdolność do dalszego ulepszania moich wynalazków. Wahlgren w swej fabryczce nie miał żadnego zdolnego inżyniera, który kontynuowałby i rozwijał moją koncepcję. Ponadto kontrakt, na szczęście dla mnie, był ważny

tylko na rok (1968) i umożliwił mi po tym czasie jego unieważnienie, co też uczyniłem. Kiedy stało się dla mnie jasne, że na dochody z firmy „Farad AB” nie mogę liczyć, podjąłem — zupełnie prawnie i legalnie — produkcję tych samych przyrządów w USA przez własną firmę, która pod niezmienioną nazwą „Columbus Instruments” działa do dziś.

Janek otrzymuje doktorat

Przez cały czas pracy w Instytucie Fizyki, to znaczy od roku 1960, a potem pracując w Instytucie Farmakologii, moje oficjalne stanowisko było określane jako „asystent badawczy” (research assistant), a stopień naukowy pozostał mi taki, z jakim opuściłem Politechnikę Wrocławską, czyli magister inżynier.



Legitymacja studencka uniwersytetu w Uppsali

Byłem co prawda zarejestrowany na uczelni w Uppsali jako student ubiegający się o doktorat, ale nie przestrzegałem wymagań potrzebnych do jego uzyskania. Zbyt byłem zajęty wynalazczością i budową konkretnych przyrządów, aby zwracać uwagę na naukowe stopnie i tytuły. Kiedy jednak zbliżył się termin mego wyjazdu do USA, pomyślałem sobie, że tytuł doktora może mi się przydać w pracy na amerykańskim uniwersytecie. Zadzwoiłem do mego promotora, profesora Per Arno Tove, informując go, że w najbliższym czasie wyjeżdżam do USA na Alaskę i jeśli chce być dumny ze swego studenta, który pod jego kierunkiem otrzymał doktorat, to najwyższy czas, aby taki stopień był mi nadany. Profesor Tove nie był zadowolony z mego sposobu przedstawienia sprawy. Przyznał jednak, że jestem dużo lepszy od wielu innych aplikantów i ostatecznie zdecydował, że taki tytuł — na podstawie szeregu mych wynalazków i wspólnych z nim publikacji z dziedziny przyrządów naukowych, ocenionych na celująco — otrzymam. Sposób, w jaki przyznano mi stopień doktora był w swej procedurze rzeczywiście wyjątkowy, jako że nie przeszedłem przez żadne formalne studia doktoranckie, ale i równocześnie sprawiedliwy, bo w końcu nie liczyła się metoda, a osiągnięcia. Profesor Tove nie musiał się ani za życia, ani po śmierci za swoją decyzję o nadaniu mi doktoratu w tak specyficznych warunkach wstydić!

Janek i Zofia żegnają Szwecję i witają Amerykę

Po zapakowaniu skromnych maneli, trzeciego marca 1968 roku wylecieliśmy z Zofią samolotem Skandynawskich Linii Lotniczych „SAS” ze Sztokholmu do Anchorage na Alasce i dalej, małym samolocikiem do Fairbanks, gdzie mieścił się instytut, w którym miałem pracować. Przypominam sobie, że na wieść o mej emigracji do USA, mój znajomy, Gustav Levy Huneberg, dzisiaj emerytowany lekarz, przyjechał na lotnisko pożegnać nas i wręczył mi „cenny” prezent, małą, czerwoną książeczkę

z myślami Mao-Tse-Tunga. W okresie wojny w Wietnamie z taką książeczką bałem się podróżować do USA, więc po przejściu kontroli paszportowej wyrzuciłem ją do kosza na śmieci.

Gustav był niepoprawnym komunistą. Jego rodzina, bogatych Żydów niemieckich, uciekła z Hamburga przed hitlerowcami, w ostatnich dniach przed wybuchem wojny, kiedy jeszcze mogli to zrobić. Wyjechali do Norwegii, nie wiedząc, że wkrótce siepacze hitlerowcy i tam ich mogą osiągnąć. Kiedy Niemcy zajęli Norwegię, rodzina Levy Huneberg'a uciekła przez góry do sąsiedniej Szwecji. Gustav w czasie mego pobytu w Uppsali studiował medycynę. Poznałem się z nim w stołówce szpitala akademickiego, gdzie można było kupić tanie i... niesmaczne obiady. Gustav w tym czasie hołdował ideom marksistowskim i należał do szwedzkiej organizacji o marksistowskich i maoistowskich inklinacjach „Clarte”. Zaprosił mnie kiedyś na zebranie tej organizacji, na którym ambasador Wietnamu Północnego miał odczyt na temat amerykańskiego imperializmu i cudownego życia w jego ojczystym kraju. W owym czasie zaczęła się już nagonka antysemicka na Żydów w ZSSR, ale Gustav nie przejmował się tym, jako że widział przyszłość komunizmu w Niemczech Wschodnich, w DDR, gdzie marksizm działał wzorcowo, nie tak jak w zdeorganizowanym PRL-u. Na długie lata Mao-Tse-Tung był ideałem dla Gustava i szeregu szwedzkich idealistów.

Kiedy po latach powtórnie przyjechałem do Szwecji, o mordczych działaniach przewodniczącego Mao było wiadomo już dużo więcej. Wtedy sympatie Gustava przemieściły się w kierunku Nikaragui i Kuby. Od tamtego czasu minęło już czterdzieści lat. Z moim szwedzkim znajomym nadal wymieniamy od czasu do czasu korespondencję internetową. Na tematy ideologiczne już dzisiaj nie rozmawiamy.

Część III. Wspomnienia z Ameryki

Tydzień na Alasce i dwa tygodnie w Ameryce właściwej

Nasz lot do Stanów Zjednoczonych nowym odrzutowcem Boeingiem 707 odbywał się trasą nad biegunem północnym. Loty nad biegunem trwały jakiś czas, ale w końcu je zarzucono, jako że promieniowanie radioaktywne w tak zwanych pasmach Van Allen'a w jego okolicy mogło być szkodliwe dla ludzkiego zdrowia. Wtedy jednak o tym nie wiedziano, albo bagatelizowano problem i dlatego miałem okazję zobaczyć biegun północny, nad którym przelatywaliśmy, jako pustynię pokrytą spiętrzoną krą.

Wylądowaliśmy w Anchorage, gdyż samolot „SAS” leciał dalej, do Tokio, i musiał tutaj tankować paliwo potrzebne do dalszego lotu. Do Fairbanks, gdzie mieścił się mój instytut, trzeba było lecieć małym samolotem „Air Alaska”, linii lotniczej, która — ku memu zdumieniu — ciągle funkcjonuje. W Fairbanks umieszczono nas tymczasowo w domu studenckim zbudowanym chyba przez armię amerykańską. Cechowało go szereg pokoi z ubikacją na końcu korytarza. Przypominało mi to bardziej mało finezyjną Polskę Wiesława Gomułki niż Szwecję, w której przywykłem już do pewnych luksusów. Obiecane mieszkanie okazało się suteroną w trakcie renowacji, której zakończenie określano na „za dwa miesiące”. Pokój w akademiku nie był darmowy, kosztował bowiem siedemdziesiąt dolarów za noc. Instytut zapewniał mi pensję w wysokości tysiąca dolarów na miesiąc, od której odliczano trzysta „zielonych” na poczet podatku.

W tym czasie nie wiedziano jeszcze, że na Alasce są wielkie złoża ropy naftowej i stan ten był wtedy bardzo biedny, pensje niskie, a ceny horrendalnie wysokie. Kiedy odreagowałem jedenastogodzinną różnicę w czasie i udałem się do stołówki akademickiej na lunch, dowiedziałem się, że koszt skromnego

posiłku pomnożony przez trzydzieści dni wyniesie więcej niż siedemset dolarów. Zacząłem się zastanawiać, co będziemy jedli na obiady, śniadania i kolacje. Koszty życia na Alasce, a szczególnie w centralnie położonym Fairbanks, były dwa do trzech razy wyższe niż w stanach centralnych. Było to spowodowane koniecznością dowozu produktów żywnościowych samolotami, jako że zimą tory kolejowe leżały sobie spokojnie pod śniegiem. Udałem się więc do dyrektora instytutu, którym w owym czasie był profesor Peter R. Morrison, z prośbą o wyjaśnienie sytuacji i podwyżkę, przynajmniej do dwóch tysięcy dolarów na miesiąc. Profesor ze zrozumieniem pokiwał głową i powiedział, że moje zarobki odpowiadają stanowisku docenta, a kilku profesorów, od wielu lat, pracuje w instytucie za podobne do mojego uposażenie. Poinformował mnie jednak, że gdybym kupił w supermarkecie krojone salami i chleb, to mógłbym sobie sam robić kanapki. Takie posiłki byłyby bardziej ekonomiczne niż korzystanie ze stołówki akademickiej. Podziękowałem dyrektorowi za kulinarną radę i postanowiłem... wiać z Alaski jak najszybciej i znaleźć bardziej odpowiednie miejsce pracy w Ameryce „właściwej”, tej poniżej granicy z Kanadą.

W owym czasie niektóre linie lotnicze cierpiące na brak pasażerów ofiarowywały podróżującym Europejczykom blankietowy bilet lotniczy ważny na dwa tygodnie. Koszt takiego biletu był bardzo niski, bo wynosił tylko dwieście dolarów. Z takiej uprzejmości linii lotniczych mogli korzystać jedynie europejscy goście w pierwszych dwóch tygodniach od ich przylotu do USA. Skorzystaliśmy z tej okazji i wylecieliśmy do Seattle. Tam był nasz pierwszy przystanek. Jak sobie przypominam, odwiedziliśmy wtedy także Salt Lake City — religijną stolicę Mormonów, Chicago, Filadelfię i Nowy Jork. W Filadelfii amerykańscy policjanci o mało co nie zastrzeliliby mnie na parkingu, gdzie błakaliśmy się, szukając pożyczonego samochodu. Nasze zdezorientowanie policjanci wzięli bowiem za próbę wyboru pojazdu, który chcieliśmy ukraść. Kiedy wreszcie znaleźliśmy pożyczony samochód i siadłem za kierownicą, pojawiło

się nagle w oknie samochodu dwóch policjantów, którzy zaszczekali:

— Prawo jazdy! Dokumenty!

Ponieważ prawo jazdy miałem razem ze szwedzkim paszportem za pazuchą, więc chcąc je stamtąd wydostać, sięgnąłem ręką do wnętrza marynarki. W tym momencie policjanci wyciągnęli pistolety, odskoczyli od samochodu i wycelowali we mnie. Przypuszczam, iż obawiali się, że za pazuchą mam pistolet. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że w Ameryce, przygotowując się do rozmowy z policjantem, należy położyć ręce na kierownicy, aby policjant miał swego rozmówcę i jego ręce na widoku. Całe szczęście, że policjanci wtedy nie wystrzelili do mnie (kto by dziś spisał te wspomnienia?), choć byli zdumieni, że wyciągnąłem nie pistolet, ale prawo jazdy. Obeszło się na strachu po obu stronach. Mojej i władzy.

W czasie tych dwóch tygodni podróży, nie przypominam sobie gdzie, być może w Bostonie, zobaczyłem na ekranie telewizora zainstalowanego w hotelu, demonstracje i rozruchy murzyńskie, które były wywołane zastrzeleniem tegoż dnia w Memphis przywódcy murzyńskiego, doktora Martina Lutera Kinga. O oglądaniu miasta nie było już wtedy mowy.

Janka krótka emigracja w Kanadzie

Minęły dwa tygodnie. Pieniądze kończyły się i ważność „okrężnych” biletów lotniczych po Ameryce też. Pracy nie miałem, ale mój przyjaciel ze szkoły średniej w Częstochowie, Reniek Oduliński, wspomniał, że gdybym był w kłopotach, to mogę przyjechać do niego do Montrealu, do którego wyemigrował z Francji rok czy dwa lata temu. Reniek pisał dla zachęty, że Kanada to wspaniały kraj, w którym lody je się łyżką stołową. On zawsze był smakoszem i miał ciągotki do słodczy jeszcze we Wrocławiu, gdzie jakiś czas mieszkał. Właśnie tam, we Wrocławiu, Reniek odkrył, że w PRL-u najkorzystniejszym

z punktu widzenia ekonomicznego i ilości zawartych kalorii jadłospisem, są rurki z kremem popijane drobiowym rosołem z makaronem.

Wobec takiej wspaniałej wizji kupiliśmy z Zofią bilety autobusowe z Nowego Jorku do Montrealu i udaliśmy się w drogę. Nie pomyślałem wcale o wizie kanadyjskiej, przypuszczając, że taka nie jest nam potrzebna. Na granicy kanadyjskiej wysadzono nas jednak z autobusu i poproszono o paszporty. Aczkolwiek przylecieliśmy do USA jako emigranci, to jednak odpowiedniego dowodu, tak zwanej „zielonej karty”, jeszcze nie miałem, gdyż jego wydanie zabiera władzom emigracyjnym zwykle kilka miesięcy. Urzędnik kanadyjski skonstatował zatem, że jesteśmy uciekinierami z Polski i chcemy emigrować do Kanady. Po kilku zapytaniach o nasze zawody (ja inżynier, Zofia lekarz) powiedział, że... jesteśmy tu mile widziani i ostemplował nam wizy imigracyjne do Kanady łącznie z pozwoleniem na pracę.

Zatrzymaliśmy się początkowo w mieszkaniu Reńka, który był już żonaty z Danielą, Polką, urodzoną we Francji, i miał maleńkiego synka, Bogdana. Niestety, pracy w Montrealu ani ja, ani Zofia nie mogliśmy znaleźć. Pracodawcy po usłyszeniu, że nie mówimy po francusku, zwykle komentowali, iż do pracy Anglików nie przyjmują. Wedle nich każdy, kto mówił po angielsku był nieproszonym Anglikiem albo anglofonem. Udaliśmy się więc do Ottawy w prowincji Ontario, w której większość ludzi mówiła po angielsku i tam dostałem pracę w małej firmie „Applicon Ltd.”, w której zlecono mi budowę przyrządu do automatycznego pomiaru ludzkiej inteligencji, wedle wynalazku doktora Ertela. Naukowiec ten związany był wtedy z Instytutem Psychologii uniwersytetu w Ottawie i opracowywał metodę pomiaru ludzkiej inteligencji, czyli współczynnika IQ, poprzez pomiar i korelację elektrycznej aktywności (EEG) w korze mózgowej lewej i prawej półkuli. Metoda ta nie była jeszcze dopracowana i miała wielu wrogów i krytyków. Doktor Ertel dał się namówić przez amerykańskich promotorów na założenie firmy produkującej jego wynalazek i sprzedawanie go szkołom w celu

oceny inteligencji uczniów. To zastosowanie było politycznie bardzo kontrowersyjne i niezależnie od tego czy jego przyrząd do pomiaru IQ działał, czy nie, jego zastosowanie raczej nie miało żadnych szans funkcjonowania w szkołach. Przystąpiłem jednak do współpracy. Przyrządu tego nie zdołałem wszakże skończyć przed moim wyjazdem z Kanady. Kilka lat później, już w Columbus, złożył mi wizytę doktor Ertel, wówczas bezrobotny, pytając, czy ja ciągle jestem zainteresowany jego wynalazkiem. Jak mi powiedział, stracił stanowisko na uniwersytecie w Ottawie i teraz zarabia na życie jako... taksówkarz. Dalsze losy tego człowieka nie są mi znane.

Arystokratyczne przyjęcie w firmie „Brun Sensor Systems”

Do Columbus przyjechałem z Ottawy na zaproszenie firmy „Brun Sensor Systems”, która zajmowała się produkcją urządzeń do pomiaru wilgotności papieru, a która w dwa lata później (w roku 1970) zbankrutowała. Przyjęto mnie do niej z uwagi na moje uprzednie doświadczenie, jeszcze wyniesione z Politechniki Wrocławskiej, gdzie budowałem przyrządy do pomiaru wilgotności zboża. Była to ciekawa firma, w której się nauczyłem dwóch podstawowych rzeczy, po pierwsze, że w stanie Ohio trzeba mieć klimatyzację, bo bez niej mózg się latem z gorąca gotuje, i po drugie, że nie należy sprzedawać produktów na zasadzie leasingu (odpłatnego wypożyczania), szczególnie, jeśli produkty te są wadliwe. Otóż produkty firmy „Brun Sensor Systems” były oparte na dobrym pomysłem, ale nie były technologicznie dopracowane. Firma wypożyczała przyrządy do pomiaru wilgotności papierniom, ale te przyrządy często zwracano z racji uszkodzeń lub niedokładności w pomiarach. Ponieważ każdy wilgociomierz był robiony na specjalne zamówienie i dopasowywany do wymiarów maszy-

ny papierniczej, jego szanse na sprzedaż innemu klientowi były równe zeru.

W drugim dniu pracy zaprosił mnie do swego gabinetu doktor Mario Overhoff, z pochodzenia Austriak, ożeniony jakoby z austriacką księżną. Na wstępie przepytał mnie na okoliczność mego rodowodu i był zawiedziony, że moje pochodzenie jest raczej chłopskie niż arystokratyczne. W dalszej kolejności, dla stworzenia przyjaznej atmosfery, Austriak wyjaśnił mi, że on jest tu panem i władcą i jak mu się nie spodobam, to mnie może wyrzucić na zbity pysk jutro, albo pojutrze. Doktor Overhoff był moim bezpośrednim przełożonym oraz szefem Działu Badań i Nowych Opracowań (Research and Development). Stało się dla mnie jasne, że człowiek ów uważał mnie za konkurenta stanowiącego osobiste zagrożenie, ponieważ w firmie, poza prezydentem, doktorem Bruntonem, od teraz było tylko dwóch pracowników z doktoratami: doktor Overhoff i doktor Czekajewski.

Firma „Brun Sensor Systems” od samego początku chyliła się ku upadkowi, dlatego z powodów, o jakich wspomniałem, pomyślałem, że mógłbym wznowić koncepcję własnego przedsiębiorstwa w stylu „Uppsala Instruments”, która to firma w Szwecji uratowała mnie i rodzinę Zofii (chorą na raka matkę i siostrę Zofii, Wandę) od głodu. „Fortuna kołem się toczy” jak mówi przysłowie. Dwa lata później, będąc już właścicielem własnej firmy „Columbus Instruments”, przypadkowo, w kafejce, gdzie serwowano na śniadanie jajka sadzone z bekonem, spotkałem doktora Overhoffa. Po wymianie zdawkowych uprzejmości, Overhoff zapytał mnie, czy nie miałbym dla niego pracy, gdyż z firmy „Brun Sensor Systems” ... wylano go. Wyjaśniłem mu, że moja raczkująca firma jest uboga i jedynym możliwym zajęciem dla niego byłoby w niej lutowanie obwodów drukowanych. O dziwo, doktor Overhoff zgadzał się nawet i na taką podrzędną propozycję. Oczywiście, biorąc pod uwagę jego uprzednie zachowanie w stosunku do mnie, moja współpraca z nim w żadnym miejscu i czasie nie mogła być możliwa.

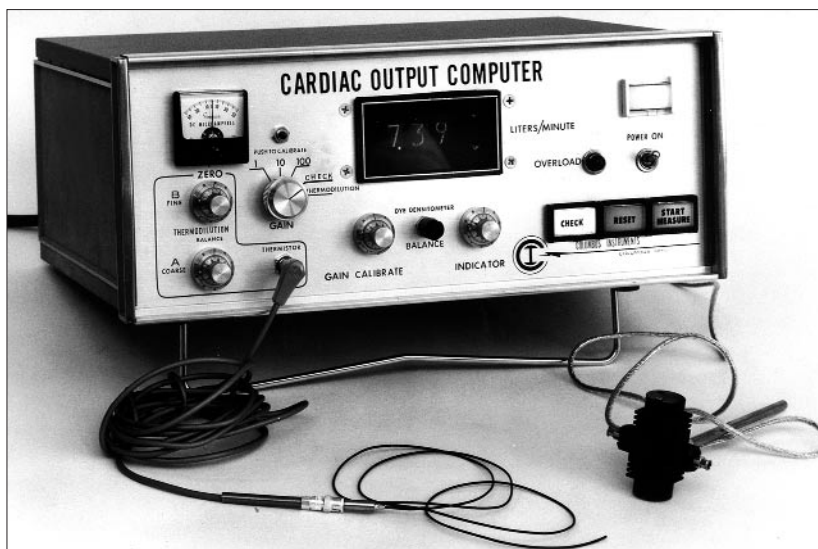
Początek początków firmy „Columbus Instruments”

Za pierwsze zarobione w Columbus pieniądze wydrukowałem broszurę reklamową w ilości dwóch tysięcy egzemplarzy i rozesłałem ją do uniwersytetów i szpitali w USA. Firmę nazwałem „Columbus Instruments”. Zdjęcia przyrządów do tej broszury były zrobione jeszcze w Szwecji. Pieniądzy ani możliwości wykonania jakichkolwiek przyrządów lub prototypów w Columbus jeszcze nie miałem. Czekałem więc na zamówienia, ale one jakoś nie nadchodziły. W broszurze zamieściłem zdjęcia i opisy trzech przyrządów: „Selective Animal Activity Meter”- przyrząd do pomiaru ruchliwości zwierząt laboratoryjnych, „Cardiac Output Computer”- przyrząd do pomiaru przepływu krwi przez serce i „Perspiration Meter”- przyrząd opracowany przez mego przyjaciela, profesora Henryka Ryżko



Miernik pocenia („Perspiration Meter”) konstrukcji doktora Henryka Ryżko

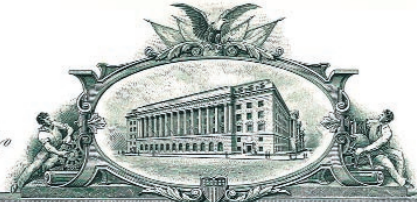
do pomiaru pocenia się skóry. Muszę dodać, że sprzedałem późnej setki przyrządów do pomiaru aktywności zwierząt i komputerów do pomiaru przepływu krwi przez serce. Trzecie urządzenie, do pomiaru pocenia się, niestety, nigdy nie stało się sukcesem. Sprzedałem jedynie... dwa takie przyrządy. Jeden jeszcze w Szwecji, na zamówienie Szpitala Akademickiego, a drugi później, poprzez „Columbus Instruments” w USA.



„Cardiac Output Computer” produkcji „Columbus Instruments”

Wkrótce zacząłem sobie zdawać sprawę, że skrzynka pocztowa umieszczona na broszurze jako adres firmy, nie wzbudza zaufania potencjalnych klientów, którymi były poważne instytucje, firmy farmaceutyczne, szpitale i uniwersytety. Pomyślałem, że firma moja musi mieć przekonujący adres, telefon czynny przynajmniej osiem godzin dziennie i telefonistkę odbierającą zapytania. Pracując osiem godzin dziennie w firmie „Brun Sensor Systems” nie mogłem sprostać tym podstawowym warunkom koniecznym dla sukcesu. Na rozwiązanie tych trudności na szczęście wpadłem szybciej niż się spodziewałem.

CO. 10



3651318

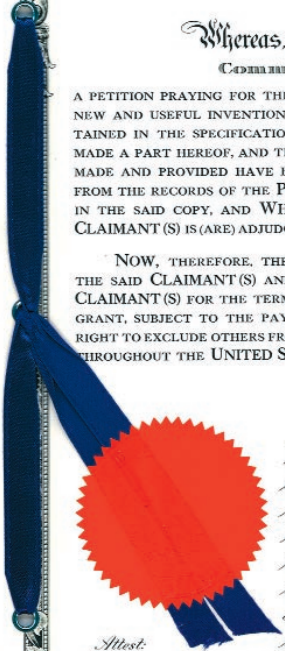
THE UNITED STATES OF AMERICA

TO ALL TO WHOM THESE PRESENTS SHALL COME:

Whereas, THERE HAS BEEN PRESENTED TO THE
Commissioner of Patents

A PETITION PRAYING FOR THE GRANT OF LETTERS PATENT FOR AN ALLEGED NEW AND USEFUL INVENTION THE TITLE AND DESCRIPTION OF WHICH ARE CONTAINED IN THE SPECIFICATION OF WHICH A COPY IS HEREUNTO ANNEXED AND MADE A PART HEREOF, AND THE VARIOUS REQUIREMENTS OF LAW IN SUCH CASES MADE AND PROVIDED HAVE BEEN COMPLIED WITH, AND THE TITLE THERETO IS, FROM THE RECORDS OF THE PATENT OFFICE IN THE CLAIMANT(S) INDICATED IN THE SAID COPY, AND WHEREAS, UPON DUE EXAMINATION MADE, THE SAID CLAIMANT(S) IS (ARE) ADJUDGED TO BE ENTITLED TO A PATENT UNDER THE LAW.

NOW, THEREFORE, THESE Letters Patent ARE TO GRANT UNTO THE SAID CLAIMANT(S) AND THE SUCCESSORS, HEIRS OR ASSIGNS OF THE SAID CLAIMANT(S) FOR THE TERM OF SEVENTEEN YEARS FROM THE DATE OF THIS GRANT, SUBJECT TO THE PAYMENT OF ISSUE FEES AS PROVIDED BY LAW, THE RIGHT TO EXCLUDE OTHERS FROM MAKING, USING OR SELLING THE SAID INVENTION THROUGHOUT THE UNITED STATES.



In testimony whereof, I have herunto set my hand, and caused the seal of the Patent Office to be affixed, at the City of Washington, this twenty-first day of March, in the year of our Lord, one thousand nine hundred and seventy-two, and of the Independence of the United States of America the one hundred and ninety-sixth.

Attest:

McCoy M. Gibson, Jr.
Attending Officer.

Robert Patterson
Commissioner of Patents.

FORM PG 277a
(10-65)

Mój patent na "Cardiac Output Computer"

Janka niefortunni wspólnicy

Tak się złożyło, że w miejscowej gazecie „The Columbus Dispatch” przeczytałem ogłoszenie, iż na sąsiedniej Chesapeake Avenue dwóch inżynierów ze słynnego „Battelle Institute”, Jack Irving i Dan Beck, założyli własne przedsiębiorstwo, którego zadaniem miała być budowa komór wysokiego ciśnienia, używanych do podwodnych prac nurków. Komory te dawały nurkom pracującym głęboko pod wodą możliwość odpoczynku, a nawet snu, bez konieczności wyciągania ich na powierzchnię. Z medycznego punktu widzenia człowiek pracujący pod wodą, pod wysokim ciśnieniem, nie może być raptownie wyciągnięty na powierzchnię, gdyż w jego krwi utworzyłyby się bąbelki powietrza, które mogłyby go zabić poprzez zaczopowanie dopływu krwi do mózgu. W gazecie napisano, że nowa firma zamierza również rozwinąć swą działalność w innych dziedzinach medycznych.

Udałem się pospiesznie do firmy nazwanej przez założycieli „Worldwide Development Corporation” z propozycją uruchomienia przy niej wydziału produkcji moich wynalazków, między innymi przyrządów do pomiarów aktywności zwierząt i komputerów do pomiaru przepływu krwi przez serce. Zaproponowałem, aby nazwać taki wydział „Columbus Instruments”. Warunki współpracy miały być następujące:

1. Firma „Worldwide Development Corporation” zainwestuje w budowę przyrządów mojej konstrukcji i będzie mi płacić piętnaście dolarów za godzinę mojej pracy nad tymi przyrządami,
2. Jan Czekajewski otrzyma dziesięć procent prowizji (royalty) od wartości każdego sprzedanego urządzenia,
3. Firma „Worldwide Development Corporation” zatrudni techników do produkcji mych wynalazków. (Jednym z nich stał się Wilburn Towns, z którym przyjaźniłem się do końca jego życia),
4. Jeśli z jakichś powodów współpraca nie będzie się układać, obie strony będą miały prawo kontynuować niezależną produkcję na własny rachunek,

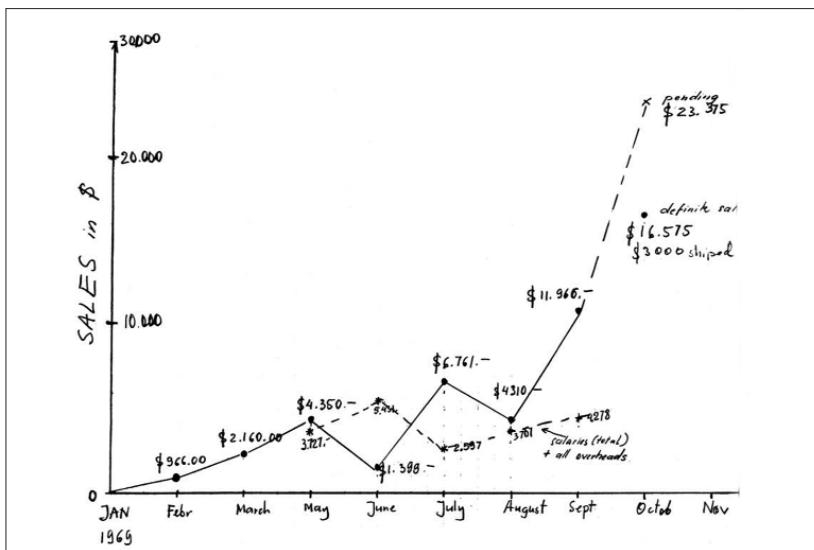
5. Jeśli kierowany przeze mnie wydział „Columbus Instruments” zacznie przynosić dochody, wtedy zostanie odseparowany od firmy matki i stanie się niezależną firmą, w której ja zostanę dyrektorem z pięćdziesięcioprocentowym udziałem, a pozostałe pięćdziesiąt przypadnie firmie matce, czyli „Worldwide Development Corporation”.

W konstrukcji tej umowy... także popełniłem błąd, proponując równy podział akcji przyszłej firmy między wspólnikami. Spółki o równym podziale własności są z reguły nieefektywne i sparaliżowane nierozstrzygającą różnicą (żadna ze stron nie ma przewagi) w opinii między wspólnikami. Podstawową, sprawdzoną zasadą jest warunek, aby jeden ze wspólników miał przeważającą kontrolę nad finansami i decyzjami podejmowanymi w firmie. Na szczęście w naszym przypadku ten element umowy nigdy nie stworzył problemów, gdyż do założenia osobnego przedsiębiorstwa w postaci spółki nigdy między nami nie doszło. Tak czy inaczej — co było najważniejsze — moja umowa o pracę i umowa licencyjna dotycząca mych wynalazków z „Worldwide Development Corporation” dawała mi prawo do separacji, bez prawnych konsekwencji.

Ten punkt umowy umożliwił mi wkrótce założenie własnego przedsiębiorstwa. Po kilku miesiącach pracy zauważyłem, że firma „Brun Sensor Systems” chyli się ku upadkowi z powodu zwrotów wadliwych produktów, a mnie, w pewnym momencie, wypowiedziano pracę. Na szczęście byłem już wtedy zatrudniony w firmie „WDCorp.” i zwolnienie mnie z pracy w poprzedniej firmie wcale mnie nie przeraziło. Nie przypuszczałem jednak, że moi nowi wspólnicy, czyli firma „Worldwide Development Corporation”, skończą podobnym bankructwem jak mój wcześniejszy pracodawca.

Po trzech miesiącach, w lutym 1969 roku, sprzedałem już pierwszy „Selective Animal Activity Meter”. Była to sprzedaż eksportowa dla Uniwersytetu Bristol w Anglii. Zamówienie opiewało na dziewięćset sześćdziesiąt sześć dolarów. W dzisiejszych czasach, czyli w roku 2010, suma ta ma wartość około pięciu

tysięcy dolarów. Już w październiku 1969 roku miałem zamówień na kwotę dwadzieścia trzy tysiące trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów (dzisiaj: sto szesnaście tysięcy osiemset siedemdziesiąt pięć dolarów przy uwzględnieniu inflacji), przy dużej marży zysku, jak wskazuje poniżej zamieszczony mój pierwszy wykres. Sprzedaż moich przyrządów rosła i dochody z mojego skromnego wydziału „Columbus Instruments” przerastały minimalną sprzedaż komór wysokiego ciśnienia, w których specjalizowali się moi wspólnicy.



Wykres sprzedaży za rok 1969

Jak Janka zdefiniował Mr. Portman

Moi wspólnicy rozpatrywali możliwość dopuszczenia zewnętrznych inwestorów do wsparcia mojego wydziału „Columbus Instruments”. Za czyjąś radą skontaktowali się z człowiekiem o nazwisku Maurice D. Portman, który prowadził w Columbus własne biuro

inwestycyjne, ale również udzielał się w lokalnej polityce, będąc radnym, a nawet prezydentem Rady Miejskiej w Columbus. Otóż, pewnego dnia Mr. Portman zjawił się w naszej firmie i został mi przedstawiony. Ideą spotkania było zachęcenie przybyłego gościa do inwestycji w „Columbus Instruments” i przejęcie kontroli administracyjno-finansowej nad projektowaną, nową spółką akcyjną, ze mną jako dyrektorem technicznym, a może nawet naczelnym.

Koncepcja spaliła na panewce już po pierwszych kilku zdaniach. Po podaniu sobie rąk, Mr. Portman spojrzał mi głęboko w oczy i powiedział:

— Ja jestem Żydem!

Zaskoczony, nie wiedziałem, jak się zachować, więc udałem, że nie rozumiałem, co powiedział. Gość jednak nie dał za wygraną i powtórzył:

— Mr. Czekański, ja jestem Żydem!

Tym razem już musiałem jakoś zareagować. Zacząłem bąkać coś pod nosem, że nie rozumiem, o co mu chodzi, i dlaczego to jest takie ważne dla niego, abym wiedział o jego religijnej przynależności. Mr. Portman pośpieszył z wyjaśnieniem:

— Mr. Czekański, jeśli pan jest antysemitą, to żadna współpraca między nami nie będzie możliwa!

Stało się dla mnie jasne, że ten człowiek miał już zakodowane w swej głowie przekonanie, iż na pewno wszyscy Polacy są antysemitami, i teraz chciał tylko potwierdzić swoją teorię na ten temat. Na szczęście po tym wstępie nie rozwinął już dalej swych finansowych propozycji i dzięki temu sprawa współpracy z nim nie stała się zarzewiem głębszego konfliktu, do jakiego niewątpliwie doszłoby, jeśli miałbym do czynienia z człowiekiem o tak głębokim uprzedzeniu do Polaków. Wtedy było to moje pierwsze spotkanie z antypolskim nastawieniem amerykańskiego Żyda. W następnych latach spotkałem się jeszcze z wieloma przykładami podobnego zachowania wśród wielu innych ludzi tej narodowości, którzy czuli wielką niechęć do Polaków i usilnie starali się podważyć dobre imię Polski i Polaków na arenie zarówno amerykańskiej, jak i międzynarodowej.

Singapurski dyplomata oskarża

W roku 1969 amerykańskie Ministerstwo Handlu organizowało w Sztokholmie wystawę amerykańskich instrumentów medycznych i zaprosiło też i moją firmę do udziału. Po zgłoszeniu swego udziału w wystawie dowiedziałem się, że mój stary znajomy, pan Wahlgren, honorowy konsul Singapuru, udał się do amerykańskiego konsulatu z ostrzeżeniem, że moja obecność na wystawie narazi rząd amerykański na skandal, gdyż jestem złodziejem jego wynalazków i policja szwedzka ma przykazane mnie aresztować. Był to absolutny bluff, jako że Ambasada Szwedzka poinformowała mnie, iż żadnego nakazu aresztowania mnie nie ma i nic nie stoi na przeszkodzie mego udziału w wystawie. Pan konsul Wahlgren po prostu obawiał się konkurencji, gdyż w międzyczasie pertraktował z wielką firmą szwedzką „LKB” w sprawie sprzedaży mego wynalazku tejże firmie. O ironio! Dwanaście lat później dostałem list z firmy „LKB” proponujący mi zakup technologii produkcji m o j e g o w ł a s n e g o wynalazku, czyli miernika aktywności zwierząt. Okazało się, że mierniki produkowane przez „LKB” na licencji zakupionej od firmy „Farad AB”, której właścicielem był Gunnar Wahlgren, nie przynosiły dochodu i firma „LKB” postanowiła się tego produktu pozbyć. Przypuszczam, że pan Wahlgren zarobił na tej transakcji dwukrotnie, raz oszukując mnie, a drugi raz, oszukując firmę „LKB”. Dzisiaj całej prawdy już się nie dowiemy, gdyż Gunnar Wahlgren przebywa na tamtym świecie.

Bankructwo Janka wspólników

Był rok 1970. Zaczęły się ważyć losy firmy „WDCorp.”. Jej założyciele nie wzięli pod uwagę, że głównym odbiorcą ich produktów była Marynarka Wojenna USA, a wojsko na ogół nie liczy się z ceną. Ważnym dla niego było, aby kontrahent był stabilny finansowo i miał możliwość serwisowania zakupionych

urządzeń jeszcze przez wiele lat po dostawie. Jednocześnie „Battelle Institute” w dalszym ciągu budował podobne komory i stanowił dla firmy „WDCorp.” poważną konkurencję. Aczkolwiek nie byłem dopuszczony do rachunkowości firmy, czułem, że jej dni są policzone. Moja propozycja odseparowania „Columbus Instruments” w celu ratowania mojego wydziału od bankructwa, w jakie mógłby wciągnąć mnie upadek firmy matki, została przez mych wspólników odrzucona. Zaproponowano mi natomiast podpisanie nowego kontraktu, zobowiązującego mnie do pracy u nich przez pięć lat. Naturalnie odmówiłem, nie widząc sensu wiązania się z wyraźnie upadającą firmą. Jak podejrzewałem, moi partnerzy chcieli mnie — zakutego w kajdanki pięcioletniego kontraktu — sprzedać, razem z wydziałem „Columbus Instruments”, by ratować swą firmę.

Kolejne bezrobocie, czyli: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”

Pewnego dnia wicedyrektor „WDCorp.”, Dan Beck, wezwał mnie do siebie i wręczył mi zaległy czek, informując mnie równocześnie, że firma zamyka wydział „Columbus Instruments” i zwalnia mnie z pracy. Ten fakt jakoś dziwnie przeczuwałem. Oficjalnie byłem przecież pracownikiem firmy „WDCorp.”. Próbowałem wytłumaczyć szefowi, że w magazynie mamy jeszcze przyrządy, częściowo wykończone, które mógłbym sprzedać, będąc u nich na prowizji. Niestety, moja propozycja została odrzucona. Wróciłem do domu, czując się jak zbity pies. Martwiłem się o przyszłość rodziny, która właśnie się powiększyła o dopiero co urodzonego syna, Ryszarda. Zarówno ja, jak i Zofia staliśmy się nagle bezrobotni. Bezrobotni z noworodkiem, któremu trzeba było zapewnić byt. Zofia pracowała w szpitalu uniwersyteckim, ale wraz z urodzeniem dziecka, zrezygnowała z etatu, co było dość oczywiste.

Następnego dnia udałem się powtórnie do firmy „WDCorp.”, aby ich przekonać, że beze mnie cała ich inwestycja finansowa i moja praca zostaną zaprzepaszczone. W firmie zastałem jednak drzwi zamknięte i opieczętowane. Na drzwiach wisiała wywieszka ze stemplem sądu powiatowego, że firma „Worldwide Development Corporation” jedenastego grudnia 1970 roku zbankrutowała i wierzyciele, jeśli mają jakieś roszczenia, mogą się zgłaszać do wyznaczonego przez sąd prawnika, zajmującego się likwidacją firmy. Na wywieszce podano nazwisko prawnika: A.C. Strip. Przypominam sobie, że dnia tego było pochmurno i padał deszcz. Próbowałem zorientować się, zaglądając przez okno firmy do środka, co stało się z moimi przyrządami. Czy są tam jeszcze, czy też wyrzucono je na śmieci. Pofatygowałem się także na zaplecze budynku, gdzie mieścił się wielki zbiornik na śmieci i stwierdziłem, że przyrządów nie wyrzucono, ale wyrzucono do śmieci całą moją dokumentację i korespondencję, a nawet zamówienia, których nie zdołaliśmy jeszcze zrealizować. Wszedłem do pojemnika i starałem się wygrzebać te dokumenty, które mogły mieć dla mnie jakąś wartość. Ponieważ padał deszcz, część z nich była już poważnie zmoczona. Niemniej większość udało mi się uratować i po wysuszeniu, odczytać.

Odbierając ostatnią wypłatę od dyrektora firmy, zapomniałem upomnieć się (zgodnie z umową) o prowizję od każdego sprzedanego instrumentu. A uzbierało się tego ponad dziesięć tysięcy dolarów. Wybrałem się więc do syndyka wymienionego w liście naklejonym na drzwiach firmy, który zajmował się likwidacją firmy, z propozycją przejęcia w komis materiałów i niewykończonych przyrządów oraz wypłacenia likwidatorowi firmy pięćdziesiąt procent ich wartości, ale dopiero po ich ewentualnej sprzedaży. Prawnik zażądał jednak nierealnej dla mnie sumy dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, płatnej natychmiast w gotówce i nie chciał w ogóle dyskutować o możliwości rozłożenia tej kwoty na raty. Suma, której prawnik oczekiwał, była powyżej moich możliwości, gdyż moje całkowite oszczędności wynosiły wtedy tylko piętnaście tysięcy dolarów i były rezultatem pracy

na dwóch etatach i prowadzenia bardzo skromnego życia. Nawiasem mówiąc, po upływie dwóch lat, dwudziestego dziewiątego lutego 1972 roku, likwidator firmy „Worldwide Development Corporation”, A.C. Strip, sprzedał mi te same części, o które wcześniej zabiegałem wraz z wszelkimi prawami do produkcji, za jedyne... dwa i pół tysiąca dolarów. Ale wtedy w zaistniałej sytuacji, nie mając innych możliwości, postanowiłem kontynuować działalność „Columbus Instruments” na własną rękę.

Pierwszym moim ruchem w tym kierunku było przejęcie korespondencji od klientów, z którymi dyskutowałem kontrakty. Wiedziałem, że listy te i tak zostaną wyrzucone do kosza i nikt się nimi nie zainteresuje. Udałem się więc do urzędu pocztowego, gdzie poprosiłem o przenieś korespondencji przychodzącej na adres „Columbus Instruments” na skrzynkę pocztową, którą wynająłem w tym samym urzędzie pocztowym. W międzyczasie



Pierwszy lokal niezależnego „Columbus Instruments” (lata 1970-75)

w firmie „Brun Sensor Systems”, firmie, która sprowadziła mnie z Ottawy do Columbus, zdarzyła się tragedia. Doktor Brunton, założyciel firmy i jeden z jego inżynierów, zginął w wypadku samolotowym. Był bardzo złym pilotem i ostrzegano mnie, w czasie kiedy jeszcze pracowałem w jego firmie, abym odrzucał zaproszenia do podróżowania w jego samolocie. Tegoż feralnego dnia, wbrew ostrzeżeniom o złej pogodzie, małym samolotem Brunton poleciał do Ottawy w towarzystwie młodego inżyniera, ojca kilkorga małych dzieci. Przed lądowaniem jego samolot, z powodu oblodzenia skrzydeł, spadł jak kamień na lotnisko

i spłonął. Pasażerowie zginęli na miejscu. Młody inżynier, który też zginął w wypadku miał prywatne laboratorium w wynajętym pokoju, w starym budynku, w którym kiedyś mieściły się gabinety lekarskie. Było to przy ulicy 1620 West First Avenue w Columbus. Po jego śmierci wynająłem ten pokój za pięćdziesiąt pięć dolarów miesięcznie i tam zaczął się kolejny etap historii firmy „Columbus Instruments”.

Na swoim

Wyjątek z listu do rodziny w Częstochowie:

27 lutego 1971, Columbus, Ohio

Kochani,

dzisiaj dostałem list od Hanki, z dopiskiem tatusia, że otrzymaliście nasze listy pisane w grudniu, które przyszły zapakowane w plastikową torebkę. Korespondencja od nas do Polski zabiera sporo czasu i pewnie ma to jakiś związek z czymś, czego ja nie mogę pojąć. Jeśli w Polsce są jakieś rozruchy, to wówczas hamuje się wypływ informacji na zewnątrz, a w tym przypadku hamuje się odwrotnie, informacje napływające do Polski.

Ostatnio odseparowałem swoją firmę od partnerów i prowadzę ją na własną rękę. Wymaga to znacznie większego wysiłku i baczenia na sprawy finansowe.

USA w sposobie bycia różni się tym od Europy, że tutaj ludzie są szczęśliwi i pełni wiary w swój sukces, mimo że w każdej chwili mogą znaleźć się na skraju bankructwa lub obłożnie zachorować. W Europie taką postawę uważa się to za dziecinadę, ale możliwe, że dzięki temu Ameryka ma swój wielki sukces. Jeśli nawet tylko wmawiasz sobie, że wszystko jest doskonałe, to czujesz się lepiej i działasz sprawniej...

W wynajętym pokoju, w którego oknie zamontowałem mały klimatyzator, zacząłem budować kopie przyrządów, których nie chciał mi sprzedać syndyk firmy „WDCorp.”. Wkrótce, jak zwykle

SELECTIVE ACTIVITY METERS



U.S. Patent
No. 3,602,806

**MEASURE TOTAL ACTIVITY OF A GROUP OF ANIMALS
OR ACTIVITY OF ONE OR MORE ANIMALS IN A GROUP
MEASURE MOVEMENT OF HUMAN SUBJECTS IN SLEEP STUDIES
MEASURE ACTIVITY OF INSECTS**

- Measure in natural environment
- Independent of room lighting
- Animals are not disturbed by measuring technique
- Ordinary standard animal cages are used for animal housing
- Can be equipped with printing counters or a computer paper punch

A useful experimental tool in pharmacological, physiological and psychological experiments



COLUMBUS INSTRUMENTS *Supplier of individual instruments
and total measuring systems*

MANUFACTURING PLANT:
Medical Building
1620 W. First Ave.
Columbus, Ohio 43212

MAILING ADDRESS
Columbus Instruments
Division of International Instruments Co.
P. O. Box 5244, Columbus, Ohio 43212
USA

Phone: (614) 488-6176

Broszura firmy „Columbus Instruments” opisująca miernik aktywności zwierząt laboratoryjnych

na wiosnę, miała miejsce konferencja FASEB (Federacja Towarzystw Biologii Doświadczalnej), która zwykle w tamtych czasach odbywała się w Atlantic City, a na którą jeżdżano się około piętnastu tysięcy naukowców. Wykupiłem stoisko na wystawie organizowanej z okazji konferencji i zawiozłem tam niewykończone jeszcze przyrządy, niemniej opakowane w profesjonalnie wyglądające skrzynki. Zainteresowanie uczestników konferencji moimi wynalazkami przekroczyło moje oczekiwania, a ilość potencjalnych nabywców przekroczyła setkę.

Interes zaczął się rozwijać. Szybko zacząłem sobie zdawać sprawę, że jedną z przeszkód w prowadzeniu przedsiębiorstwa na większą skalę była moja słaba znajomość angielskiej ortografii, której złą formę ujawniałem, niestety, w korespondencji handlowej. Wynikało to z faktu, że języka angielskiego nie uczyłem się w szkole, tylko od Szwedek, w pozycji... na ogół leżącej. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem było przyjąć do pomocy kogoś, kto tę sztukę miał w jednym palcu. Potrzebna mi była więc sekretarka... z takim palcem właśnie. W miejscowej gazecie dałem małe ogłoszenie, że oferuję stanowisko sekretarki na pół etatu. Zgłosiła się wtedy do mnie pewna dama, w wieku około pięćdziesięciu lat, ubrana w futro z nurków i powiedziała, że nudzi się w domu, bo jej pięcioro dzieci już dorosło i ona teraz szuka jakiegoś zajęcia, aby zabić czas. Pani ta okazała się doskonałą maszynistką, a także księgową, która zapewniła mojej firmie właściwie prowadzoną dokumentację, między innymi dla urzędu podatkowego. Z uwagi na różnicę wieku (ja miałem wtedy trzydzieści sześć lat) nie było zagrożenia, że mógłbym ulec jej niewieścim wdziękom, co często bywało przyczyną katastrofy finansowej wielu biznesmenów i polityków zatrudniających młode, atrakcyjne sekretarki. Pani Marcela Long, bo tak nazywała się moja prawa ręka, poza obowiązkami sekretarki i księgowej, została także moją zaufaną powiernicą i doradczynią w sprawach sercowych na kolejne dwadzieścia lat. Do czasu jej przejścia na emeryturę.

Marcela zajęła się także budową firmy swego męża, Olana. Otóż, pan Olan Long po wielu latach pracy jako inżynier w firmie



Marcela Long — moja pierwsza sekretarka

„Westinghouse”, w wieku pięćdziesięciu lat został wysłany na przedwczesną emeryturę. Ponieważ był zbyt młody i ciągle na tyle jeszcze ambitny, aby przedwcześnie nie spędzać reszty życia na Florydzie, opalając się na słońcu, rozejrzał się za możliwością założenia własnego przedsiębiorstwa. Przyglądając się mojej firmie, Marcela przekonała męża, że można założyć i prowadzić dochodową firmę bez wielkiego, a nawet małego kapitału. Jej mąż, który w firmie „Westinghouse” projektował zmywarki do naczyń i pralki, założył przy pomocy żony firmę produkującą plastikowe części do pralek i zmywarek. Firma, jaką Marcela i Olan założyli na wzór mojej firmy, w ciągu kilku lat dorobiła się wielomilionowego majątku i nowoczesnego wyposażenia w dużym, własnym budynku. Jego firmę „Olan Plastic” prowadzi dzisiaj jego syn, James Long.

Z Marcelą i Olanem Long, dzisiaj już ludźmi dobrze po osiemdziesiątce, spotykam się od czasu do czasu na obiadach, kiedy to

z łezką w oku wspominamy chude lata „Columbus Instruments” i konsultujemy się wzajemnie, jak podzielić „masę spadkową” między Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami a własne dzieci. O największej zasłudze Marceli Long, jaką wniosła w moje prywatne życie, oczywiście poza poprawną ortografią, dyskutujemy tylko w czasie nieobecności mej małżonki. A zasługą tą były długie konsultacje, których zadaniem było leczenie mej psychiki, która co jakiś czas ulegała uszkodzeniu przez kolejne zawody miłosne. Z perspektywy czasu widzę, że Marcy miała także i swój własny interes na uwadze. Jej praca i dochody, aczkolwiek skromne, były związane z sukcesem „Columbus Instruments” i moim... zdrowym rozsądkiem. Zagrożeniem komfortowej sytuacji mogło być dla niej to, że mógłbym podpisać cyrograf małżeństwa, albo, co gorzej, czek opiekujący na cały mój skromny majątek i dać go jakiejś pani, która na pewno na to by nie zasługiwała. Na szczęście w mojej psychice istniały pewne mechanizmy obronne, które lapidarnie sformułowała inna moja „konsultantka” w sprawach erotycznych, pani doktor Teresa Priebe. To ona właśnie użyła określenia, że „miałem jadowitego węża w kieszeni”. W tej samej kieszeni, strzeżonej przez węża, trzymałem wtedy książeczkę czekową, niedostępną dla moich przelotnych miłości. Pani Teresa myliła się w ocenie mojej osoby, gdyż w moim przypadku nie chodziło o skąpstwo, tylko o przeczność. Skąpy nigdy nie byłem i nie jestem, ale przeczny, owszem, tak. A dawać zawsze bardziej lubiłem niż brać.

Janek amerykańskim obywatelem

Siódmego września 1973 roku otrzymałem obywatelstwo amerykańskie. Powinienem go otrzymać wcześniej, w kwietniu, w pięć lat po wylądowaniu na Alasce, ale urzędnik imigracyjny uparł się, że liczy się tylko czas od momentu mego wyjazdu z Kanady do USA. Tak czy inaczej obywatelstwo amerykańskie dawało mi wiele korzyści, na przykład możliwość odwiedzenia

rodziny w Polsce. Szczególnie chodziło mi o kontakt z ojcem, który się starzał i powoli tracił pamięć. Natychmiast więc, jak tylko mogłem to zrobić, zwróciłem się do Konsulatu Polskiego z prośbą o wizę do Polski. Niestety miały miesiące, a konsulat w Nowym Jorku odpowiadał, że „władze krajowe” nie dały jeszcze odpowiedzi.

Wkrótce mój szwedzki przedstawiciel firmy, John Larsson, z firmy „Medata AB”, namówił mnie na podróż do Moskwy w celu zorganizowania kilku wizyt w miejscowych szpitalach i zaprezentowania tam naszej aparatury. Z wizą do ZSSR nie miałem żadnego kłopotu. W Moskwie zatrzymaliśmy się w hotelu „Ukraina”. W czasie pobytu w Moskwie wpadłem na pomysł odwiedzenia Ambasady Polskiej z zapytaniem, czy „przy okazji” mej tutaj bytności nie byłyby możliwe odwiedziny w Polsce. Konsul przejrzał mój amerykański paszport, następnie udał się do drugiego pokoju, w którym — jak powiedział — ma kartotekę tych, którzy nie mogą wjechać do Polski. Sądzę, że kartoteka ta była raczej mała w porównaniu z amerykańską, gdyż podejrzani petenci byli na pewno prześwietleni wcześniej przez sowieckie organa bezpieczeństwa. Po kilku minutach pojawił się konsul z dobrą wieścią, że nic nie stoi na przeszkodzie mojej wizyty. Wizę wydano mi szóstego marca 1975 roku z ważnością na piętnaście dni.

Udało się! Do Polski leciałem jednak z pewną dozą strachu. Nie wiedziałem, jak mnie potraktuje polski Urząd Bezpieczeństwa. W drodze do Warszawy zatrzymałem się w Wiedniu i udałem się do Ambasady Amerykańskiej, aby zapytać, czy mi nie grozi aresztowanie w Polsce i jak mam się tam zachować. Konsul w Wiedniu zapewnił mnie, że nie widzi problemu, ale polecił, by po przylocie do Polski, zawiadomić Ambasadę Amerykańską o moim przybyciu.

W Polsce odwiedziłem oczywiście ojca i najbliższą rodzinę w Częstochowie, a także Wrocław i kolegów tam mieszkających. Nikt mnie nie nagabywał i po dwóch tygodniach bezpiecznie wróciłem do Columbus. Byłem przekonany, że decyzja w sprawie wizy zależała nie od władz krajowych, ale od konsulatu.



Ja w rodzinnej Częstochowie po dziewięciu latach emigracji

Aby się na nich odegrać, po powrocie, zadzwoniłem do polskiego konsulatu w Nowym Jorku, pytając się z głupia frant, czy władze krajowe już odpowiedziały na moją prośbę w sprawie otrzymania wizy. Urzędnik z „przykrością” poinformował mnie, że na decyzję w moje sprawie ciągle jeszcze czekają. Wtedy powiedziałem mu, że może unieważnić moją prośbę, bo właśnie wróciłem z Polski po dwutygodniowym pobycie! Konsul oniemiał. Postanowiłem zatem pójść na całość i powiedziałem mu, że wizę załatwili mi... radzieccy towarzysze!

Ojciec Janka odchodzi

Szesnastego grudnia 1977 roku, przeżywszy lat osiemdziesiąt siedem, w dzień mych urodzin, umarł mój ukochany ojciec, Franciszek Czekajewski. Moja siostra, Anna Tromczyńska, która

opiekowała się nim, zawiadomiła mnie telefonicznie o jego śmierci i pogrzebie w Częstochowie, który miał się odbyć za trzy dni. Otrzymanie regularnej polskiej wizy w ciągu trzech dni było niemożliwe, niemniej na moje telefoniczne zapytanie, pracownik polskiego konsulatu poinformował mnie, że w przypadkach tragicznych, takich jak śmierć osoby bliskiej, można otrzymać wizę na lotnisku w Warszawie.

Miejsc w samolocie polskich linii lotniczych „LOT” już nie było, niemniej w trybie wyjątkowym zaoferowano mi miejsce na rozkładanym siedzeniu w tyle samolotu, w pobliżu toalety. Po wylądowaniu w Warszawie strażnik Wojsk Ochrony Pogranicza nie wiedział, co ze mną zrobić. Nie pozwolono mi przekroczyć granicy. Po jakimś czasie przyszedł oficer i przesłuchiwał mnie na okoliczność związaną z moim przyjazdem do Polski. Na szczęście nie była to moja pierwsza wizyta w Polsce, choć tym razem przybywałem bez wizy. Żaden z urzędników nie mógł podjąć decyzji o wpuszczeniu mnie do Polski. Mijały godziny za godzinami, podczas gdy „po drugiej stronie granicy” czekał na mnie mój szwagier, Piotr Tromczyński, mający zawieść mnie do Częstochowy. Po pięciu godzinach czekania wydano mi zezwolenie na krótki pobyt w Polsce. Kiedy jednak przyjechalśmy do Częstochowy, ojca mego już pochowano. Do dzisiaj nie wiem, czy była to złośliwość UB-eków, czy też przypadek biurokratycznej niemocy. Takie to były bezduszne czasy...

Zamach „przyjaciół” na firmę „Columbus Instruments”

Kiedy w roku 1970 założyłem w pełni samodzielne przedsiębiorstwo, bez współników, zaczęły się na początku problemy z rejestracją jego nazwy. Okazało się, że jeden z odwiedzających mnie kiedyś sprzedawców wpisał — bez mej wiedzy — swoją firmę do rejestru stanu Ohio pod nazwą „Columbus Instruments”. Moja firma już wtedy funkcjonowała, ale nie była jeszcze prawnie pod tą nazwą zarejestrowana. Człowiek ten zaproponował, że nazwę

„Columbus Instruments” może mi odsprzedać za kilku tysięcy dolarów. Postanowiłem użyć fortelu, aby go przechytryć.

Firmę zarejestrowałem pod nazwą „International Instruments Company, Columbus Instruments Division”. Szumna nazwa w odniesieniu do małej, trzyosobowej firmy, miała wielką zaletę. Kiedy ktoś dzwonił z zapytaniem, czy jesteśmy samodzielną jednostką przemysłową, czy też częścią wielkiego koncernu, odpowiadałem, że firma działa samodzielnie, ale, faktycznie, jest częścią wielkiego koncernu zajmującego się wydobywaniem uranu, budową statków i wydobywaniem oleju. My, w Columbus, stanowimy tylko małą część tego koncernu. Po pięciu latach działalności pod tą nazwą, w pewnym momencie zorientowałem się, że właściciel nazwy „Columbus Instruments” zapomniał zapłacić pięć dolarów, aby utrzymać rejestrację w mocy. W tej sytuacji szybko, powtórnie zgłosiłem rejestrację nazwy „Columbus Instruments” i otrzymałem ją po zapłaceniu owych pięciu dolarów. Rejestrację tę przez ostatnie trzydzieści pięć lat sumiennie, co pięć lat, odnawiam.

To tyle o przygodzie z rejestracją nazwy mojej firmy, a raczej z szalbierzem, który chciał się wzbogacić, kradnąc nazwę firmy już funkcjonującej.

Poważniejszy problem miałem jednak kilka lat później, z pracownikami. Szczególnie z kolegami, których sprowadziłem z Polski. Na początku mojej działalności, oczywiście, sam byłem sobie sterem, żeglarzem i okrętem. Zatrudniałem tylko sekretarkę i jednego technika. Po roku przyjąłem do pracy studenta elektroniki z Ohio State University, Hindusa, o nazwisku Rant. Po ukończeniu studiów Rant stał się dobrym inżynierem, dokładnym i sumiennym. Miał jednak jedną wadę. Po sfinalizowaniu każdego konkretnego projektu przychodził do mnie z zapytaniem:

— Jaki masz dla mnie następny projekt?

Hindus miał wyraźne braki w umiejętności formułowania własnych, nowych koncepcji. Co prawda „Columbus Instruments” początkowy sukces opierał wyłącznie na moich wcześniejszych wynalazkach, ale i później przez dłuższy czas nadal

tylko ja generowałem nowe pomysły na nowatorskie produkty. Zdawałem sobie jednak sprawę, że dalszy rozwój firmy wymaga ciągłego wkładu umysłowego i szerszego udziału pracowników firmy w tworzeniu nowych koncepcji. Mając to wszystko na uwadze, pomyślałem o kolegach, inżynierach z Polski. Jednym z nich był magister inżynier Bogdański, mój przyjaciel z czasów studiów we Wrocławiu. Drugim był magister inżynier Jankowski z Politechniki Warszawskiej, syn znakomitego profesora elektroniki na tej samej uczelni. Sprowadzenie ich do Columbus wymagało wiele zachodu; musieli otrzymać tak zwaną wizę pracowniczą „H 1”, przeznaczoną dla wybitnych specjalistów. Wiza ta miała tę zaletę, że po jakimś czasie emigrant z wizą „H 1” mógł starać się o wizę imigracyjną, upoważniającą do stałego pobytu.

W roku 1976, na skutek „importu” tych dwóch Polaków, firma „Columbus Instruments”, mieszcząca się już we własnej, nowej siedzibie, miała w składzie osobowym czterech inżynierów, włączając również mnie. System zarządzania firmą był oparty raczej na moim wyczuciu niż wiedzy, gdyż wcześniej żadną firmą nie kierowałem. Myślałem, że traktowanie pracowników w myśl zasady: „Nie czyn bliźniemu tego, co tobie niemiłe”, stworzy rodzinną atmosferę wspólnej odpowiedzialności i pozwoli na zbudowanie firmy, która wytrzyma próbę czasu i konkurencji. Zarządzałem firmą tak, i tak kierowałem moimi pracownikami, jak ja sam chciałem być traktowany, gdybym był pracownikiem firmy, a nie jej właścicielem. Niestety, nie wszyscy ludzie mają podobne charaktery i podejście do życia. Sytuacja, jaką opiszę, ten fakt potwierdziła. Szybko też okazało się, że moje podejście do zarządzania było błędne.

W „Columbus Instruments” w tamtym czasie wszystko było jawne i powszechnie dostępne, czy były to listy płac, czy rejestr klientów, a nawet zarobki właściciela i dokumentacja techniczna. Każdy z pracowników miał klucz do firmy i nikt nie kontrolował jego godzin pracy pod warunkiem, że sam pilnował rzetelnie zapisu godzin pracowanych. Polscy inżynierowie, a także amerykańscy technicy, chcąc więcej zarobić, prosili mnie o możli-

wość pracy poza normalnymi godzinami. Prośbami tymi nie byłem zachwycony, jako że wydajność ludzka po przepracowaniu ośmiu godzin zmniejsza się. Mimo to na ich prośbę przystałem po warunkiem, że nadgodziny będą płacone podobnie, jak praca w ciągu obowiązkowych czterdziestu godzin. Naiwnie wierzyłem, że umowa między pracodawcą i pracownikiem w kwestii ilości przepracowanych tygodniowo godzin i stawki godzinowej jest prawomocna i wiążąca. Niestety to nie było i nie jest prawdą. W USA pracownik opłacany wedle stawki godzinowej, po przepracowaniu normatywnych czterdziestu godzin pracy, za każdą następną godzinę musi dostać stawkę o pięćdziesiąt procent wyższą. Ten przepis stosuje się do pracowników, których stawka za pracę jest wyliczana godzinowo, nie dotyczy natomiast personelu inżynierskiego i kierowniczego, opłacanego z góry ustaloną, miesięczną lub tygodniową kwotą.

Już na samym początku, po przyjeździe polskich inżynierów, pojawił się konflikt między Jankowskim i Bogdańskim. Agresywny Bogdański w obecności Jankowskiego mamrotał pod jego adresem obraźliwe epitety, a nawet spluwał mu pod nogi. Doszło do tego, że czułem się zobowiązany zwrócić Bogdańskiemu uwagę na jego zachowanie, które paraliżuje — co było widać — wydajność Jankowskiego. Następnego roku zauważyłem dziwną, pozytywną zmianę w zachowaniu ich obu. Zaczęli nawet wspólnie... grać w tenisa. Jednocześnie odczułem, że inżynier Rant czuje jakiś uraz w stosunku do mnie, gdyż stał się wręcz opryskliwy. Wypadki w firmie „Columbus Instruments” nabrały jednak alarmującego zwrotu w momencie, kiedy w firmie zjawiła się komisja z Inspekcji Pracy z zarzutem, że naruszamy prawo pracy w dziedzinie wynagrodzeń za nadgodziny. Stało się dla mnie jasne, że któryś z pracowników dowiedział się, iż moje zasady płacenia są nielegalne i doniósł o tym do odpowiedniego organu kontroli, który wytoczył mi proces sądowy, wymuszając na mnie wypłatę zaległości, wynikającą z nieprzestrzegania ogólnie przyjętej zasady płacenia pracownikom za nadgodziny. Sprawa z Inspekcją Pracy nie była jednak

tak jątrząca jak fakt, że moi polscy przyjaciele wyraźnie się ucieszyli z moich tarapatów. Ukąsiło ich żądło zawiści i zapomnieli o tym, że to ja walczyłem w ich imieniu o wydanie im wiz pracowniczych, a nawet popierałem ich starania o wizy imigracyjne. Zapomnieli także o fakcie, że ich praca w nadgodzinach była wynikiem ich własnych próśb i zgody na przedłożone im warunki płacy. Tymczasem inspektorom przedstawili się jako osoby pracujące poniżej swych inżynierskich kwalifikacji i źle opłacane z tytułu pracy w nadgodzinach.

Wkrótce po tym, dość niespodziewanie, inżynier Rant złożył rezygnację i odszedł z firmy. Inżyniera Bogdańskiego zwolniłem, kiedy mi powiedział ze złośliwym uśmiechem, że sam jestem sobie winien kłopotów, gdyż zamiast trzymać sztamę z Polakami (czyli z nim), ufam bardziej Amerykanom (miał na myśli moją sekretarkę, Marcelę Long). W takiej sytuacji zrozumiałem, że nie mogę na nim nie tylko polegać, ale że wręcz będzie działał przeciwko mnie, będzie sabotować firmę na każdym kroku. Drugi Polak, Jankowski, został jeszcze w firmie na następne dwa miesiące, aczkolwiek jego stosunek do mnie stał się prawie że wrogi. Niebawem, w maju 1979 roku, Jankowski także zrezygnował z pracy w „Columbus Instruments” i zatrudnił się w jakimś przedsiębiorstwie telekomunikacyjnym. W konsekwencji firma moja została pozbawiona wszystkich inżynierów. Zostałem w niej sam ze swą sekretarką i dwójką studentów, Amerykanów, pracujących na pół etatu. Musiałem znów zacząć budować firmę od podstaw. Na szczęście jeden ze studentów, Ken Kober, okazał się wybitnym inżynierem i po skończeniu studiów zaczął u mnie pracę na cały etat. Dzisiaj, po trzydziestu sześciu latach, Ken łączy dwie funkcje, dyrektora sprzedaży i kierownika produkcji, gdyż poza kwalifikacjami technicznymi, wyssał z mlekiem matki zmysł handlowy.

O „moralnych kwalifikacjach” moich polskich „przyjaciół”, którym zaoferowałem pracę w mojej firmie może świadczyć inny, już niezwiązany z uprzednimi wydarzeniami przypadek. Niedługo po odejściu Jankowskiego dostałem list od mego przed-

stawiciela z Indii, który uprzednio odwiedzał moją firmę w Columbus. W swym liście, potwierdzonym stemplem Konsulatu Amerykańskiego w New Delhi, informował mnie, że polski inżynier, niejaki Jankowski, w czasie odwożenia go na lotnisko w Columbus, złożył mu propozycję sprzedaży wykradzonej dokumentacji technicznej skonstruowanego i produkowanego przez moją firmę komputera do pomiaru wydajności wyrzutowej serca. W ramach „współpracy” Jankowski zaofiarował także pomoc w uruchomieniu produkcji tego przyrządu w Indiach. Nasz przedstawiciel nie chcąc być wplątany w międzynarodową kryminalno-szpiegowską aferę, zdecydował się na poinformowanie o tej propozycji zarówno mnie, jak i Ambasady Amerykańskiej. Na szczęście Jankowski już wtedy nie pracował w mojej firmie i dlatego nie poniosła ona w tym wypadku żadnej szkody.

Wkrótce, ku mojemu zdumieniu, zacząłem dostawać informacje od klientów, że podobne do naszych przyrządów, produkuje inna firma, „Omi Inc.”, mieszcząca się na sąsiedniej ulicy, w odległości dwóch kilometrów od „Columbus Instruments”. Łatwo było ustalić, że firma znajduje się w domu inżyniera Ranta, a jego współnikiem jest, kiedyś mój przyjaciel, Bogdański. Mottem tej firmy, wydrukowanym na wszystkich jej broszurach, było: „Better Instruments for less” (lepsze przyrządy za mniej). Byłem zdziwiony, że w firmie tej nie pojawiło się nazwisko inżyniera Jankowskiego. Rok później sprawę wyjaśnił mi on sam, informując mnie, że zawiódł się i mocno sfrustrował nieuczciwością współników.

„Zamach stanu” na moją firmę był zaplanowany przez zaprzysiężony triumwirat, składający się z dwóch polskich inżynierów, Jankowskiego i Bogdańskiego oraz Hindusa, Ranta. Plan polegał na założeniu konkurencyjnej w stosunku do mojej, firmy, której udziałowcy podzielą jej akcje w równej proporcji między siebie. Ponieważ inżynier Jankowski „spóźnił się” o dwa miesiące z rezygnacją pracy w „Columbus Instruments”, firma „Omi Inc.” została założona z podziałem własności pół na pół między Rantem a Bogdańskim. Kiedy Jankowski zgłosił się do nich,

żądając swego udziału, Bogdański pokazał mu drzwi i rzucił dosadny komentarz, aby nie zawracał im głowy. Jankowski został więc za swą „opieszalność” w dotarciu do nowej firmy dotkliwie ukarany przez swych niedoszłych współników.

Firma „Omi Inc.” na początku rozwijała się dość dobrze, bo w oparciu o pomysły wyniesione z „Columbus Instruments”. Już z założenia produkty tej firmy miały stanowić kopie profilu produkcyjnego mojego przedsiębiorstwa i oferować podobnie wyglądające produkty za dużo niższą cenę. Niestety, w tamtym czasie jeszcze nie wymagałem od pracowników podpisania kontraktów, w których zastrzegałem wyłączność praw patentowych i tak zwaną ich „wartość intelektualną” jako własność firmy „Columbus Instruments”. Wykorzystując zatem brak niektórych zabezpieczeń patentowych z mej strony, firma „Omi Inc.” i jej dwaj wspólnicy zarobili wystarczająco dużo pieniędzy, aby przeprowadzić się do własnej, nowej siedziby. Mimo to rozwój konkurencyjnej firmy dreptał w tyle, za rozwojem „Columbus Instruments”. W czasie kiedy liczba pracowników mojej firmy wzrosła do blisko pięćdziesięciu techników i inżynierów, firma polskohinduska w szczytowej fazie swej prosperity nie przekroczyła siedmiu. Jednak na pełną satysfakcję musiałem poczekać następne dziesięć lat.

W miarę upływu czasu przyrządy, jakie produkowała moja firma, zaczęły być coraz bardziej skomplikowane i wymagały znajomości technologii nieznannej Bogdańskiemu i Rantowi. Oni nie byli już w stanie ich kopiować. Także niskie ceny, jakie firma „Omi Inc.” oferowała, obniżyły stopę ich zysku i uniemożliwiły zatrudnienie kolejnych inżynierów, którzy mogliby tworzyć nowe produkty. Praktyka pokazała, że ich koncepcja biznesu była błędna. Na dodatek „konspiratorzy” zrobili, przy zakładaniu własnej firmy, wielki błąd (ja już to „przerabiałem”!), który wykończył ich w sensie dosłownym. Mianowicie, podzieli własność firmy dokładnie po połowie. Jak było do przewidzenia, wkrótce między Rantem i Bogdańskiem powstał konflikt. Wzajemnie posądzali się o zaniedbywanie interesów firmy i w końcu

doprowadzili do sytuacji patowej, w której to wyznaczony sądownie prawnik nadzorował wydatki ich firmy. Nie będąc w stanie rozwiązać wzajemnych konfliktów, obaj, pokłóceni, postanowili wystawić firmę na przetarg. Przetarg wygrał Rant i ostatecznie wyrugował Bogdańskiego z firmy „Omi Inc.”, wypłacając mu uprzednio kilkaset tysięcy dolarów kompensaty. Po jakimś czasie Bogdański, po przemyśleniu sytuacji, poczuł się oszukany i pod pozorem braku zrozumienia warunków przetargu, wytoczył Rant’owi proces sądowy, w którym żądał dodatkowej zapłaty za prawo do używania nazwy firmy i nazw poszczególnych produktów. Tego już dla Ranta było za dużo; zamiast swemu byłemu wspólnikowi wypłacić dodatkową należność, której tamten żądał, zmienił nazwę firmy na „Ami Inc.”, a także nazwy wszystkich swoich produktów. Ten zabieg spowodował jednak spadek sprzedaży i zahamował dalszy rozwój firmy inżyniera Rant’a. Skąd o tym wiem? Szczegóły historii zmagania i konfliktów między dwoma moimi „zamachowcami” zaczerpnąłem z powszechnie dostępnych akt sądowych, opisujących ich wzajemne oskarżenia i sądowe wyroki.

Wypadki wyżej opisane nauczyły mnie, jakie warunki firma winna spełniać, by działać zgodnie z prawem (przede wszystkim chodziło o właściwe obliczanie kwot za pracę w godzinach nadliczbowych), a także by nie narazić się na kradzież „własności intelektualnej”. Od tamtych czasów „Columbus Instruments” ściśle przestrzega wszystkich zarządzeń dotyczących zatrudniania i każdy z pracowników ma podpisany kontrakt zastrzegający własność „wartości intelektualnych” firmy go zatrudniającej. Dzisiaj przed konkurencyjną firmą „Ami Inc.” stoją tylko cztery samochody, a jej prezes, Rant, w czasie dorocznych wystaw sprzętu medycznego, unika mnie jak ognia. Widocznie nie ma się czym pochwalić i obawia się pytania o to, jak sobie radzi. Wniosek, jaki można wyciągnąć z wyżej opisanej sytuacji może być jeszcze i taki, że błędem jest zatrudnianie we własnej firmie przyjaciół. W miarę upływu czasu prowadzi to do nieuniknionych konfliktów z powodu „utożsamiania się” ich z...

właścicielem firmy. A jeśli chodzi o spółki, to nigdy akcje firmy nie powinny być dzielone po połowie, o czym już wcześniej nadmieniłem. Zawsze jedna ze stron winna mieć większość, aby uniknąć sytuacji patowych, takich, jakie rozłożyły firmę „Omi Inc.”

Rok 1974 — Janka podróż do Afryki Południowej

Poza miernikami aktywności dla zwierząt laboratoryjnych wprowadziłem w Stanach Zjednoczonych nową metodę pomiaru przepływu krwi przez serce za pomocą tak zwanej „termodylucji”. Sam pomysł metody nie był mój, gdyż nauczyłem się jej od czeskiego naukowca, doktora Karla Pawka, pracującego w tym czasie w Uppsali w firmie „Pharmacia AB”, później przejętej przez międzynarodową firmę farmaceutyczną „Pfizer”. Byłem jednak jednym z pierwszych konstruktorów komputerów, które ułatwiały kliniczne stosowanie tej metody i kilkaset takich komputerów sprzedałem do szpitali amerykańskich, a także za granicę. Wśród pierwszych moich klientów był doktor Chrystian Bernard ze Szpitala Groote Schuur w Cape Town w Republice Południowej Afryki. Doktor Bernard był słynnym kardiochirurgiem, który jako pierwszy przeszczepił ludzkie serce.

W celu instalacji i uruchomienia tych przyrządów udałem się do Cape Town w czasie, kiedy istniał tam apartheid, czyli dominacja białej mniejszości nad murzyńską większością. Do RPA, do Cape Town, leciałem samolotem przez kongijską Kinsasę. Oczywiście miałem z sobą moje przyrządy. W Kongo samolot tankował i leciał dalej do Johannesburga i Cape Town. W Kongu, przez pomyłkę, wylądowano moje przyrządy i walizki. W Cape Town znalazłem się bez przyrządów i rzeczy osobistych, ale, co najważniejsze... bez marynarki, jedynie w koszuli. Brak marynarki miał fundamentalne znaczenie, jako że w owym czasie biali mieszkańcy RPA, Burowie, bardzo przestrzegali poprawności ubioru, starając się chyba w ten sposób podkreślić swoją wyższość kulturową nad rdzennie murzyńską większością.

cią. W hotelu nie wpuszczano mnie do restauracji, dopóki nie kupiłem sobie — już na miejscu, w Cape Town — marynarki. Na szczęście portfel miałem przy sobie i pieniądze w wystarczającej ilości. Mieszkałem w jedynym z luksusowych hoteli w Cape Town, w czasie kiedy linie lotnicze przez dwa tygodnie szukały po całej Afryce mych zagubionych bagaży. Niebawem dyrekcja hotelu zaczęła podejrzliwie zerkać w stronę osobliwego indywiduum bez pidżamy, ale z... wyładowanym portfelem. Mimo tej ostatniej „łagodzącej” okoliczności ostatecznie wymówiono mi miejsce w hotelu i dopiero po interwencji mego przedstawiciela przedłużono mi łaskawie pobyt. W końcu przyrządy się znalazły i mogłem zacząć ich instalację. Moim przedstawicielem w Republice Południowej Afryki była wtedy firma „Marcus Pty”, a jej właścicielem Żyd niemieckiego pochodzenia, doktor Friderik Marcus, który uciekł z Niemiec w momencie dojścia Hitlera do władzy. Podróż do Cape Town zapamiętam do końca życia! O ile lot z Nowego Jorku do Cape Town był pełen przygód w związku z zagubionym bagażem, to mój powrót do Columbus w Ohio był wręcz dramatyczny. Wylecieliśmy z Johannesburga dwudziestego czwartego kwietnia 1974 roku. Był to znamienity dzień, bo jak się okazało, dzień później, w Lizbonie w Portugalii, wybuchła Goździkowa Rewolucja, zainspirowana przez komunistów. Symbolem tych zamieszek były czerwone goździki, wręczane żołnierzom (konkretnie wkładano je do luf żołnierskich karabinów), mających tę rewolucję tłumić. Jak już nie raz się w dziejach ludzkości okazywało, symbole mają swoją wagę — czerwone goździki były poważną bronią i rewolucja zwyciężyła. Bezkrwawo.

Wkrótce po starcie samolotu pilot stwierdził uszkodzenie jednego z silników odrzutowca i został zmuszony do lądowania w Windhoek, stolicy Namibii nad Wybrzeżem Atlantyckim. Namibia była w tamtych czasach prowincją Republiki Południowej Afryki i uzyskała niepodległość dopiero w roku 1990. Upřednio, przed pierwszą wojną światową, Namibia była kolonią niemiecką i zasiedlali ją w dużej mierze koloniści niemieccy.

Kiedy samolot wylądował w Windhoek, został otoczony wojskiem i autobus z pasażerami odtransportowano w asyście wozu pancernego do miejscowego hotelu, gdzie nakazano nam czekać na samolot zastępczy, który przybył dopiero następnego ranka z Johannesburga. W Namibii trwała wówczas rewolucja, czy, jak to się kiedyś mówiło w bloku sowieckim, „walka narodowo-wyzwoleńcza” ludów afrykańskich, zrzucających okowy imperializmu i wobec czego nasze bezpieczeństwo było zagrożone.

Gdy następnego dnia wystartowaliśmy nowo przybyłym samolotem w kierunku Lizbony, gdzie mieliśmy zatankować paliwo na dalszy lot do Nowego Jorku, nikt jeszcze nie wiedział, że w portugalskiej stolicy zaczęła się właśnie rewolucja zmierzająca do obalenia następcy dyktatora Salazara. Dopiero nad Portugalią pilot dowiedział się, że lądowanie w Lizbonie jest niemożliwe. Po dłuższych radiowych negocjacjach, krążąc nad miastem, zezwolono nam wylądować na pasie startowym z daleka od budynku lotniska. Była obawa, że nie starczy nam paliwa na dłuższe czekanie w powietrzu ani na lot do następnego, bardziej przyjaznego kraju. Po wylądowaniu nie zezwolono nam na opuszczenie samolotu i zbliżanie się do terminalu. Noc spędziliśmy na pasie startowym, śpiąc w samolotowych fotelach. Po dyplomatycznych rozmowach koło samolotu pojawiła się cysterna z paliwem i zatankowaliśmy na dalszy lot, tym razem do Zurychu w Szwajcarii.

W Zurychu przesiadłem się na samolot amerykańskich linii lotniczych „Pan American” (dziś linia ta zbankrutowała), lecący do Nowego Jorku. Nie był to jednak koniec mych przygód. Kiedy dolecieliśmy do Nowego Jorku, okazało się, że panuje tam straszna burza i huragan, który uniemożliwia lądowanie jakichkolwiek samolotów. Nigdy przedtem ani potem nie widziałem takiej burzy i nie bałem się tak mocno o swoje życie. Kontrolerzy lotów na lotnisku trzymali w powietrzu na różnych poziomach dziesiątki, jeśli nie setki samolotów, które przyleciały z Europy. Skrzydła czterosiłnikowego odrzutowca, oświetlone strumieniem błyskawic, wyginały się jak u ptaka. Głos pilota wyraźnie

się załamywał i wiadomo było, że doskonale zdawał sobie sprawę z życiowego zagrożenia. Ponownie zaistniała obawa, że braknie nam paliwa na dalsze czekanie w powietrzu. Po dwóch godzinach krążenia nad Nowym Jorkiem obsługa naziemna skierowała nas w stronę jakiejś wojskowej bazy lotniczej, gdzie mniej wiało, i pozwolono nam lądować z odrobiną paliwa, jaka nam jeszcze została. Tutaj także — chyba z powodu tajnego charakteru tego lotniska — nie zezwolono nam na wyjście z samolotu i kolejną noc spędziliśmy w samolotowych fotelach. Rankiem podjechała do samolotu cysterna z paliwem i po jego uzupełnieniu mogliśmy wrócić do Nowego Jorku, gdzie burza już zamieniła się w zaledwie lekki zefirek. Ostatni odcinek podróży z Nowego Jorku do Columbus w Ohio musiał być już na tyle „nudny” w porównaniu z poprzednimi etapami, że nie zapisał mi się w pamięci, przez co nie stał się godny wspomnienia w tym historycznym elaboracie.

Indie

Mój ojciec w Częstochowie zachował moje listy, jakie pisałem do niego po wyjeździe z kraju. Jeden z nich, pisany z Indii, przypominał mi czas i szczegóły mojej podróży tam, która na zawsze zapisała się w mojej pamięci. Oto, jak się ten list zaczynał:

15 listopada 1979, New Delhi, India
Hotel Oberrot InterContinental

Przyleciałem z Lorie (nie mylić z moją obecną żoną, Laurą) do Indii na dwa tygodnie. Sprzedałem tutaj trochę mych przyrządów, na poważną sumę i muszę nabywców nauczyć ich obsługi. Może kupię tutaj dywan. Kaszmirskie dywany są przepiękne. Krowy błąkające się po ulicach już widziałem, ale słoni jeszcze nie...

W owym czasie, w latach siedemdziesiątych, mieszkalem przez kilka lat z dziewczyną o imieniu Lorie. Poznaliśmy się

przypadkowo w ukraińskiej restauracji, kiedy właścicielka lokalu posadziła mnie przy stoliku, gdzie Lorie jadła ruskie pierogi. Jeszcze tego samego dnia zaprosiłem ją do domu i... łoża. W ten oto, nieskomplikowany, sposób, na lat sześć, stała się mą oblubienicą lub jak się dzisiaj mówi, życiową partnerką. Idylla skończyła się, kiedy pewnej nocy Lorie wyszła podczas towarzyskiego przyjęcia na balkon i... zniknęła na dwa tygodnie. Później okazało się, że wyjechała na mój koszt ze znajomym kelnerem w Góry Skaliste, korzystając z mojej karty kredytowej. Tak więc w sposób nadzwyczaj prozaiczny zakończył się nasz kilkuletni romans. Lorie wychodziła później kilkakrotnie za mąż. Te okoliczności nie przeszkodziły jej w karierze adwokackiej. Była bardzo zdolną dziewczyną, aczkolwiek niemożliwą do współżycia. Czy Lorie ciągle smakuje w ruskich pierogach, przyznaję z ręką na sercu, nie jest mi wiadomo. W czasie naszych burzliwych relacji wiele wspólnie podróżowaliśmy. Jedną z podróży, w której Lorie „zapisała się” ewidentnie, była podróż do Indii.

W latach siedemdziesiątych sprzedawałem dość dużo przyrządów do tego kraju. Były to przyrządy do pomiarów kardiologicznych, przeważnie „Cardiac Output Computer`s”, stosowane w hinduskich szpitalach. Moim przedstawicielem w Indiach, w New Delhi, był wtedy pan Mathur z firmy „Meditronix”, który nalegał, abym przyleciał tutaj i pomógł mu w promocji przyrządów mojej firmy. W tę podróż zabrałem moją amatorkę ruskich pierogów.

Nasze podróżowanie, w towarzystwie przedstawiciela handlowego, odbywało się wypożyczonym samochodem. W tamtym czasie w Indiach samochód wypożyczało się razem z szoferem. Obiektem naszej podróży były szpitale i uniwersytety w prowincji Punjab, na granicy z Pakistanem. Odwiedziliśmy tam między innymi miasto stołeczne prowincji, Chandigarh i centrum hinduskiego przemysłu tekstylnego, Ludhiana.

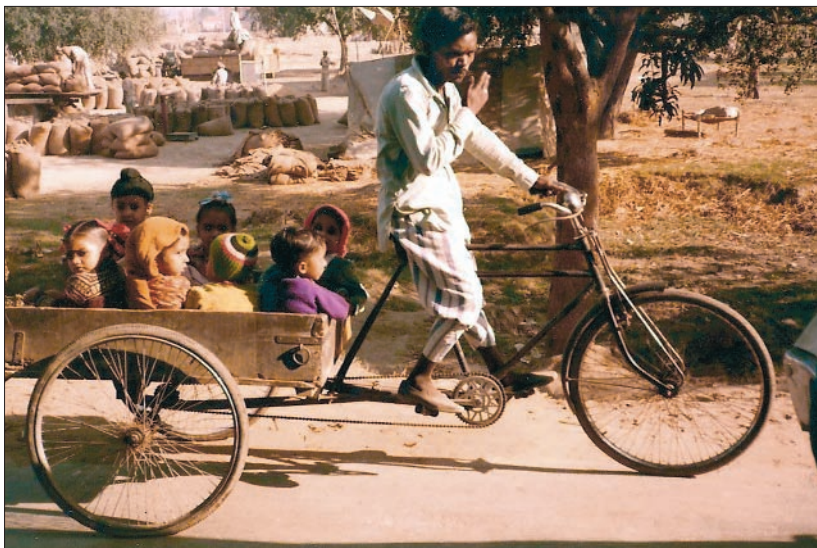
Już na drodze wylotowej z Delhi zauważyłem, że nasz szofer winien być kierowcą rajdowym, gdyż jechał z nadmierną szybkością, nie zwalniając na widok kobiet ubranych w długie sari, które samobójczo przebiegały drogę przed samą maską pędzącego



*U góry: Ja w Indiach z przedstawicielem handlowym firmy „Meditronix”
U dołu: Sklep tekstylny w Luhjana w Punjab (Indie)*



samochodu. Jedna z nich upadła i byłem pewny, że ją przejechał. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem z uczuciem ulgi, że kobieta wstała z ziemi, otrzępała z kurzu i... poszła dalej. Podczas noclegów szofer spał w samochodzie, albo organizował sobie inne spanie w jemu tylko wiadomy sposób. Do Ludhiany przyjechaliśmy wieczorem, kiedy to życie w mieście zaczęło nabierać rozmachu. Skwar dnia przestał już dokuczać i tłumy wyległy na ulice. Całe miasto, jak mi się wydawało, zamieniło się w jedno, wielkie targowisko. Sklepy po obu stronach ulic nie miały drzwi ani ścian frontowych. Stanowiły coś w rodzaju wnęk, coś na wzór jaskiń, wewnątrz których ułożone były bele materiałów tekstylnych. W pewnym momencie zauważyłem kroczącego za nami starego człowieka, wykrzykującego coś w miejscowym narzeczu. Nasz przedstawiciel wyraźnie go ignorował. Nagle starzec dopadł nas przy straganie z sokiem pomarańczowym. Nadal kontynuował swoją tyradę. W końcu zacząłem nalegać na przedstawiciela, by wyjaśnił mi cel jego protestów. Okazało się, że wieśniak krzyczał:



Dowóz dzieci do szkoły (Indie)

— Jak wrócić do Anglii (*brał nas za Anglików*), to powiedzcie, aby angielscy kolonizatorzy wrócili, bo tu w „wolnych” Indiach nie ma już sprawiedliwości! Wójt wioski, w której mieszkałem, ukradł mi bawoła i pozbawił mnie środków do życia. Bez bawołu przyjdzie mi umrzeć. Taka niesprawiedliwość byłaby niemożliwa w czasie rządów Anglików!

Wniosek z tej krótkiej przemowy wydawał się oczywisty — niepodległość Indii, niestety, nie wszystkim poprawiła byt.

Po powrocie z Punjabu do Delhi Lorie nagle zachorowała. Lekarz wezwany do hotelu szybko postawił diagnozę: ostre zapalenia wyrostka robaczkowego i zarządził natychmiastową operację. Sugestie, iż na operację polecimy do Londynu, skwitowałem stwierdzeniem, że jeśli moja dziewczyna nie będzie natychmiast operowana, umrze w samolocie. Natychmiastowa operacja była konieczna. Ambasada Amerykańska poleciła nam szpital misyjny, z którego na wypadek choroby korzystają pracownicy ambasady. Pielęgniarki były kształcone w Bostonie i rekrutowały się głównie z hinduskiego stanu Kerala, gdzie znaczny procent ludności jest wyznania chrześcijańskiego. Szpital miał trudności z rekrutacją pielęgniarek hinduskich, którym podobno zabronione jest dotykanie ciała pacjentów płci męskiej. Po przywiezieniu Lorie do szpitala, już w ciągu następnej godziny poddano ją operacji. Moja dziewczyna panicznie bała się zakażenia, a widząc mizerny stan hinduskiej higieny, domagała się cewników i strzykawek do jednorazowego użycia. Personel szpitala zapewnił ją, że takie zastosuje. Kiedy jednak jechała na salę operacyjną widziałem, że cewnik do kroplówki był gumowy, zatem na pewno szpital nie miał plastikowych cewników do jednorazowego użycia. Lorie zniknęła za kotarą sali operacyjnej i wyjechała zza niej zaledwie po czterdziestu minutach. Operacja odbyła się bez komplikacji — lekarz, który ją wykonywał, musiał mieć nie lada doświadczenie. Moja towarzyszka została w szpitalu, a ja wróciłem do hotelu trójkołową rykszą motocyklową, omijając wałęsające się po drodze święte krowy.

W hotelu dowiedziałem się, że w mieście zarządzono stan nadzwyczajny. Słysząc było strzały. Podobno samochody dyplomatów przed Ambasadą Amerykańską zostały spalone przez demonstrantów, hinduskich muzułmanów. Rozruchy były skoordynowane z wtargnięciem irańskich studentów na teren ambasady w Teheranie i uwięzieniem jej pracowników. W obawie, że tłum zacznie szukać Amerykanów w luksusowych hotelach i zostanie „odcięty” od chorej Lorie, wróciłem do szpitala i poprosiłem o pozwolenie na spanie w jej pokoju, na podłodze. Tak spędziłem kilka dni, do czasu, kiedy rekonwalescentce stan się poprawił na tyle, że zwolniono ją do hotelu. W międzyczasie rozruchy w mieście ustały i pobyt w hotelu był już bezpieczny. Po kilku dniach wróciliśmy przez Londyn do Stanów Zjednoczonych.

Jak przebiegała podróż powrotna, nie przypominam sobie, ale wypadki w Delhi zapadły mi na zawsze w pamięć, głównie z powodu zbiegu antyamerykańskich rozruchów z nagłą chorobą Lorie. Co do dywanów, o których wspominałem w liście do ojca to, istotnie, kupiłem dywan utkany z jedwabiu. Dzisiaj zdobi mój dom i przypomina tamte, napięte strachem dni w Delhi.

Dalszy rozwój firmy „Columbus Instruments”

Po pięciu latach moja firma przerosła możliwości lokalowe starego budynku. W roku 1975 zajmowaliśmy już wszystkie pomieszczenia na parterze budynku, w którym rozpadała się stara instalacja elektryczna, a groźba pożaru wywołanego spięciem elektrycznym, spędzała mi sen z oczu. Na szczęście zaoszczędziłem już wtedy wystarczająco dużo pieniędzy, aby kupić hektar gruntu w atrakcyjnym miejscu, przy zjeździe z głównej, transkontynentalnej autostrady I-70 wiodącej z Filadelfii do Kalifornii. Zbudowałem tam, w tym samym roku, pierwszą część budynku, w którym do dzisiaj mieści się moja firma. Od tego jednak czasu budynek powiększał się pięciokrotnie. Powiększały się także obroty przedsiębiorstwa. W roku 2008 przekroczyły

dziesięć milionów dolarów. Nie zawsze było jednak tak gładko i bezproblemowo. Nie obyło się też bez potknięć i trudności.



Budowa nowego pomieszczenia dla „Columbus Instruments” (rok 1975)



„Columbus Instruments” z lotu ptaka (rok 2010)



Ja przy wejściu do firmy „Columbus Instruments”



Pracownicy „Columbus Instruments” z okazji otwarcia nowego budynku firmy. Od lewej: Edward Ray, jedna z pracownic, sekretarka Marcela Long, Wilburn Towns i inżynier, którego nazwiska nie pamiętam. W lewym rogu, wtedy młodziutki, Ken Kober, dzisiaj dyrektor działu handlowego

Wynalazek na żądanie z Moskwy

W miarę upływu czasu rosły trudności w sprzedaży przyrządów do zastosowań klinicznych, czyli dla szpitali. Rządowe przepisy dotycząc przez wiele lat jedynie leków, rozciągnięto także na przyrządy medyczne. Formalności związane z zatwierdzeniem nowych rozwiązań przez FDA (Rządowa Agencja Kontroli Leków) stały się tak skomplikowane, że małe firmy, jak moja, nie mogły im podołać. Postanowiłem skoncentrować się na przyrządach przeznaczonych wyłącznie do badań zwierząt laboratoryjnych, przyrządów, których produkcja nie wymaga tak wielu formalności.

Pod presją konkretnej sytuacji zmodyfikowaliśmy przyrząd do pomiaru przepływu krwi przez serce ludzkie, tworząc z niego model zdolny do pomiarów na myszach i szczurach. Opracowanie nowej wersji przyrządu odbyło się za sprawą zamówienia, które nadeszło z Moskwy, z Instytutu Pediatrii Radzieckiej Akademii Nauk. Zamówienie było poważne, bo opiewało na znaczną w owych latach sumę około stu tysięcy dolarów. Kiedy przyrząd był już gotowy do wysyłki, nasz przedstawiciel na kraje Europy Wschodniej, John Larsson z firmy „Medata AB” w Sztokholmie, zakomunikował nam — ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu — że zakupione przez rosyjski Instytut Pediatrii w mojej firmie urządzenie „Circulatory System Computer” (komputer do pomiaru współczynników cyrkulacji krwi) ma być przeznaczone nie dla ludzi, ale do badań nad szczurami laboratoryjnymi!

Nigdy przedtem nie spotkaliśmy się z takim zastosowaniem naszego przyrządu. A nie było to bez znaczenia. Problem tkwił głównie w wielkości czujnika do pomiaru temperatury, tak zwanego cewnika, zaopatrzonego w termistorowy czujnik temperatury i nadmuchiwany balonik, który u ludzi był wprowadzany poprzez arterię (femoral) w pachwinie i poprzez prawą komorę serca doprowadzony do arterii płucnej. Dostępne czujniki, jakie stosowaliśmy w działaniach klinicznych, miały średnicę około dwóch milimetrów, a w wypadku szczura średnica

takiego czujnika winna być dziesięć razy mniejsza. Ponadto ręczna manipulacja cewnikiem, aby umieścić go w arterii płucnej, była nie do wykonania u tak małego zwierzęcia jak szczur. Przyszło mi do głowy, że małym czujnikiem może być jedynie tak zwana termopara, a nie termistor używany dotychczas w zastosowaniach klinicznych. Dodatkowo należy spróbować pomiaru bez penetracji serca czujnikiem, ale metodą w poprzek płuc. W tej metodzie zimny roztwór soli fizjologicznej albo glukozy jest wstrzykiwany do żyły głównej (vena cava), a pomiaru zmiany temperatury krwi dokonuje się w aorcie. Była to hipoteza sprawdzona przez mych znajomych z Uppsali, Karla Arfors'a i Karla Pawka. Na psach. Ale nie na szczurach! Optymistycznie założyłem — nieco ryzykując wszakże — że tę samą metodę da się zastosować u szczurów, a nawet u myszy. Metoda nie wymagała penetracji serca przez cewniki. I to było jej zaletą w przypadku realizowania tego konkretnego zamówienia.

Nie będę się wdawał w anatomiczne szczegóły różniące pomiar przepływu krwi u ludzi i zwierząt, rzecz w tym, że nie mieliśmy gotowego rozwiązania ani też doświadczenia w pomiarach u takich małych zwierząt. By nie stracić zamówienia, w ciągu tygodnia skonstruowałem unikalne rozwiązanie z użyciem termopary jako czujnika temperatury. Z braku czasu wysłaliśmy do Moskwy — wraz z młodym inżynierem, Kenem Koberem — zmodyfikowany przyrząd, nie przeprowadzając uprzednio żadnych prób. W Moskwie Ken miał pomagać w jego instalacji i ewentualnie modyfikować konstrukcję, jeśli będzie taka potrzeba. Użytkownikiem tego przyrządu w Moskwie miał być słynny fizjolog, profesor V.G. Pinelis z Instytutu Pediatrii Radzieckiej Akademii Nauk. To razem z nim Ken Kober wykonał szereg operacji na szczurach, które dowiodły, że moja koncepcja sprawdziła się i nasz „Cardiac Output Computer” może być stosowany do pomiarów przepływu krwi przez serce u małych zwierząt laboratoryjnych. Ten fakt miał z kolei coraz większe znaczenie w badaniach leków nasercowych.

Przypadek chciał, że w tym samym czasie wyhodowano pewną odmianę szczura, cechującą się uczuleniem na sól. U tych

szczurów, po podaniu im słonego pokarmu albo wstrzyknięciu roztworu soli, podnosiło się ciśnienie krwi. I oto nagle wiele firm farmaceutycznych i uniwersytetów zaczęło kupować nasze „Cardiac Output Computer’s” i „Circulatory System Computer’s” — jedyne na świecie przyrządy mierzące parametry hemodynamiczne tych właśnie szczurów, których używano jako „modeli” w badaniu ludzkiej choroby nadciśnieniowej. Kilkaset takich przyrządów sprzedaliśmy i dzisiaj — trzydzieści lat później — ciągle jesteśmy jedynym na świecie ich producentem.

Rok 1985 — Janek jako sowiecki „szpion”

Na samym początku sprawa wyglądała bardziej na komiczną niż na tragiczną, jaką się szybko stała. Specjalny organ amerykańskiego Urzędu Celnego, stworzony do walki z przemytem wojskowej technologii do Sowietów — nazwany po biblijnemu Exodus — ubzdurał sobie, że jestem sowieckim agentem sprzedającym stronie radzieckiej ważne dla budowy bomb atomowych superkomputery. Moje polskie nazwisko oraz to, że jestem właścicielem małej firmy elektronicznej, handlującej sprzętem medycznym z ZSSR, pasowało jak ulał do „kreta”, jakiego mógłby wysłać radziecki wywiad, aby wykraść amerykańską technologię na potrzeby komunistów. Według agentów z Exodus również świetnie nadawałem się na ofiarę, która nie będzie w stanie bronić się i której można będzie sprawić „pokazowy proces”, czyli zdrowo, bez wielkiego ryzyka i kosztu, dokończyć.

Rzecz zaczęła się w czerwcu 1986 roku od wysyłki urządzenia, które nazwaliśmy „Oxymax” na wystawę medyczną w Moskwie. Służyło ono do pomiaru metabolizmu myszy lub szczura laboratoryjnego. Przyrząd ten mierzył konsumpcję tlenu i wydychanie dwutlenku węgla. Do drukowania wyników pomiaru „Oxymax” używał klonu komputera IBM-PC produkowanego na Tajwanie o wartości około czterystu dolarów. Chińczycy na Tajwanie, chcąc nadać splendoru tej raczej marnej reprodukcji

IBM-PC, nakleili na tylnym panelu komputera naklejkę z nazwą „Super Computer”. Kiedy celnicy amerykańscy na lotnisku w Nowym Jorku sprawdzili paczki i przeczytali naklejkę „Super Computer”, wpadli w amok i natychmiast wysłali specjalny oddział organizacji Exodus do mojej firmy w Columbus, w celu konfiskaty wszystkich superkomputerów, zaarrestowania sowieckiego szpiega, czyli mnie, i wreszcie w celu dania nauzki innym, potencjalnym komputerowym przestępcom. Ich działanie miało udowodnić, że ORMO — przepraszam — Exodus czuwa, a zatem Ameryka może spać spokojnie! Akcja oddziału Exodus była skoordynowana z posunięciami miejscowej telewizji, której kilku reporterów z wielkimi kamerami telewizyjnymi o godzinie 16.00 wpadło razem z celnikami do mego przedsiębiorstwa. Następnego dnia ukazał się w miejscowych i centralnych dziennikach telewizyjnych reportaże o złapaniu sowieckiego szpiega i przerwaniu za sprawą agentów Exodus „rurociągu” przekazu zabronionej technologii z Columbus (przez Helsinki) do Moskwy. Tylne drzwi do magazynu mojej firmy zostały przez tajnych agentów zablokowane samochodami, aby moi pracownicy nie wynieśli dowodów winy, czyli superkomputerów w czasie, kiedy mnie będą zakuwać w kajdanki.

W czasie napadu agentów organizacji Exodus na „Columbus Instruments” obecny był mój kolega z czasów studiów



Insygnia amerykańskiej agencji kontrwywiadu naukowego Exodus. Napis brzmi: „Technologiczni Rozbijacze”. Po moim ośmieszeniu tego plakatu, Exodus zmienił napis na „Obrońcy Technologii”. Ten facet w kapeluszu to jakoby ja

na Politechnice Wrocławskiej, Karol Pelc, dzisiaj emerytowany profesor Michigan Technological University. Była także moja siostra, Anna z mężem, Piotrem, która właśnie przybyła do mnie z Częstochowy. Rewizja w firmie trwała od godziny 16.00 do 23.00, w czasie której agenci szukali dowodów mego szpiegowskiego działania. Goście z Polski, po mym powrocie do domu i sprawdzeniu mego... uzębienia, stwierdzili zgodnie, że mimo wszystko w Ameryce da się żyć, bo zęby mam co prawda spróchniałe, ale niewybite.

O „dowody” mojej winy nie było trudno, jako że dwa inne tajwańskie superkomputery stały na półce, a ja sam się „przyznałem”, że z Sowietami handluję aparaturą medyczną od lat szesnastu. Najbardziej ubawiła mnie sytuacja, kiedy to, zmęczony, o godzinie 22.00 wstałem z krzesła i udałem się do kuchni, aby napić się kawy; agenci także poderwali się i popędzili za mną, bacznie obserwując, co piję i połykam. Wtedy sobie uświadomiłem, że mieli za zadanie uchronić mnie przed samobójstwem, na przykład przed połknięciem kapsułki z cyjankiem potasu. Takie zachowanie szpiega zacierającego poszlaki poprzez spowodowanie własnej śmierci, na pewno widzieli w amerykańskich filmach. Koło północy agenci załadowali na ciężarówkę wszystkie dokumenty wysyłkowe z minionych dziesięciu lat i odjechali, zostawiając mnie wszakże na wolności. Ku memu zdumieniu nie zarekwirowali jednak naszych tajwańskich superkomputerów. Widocznie nie zauważyli umieszczonej na tylnych panelach naklejek informujących, że były to owe superkomputery.

Przygody „kowboja” (Chucka) w Moskwie

W czasie kiedy agenci grupy Exodus przeprowadzali rewizję w „Columbus Instruments”, w Moskwie Sowietci aresztowali naszego inżyniera, Chucka Mc Kinnissa, z powodu przybycia na lotnisko Siermietiewo bez ważnego paszportu. Chuck przyjechał do Moskwy w celu demonstracji naszych przyrządów,

które w międzyczasie utknęły, zarekwirowane na lotnisku Kennedy`ego w Nowym Jorku, o czym, niestety, nie wiedział. Chłopak, znudzony czekaniem na zwrot swego amerykańskiego paszportu wysłanego do sowieckiej ambasady z prośbą o wizę, zdecydował się na dość brawurowe rozwiązanie. Poleciał do Moskwy zaopatrzony tylko w fotokopię swego paszportu! Chuck był komandosem amerykańskiej armii i bił się z Chińczykami na rzece Jaulu (Yalu) w Korei Północnej, więc pewnie sądził, że radzieckie władze nie były dla niego przeciwnikiem wartym większej uwagi. Kiedy go aresztowano w stolicy ZSRR, powiadomiono moskiewską telewizję, która ze swej strony podała, że na lotnisko przybył amerykański kowboj, na dodatek z... fotokopią paszportu! Co do tego, że Chuck był kowbojem, nie było wątpliwości, bo na nogach miał kowbojskie buty i opasywał

go pas z olbrzymią, mosiężną sprzączką z gwiazdą Teksasu. W Moskwie, gdzie szacunek do dokumentu (bumagi) był wszystkim urzędnikom dogłębnie wpojony, zachowanie Chucka na pewno wyglądało na prowokację.

Na szczęście organizatorem konferencji medycznej w Moskwie był radziecki kosmonauta będący w bliskich kontaktach z Kremlem. Wpuszczono więc Chucka do hotelu, skąd dość



Chuck Mc Kinniss już jako policjant

szybko sprowadziliśmy go z powrotem do Columbus, kiedy tylko okazało się, że nie ma nadziei na dostawę naszych przyrządów do Moskwy przed końcem konferencji. Jak Chuck zdołał bez paszportu przebrnąć granicę amerykańską, już nie pamiętam. Widocznie nie wyglądał na Polaka, który uparł się, aby w Ameryce usuwać ze starych budynków azbest. (W tym czasie podobni jemu polscy desperaci właśnie w tym celu zjawiali się na amerykańskiej ziemi). Kilka lat potem Chuck zmienił pracę i został policjantem. Od czasu do czasu odwiedza nas w „Columbus Instruments”.

Janek walczy gumową pieczętką

Na szczęście dla mnie w odległych latach osiemdziesiątych, by umieścić podejrzanego w więzieniu, trzeba było mieć przekonujące dowody winy. Być może dlatego podejrzliwy sędzia, który podpisał nakaz rewizji, nie godził się na mój areszt ani na wybicie mi przednich zębów. Widocznie uzbrojony w bomby atomowe Związek Radziecki nie był wtedy taki groźny, jak dzisiejsi terroryści. Myślę, że dzisiaj tak łatwo bym się nie wywinął, a z naklejką terrorysty mógłbym spędzić dożywocie w jakiejś klatce na Kubie, zmuszony do studiowania Koranu. Agenci grupy Exodus byli rozczarowani, że pozostawiono mnie na wolności, niemniej tak szybko nie zrezygnowali. Oddali bowiem moją sprawę federalnemu prokuratorowi, który rozpoczął dwuletnie śledztwo, odgrażając się w telewizji, że za zagrożenie bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, on zrobi ze mną porządek i będę gnił w więzieniu przez lat pięć.

Śledztwo trwało, ale nikt mnie na osobiste zeznania nie wzywał, chociaż ich do tego uporczywie zachęcałem. Przesłuchiwano natomiast moją sekretarkę, Marcelę Long, leciwą już w tym czasie matkę pięciorga amerykańskich dzieci, która podpisała nieszczęsne dokumenty wysyłkowe, dotyczące przesyłki sprzętu do Helsinek w Finlandii. Oskarżano ją i mnie, że sfalszowaliśmy owe dokumenty.

W rzeczywistości sprzęt miał być wysłany do naszego przedstawiciela w Helsinkach „Anitek Oy”, który dopiero ciężarówką miał zawieźć go do Moskwy, razem z innymi przyrządami. Prokurator nalegał na Marcy, aby zeznała, iż to ja ją zmusiłem do sfałszowania dokumentów przez zmylenie końcowego adresu, którym winna być Moskwa, a nie Helsinki. Marcy jednak nie dała się zastraszyć i powiedziała, że wypełniła dokumenty dokładnie wedle zaleceń linii lotniczych, bez żadnej mojej sugestii czy udziału.

Niemniej jednak moje przyrządy medyczne o wartości dwustu tysięcy dolarów rdzewiały przez dwa lata w magazynie celnym w Nowym Jorku. Była to duża suma w tamtych czasach, kiedy to „dolar był królem”, a moja firma karłem. Agenci z Exodus widocznie, nie mogąc mi już inaczej zaszkodzić, liczyli chociaż na moje bankructwo. Broniąc się przed zarzutem, że eksportuję do Sowietów technologię, sprowadziłem podobny, ale dużo lepszy klon komputera IBM-PC z Bułgarii, który potem kupiło ode mnie amerykańskie Ministerstwo Handlu Zagranicznego. Poleciałem nawet do Moskwy z kamerą video, aby przeprowadzić na wystawie medycznej własny wywiad i ujawnić, jakie — całkiem legalnie — komputery osobiste amerykańskie, angielskie i niemieckie firmy sprzedają Rosjanom. Nic jednak nie było w stanie przekonać prokuratorę, że jestem niewinny. Ubawił mnie list od ówczesnego ambasadora USA w Moskwie, Arthura Hartman’a, który pisał, że amerykańscy agenci także fotografowali komputery na tej wystawie, ale ich aparaty fotograficzne zostały skradzione w czasie, kiedy agenci udali się do baru... na wódkę. No cóż, niezależnie od faktów w oczach amerykańskiej prokuratury byłem winny zbrodni w myśl sowieckiej zasady: „Jest człowiek to paragraf się znajdzie”. Aby sprowokować jakąś reakcję biurokratycznego molocha, sporządziłem sobie pieczętkę z napisem: „Warning! Exporting can be dangerous to your mental health”, co po polsku oznaczało: „Uwaga! Eksport może być groźny dla twego zdrowia psychicznego”.

Pieczętką tą zacząłem stemplować wszystkie listy i koperty wysyłane do agencji rządowych, kongresmanów, telewizji i prasy,



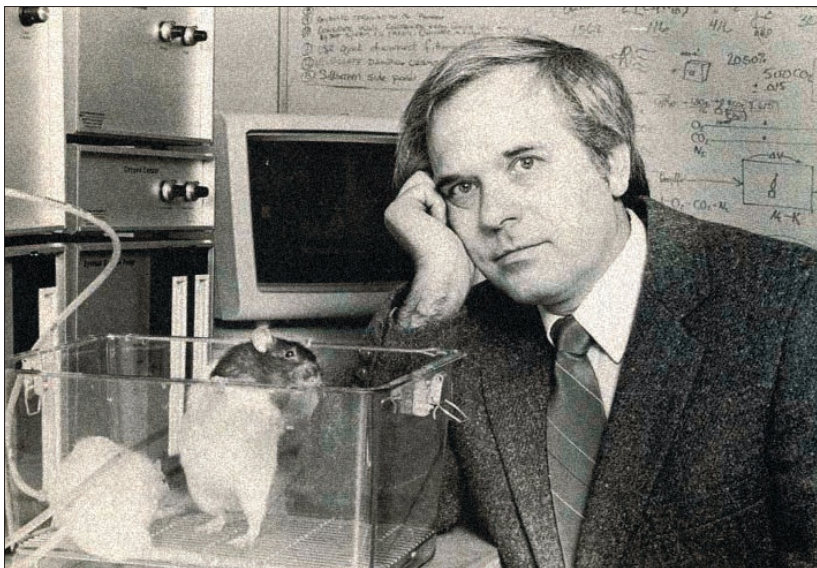
Pieczętka z napisem: „Uwaga! Eksport może być groźny dla twego zdrowia psychicznego”

czyli wszystkich tych, których prosiłem o pomoc w rozwiązaniu tej idiotycznej, a jednak mocno niebezpiecznej dla mnie sprawy. Muszę przyznać wszakże, że Ministerstwo Handlu (Department of Commerce) tak po cichu sprzyjało mi. Zaproszono mnie nawet na konferencję w Waszyngtonie, gdzie wygłosiłem odczyt o absurdalnych oskarżeniach, jakich byłem przedmiotem. Odczyt zilustrowałem taśmą video z reportażami telewizyjnymi o mojej „szpiegowskiej” działalności. Przypuszczam, że stworzona przeze mnie pieczętka uratowała mnie od bankructwa i więzienia.

Nic jednak nie zmieniło stanowiska Ministerstwa Skarbu i speców z organizacji Exodus w mojej sprawie. Prowadzący śledztwo nadal oskarżali mnie w listach do senatora Metzenbauma, który interweniował w mojej sprawie dotyczącej przemytu wysokiej technologii groźnej dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Ostatecznie, zdenerwowany, napisałem prośbę

do CIA (Centralna Agencja Wywiadowcza), aby przejęła moją „szpiegowską” sprawę, gdyż kompetencja Urzędu Celnego nie jest wystarczająca wobec wielkiego zagrożenia jakie ja, Jan Czekański, stanowią dla USA. Moje kolejne prośby kierowane do centrali CIA w Langley spełzły na niczym, a moje listy wracały z adnotacją: „Adresat nieznan”. Po dwóch latach potwierdziła się jednak stara zasada, że mysz zdolna jest ruszyć górę. Wpływowy dziennik „The Wall Street Journal” napisał artykuł o mojej tragikomedii, który przeczytali wszyscy Amerykanie mający w USA coś do powiedzenia. W ciągu następnych kilku dni zwrócono mi zarekwirowane przyrządy i umorzono dochodzenie z powodu „braku wystarczających dowodów winy”. Prokurator nie potrudził się jednak, aby zawiadomić mnie o tym listownie. Widocznie nie mógł przełknąć porażki.

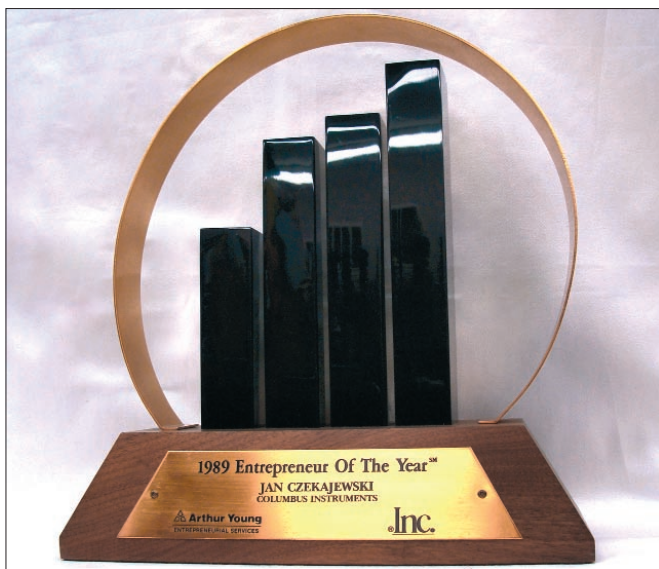
Pewne zdarzenie potwierdziło me podejrzania, co do zachowania się prokuratora. W dwadzieścia lat później, w roku 2004,



Trzech „sowieckich agentów” (dwóch już w klatce) na tle superkomputera produkcji tajwańskiej

odbierając bilet lotniczy od mego zaprzyjaźnionego agenta podróży, Boba Swaina, dowiedziałem się, że tyle co minąłem się w drzwiach z t y m właśnie federalnym prokuratorem. Wiedząc od Boba, że mam zaraz przyjść do jego biura, podobno odmówił spotkania ze mną, mamrocząc tylko: „Ten skurwysyn, Czekajewski, miał szczęście, że uniknął więzienia”. Być może zacięty prokurator liczył na awans i karierę w rządzie, a tymczasem jego porażka odniesiona w mojej sprawie zamknęła mu, niestety, tę drogę.

Dwa lata później, w roku 1989, zostałem uznany za najlepszego biznesmena w dziedzinie wysokiej technologii w stanie Ohio i zaszczycony dyplomami uznania od Senatu i Sejmu stanu Ohio. Umilałem także swym towarzystwem gubernatorowi stanu Ohio, Richardowi Celeste, podróże do Chin i Egiptu, a także brałem udział w niezliczonych bankietach w jego rezydencji, gdzie raczono nas, raczej mizernym, Chardonnay z winnic w rodzimym stanie Ohio.



Wyróżnienie dla mnie jako najlepszego biznesmena w dziedzinie wysokiej technologii



Ja z przyrządem do pomiaru konsumpcji tlenu u ludzi. Zdjęcie zrobione z okazji otrzymanego wyróżnienia

Postowie do szpiegowskiej historii

Kiedyś oglądałem amerykański film „Uczeń Diabła” (The Devil Disciple), nakręcony w roku 1959, dotyczący wojny rewolucyjnej o niepodległość Stanów Zjednoczonych, z Burtem Lancasterem w roli głównej. W filmie tym Anglicy prowadzą rebelianta na szubienicę. W ostatnim momencie przybywa galopem goniec z wiadomością, że podpisano rozejm. Obustronne umowy przewidywały, że dalsze egzekucje amerykańskich patriotów zostaną zawieszane. „Zawiedziony” angielski generał, Burgoyne, zdejmując pętlę z szyi rebelianta, mówi:

— Ponieważ nie mogę pana powiesić, zatem zapraszam szanownego pana na herbatę.

Bardzo lubię to anglosaskie poczucie humoru i cieszę się równocześnie, że w dzisiejszych czasach bezpieczniej jest mieć w Ameryce na imię „Jan” niż „Jamal” lub „Abdul”. Jamalów i Abdulów dzisiaj się na herbatkę nie zaprasza, a jeśli nawet, to tylko na tę, parzoną w obozie w Guantanamo na Kubie. Moje przykre doświadczenia z amerykańskim Urzędem Celnym i kontrwywiadem oraz późniejsze zaszczyty, jakimi mnie obdarzono, mogą być osnową podobnego filmu o czasach współczesnych.

Dalsze wynalazki

W początkowym okresie firma moja koncentrowała się na przyrządach do pomiaru aktywności zwierząt laboratoryjnych i komputerach do pomiaru przepływu krwi przez serce. Począwszy jednak od roku 1980 „Columbus Instruments” zaczął coraz bardziej polegać na przyrządach do pomiaru konsumpcji tlenu i produkcji CO₂ przez zwierzęta laboratoryjne różnej wielkości, od myszy, po krowy, a nawet konie. W poprzednim rozdziale opisałem kłopoty, jakie miałem z amerykańskim Urzędem Celnym z powodu wysłania takiego właśnie przyrządu o nazwie „Oxymax” na konferencję naukową do Moskwy. W miarę upływu czasu przyrząd ten „rozwierał się” w swych możliwościach pomiarowych zarówno co do równoległego pomiaru ilości zwierząt, jak i pomiaru dodatkowych parametrów, takich jak częstotliwość oddychania, ruchliwość, ilość skonsuowanego pokarmu i wody, częstotliwość bicia serca i temperatura ciała (metodą telemetrii radiowej). W ostatnich kilku latach, od roku 2000, tak rozbudowane zestawy (kombajny), po nazwą „Oxymax-CLAMS” sprzedaliśmy prawie wszystkim firmom farmaceutycznym na świecie. Zwrot „CLAMS” w nazwie przyrządu oznacza skrót od pierwszych liter pełnej, angielskiej nazwy „Comprehensive Laboratory Animal Measuring System”, czyli po polsku „system do pomiaru wielu parametrów fizjologicznych zwierząt laboratoryjnych”.



Kombajn „Oxymax-CLAMS” do pomiarów fizjologicznych myszy



Pomiar konsumpcji tlenu kłusującego konia

Jak powstał „Micro-Oxymax”

W roku 1980 zadzwonił do nas naukowiec z Kanady pracujący w Ministerstwie Rolnictwa. Pytał, czy potrafimy mierzyć oddychanie (konsumpcję tlenu) ziemniaków. Wedle niego ziemniaki, uszkodzone, obite w czasie wykopów lub magazynowania, mają zwiększoną konsumpcję tlenu. Jeśli możliwe będzie mierzenie konsumpcji tlenu ziemniaków, to na tej podstawie można będzie eliminować ziemniaki mechanicznie uszkodzone, które mogą gnić w czasie składowania.

Aby sprawdzić tę koncepcję, postanowiliśmy załadować pięć kilogramów ziemniaków do klatki przeznaczonej dla szczura i zmierzyć, ile konsumują tlenu. Okazało się, że sam pomiar był możliwy i nawet dokładny. Kiedy jednak następnego dnia zadzwoniłem do wspomnianego naukowca do Kanady z pozytywną wiadomością, zorientowałem się, że chodziło mu o pomiar konsumpcji tlenu pojedynczego ziemniaka. Do tego celu „Oxymax” dla zwierząt był zbyt mało czuły. Wpadłem więc na pomysł nowej metody pomiaru. Pomysł polegał nie na ciągłym przepływie gazu przez pojemnik pomiarowy, ale na pozostawieniu ziemniaka w zamkniętym pojemniku pomiarowym przez określony czas, na przykład przez trzydzieści minut, i na pomiarze zmiany stężenia gazu w tym pojemniku w periodycznych okresach czasu. Wedle tej koncepcji próbka powietrza z pojemnika zawierającego na przykład ziemniak, zostaje po przepływie przez czujniki tlenu i CO₂ zwrócona do pojemnika pomiarowego.

Po kilku miesiącach pracy jednego z samorodnych inżynierów (nie posiadał dyplomu i wykształcenia inżynierskiego), Lefa Nennerfelda, z pochodzenia Szweda, prototyp przyrządu według mej koncepcji był gotowy i rzeczywiście jego czułość była wystarczająca do pomiaru oddychania pojedynczego ziemniaka. Ponownie zadzwoniłem do naukowca z Kanady i zakomunikowałem tę radosną wiadomość. Eureka! Problem został rozwiązany! Naukowiec zapytał, ile będzie kosztował przyrząd, a kiedy dowiedział się, że minimum piętnaście tysięcy dolarów,

gdyż same części potrzebne do jego budowy kosztują sześć tysięcy, zrezygnował z zakupu. Według niego przyrząd powinien kosztować nie więcej niż dziewięćset dolarów, aby mógł być kupowany przez kontrolerów ziemniaków w magazynach i na stacjach skupu. Szkoda tylko, że ta wiadomość nie dotarła do mnie wcześniej, przed rozpoczęciem z naszej strony prac badawczo-konstrukcyjnych, które trwały przecież kilka miesięcy. Ale nie spuściłem głowy przed porażką!

Rozesłałem krótki opis tego wynalazku do prasy technicznej, która rozpoczęła druk anonsów o tym przyrządzie w dziale „Nowości Techniczne”. Po jakimś czasie zaczęły do mnie nadchodzić zapytania, czy przyrząd ten nie nadawałby się do pomiarów oddychania gleby. Wkrótce dostaliśmy zamówienie na „Micro-Oxymax” — tak go nazwałem, bo odnosił się do mikroskopijnych konsumpcji tlenu, rzędu dwie dziesiąte mikrolitra na godzinę, jakie ten przyrząd potrafił zmierzyć. Zamówienie napłynęło z Amerykańskiej Agencji Ochrony Środowiska (EPA), która zajmowała się problemem oczyszczania wody i wybrzeży Alaski. Tam właśnie rozbił się tankowiec z ropą, należący do przedsiębiorstwa „Exxon”. Tragedia miała miejsce w zatoce Valdez i jej ofiarą padło wiele ryb i zwierząt morskich. Naukowcy z EPA zastosowali nasz przyrząd do modelowania w laboratorium procesu oczyszczania metodą tak zwanej bioremediacji. Okazuje się, że istnieją w naturze bakterie, które rozkładają na czynniki pierwsze substancje organiczne, także ropę naftową. Jeśli chodzi o ropę naftową, to dla zwiększenia aktywności tych bakterii należy dodać do ich pokarmu nawozy rolnicze, zawierające azot, czyli nawozy azotowe. Ich ilość jest dość krytyczna dla procesu biologicznego



„Micro-Oxymax” do pomiaru oddychania bakterii

Okazuje się, że istnieją w naturze bakterie, które rozkładają na czynniki pierwsze substancje organiczne, także ropę naftową. Jeśli chodzi o ropę naftową, to dla zwiększenia aktywności tych bakterii należy dodać do ich pokarmu nawozy rolnicze, zawierające azot, czyli nawozy azotowe. Ich ilość jest dość krytyczna dla procesu biologicznego

oczyszczania i w celu ustalenia właściwych proporcji użyto właśnie mego wynalazku. Zastosowanie „Micro-Oxymaksu” do ustalenia właściwych ilości nawozów azotowych jakie należało rozpylić z samolotów wzdłuż skażonych wybrzeży Alaski, pozwoliło zaoszczędzić wiele milionów dolarów i przyspieszyć proces odnowy biologicznej tego wybrzeża. Na „Micro-Oxymax” otrzymaliśmy patent w wielu krajach świata.

Począwszy od tego momentu zamówienia na „Micro-Oxymax” zaczęły lawinowo przychodzić z firm olejowych, ale także z innych firm i instytucji, które widziały dla tego przyrządu inne zastosowania. Oto kilka z nich: pomiar degradacji biologicznej opakowań plastikowych pod wpływem słońca; pomiar procesu biodegradacji zanieczyszczeń w glebie skażonej metalami ciężkimi, kreozotem i materiałami wybuchowymi, na przykład trotylem; pomiar oddychania glonów i alg, a także skorupiaków morskich; pomiar oddychania pleśni na produktach mącznych; pomiar aktywności mikrobów używanych w biologicznej separacji miedzi i złota; pomiar rozwoju komórek rakowych w sztucznie hodowanych kulturach i ewaluacja efektywności leków przeciwrakowych poprzez pomiar oddychania komórek rakowych w postaci kultur komórkowych (cell cultures).

Przez ostatnie siedemnaście lat sprzedaliśmy setki przyrządów do wielu krajów na wszystkich kontynentach. Tak więc początkowe fiasko zamieniło się w duży finansowy i naukowy sukces. Szereg tych przyrządów zostało także zakupionych przez polskie uniwersytety i instytuty badawcze.

„Saga” nocy letniej w Uppsali

W sierpniu 1987 roku, podobnie jak w latach poprzednich, odbyłem moją doroczną „pielgrzymkę” do Szwecji, miejsca uświęconego wieloma moimi wzlotami i upadkami mającymi miejsce w latach sześćdziesiątych. Jednym z miejsc kultu, które staram się nigdy nie pominąć, była szacowna instytucja zwana

„Baldachimem”, zlokalizowana w Uppsali i prowadząca swą działalność pod szyldem lokalu gastronomicznego kat. II, z wyszynkiem i dancinżem. Wysoka klasyfikacja gastronomiczna tej restauracji narzucała warunek, aby goście byli elegancko ubrani, co zasadniczo ograniczało się do bezwarunkowego posiadania na sobie krawata, butów i marynarki. Ci z panów, którzy krawata nie mieli lub zapomnieli go założyć, mogli go pożyczyć od szatniarza za jedyne dziesięć koron szwedzkich.

Otóż, w tym właśnie lokalu, do którego przybyłem ubrany zgodnie w wymogami dobrego tonu w celach nie tylko dancinżowych, spotkałem dziewczynę w wieku „podrywkowym” (lat dwadzieścia dziewięć), o imieniu Lena. Zaoferowałem jej, po zamknięciu lokalu, odwiezienie do domu pożyczonym na lotnisku w Sztokholmie samochodem marki „Volkswagen Golf”, w gustownym kolorze sraczkowatym (ponieważ słownik języka polskiego nie przewiduje istnienia takiego słowa, mimo iż jest ono powszechnie używane, dla przyzwoitości wezmę ten wyraz w cudzysłów), a zatem, w gustownym kolorze „sraczkowatym”. Lena wracała do domu w towarzystwie koleżanki. Koło godziny drugiej w nocy dojechaliśmy na nowe, nieznanne mi przedmieście Uppsali, zabudowane setkami bliźniaczo podobnych domów. Po przybyciu na miejsce, panie, wdzięczne za mą słowiańsko-amerykańską galanterię, zaprosiły mnie na „herbatę”.

Kiedy usiadłem za kuchennym stołem, poczułem się jakoś nieswojo w przepeconej marynarce i zmiętym krawacie. Przeprosiłem gospodynię na minutkę i wyszedłem z mieszkania z zamiarem zamienienia marynarki na bawełniany sweter, który trzymałem zawsze w bagażniku samochodu, licząc się z takimi ewentualnościami. Wychodząc z domu, pomny bliźniaczego podobieństwa wszystkich domków osiedla, zwróciłem uwagę, że tylko przed domkiem Leny świeciła się lampa, którą zapamiętałem jako element charakterystyczny, wiodący do jej domu. Kiedy po chwili wróciłem, już w swetrze, ku memu zdumieniu, na podwórku kompleksu domków zauważyłem świecące się, nie jedną, ale już trzy lampy. — Pomyliłem podwórka? — zasta-

nawiałem się. Gdy zapukałem do drzwi — jak mi się wydawało — domu Leny, zostałem srogo zrugany przez zaspanego Szweda, który postraszył mnie policją. Całe szczęście, że była to Szwecja, a nie moja Ameryka, gdzie się zwykle najpierw strzela, a potem pyta o imię! Wkrótce zorientowałem się, że cały kompleks domków jednorodzinnych miał charakter kwadratowych ryneczków połączonych przejściami z sąsiednimi, także kwadratowymi ryneczkami. Miałem przed sobą idealny labirynt, z którego trudno było wyjść, szczególnie w nocy. Wszystkie domki były z drzewa pomalowanego na kolor buraczkowy i wszystkie na pewno były bliźniakami jednojajowymi!

Po półgodzinie nieudanych poszukiwań domu Leny dałem za wygraną i postanowiłem wrócić do samochodu. Niestety w tym momencie, na skutek stresu, tak mi się pokiełbało w głowie, że nie mogłem znaleźć ani domu Leny, ani parkingu z moim samochodem! W panice zacząłem nawet wątpić, czy poznam pożyczony samochód, jakim przyjechałem. Po dwóch godzinach krążenia z jednego podwórka na drugie, koło godziny czwartej nad ranem, przypadkowo, znalazłem się na właściwym parkingu (a było ich kilka) i, tak po prostu, zderzyłem się z moim samochodem. Byłem zaskoczony, gdy przy pojeździe zobaczyłem moją nową znajomą, Lenę, z koleżanką. Obie panie dziwiły się memu zniknięciu i pytały, czy dlatego uciekłem, że były we dwie, czy też dlatego, że są... kobietami. W każdym razie koszmarnie myśli przechodziły im przez głowę, kiedy zobaczyły mój pusty samochód. Zaczęły nawet podejrzewać, że mnie zamordowano, albo że... trafił mnie szlak. Każde z tych alternatywnych podejrzeń było dla mnie nieprzyjemne i mój honor wymagał natychmiastowego oczyszczenia z podobnych insynuacji. Niestety już świtało i zarówno ja, jak i obie panie, byliśmy mocno śpiący, a dodatkowo ja następnego dnia miałem wracać do domu w Columbus.

Po powrocie do Stanów wydarzenie to nadal nie dawało mi spokoju. Napisałem do Leny, że zapraszam ją do Columbus i zapewniłem ją solennie, że drogę do własnego domu znam

na pamięć, a zdarzenie w Uppsali było absolutnym wyjątkiem i w Columbus na pewno się nie powtórzy. Upewniłem ją także, że kiedy już znajdę własny dom, to dla pewności zostawię sobie notatkę na stole, co do dalszego kierunku postępowania. Niestety, naprawić sytuację towarzyską wywołaną moim pechowym zagubieniem się w labiryncie szwedzkiej architektury nie było łatwo. Jako inżynier, będąc także człowiekiem z natury rzeczowym, w rozmowie telefonicznej zapytałem Lenę, czy zdaje sobie sprawę, że mam w stosunku do niej szlachetne zamiary, z którymi wiążą się pewne wzajemne zobowiązania natury, powiedzmy, romantycznej. Lena, choć podejrzliwa, zaakceptowała mój sposób podejścia do sprawy, zażyczyła sobie jednak, abym poddał się badaniom na obecność w moim organizmie wirusa HIV, czyli — jak to się mówi w Polsce — czy nie miałem w sobie „Adida-sa”. Powinienem przedstawić jej odpowiednie zaświadczenie dotyczące mego nieskazitelnego zdrowia. W tamtych latach Szwedzi uważali, że w Ameryce AIDS jest tak powszechny jak grypa. W roku 1988 badania takie były skomplikowane i wymagały pobrania około jednej dziesiątej litra krwi. Lekarz z pobliskiej przychodni, do którego się udałem z prośbą o przeprowadzenie badania, zapytał mnie także, czy nie mam alternatywnych skłonności seksualnych. Kiedy mu wyjawiałem rzeczywisty powód moich badań i warunki, jakie postawiła Lena, zdziwił się menu idealizmowi i skwitował proroczym wręcz stwierdzeniem:

— Mam nadzieję, że pańska szwedzka miłość będzie warta pańskiego poświęcenia.

Lena miała przylecieć w drugiej połowie lutego 1988 roku, aby sprawdzić moją orientację seksualną na terenie Columbus, gdyż wypadek w Uppsali narzucał jej pewne wątpliwości. Zastanawiałem się, czy podołam tej krytycznej próbie. W lutym wysłałem Lenie bilet lotniczy i wkrótce dziewczyna zjawiała się w Columbus. Niestety, wymarzona idylla skończyła się dla mnie koszmarem, który zaczął się jak następuje: Pierwszej nocy Lena wzięła prysznic i zeszła do pokoju, gdzie ja właśnie oglądałem telewizję. Zauważyłem, że jest bardzo nerwowa i trzęsą jej się ręce. Wyjaś-

niła, że z natury nie ma zaufania do mężczyzn oglądających telewizję, gdyż jej były mąż — była rozwódka — czasami też tak siedział jak ja i patrzył w telewizor, a potem nagle brał łopatę do zgarniania śniegu i walił nią po meblach. Tłumaczył, że denerwuje się, gdy pada śnieg. A w Szwecji — jak wiemy — śnieg pada często. Zapomniałem ją zapytać, czy szanowny małżonek walił łopatą tylko po meblach, czy przy okazji po niej też. Próba zbliżenia w łóżku także skończyła się fiaskiem. Lena dostała wręcz konwulsji, bynajmniej nie z ekstazy. Ogarnęła ją panika.

Można było powiedzieć, że zaistniały wszelkie przesłanki ku temu, by doszło do „przedwczesnego rozwodu” z powodu braku konsumpcji stosunku i zerwanego kontraktu. Na dodatek moje wysiłki przedstawienia jej mego stanu zdrowia nie zostały docenione, bo Lena w ogóle nie zainteresowała się moim zaświadczeniem. Jedyna rzecz, która nas wiązała to jej bilet z datą powrotu za dwa tygodnie od momentu przyjazdu, bez możliwości zmiany. Lokując się w osobnych sypialniach, dokonaliśmy tym samym separacji łoża, ale nie stołu. Separację tę na razie wykluczyłem, gdyż głodzenie Leny zachowałem na wypadek, gdyby uparła się przedłużyć swój pobyt poza umówione dwa tygodnie. Z braku uniesień erotycznych, sięgnąłem po intelekt. Może długie, filozoficzne dyskursy wynagrodzą mi dokuczliwą, a rozpierającą mnie cnotliwość? Niestety, Lena niewiele miała do powiedzenia, w ogóle słabo mówiła po angielsku, a ja niewiele po szwedzku. Z desperacji postanowiłem popłynąć z nią statkiem z Miami na Bahama, odwrócić swoją uwagę od uczuciowej klęski, zachłysnąć się morskim powietrzem.

W pierwszym dniu na plaży usnąłem i obudziłem się kompletnie porażony tropikalnym słońcem. Resztę wakacji miałem z głowy; dreszcze, światłowstręt i bąble od oparzenia dopełniły wrażeń. Kiedy pełen ciągle rozpierającej mnie cnoty wróciłem z Leną do Columbus, z ulgą powitałem dzień wyjazdu mojej niedoszłej kochanki. Odwiozłem ją na lotnisko trzy godziny przed odlotem i pożegnałem jak stroskany ojciec, muśnięciem wargami jej policzka. — Praszczaj, Lena! — pomyślałem w języku

Dostojewskiego, języku, który najlepiej oddaje cierpienia słowiańskiej duszy. — Wracaj do skutecznej lodem Skandynawii! Czuję, że się już nigdy nie zobaczymy! — Przy pożegnaniu odczuwałem... tak, szczęście, wręcz ekstazę, jakiej nie przeżywałem nawet w najlepszych relacjach erotycznych, jakie dane było mi przeżywać w minionym (XX) stuleciu!

Kiedy znalazłem się w domu, poczułem, że mimo wszystko — z akademickiego punktu widzenia — gra warta była świeczki, no, może ogarka. Bo zrozumiałem mądrość przysłowia: „Nie należy kupować Szwedki w worku”. Co do wydatków związanych z tą nordycką przygodą, to koszty biletu lotniczego i wycieczkę na Bahama spisałem na straty, a zaświadczenie o moim stanie zdrowia oparłem w ramkę i... powiesiłem w sypialni. Muszę przyznać, że lektura zaświadczenia o moim stanie zdrowia przez kolejne wielbicielki mego intelektu, bigosu i zalewajki z kielbasianą wkładką, wpływała na nie niezwykle kojąco.

Pan Zenek, malarz europejski

Pan Zenek M. jest emigrantem przybyłym do Stanów Zjednoczonych w czasie prześladowań wymierzonych w polską „Solidarność”. Podobno dostał wizę amerykańską i poparcie Kościoła Baptystów w sprawie przyjazdu do USA. Przebywał jakiś czas w obozie przejściowym dla uchodźców w austriackim Traiskirchen, kupując za pół litra od kolegi wtajemniczonego w arkana wizowe informacje, jak należy się zachowywać i co należy mówić amerykańskiemu konsulowi o swych prześladowaniach w PRL-u. Pan Zenek zalicza się do polskiej inteligencji, jako że wykształcenie ma niepełne wyższe gastronomiczne. W Polsce pracował na stanowisku kaowca, czyli kulturalno-oświatowego, w domach wczasowych FWP (Fundusz Wczasów Pracowniczych) w Krynicy, gdzie był ulubieńcem kuracjuszek leczących bezpłodność u źródła Jana.

Pan Zenek ma ładny głos i potrafi śpiewać z pamięci hymn akademicki „Gaudeamus igitur”, czego jednak nieokrzescani Amerykanie zupełnie nie doceniają. Ponadto występuje u niego dość duża różnica między jego intelektualnymi aspiracjami a realiami dnia codziennego. To niweczy jego marzenia o lżejszej, „intelektualnej” metodzie zarabiania na życie. Obecnie panu Zenkowi doskwiera fakt, że on tu, w Ameryce, tyra jako zwykły robot, a jego talenty, którymi chce obdarzyć swą nową ojczyznę, leżą po prostu odłogiem. Ta właśnie frustracja spowodowała wizytę pana Zenka w moim biurze.

— Się masz, Janek — powiedział, siadając przed moim biurkiem. — Mam pomysł na dobry interes, a nawet dwa pomysły. Jeden w branży artystycznej, a drugi w spożywczej. Przyszedłem „się skonsultować”, bo słyszałem, że masz kiepełą do interesu.

— Słucham uprzejmie — odrzekłem.

Pomysł — rzecz pierwszej wagi, od tego wszystko bierze początek. „Na początku było Słowo” jak jest powiedziane w Piśmie Świętym.

— Co to za interes? — zapytałem.

— Pomysł pierwszy to sztuki piękne — odrzekł mój rozmówca. — Otóż, wybrałem się w niedzielę na przechadzkę po naszych centrach handlowych i wpadłem do galerii sztuki, a właściwie do dwóch. Jedna galeria odpada, gdyż sprzedaje jakieś druki i plakaty, natomiast z właścicielem drugiej, tej z obrazami olejnymi, wdałem się w przyjacielską rozmowę. Obejrzałem obrazy wiszące na ścianach galerii i metki na towarach. Zrozumiałem, że takie większe idą po siedemset, pięćset dolarów, a mniejsze, takie o wymiarach pięćdziesiąt na pięćdziesiąt centymetrów po około trzysta za sztukę. Tematyka obrazów to głównie pejzaże, czyli landszafty, jacyś ludzie na koniach, ubrani staromodnie, także psy, zamki i mosty. Po niemodnych ubraniach i ludziach na koniach oraz po braku samochodów wnioskuje, że obrazy są stare i... używane. Pomyślałem sobie, że ja też mógłbym tak malować i zarabiać dobry szmal, biorąc za jeden obraz tyle, ile zarabiam na tydzień w fabryce, tyrając jak jakiś

głupol tymi moimi rękami. Zresztą, moje obrazy chyba da się sprzedać na lewo, bez podatku i winny iść jak woda, biorąc pod uwagę, że będą to obrazy nowe, a nieprzechodzone, jak te, wiszące w galerii — kontynuował z zapalem pan Zenek. — Zapytałem właściciela, czy galeria jest zainteresowana nowymi nabytkami. Właściciel lokalu z kolei postawił mi pytanie, czy malarstwo, które mu oferuję, będzie europejskie czy amerykańskie i którego okresu historycznego będzie dotyczyć. Oczywiście nowoczesne! I europejskie! Odpowiedziałem, zasadniczo nie kłamiąc, jako że dzieła, które dopiero namaluję, mają prawo do nowoczesności, a ich europejskość wynika z tego, że ja urodziłem się w Europie, na dowód czego słabo władam językiem amerykańskim. Właściciel galerii, pomimo że się specjalizuje w sztuce starożytnej, czyli XIX-wiecznej, bardzo się zainteresował moją propozycją i prosił o próbki obiecanej sztuki. — W jaki sposób ja mogę ci pomóc? — zapytałem. — Wygląda na to, że wszystko już masz dokładnie zaplanowane i przemyślane.

— Otóż, mam pewien problem z ramami — zafrasował się pan Zenek.

— Ramami? A czy ty w ogóle umiesz malować i czy masz jakieś obrazy do pokazania?

— Malować na razie nie umiem, ale uczę się łatwo. Kiedyś, jak miałem czternaście lat, namalowałem taki pejzaż, laurkę, na urodziny mojej babci. Obrazek bardzo jej się spodobał. Zresztą „nie picuję”, czyli nie nawijam, i nie chcę ci na próżno zabierać czas. Zrobiłem już poważne przygotowania do nauki malarstwa. Nagrałem na video osiem godzin instrukcji z uniwersyteckiego kanału telewizyjnego, gdzie w każdą niedzielę rano, jeden gość uczy widzów, jak malować. Z zegarkiem w ręku wyliczyłem, że jeden pejzaż o wymiarach pięćdziesiąt na pięćdziesiąt zabiera mu około trzydziestu minut. Ten telewizyjny malarz już jest chyba po sześćdziesiątce, a ja młody, wysportowany, mając dopiero trzydzieści trzy lata, szybciej się z taką robotą uporam. Nie mówię, że od zaraz będę taki wydajny, bo przecież muszę się w malarstwie wprawić, ale już po miesiącu, wedle mego rachun-

ku, powinienem wykonać jeden obraz widokowy w dwadzieścia minut.

— Zenek, na razie nie rzucaj roboty w fabryce, bo masz dzieci i żonę z ładnym, wydatnym biustem — mówię. — Spróbuj na początek malarstwo potraktować jak hobby. Jeśli coś z tego wyjdzie, to dopiero wtedy zajmiesz się tym zawodowo.

— No oczywiście! — powiedział Zenek. — Ten projekt rozważałem jako dorabianie wieczorami. Jak dwa takie landszafty odwałę przed spaniem, to powinienem zarobić od dwunastu do piętnastu tysięcy dolarów miesięcznie. Jedna sprawa tylko mnie niepokoi, a mianowicie te ramy — znowu zmartwił się. — W domu handlowym „K-mart” widziałem złote ramy, które by mi pasowały, ale wszystkie mają wytłoczone napisy „Made in Hong-Kong” albo „Made in China”, a ja przecież obiecałem właścicielowi galerii obrazy europejskie! Jeśli dostarczę moje obrazy w takich chińskich ramach, to właściciel galerii od razu pokapuje się, że bujam, bo obrazy ze sztuką europejską winny mieć napisy na ramach „Made in Europe”.

— Nie martw się, Zenek — powiedziałem. — O ile wiem, twój znajomy handlarz sztuki ma także pracownię, gdzie sam oprawia obrazy w ramy wedle własnego wyboru i smaku. Nie wydaje mi się, aby brak europejskich ram był wielką przeszkodą w rozwoju twego malarskiego talentu.

— Wiesz, Janek, ciężar zdjąłeś mi z serca! No tak, teraz to sprawa jest prosta! Zresztą, moje obrazy bez ram zaoferuję z dziesięcioprocentową zniżką, czyli upustem, co winno podnieść moją konkurencyjność na rynku malarstwa europejskiego.

Odprężony Zenek wstał z fotela i skwitował wizytę znanym polskim malarzom:

— Trzymam się, Janek! Do zobaczenia w galerii sztuki europejskiej!

Wspomnienie o doktorze Stefanie Ehrlichu

Stefana Ehrlicha poznałem wkrótce po moim przyjeździe do Columbus. Pracował wtedy w tym mieście, w firmie „Chemical Abstracts”, sporządzając abstrakty do czasopism naukowych, publikowanych w językach słowiańskich. Z upływem czasu staliśmy się przyjaciółmi. Dlatego też przekazał mi przed śmiercią wycinki swoich wspomnień pisanych po angielsku. Fragment przetłumaczyłem i przedstawiam poniżej.

Stefan, jedyny ze znanej we Lwowie rodziny prawników, przeżył niemiecką okupację i po wojnie skończył studia rolnicze, publikując w Polsce książkę „Hodowla nutrii”. Książka ta jest podobno do dzisiaj w Polsce zalecana jako lektura dla studentów na wydziałach traktujących o hodowli zwierząt futerkowych. Później Stefan wyemigrował do Izraela, gdzie jego żona, Maria, katoliczka, miała trudności z akceptacją przez miejscowe społeczeństwo. Stefan pracował czas jakiś w Grecji jako doradca tamtejszego rządu w dziedzinie hodowli zwierząt futerkowych. Był erudytą, o szerokim spektrum wiedzy, szczególnie w zakresie historii. Miał też swoje słabości i dziwactwa, między innymi uważał się za wynalazcę, który zmieni świat i dorobi się na swych wynalazkach majątku. Często nagabywał mnie, abym pomógł mu w sprzedaży jego „wynalazków”, co wywoływało kłopotliwe sytuacje, gdyż „wynalazki” Stefana nigdy nie były z dziedziny, na której się znał, czyli biologii. Na przykład jego pomysły dotyczyły produkcji energii i jej przesyłania w skali globalnej albo nawadniania pustyni dla celów rolniczych. Kiedyś, przyparty do muru przez Stefana, który starał się mnie przekonać do zajęcia się sprzedażą jego koncepcji energetycznej, powiedziałem, chcąc się go delikatnie pozbyć:

— Stefan, jak to się dzieje, że ty, Żyd, który wedle powszechnego przekonania powinieneś lepiej znać się na handlu niż ja, zwraca się o pomoc do mnie, niepraktycznego katolika.

Stefan odparował.

— Ty nie wiele wiesz o Żydach. My, Żydzi, dzielimy się na dwie kategorie, kupców i filozofów. Ja urodziłem się filozofem.

W przeszłości Żydzi filozofowie żenili się z córkami kupców i żyli za pieniądze teściów. Zajmowali się studiowaniem Talmudu, zostawali rabinami, muzykami albo naukowcami. Po wojnie jednak nastąpił brak zarówno żydowskich kupców, jak i ich córek, więc ożeniłem się z katoliczką. Jestem więc skazany na pomoc takich ludzi jak ty, katolików, którzy jakimś niesprawiedliwym zrządzeniem losu, obdarzeni zostali przez Boga zmysłem handlowym.

Jego żona, Maria, także ze Lwowa, miała wybitne zdolności w dziedzinie hodowli kwiatów. Zmarła kilka lat przed Stefanem. Kaktusy, którymi mnie obdarowała przed śmiercią, przeżyły u mnie jeszcze dziesięć lat. Z uwagi na niepraktyczność Stefana, często — na prośbę jego żony — interweniowałem, aby nie stał się obiektem oszustw rzeźmieszków, którzy próbowali wykorzystać jego naiwność, a którym czasami powierzał swoje karty kredytowe. Niestety tymi oszustami często okazywali się polscy emigranci, z austriackiego obozu przejściowego w Traiskirchen, którym Stefan Ehrlich starał się pomóc.

Ostatnio straciliśmy ze sobą kontakt. Stefan przeniósł się w odległą część Columbus i jego związki z miejscową Polonią osłabły. Po śmierci Marii, ożenił się powtórnie z rosyjską Żydówką, emigrantką z Kazachstanu. Tak się złożyło, że właśnie tuż przed śmiercią Stefana, w sierpniu 2005 roku, podczas jakiegoś spotkania towarzyskiego, w którym brały udział osoby znające go, wspominaliśmy jego często zabawne przedsięwzięcia. Później okazało się, że gdy my o nim rozmawialiśmy, on prawdopodobnie w tym czasie umierał. Dla mnie i wielu moich znajomych śmierć tego człowieka była bolesnym przypomnieniem czasów minionych i refleksją o przemijaniu. Powyższe wspomnienia o Stefanie może przedłużą pamięć o tym ciekawym człowieku, który wycierpiał tak wiele.

Poniżej przedstawiam wstęp do pamiętnika Stefana Ehrlicha, odnoszący się do jego doświadczeń w getcie lwowskim, zatytułowany „Upalne lwowskie lato”.

Upalne lwowskie lato 1942. Wspomnienia doktora Stefana Ehrlicha

Było to w środku gorącego lata 1942 roku kiedy to pewnośc zbliżającej się „akcji” (deportacji do komór gazowych) wisiała ciężko i namacalnie w powietrzu lwowskiego getta. Ja wraz z moją małą siostrą byliśmy czasowo wyłączeni z niej, ponieważ naszym zajęciem było upiększanie ogrodów i pałacyku pana Otto Waechtera, gubernatora Galicji i SS-Brigadeführera. Niemniej jednak moja matka była już wyznaczona, aby przebyć drogę, którą uprzednio przeszły obie moje babki. Drogę, której końcowym przystankiem była komora gazowa w Bełżcu. Moje babki podzieliły los mego ojca, który został zabity wkrótce po zajęciu Lwowa przez Niemców, jeszcze przed konstrukcją komór gazowych w Bełżcu.

Kiedy moje babki zostały „zlikwidowane”, matka moja otrzymała czasową „dyspensę” od śmierci jako jedyna gospodyni domu, w którym dwóch „robotników” pracowało dla Niemców. Jasne było jednak dla nas, że to odroczenie nie potrwa zbyt długo. Dlatego też sugerowałem mej matce, aby postarała się o „aryjskie papiery” (fałszywe dokumenty świadczące o chrześcijańskim pochodzeniu), które mogłyby ją uratować. Jej odpowiedź brzmiała:

— Nie. Jeśli nie uczynimy nic nielegalnego i zginiemy, to wtedy odpowiedzialność i wina spadnie na tych, którzy są za tę zbrodnię odpowiedzialni.

(Wedle słów Stefana w tamtym czasie, na początku wojny, Niemcy zezwalali Żydom na wyjazd z Niemiec i Polski do Palestyny, ale tylko tym, którzy mieli promesy wizy od jakiejś konkretnej organizacji syjonistycznej. Podobno przyrzeczono taką wizę matce Stefana Ehrlicha).

Przypominam sobie jasno dzień, kiedy śmierć zbliżyła się do mojej matki. Zauważyłem znak jej nieuchronności. Każdego dnia idąc drogą do pałacyku gubernatora i mijając dzielnice Lwowa, zarezerwowane dla Niemców, przechodziłem obok

potężnego gmachu gimnazjum, gdzie skoszarowani byli żandarmi zwani Schutzpolizei (Policja Ochrony) i Ordnungspolizei (Policja Porządkowa). Każdego też dnia większość z nich była w koszarach. Ale wtedy, w sierpniu 1942 roku, koszary były prawie puste. Zaledwie kilku żandarmów zamiatało podłogę między pryzcami. Ta sielankowa scena zrobiła na mnie depresyjne wrażenie. Mogę je porównać tylko do uczucia, jakiego doświadczyłem wiele lat potem, podczas ataku serca. Nie powiedziałem jednak nic o tym mej siostrze. Nie zauważyłem żandarmów również wtedy, kiedy wracałem wieczorem. Mój niepokój wzrastał w miarę zbliżania się do bram getta.

Wcześniejsze „akcje” dotyczyły głównie starych ludzi, między innymi obu moich babek. Wtedy żandarmi ładowali swe ofiary na ciężarówki ustawione przy bramie getta, aby przewieźć je z kolei na rampę kolejową. Do tyłu każdej ciężarówki przystawione były drewniane schody. Staruszkowie ustawiali się w kolejce koło schodków i powoli wspinali na platformę samochodu. Niemiecki żandarm oferował każdej z pań pomocną dłoń z uprzejmym ukłonem. Obserwując tę scenę przypomniałem sobie opowieść mej babki, która opisywała niezwykle uprzejmych berlińskich policjantów z lat 1900-1914, których dobrze znała z tego okresu. Otóż, w owych czasach właśnie niemiecki policjant, widząc starą kobietę stojącą na tramwajowym przystanku, witał ją uprzejmym ukłonem i ofiarował swą pomoc przy wejściu na schodki tramwaju. Wydawałoby się, że nic w postawie Niemców nie uległo zmianie, że uprzejmy Berlin przyszedł do nas, do Lwowa, kompletnie i całkowicie, włączając w to przede wszystkim dżentelmeńskie ukłony.

Tym razem nie zobaczyłem jednak ciężarówek przy bramie getta. Zatlił się w mym sercu na chwilę ogień nadziei, który zaniknął w momencie, kiedy znalazłem się w getcie. „Akcja” była w toku. Tym razem obyło się bez ciężarówek, ponieważ gospodynie domowe objęte deportacją, były względnie młode i mogły same maszerować do odległej stacji kolejowej. Żandarmi wraz z ukraińską policją pilnowali małych grupek kobiet

stojących na chodniku przed swymi domami. Z każdą chwilą kobiet przybywało. Kolejne osoby dołączały do już stojących, przynaglone przez policjantów i niemieckich żandarmów przeprowadzających inspekcję wewnątrz domów.

Kiedy zbliżyłem się do domu, nie zauważyłem wśród stojących mojej matki. Płomyk nadziei zapalił się w mym sercu na nowo. A wybuchła ona płomieniem, gdy znalazłem się już w mieszkaniu. Matka, zrównoważona jak zawsze, siedziała przy stole wraz z niemieckim żandarmem. Oboje delektowali się wiśniówką; butelkę tego napitku matka ocaliła z podkarpackiego gospodarstwa mej babci. Żandarm i moja matka byli zagłębieni w przyjaznej konwersacji. Zachowanie jej było tak spokojne i zrelaksowane, iż byłem pewny, że dała żandarmowi łapówkę, by ją zostawił w spokoju. Oboje wyglądali jak para kupców, którzy opijali właśnie dobrze przeprowadzony interes. Kiedy butelka wiśniówki została opróżniona, żandarm podniósł się do wyjścia, lecz ku memu zdumieniu mama podążyła za nim. Nic w jej zachowaniu nie wskazywało, że idzie na własną egzekucję. Nie zauważyłem nic napiętego w jej uśmiechu, ani nic sztucznego w jej przyjaznej konwersacji z żandarmem. Zachowywała się tak, jak każdego dnia. Wyglądała, jakby chciała odprowadzić swego gościa do progu domu, aby potem wrócić do nas, do dzieci.

Mama zdawała sobie sprawę z naszej obecności. Widząc nasze twarze pełne zaskoczenia i paniki, ofiarowała nam na pożegnanie kilka ciepłych słów:

— Pamiętajcie o tym, jak uczyłam was pracować.

To było wszystko...

Ja i moja siostra kontynuowaliśmy nasze ogrodniczo-porządkowe prace pod bacznym okiem Niemca, pana Sommera, byłego cesarskiego ogrodnika w ogrodach kaisera Wilhelma w Berlinie. Hitlerowcy wygnali go jednak z Berlina, doszukując się u niego żydowskiego rodowodu. Niedługo potem przybył do Lwowa, gdzie roztoczył pieczę nad kwiatami na żydowskim cmentarzu. Piękne kwiaty zastępowały wówczas kamienne

nagrobki, których Żydom zabroniono stawiać. W tym samym czasie żydowscy więźniowie skoszarowani we Lwowie, przy ulicy Janowskiej, łupali stare nagrobki, uzyskując żwir pomocny przy renowacji dróg, a ja wraz z moją siostrą zajmowałem się transplantacją pięknych kwiatów z żydowskiego cmentarza do ogrodów hitlerowskiego gubernatora.

W dniu, w którym moja mama poszła na śmierć, siałem trawę na nowym gubernatorskim trawniku, wklepywałem deską nasiona do ziemi i zraszałem ją rzęśistymi łzami. Pan gubernator przeszedł obok, patrząc z zadowoleniem na swój nowy trawnik, a ja byłem dla niego — jestem o tym przekonany — całkowicie przejrzystą, kryształową taflą.

Ja i moja siostra upiększaliśmy ogrody pana gubernatora aż do grudnia 1942 roku, kiedy to pewnego ranka do drzwi naszego mieszkania we Lwowie zapukała policja. Tym razem była to policja żydowska, która wypełniając wolę niemieckich zwierzchników, kompletowała grupę osób... Ich zachowanie było mniej eleganckie niż zachowanie niemieckiego oficera, który zabrał na śmierć moją matkę.

W tym dniu ostatni raz widziałem moją małą siostrę...

Sakrament „cywilnego małżeństwa“

Już rano, dziesiątego listopada 2009 roku, czułem, że stanie się coś niezwykłego. Nie dręczyły mnie nocne mary o zalaniu mego kraju przez afgańskich terrorystów, nogi przestały mi się pocić i przestałem także kichać z powodu alergii na jesienne pyłki. Wartość dolara spadała i w związku z tym moja inwestycja w tym dniu w złote uzębienie zwyżkowała. Było to optymistyczne zjawisko, jeśli się weźmie pod uwagę fakt sprzedania mojego uzębienia w razie egzystencjalnej potrzeby. Dzień zatem zapowiadał się wspaniale! Chyba dlatego, że wieczorem miał wstąpić do nas, będąc w drodze na Florydę, mój przyjaciel z czasów studenckich, Karol Pelc z małżonką. To jemu, w pewnej mierze,

zawdzięczam mój obecny, „cywilnie błogosławiony” stan małżeński. Dzisiaj, dla uhonorowania wizyty państwa Pelców, kupiłem w rosyjskich delikatesach litewską bryndzę i polskie korniszony marki „Babcia”.

Cofnijmy się jednak o lat dwadzieścia, do roku 1989, kiedy to Karol — ciągle z tą samą małżonką — odwiedzili mnie w Columbus w Ohio. Przekonał wówczas, za moimi plecami, moją obecną żonę, Laurę, że osoba moja stanowi wielki potencjał, także intelektualny, w który ona winna — także intymnie — szybko zainwestować. Był to chyba ostatni dzwonek na przekazywanie takich informacji, gdyż nieustępliwe wywody Laury na temat teorii rozwoju intelektualnego dzieci stawały się coraz bardziej nużące i obawiałem się, że któregoś dnia, w czasie takich dywagacji, zasną i spadną z krzesła. W uprzednich moich męsko-damskich relacjach nigdy nie dopuszczałem do takich seksualnie jałowych dłużyzn, ale w tym wyjątkowym przypadku potraktowałem sytuację naukowo, czyli... eksperymentalnie. Jakoś i bez cennych rad Karola wyczułem, że właśnie tej znajomości muszę dać szansę. Historycznie rzecz ujmując, moje poprzednie interlokutorki były zainteresowane jedynie stanem mojego konta, jaki zostanie po zapłaceniu alimentów. Tymczasem Laurę interesował rozwój intelektualny dzieci.

Wtedy też nie przypuszczałem, że kandydatka na oblubienicę, Laura, którą poznałem kilka tygodni temu na wieczorne tanecznym dla samotnych, zostanie piętnaście lat później moją, „uświęconą cywilnym sakramentem” żoną. Ówczesna interwencja Karola w mój stan cywilny i życie erotyczne wynikała chyba z moralnego zobowiązania, jakie sam sobie wobec mojej osoby narzucił, jako że to ja byłem we Wrocławiu — trzydzieści lat temu (dzisiaj już pięćdziesiąt) — świadkiem na jego pierwszym i jedynym ślubie! Kto go tam wie! A może Karol po prostu chciał mi się „zrewanżować”, czyli na mnie odegrać?

Od tamtej nocy, dwadzieścia lat temu, po wspomnianej już konspiracyjnej rozmowie Karola P. z kandydatką na moją żonę, Laura nie tylko zaczęła dzielić moje „queen size” łóżko, ale także



Moi przyjaciele. Od lewej: Romuald Oduliński i Karol Pelc w czasie jednej z wizyt w Columbus (Ohio)

zacieśniać moją przestrzeń życiową. Nagle moje szafy zapełniły się damską garderobą, a zwłaszcza butami na tak zwanych szpilkach. Nie walczyłem aktywnie z tym zjawiskiem, jako że już od wielu lat przestałem ubierać się w garnitury, krawaty i marynarki, w związku z czym potrzeby przestrzenne mojej garderoby kurczyły się. W owym czasie małżeństwo z kimkolwiek wykluczałem z powodów „zdrowotnych”. Mianowicie, miałem na nie alergię wywołaną poprzednim, dwukrotnym przedawkowaniem. Zatem małżeństwo wykluczałem. Ale nie miłość! Nie unikałem w moim życiu ciepła innych dusz, a przede wszystkim ciała.

Ta sytuacja trwałaby w nieskończoność, gdybym po dziesięciu latach nie spotkał wspomnianej Laury, z którą po zadziergnięciu intymnej znajomości, żyliśmy trzynaście lat w błogim szczęściu, czyli na przykład bez rękoczynów. Któregoś jednak poranka, a był to pierwszy dzień wiosny 2002 roku, któregoś z nas wspomniało mimochodem, jakby dla zgrywy, że może

warto by „przekwalifikować” nasze związki z kandydackich na pełnoprawne, gdyż drakońskie pięćdziesięcioprocentowe podatki spadkowe całkiem niepotrzebnie wzmogłyby cierpienia i tak już zmartwionej wdowy lub zmartwionego wdowca. Ponadto w krytycznej sytuacji, kiedy trzeba będzie wyciągnąć wtyczkę z kontaktu elektrycznego respiratora (aparatu do sztucznego oddychania), nikt z nas dwojga — jeśli nie byłibyśmy małżonkami — nie będzie do takiej decyzji uprawniony.

Ponieważ oboje rozumieliśmy powagę sytuacji, decyzja o zalegalizowaniu naszego związku zapadła jednogłośnie i bezkonfliktowo. Ubrawszy się na galowo, udaliśmy się do sądu powiatowego, aby za piętnaście dolarów kupić „licencję na ślub” i w ciągu następnej godziny zawrzeć małżeństwo przed obliczem sędziego, który takim ceremoniom przewodniczy. W okienku, gdzie sprzedawano „licencje”, nie było kolejki, więc w pięć minut sprawę mieliśmy z głowy. Gorzej było z terminem ślubu. Sekretarka sędziego sprawdziła harmonogram jego obowiązków i stwierdziła, że najbliższa wolna data wypada w sierpniu. Tak długi okres czekania nie odpowiadał mi, gdyż cały dzisiejszy wysiłek włożony w wiązanie krawata skończyłby na śmietniku historii! Nie mogłem do tego dopuścić! Widząc rozpacz na naszych obliczach, wzruszona nią, sekretarka poinformowała, że trzysta metrów na południe, wzdłuż tej samej ulicy Wysokiej (High Street) mieści się „Kaplica Ślubów”, w której udziela się tego sakramentu.

Podążyliśmy we wskazanym kierunku piechotą, obawiając się kłopotów z parkowaniem samochodu na ruchliwej ulicy. Rzeczywiście, stała tam, i do dziś stoi, „Kaplica Ślubów”. Jej usytuowanie jest dość strategiczne, otulona jest bowiem z dwóch stron biurami prawników ofiarujących szybkie i tanie... rozwody. Nieco dalej zauważyłem piekarnię sprzedającą „begels” (obwarzanki) panów Einsteina i Brosa, gdzie po dokonanej ceremonii sakramentu ślubu, oblubieńcy mogą wydać przy kontuarze, na stojąco, „przyjęcie weselne”.

Zapukaliśmy do drzwi budynku. Otworzyła nam kobieta w średnim wieku, ubrana schludnie, ale dość przeciętnie (bez



U góry: Laura i ja przed „natychmiastowym” ślubem

U dołu: Kaplica „natychmiastowych” ślubów w Columbus (Ohio)



ornatu, stuły lub togi) i zapytała uprzejmie, oczywiście w dominującym tu, w Ohio, języku angielskim:

— Co chcą?

Na co ja, zgodnie z wykwintnymi manierami, jakich nabyłem jeszcze w PRL-u, zapytałem równie uprzejmie, w tym samym języku, aczkolwiek z częstochowskim akcentem:

— A co tu dają?

— A no, śluby. Jaki sobie życzą? Kościelny, czy cywilny?

Na to ja:

— A który tańszy?

— Tańszy jest cywilny, za jedyne sto dolarów — brzmiała odpowiedź. — Za kościelny wybulicie sto pięćdziesiąt.

— A dlaczego kościelny droższy? — zapytałem.

— Cywilnych ślubów udzielam ja, natomiast ślubów kościelnych udziela mój małżonek, który ma licencję kapłańską. Licencja i jego studia teologiczne kosztują, więc i ślub jest droższy. Musimy sobie jakoś „odbić” naszą inwestycję.

Przez wrodzoną delikatność nie zapytałem, w jakim obrzędku „kościelne” śluby są udzielane i czy do kosztów ślubu jest włączona cena ewentualnej zmiany orientacji religijnej, czyli wyznania. Pani „cywilny ksiądz” zaprosiła nas do wnętrza i zaczęła wertować kartki papieru, na których miała napisane kilka formuł wypowiedzianych w czasie obrzędku. Po wybraniu właściwej dla nas kartki zapytała, czy życzymy sobie kwiaty. Plastikowy bukiet był na podorędziu za jedyne dwadzieścia dolarów. Gdybyśmy reflektowali także na okolicznościowe zdjęcie (z kwiatami), dodatkowo koszt wyniósłby piętnaście dolarów. Dowiedzieliśmy się także, że opłaty za ślub i akcesoria są przyjmowane jedynie w gotówce. Z oszczędności, z wyżej wymienionych akcesoriów zrezygnowałem i „podniosły” proces zawierania małżeństwa zaczął się. Ponieważ piszę te wspomnienia osiem lat po fakcie, to wzajemnych przyrzeczeń i postanowień, do jakich się wtedy zobowiązałem, dokładnie już nie pamiętam. Niemniej coś tam było, że pozostaniemy razem aż do śmierci... a może do legalnego rozvodu?

Jedno wydarzenie zapadło mi głęboko w pamięć, które prawie że sparaliżowało całą ślubną procedurę. Kiedy pod koniec odczytywania ceremonialnej formuły pani ksiądz wypowiedziała sakramentalne: „No, to teraz możecie sobie wymienić obrączki”, blady strach padł nam na oblicza, jako że o konieczności wzięcia ze sobą obrączek kompletnie zapomnieliśmy! Pomyślałem sobie, że cały dzisiejszy wysiłek fizyczny i trzynaście lat przełamywania oporów psychicznych, prysnął jak bańka mydlana, albo... inwestycyjna. Najbardziej martwiło mnie to, że studolarowa opłata za ślub była bezzwrotna. Zdziwiony jednak byłem, że taka szacowna instytucja jak „Kaplica Ślubów”, wydawałoby się, że wszystko mająca, nie pomyślała o obrączkach! Mogła mieć do sprzedania aluminiowe lub plastikowe obrączki do jednorazowego użycia! Pani ksiądz uspokoiła nas jednak, że nasze małżeństwo bez obrączek też będzie legalne i ważne w stanie Ohio, no, i chyba przed Panem Bogiem także. Otrzymania przepustki do nieba, po rozliczeniu się z życiem doczesnym, „urzędniczka” z kaplicy nie gwarantowała, ale wspomniała, że Szef Biura Niebiańskich Paszportów, Święty Piotr, śluby przez nią udzielane respektuje, gdyż od dłuższego czasu nie miała żadnych reklamacji w tej sprawie.

Uduchowieni, no i rzecz jasna połączeni węzłem małżeńskim, wyszliśmy z budynku. Minęliśmy się z inną parą kandydującą do ślubu. Była to para kolorowo mieszana, w towarzystwie dwójki dzieci, z który jedno, dwuletnie, miało problem z przekroczeniem progu. Jestem pewien, że mieli złote, ślubne obrączki na tę podniosłą uroczystość. Życzyliśmy im wszystkiego najlepszego.

Wieczorem, już jako nowożeńcy, zaprosiliśmy na skromne wesele dwoje moich dorosłych dzieci, Ryszarda i Tinę, z ich współmałżonkami. Na weselu jedliśmy zalewajkę, jaką ugotowałem na kwasie kiszonym wedle przepisu mojej babci, Marii Borkiewicz, chłopki rodem ze wsi Janów koło Częstochowy. Przypuszczam, że babcia na pewno nasz związek pobłogosławiłaby, aczkolwiek w swym życiu, w myśl katolickiej zasady, wychodziła za mąż nie za rozwodników, ale za wdowców. Nasze

cywilne wesele skończyło się nad wyraz przykładowie, jako że nikt nikomu kłonicą głowy nie nadwerżył, ani opony w mercedesie szczyrykiem nie przebił. Goście rozjechali się do domów trzeźwi, w dobrym, niczym nienaruszonym zdrowiu.

Moja „cywilnie ślubna” żona nigdy nie robiła mi aluzji co do tego, że nasze małżeństwo — z mojej grzesznej winy — nie mogło być kościelne. By jej to jakoś wynagrodzić i utwierdzić w przekonaniu, że moje intencje w „dziedzinie matrymonialnej” były i są nadal szczere, perspektywiczne, a nade wszystko honorowe, kazałem wyryć w kamieniu, na frontonie naszej skromnej lepianki — z myślą o wieczności — nazwę „Villa Laura”.



Napis na froncie domu „Villa Laura”



Villa Laura

Tak było kiedyś, a jak jest dzisiaj w Ameryce

Dwudziestego pierwszego lutego 2008 roku napisałem artykuł wydrukowany potem w kilku amerykańskich i polskich czasopismach pod tytułem „Katastrofa będzie pojutrze”. Wtedy czułem, że dalsze kontynuowanie bieżącej polityki Stanów Zjednoczonych i życia za pożyczone pieniądze doprowadzi do katastrofy. Sądziłem, ale nie przypuszczałem, że katastrofa naprawdę będzie „pojutrze”, czyli nie za odległych kilka albo kilkanaście lat, ale jutro, czyli za dosłownie kilka miesięcy.

Kiedy nagle Stany Zjednoczone wpadły z dnia na dzień w depresję, zacząłem śmiało wypowiadać moje opinie. Może dzieje się to też dlatego, że nie jestem związany z żadną partią polityczną ani wpływową grupą, mam przez to większą swobodę wypowiedzi i jasność spojrzenia. Zamiast jednak wspierać swoje opinie akademickimi tytułami, pozwolę sobie bez fałszywej skromności nadmienić, że własną pracą i pomysłem,

bez kapitału i pożyczek bankowych stałem się w USA człowiekiem zamożnym. Gdybym popełniał duże i częste błędy w ocenie sytuacji, jakie napotykałem na swej życiowej drodze, mój finansowy sukces z pewnością nie byłby możliwy. Osiągnąłem to, o czym marzą miliony Amerykanów, a mianowicie niezależność finansową! Zbudowałem firmę, która przez czterdzieści lat swego istnienia nigdy nie przyniosła straty i z roku na rok rosła w siłę. Cieszy mnie fakt, że przyjechałem do Stanów Zjednoczonych stosunkowo wcześniej, w wieku, kiedy miałem energię (kipiałem nią wręcz!) na wdrażanie mych pomysłów. Muszę jednak przyznać, że wtedy, kilkadziesiąt lat temu, mój kraj, USA, chyba bardziej sprzyjał ambitnym, początkującym wynalazcom, niż dzieje się to teraz.

Dzisiaj finansowa i prawnicza oligarchia skorumpowała rząd amerykański i ustawodawstwo do tego stopnia, że obecny kryzys wydaje się nie do pokonania. My, przedstawiciele drobnego przemysłu, niestety nie liczymy się! Pisząc te słowa, obawiam się, że pod koniec mej zawodowej działalności, na fali powszechnego bezrobocia, do władzy może dojść charyzmatyczny dyktator-maniak. Modłę się, żeby do tego jednak nie doszło! Moje obawy dzielają tysiące, jeśli nie miliony, drobnych i większych ciułaczy, którzy w panice pozbywają się dolarów i inwestują w złoto. Tu wyraźnie widać, że nikt nie ma zaufania do przedsiębiorstwa o nazwie „Stany Zjednoczone Ameryki Północnej”. Już najbliższa przyszłość pokaże efekty, gdyż dzisiaj historia nabrała tak wielkiego przyspieszenia, że na zmiany wcale nie czeka się setki, a nawet dziesiątki lat. Dzisiaj liczą się miesiące. Szybki i niespodziewany upadek ZSSR jest przykładem, jak nagle może się zawalić mocarstwo, które wydawało się być porównywalne do Stanów Zjednoczonych.



Ja z prezydentem Lechem Wałęsą w Houston (Texas)

Co mnie boli i dlaczego

Jako Amerykaninowi z wyboru głęboko leży mi na sercu sukces mego kraju, kraju, który — coby nie powiedzieć — dał mi warunki do spełnienia moich marzeń. Wspominam teraz o tym, aby zwrócić uwagę Czytelnikom, że moja krytyka, nie pochodzi bynajmniej od człowieka zgorzkniałego, biednego, zawiedzionego w stosunku do kraju, który go przyjął i zaadoptował. Nie! Raczej wywodzi się z niepokoju o przyszłość Stanów Zjednoczonych! Państwa, z którym są związane losy moje i moich, urodzonych tu dzieci i wnucząt.

Jan Czekajewski

*18 marca 2010 roku,
Columbus, Ohio, USA*

